

Prix du polar européen 2010
europejski kryminal roku

SENSACJA



Pierre Lemaitre

Zakładnik

*To cudowne uczucie być świadkiem
narodzin wielkiego pisarza.*

„Le Figaro Magazine”

*Mamy tu wybitnego autora
powieści kryminalnych.*

„Le Monde Magazine”

*Z żelazną precyzją obmyślony
scenariusz i zręczna konstrukcja.*

„Elle”

POWIEŚĆ SENSACYJNA

Pierre Lemaitre

Zakładnik

Tytuł oryginału: ***Cadres noirs***

Projekt okładki: *Katarzyna Konior*

Redakcja: *Lech Staszkiel*

Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*

Konwersja do formatu EPUB: *Robert Fritzkowski*

Korekty: *Małgorzata Mietkowska, Julia Leśniak*

Zdjęcia wykorzystane na okładce

© olly - Fotolia.com

© asrawolf - Fotolia.com

© Calmann-Lévy, 2010

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2012

© for the Polish translation by Joanna Polachowska

ISBN 978-83-7758-253-4

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2012

*Dla Pascaline.
Dla Marie-Françoise, z wielką przyjaźnią.*

*Należę do tego nieszczęsnego pokolenia, które,
zawieszone w kruchej równowadze między starymi i
nowymi czasami, i tu, i tam czuje się źle.*

*Co więcej, jak pan zapewne zauważył, jestem
człowiekiem pozbawionym złudzeń.*

G. Tomasi di Lampedusa,
Lampart

PRZED

1

Nigdy nie byłem człowiekiem gwałtownym. Jak daleko sięgnę myślą wstecz, nigdy nie chciałem nikogo zabić. Od czasu do czasu jakiś wybuch złości, ale nigdy żadnej chęci skrzywdzenia kogokolwiek naprawdę. Zniszczenia. Ale teraz sam siebie zaskakuję. Przemoc jest jak alkohol lub seks; to nie zjawisko, lecz proces. Wchodzi się weń prawie niepostrzeżenie, po prostu dlatego, że się do niego dojrzało, dlatego, że to właśnie ta chwila. Wiedziałem, że jestem rozgniewany, lecz nigdy bym nie pomyślał, że mój gniew zamieni się w zimną furję. To mnie tak przeraża.

I to, że trafiło akurat na Mehmeta...

Mehmet Pehlivan.

Turek.

Jest we Francji od dziesięciu lat, ale słownictwo ma uboższe niż dziesięcioletnie dziecko. Wyraża się tylko na dwa sposoby: albo wrzeszczy, albo jest nabzdyczony. A kiedy się wydziera, miesza francuski z tureckim. Nikt nie wie, o co mu chodzi, ale wszyscy dobrze rozumieją, za kogo nas uważa. W hurtowni farmaceutycznej Połaniec, gdzie pracuję, Mehmet jest „kontrolerem”, a ilekroć awansuje, zgodnie z szeroko pojętą regułą darwinowską, natychmiast zaczyna gardzić dawnymi kolegami i traktować ich jak padalców. W swojej pracy zawodowej często się z tym stykałem i nie tylko u pracowników imigrantów; generalnie u wielu ludzi wywodzących się z nizin społecznych. Awansowani identyfikują się ze swoimi dyrektorami z tak wielkim przekonaniem, że dyrektorom nawet by się nie śniło. Taki syndrom sztokholmski na rynku pracy. Uwaga: Mehmet nie uważa się za dyrektora, to coś więcej: on

dyrektora ucieleśnia. „Jest” dyrektorem, kiedy dyrektora nie ma. Oczywiście tutaj, w firmie, która zatrudnia pewnie ze dwieście osób, patrona jako takiego nie ma; są tylko szefowie. Tymczasem Mehmet czuje się zbyt ważny, by identyfikować się ze zwykłym szefem. On identyfikuje się z rodzajem abstrakcji, wyższą ideą, którą nazywa „Dyrekcją”, co jest pozbawione treści (dyrektorów nikt tutaj nie zna), acz pełne znaczenia: powiedzieć „Dyrekcja”, to tak jak powiedzieć „Droga”, „Powołanie”. Awansując w hierarchii służbowej, Mehmet na swój sposób zbliża się do Boga.

Zaczynam o piątej rano; pracę, jaką wykonuję, określa się mianem fuchy (mówiąc „fucha”, zawsze dodaje się „drobna”, a to z racji płacy). Sortuję kartony z lekarstwami, które następnie są rozwożone do aptek na przedmieściach. Sam tego nie widziałem, ale podobno Mehmet sortował kartony przez osiem lat, zanim został „kontrolerem”. Dziś dumnie rządzi trójką padalców, a to już jest coś.

Pierwszy padalec to Charles. Śmieszne imię jak na bezdomnego. Jest o rok ode mnie młodszy, chudy jak patyk i pije jak smok. Mówią, że podaje się za bezdomnego, żeby uciąć pytania, ale w rzeczywistości posiada lokum. I to jak najbardziej stałe. Mieszka w samochodzie, który od pięciu lat już nie jeździ. Nazywa go swoim *immobile home*; takie już ma poczucie humoru. Nosi wielki jak spodek zegarek nurka z mnóstwem tarcz. I bransoletkę w kolorze wścieklej zieleni. Nie wiem, skąd pochodzi ani co spowodowało, że znalazł się w tak skrajnej sytuacji. Czasem bywa zabawny. Na przykład nie ma pojęcia, od jak dawna figuruje na liście oczekujących na mieszkanie socjalne, ale bardzo dokładnie pamięta, ile czasu upłynęło, od kiedy zrezygnował z dalszych starań o nie. Pięć lat, siedem miesięcy i siedemnaście dni, jak wynika z ostatnich rachunków. Tym, co liczy Charles, jest czas, jaki upłynął, odkąd pożegnał się z wszelką nadzieją na jakikolwiek dach nad głową. „Nadzieja – mawia, unosząc palec – to wredny wymysł Lucyfera, żeby ludzie cierpliwie znosili swoją kondycję”.

Nie on jest autorem owych słów, już je gdzieś słyszałem. Szukałem tego cytatu, ale nie znalazłem. Co dowodzi jednak, że mimo pijackiej otoczki Charles jest człowiekiem wykształconym.

Drugi padalec to Romain, chłopak z Narbonne. W liceum odniósł pewien sukces w szkolnym kółku teatralnym, więc zamarzyło mu się zostać aktorem i prosto po maturze przyjechał do Paryża, gdzie nigdy jednak nie dostał najmniejszej nawet roli, ponieważ wymawia „r” jak d’Artagnan. Jak Henryk IV. Brał lekcje dykcji, ale nic to nie dało. Wykonywał rozmaite dorywcze prace umożliwiające mu udział we wszelkich możliwych castingach – zawsze bez powodzenia. Któregoś dnia zrozumiał, że nigdy nie zrealizuje swojego marzenia. I taki był koniec Romaina – aktora filmowego. No i największym miastem, jakie znał, było Narbonne. Paryż w krótkim czasie go przytłoczył, zniszczył. Zaczęły mu znów doskwierać dziecięce chandry i tęsknota za rodzinnymi stronami. Tyle że nie chce wracać do domu z pustymi rękami. Ciuła więc grosz do grosza i marzy już tylko o jednej roli: syna marnotrawnego. W tym celu podejmuje się wszelkich możliwych fuch, jakie mu się trafią. Pracuje jak mrówka. Resztę czasu spędza na Second Life, MSN, MySpace, Twitterze, Facebooku oraz mnóstwie innych portali; w miejscach, gdzie nikt nie słyszy jego wymowy. Zdaniem Charles’a jest uzdolniony informatycznie.

Ja pracuję codziennie rano po trzy godziny, co daje mi 585 euro brutto (mówiąc o niskim wynagrodzeniu, zawsze dodaje się „brutto”, a to z powodu obciążeń). Około dziewiątej jestem z powrotem w domu. Jeśli Nicole wychodzi trochę później, mamy okazję się spotkać. W takich wypadkach mówi: „Jestem spóźniona”, całuje mnie w czubek nosa i wychodzi.

Tak więc tego ranka Mehmet był wściekły. Jakby się wewnątrz gotował. Pomyślałem, że pewnie żona dała mu popalić. Po rampie zastawionej rzędami skrzyń i kartonów

poruszał się szybkim, podrygującym krokiem. A listę ścisnął w rękach tak mocno, że aż zbieleły mu stawy. Czuło się, że na tym człowieku ciąży ogromna odpowiedzialność, że problemy osobiste trafiły mu się naprawdę nie w porę. Zjawiłem się punktualnie, ale na mój widok natychmiast się rozwrzeszczał. Punktualne przyście nie jest wystarczającym dowodem motywacji. On przychodzi co najmniej godzinę wcześniej. Nie wszystko zrozumiałem, ale najważniejsze do mnie dotarło, to mianowicie, że uważa mnie za dupka.

Choć Mehmet robi tyle zamieszania, zajęcie samo w sobie jest niezbyt skomplikowane. Sortuje się paczki, wkłada je do kartonów na paletach. Zwykle kody aptek są wypisane dużymi literami na paczkach, ale niekiedy, nie wiedzieć czemu, numeru nie ma. Romain twierdzi, że to sprawka źle ustawionej drukarki. W takich przypadkach kod można znaleźć w długim ciągu drobnych literek umieszczonych na etykiecie. Są to jedenasta, dwunasta i trzynasta litera. Żeby je odczytać, potrzebuję okularów, a to już cały ambaras. Muszę je wyjąć z kieszeni, założyć, pochylić się, policzyć litery... A czas płynie. Gdyby Dyrekcja zobaczyła, jak się grzebię, byłaby niezadowolona. Tymczasem właśnie tego ranka pierwsza paczka, po jaką sięgnąłem, nie miała kodu. Mehmet podniósł wrzask. Pochyliłem się. I w tym momencie dał mi kopniaka w tyłek.

Było kilka minut po piątej rano.

Nazywam się Alain Delambre, mam pięćdziesiąt siedem lat.

Jestem bezrobotnym menedżerem.

2

Z początku wziąłem tę poranną pracę w firmie wysyłkowej, żeby się czymś zająć. Tak przynajmniej powiedziałem Nicole, ale ani ona, ani nasze córki nie dały się nabrać. Nikt w moim wieku nie wstaje o czwartej rano do roboty za czterdzieści pięć procent minimalnej pensji tylko po to, żeby rozprostować stawy. Historia jest skomplikowana. A właściwie nie, nie aż tak bardzo. Początkowo nie potrzebowaliśmy tych pieniędzy, teraz już tak.

Od czterech lat jestem na bezrobociu. Cztery lata miną w maju (dwudziestego czwartego maja, dobrze pamiętam tę datę).

Ponieważ to zajęcie nie wystarcza, żeby dociągnąć do końca miesiąca, wykonuję także inne dorywcze prace. Tu i tam przez kilka godzin noszę skrzynki, pakuję różne rzeczy w folię bąbelkową, rozdaję ulotki, czasem nocami sprzątam w biurach. Do tego dochodzą fuchy sezonowe. Od dwóch lat robię za Mikołaja w Trouve-tout, supermarkecie ze sprzętem gospodarstwa domowego z drugiej ręki. Nie zawsze przyznaję się Nicole do tego, co robię, bo byłoby jej przykro. Tłumaczę swoją nieobecność rozmaicie. A że w przypadku pracy nocnej sprawa jest łatwiejsza, wymyśliłem grupę bezrobotnych kumpli, z którymi grywam w tarota. Nicole mówię, że mnie to odpręża.

Wcześniej byłem dyrektorem kadr w firmie zatrudniającej dwieście osób. Zajmowałem się personelem, szkoleniami, kontrolowałem płace, reprezentowałem dyrekcję w Komitecie Przedsiębiorstwa. Pracowałem u Bercauda, w firmie produkującej sztuczną biżuterię.

Siedemnaście lat nawlekania korali. Był to ulubiony dowcip wielu kolegów, mówili: „U Bercauda nawlekamy korale”. Istniała cała masa zabawnych powiedzonek na temat korali, klejnotów rodzinnych itp. Czy jak kto woli - żartów korporacyjnych. Żarty skończyły się w maju, kiedy nam oznajmiono, że Bercauda kupili Belgowie. Mogłem stanąć do współzawodnictwa z szefem kadr grupy belgijskiej, ale kiedy dowiedziałem się, że ma trzydzieści osiem lat, w duchu zacząłem się pakować. Mówię „w duchu”, bo teraz widzę, że zupełnie nie byłem gotowy zrobić tego w rzeczywistości. A jednak zostałem zmuszony, i to już niebawem. Wiadomość o sprzedaży ogłoszono czwartego marca. Sześć tygodni później ruszył pierwszy wózek ze skazańcami; ja trafiłem do drugiego.

W ciągu tych czterech lat, w miarę jak dochody topniały, mój stan ducha się zmieniał: niedowierzanie przeobraziło się w zwątpienie, potem w poczucie winy i wreszcie w poczucie niesprawiedliwości. Dziś wzbiera we mnie gniew. Gniew to niezbyt pozytywne uczucie. Kiedy przychodzę do Poślańca, kiedy widzę krzaczaste brwi Mehmeta, długą chwiejną postać Charles'a i kiedy pomyślę o tym wszystkim, przez co musiałem przejść, zanim w końcu tutaj wylądowałem, zaczyna we mnie narastać głuchy gniew. Nie wolno mi myśleć o latach, które mnie czekają, o punktach, których mi zabraknie do emerytury, o zasiłkach, które maleją, o przygnębieniu, które nas czasami dopada, Nicole i mnie. Nie wolno mi o tym myśleć, bo mimo mojej rwy kulszowej ogarniają mnie mordercze myśli.

Od tych czterech lat, od kiedy się znamy, uważam mojego doradcę z biura pośrednictwa pracy za dobrego znajomego. Niedawno, z niejakim podziwem, oświadczył mi, że jestem wzorem. Chodzi mu o to, że zarzuciłem nadzieję na znalezienie pracy, ale nie zarzuciłem jej szukania. Dostrzega w tym dowód siły charakteru. Nie chcę wyprowadzać go z błędu; ma trzydzieści siedem lat i powinien jak najdłużej zachować złudzenia. W

rzeczywistości kieruje mną raczej odruch gatunkowy. Szukanie pracy to tak jak sama praca, a ponieważ przez całe życie pracowałem, utrwaliło się to w moim układzie neurowegetatywnym. Popycha mnie do działania konieczność, ale żadnego planu tu nie ma. Szukam pracy niczym psy, które obwąchują latarnie. Bez złudzeń, lecz to silniejsze ode mnie.

Na podobnej zasadzie odpowiedziałem kilka dni temu na pewne ogłoszenie. Agencja konsultingowa szuka kandydata na zastępcę dyrektora personalnego w dużym przedsiębiorstwie. Obowiązki: udział w rekrutacji kadry kierowniczej, sporządzanie profilów psychologicznych na poszczególne stanowiska, ocena pracowników i analiza wyniku testów, uczestnictwo w sporządzaniu bilansu socjalnego itp. – dokładnie to, co umiem robić i co robiłem przez długie lata u Bercauda. „Wszechstronny, metodyczny, dokładny, posiadający duże umiejętności interpersonalne”. Wypisz, wymaluj mój portret zawodowy.

Kiedy to przeczytałem, wysłałem odpowiednie papiery i życiorys. Tyle że oczywiście nie sprecyzowali, czy gotowi są zatrudnić faceta w moim wieku.

Co oznacza jedno: że nie.

Trudno. Mimo wszystko zgłosiłem swoją kandydaturę. Zastanawiam się, czy nie po to, by zasłużyć na dalszy podziw mojego doradcy z biura pośrednictwa pracy.

Kiedy Mehmet przykopał mi w siedzenie, krzyknąłem, więc wszyscy się odwrócili. Romain pierwszy, Charles z niejaką trudnością, ponieważ o tej wczesnej porze dnia zdążył już wlać w siebie kilka kieliszków białego wina. Gwałtownie się poderwałem. Jak jakiś młodziak. I dopiero wtedy dotarło do mnie, że przerastam Mehmeta prawie o głowę. Dotąd, ponieważ był szefem, nie zwracałem uwagi na jego wzrost. Sam Mehmet nie mógł uwierzyć, że dał mi kopniaka. Wydawało się, że nagle całkowicie ochłonął z gniewu, usta mu drżały, mrugał oczami i próbował coś powiedzieć, sam nie wiem w jakim języku. I wtedy zrobiłem

to, po raz pierwszy w życiu: bardzo powoli odchyliłem głowę w tył, jakbym podziwiał sklepienie Kaplicy Sykstyńskiej, po czym jednym krótkim ruchem wyrzuciłem ją naprzód. Tak jak widziałem w telewizji. Nazywa się to „uderzeniem z główki”. Charles, jako bezdomny, już nieraz oberwał, więc się na takich sprawach zna. „Piękna technika”, ocenił. Podobno jak na debiutanta znakomicie mi poszło. Rozkwaśłem czołem nos Mehmeta; nim poczułem siłę ciosu w czaszce, usłyszałem suchy trzask. Mehmet wrzasnął (jestem pewny, że tym razem po turecku), ale nie zdążyłem nacieszyć się swoim wyczynem, bo natychmiast złapał się rękami za głowę i padł na kolana. W filmie wziąłbym teraz lekki rozmach i przykopał mu z całej siły w gębę, ale strasznie mnie bolała czaszka, więc ja też złapałem się za głowę i padłem na kolana. I trwaliśmy tak obaj na klęczkach, twarzą w twarz, obejmując rękami głowy, pochyleni do przodu. Dramat w świecie pracy. Wspaniały obraz.

Podbiegł Romain, nie bardzo wiedząc, co robić. Mehmet broczył krwią. Po kilku minutach przyjechała karetka. Złożyliśmy oświadczenia. Romain powiedział, że widział, jak Mehmet mi przykopał, że będzie moim świadkiem i nie mam się czym przejmować. Nie odezwałem się, ale doświadczenie podpowiada mi, że może się to okazać wcale nie takie proste. Było mi niedobrze. Poszedłem do toalety. Ale niepotrzebnie.

To znaczy nie całkiem niepotrzebnie, bo w lustrze zobaczyłem, że mam na czole ranę i wielkiego krwaka. Byłem trupio blady, ogłupiały. Żałosny. Przez chwilę miałem wrażenie, że zaczynam upodabniać się do Charles'a.

3

- Uau... Co ci się stało? - zapytała Nicole, dotykając palcem ogromnego krwaka na moim czole.

Nie odpowiedziałem. Rozmyślnie nonszalanckim gestem podałem jej list, a sam poszedłem do gabinetu i udawałem, że szukam czegoś w szufladach biurka. Nicole przez długą chwilę wpatrywała się w pismo: „W odpowiedzi na Pański list mam przyjemność zawiadomić, że Pańska kandydatura na stanowisko zastępcy dyrektora personalnego została przez nas zaakceptowana. Wkrótce otrzyma Pan wezwanie na merytoryczny test, po którym, jeśli wypadnie pozytywnie, zostanie Pan zaproszony na rozmowę”.

Z czasu, jaki jej to zajęło, wnioskuję, że przeczytała list kilka razy. Potem, wciąż nie zdejmując płaszcza, stanęła w progu gabinetu i oparła się ramieniem o futrynę. Nadal z listem w ręku. Przechyliła głowę w prawą stronę. To jeden z jej zwykłych gestów i ten, który obok dwóch czy trzech innych lubię najbardziej. Zupełnie jakby o tym wiedziała. Kiedy widzę ją w takiej pozycji, utwierdzam się w przekonaniu, że ta kobieta została obdarzona łaską. Jest w niej coś zboląłego, jakaś giętkość, sam nie wiem, jak to ująć, niesłychanie erotyczna powolność. Trzymała w ręku list i wpatrywała się we mnie. Wydała mi się bardzo piękna, czy może seksowna, jednym słowem, miałem wielką ochotę ją przelecieć. Seks był dla mnie zawsze silnym antydepresantem.

Początkowo, kiedy nie uważałem jeszcze bezrobocia za fatum, tylko za nieszczęście, byłem bardzo niespokojny i na okrągło się do Nicole dobierałem. W sypialni, w łazience, w korytarzu. Nigdy nie odmawiała. Jest dobrym

psychologiem, rozumiała, że był to mój sposób upewnienia się, że wciąż żyję. Potem niepokój ustąpił miejsca lękowi i pierwszym namacalnym efektem tej zmiany była u mnie niemal całkowita impotencja. Nasze kontakty seksualne stały się rzadkie, trudne. Nicole okazuje delikatność i cierpliwość, co mnie tylko jeszcze bardziej unieszczęśliwia. Nasz seksualny barometr kompletnie się rozregulował. Udajemy, że tego nie zauważamy, że nie ma to żadnego znaczenia. Wiem, że Nicole wciąż mnie kocha, ale nasze życie stało się o wiele trudniejsze i nie mogę opędzić się od myśli, że taka sytuacja nie będzie mogła trwać w nieskończoność.

Teraz, z listem z BLC-Consulting w ręku, mówi:

- Ależ kochanie, przecież to nadzwyczajne!

Pomyślałem, że koniecznie muszę poszukać owego powiedzenia Charles'a o Lucyferze i nadziei. Ponieważ Nicole miała rację. List taki jak ten odbiegał od zwyczajności i chociaż ktoś w moim wieku, niepracujący w branży już od czterech lat, miał szansę jedną na miliard dostania tej pracy, Nicole i ja natychmiast zaczęliśmy w to wierzyć. Tak jakby minione miesiące, minione lata niczego nas nie nauczyły. Jakbyśmy oboje byli niepoprawnymi optymistami.

Nicole podeszła i pocałowała mnie w ów zmysłowy sposób, który uwielbiam. Jest bardzo dzielna. Życie z człowiekiem zdolowanym - to właśnie jest najtrudniejsze. Zwłaszcza kiedy samemu też jest się zdolowanym.

- Nie wiadomo, dla kogo robią rekrutację? - zapytała Nicole.

Dotknąłem ekranu: pokazała się strona internetowa BLC-Consulting. Skrót pochodzi od nazwiska założyciela, Bertranda Lacoste'a. Historyczne nazwisko. To jeden z najdroższych konsultantów, którzy liczą sobie po trzy i pół tysiąca euro za dzień. Kiedy, mając przed sobą całą przyszłość, zaczynałem pracę u Bercauda (a nawet kilka lat później, kiedy zapisałem się na CNAM, żeby zdobyć

uniwersytecki dyplom z coachingu), konsultant z najwyższej półki w rodzaju Bertranda Lacoste'a był dla mnie kimś, kim sam pragnąłem być: skuteczny, zawsze o krok przed swoim rozmówcą, oferujący błyskawiczne analizy i szeroki wachlarz rozwiązań menedżerskich na każdą sytuację. Nie skończyłem CNAM, bo wtedy właśnie urodziły się nam córki. Taka jest wersja oficjalna. Wersja Nicole. Prawda była taka, że brakowało mi odpowiedniego talentu. W gruncie rzeczy mam mentalność pracownika najemnego.

Jestem prototypem menedżera pośredniego.

Odpowiedziałem Nicole:

- Ogłoszenie jest dość zdawkowe. O przedsiębiorstwie mówią: „lider przemysłu na skalę międzynarodową”. No, no... Posada jest do objęcia w Paryżu.

Popołudnie spędziłem na lekturze stron internetowych na temat regulacji rynku pracy oraz nowych przepisów w dziedzinie kształcenia permanentnego. Nicole widziała to i uśmiechała się. Mój gabinet był zasłany różnymi kartkami samoprzylepnymi, notatkami, luźnymi stronami, które poprzyklejałem skoczem do krawędzi półek regałów z książkami. Wydawało się, że dopiero teraz dostrzegła, że przez cały dzień bez wytchnienia pracowałem. A przecież należy do tych kobiet, które momentalnie wyłapują każdy szczegół życia codziennego. Jeśli cokolwiek w pokoju przestawię, od razu po wejściu to zauważy. Kiedy ją zdradziłem, jeden jedyny raz przed wielu laty (dziewczynki były wtedy małe), odkryła to jeszcze tego samego wieczora. A przecież zachowałem wszelkie środki ostrożności. Nic nie powiedziała. Wieczór upłynął nam w ciężkiej atmosferze. Dopiero kiedy poszliśmy spać, powiedziała ze zmęczoną miną:

- Alain, nie rozmawiajmy już o tym...

Po czym zwinęła się obok mnie w łóżku. I nigdy więcej do tego tematu nie wracaliśmy.

- Nie mam nawet jednej szansy na tysiąc.

Nicole kładzie list z BLC-Consulting na moim biurku.

- Tego akurat nie wiesz - mówi, zdejmując płaszcz.
- Człowiek w moim wieku...

Odwraca się w moją stronę.

- Ilu twoim zdaniem zgłosiło się kandydatów?

- Moim zdaniem - około trzystu.

- A ilu, jak uważasz, zaproszono na test?

- Powiedziałbym, jakichś piętnastu...

- No to wytłumacz mi, dlaczego wybrali akurat TWOJĄ kandydaturę spośród ponad trzystu? Myślisz, że nie widzieli, ile masz lat? Myślisz, że uszło to ich uwadze?

Pewnie, że nie. Nicole ma rację. Prawie przez całe popołudnie roztrząsałem rozmaite hipotezy. I zawsze wychodzi na jedno: moje CV z daleka cuchnie pięćdziesięciolatkiem, więc skoro mnie wzywają, to znaczy, że jest w nim coś dla nich interesującego.

Nicole jest bardzo cierpliwa. Obierając kartofle i cebulę, słucha, jak wyliczam rozmaite powody natury praktycznej, dla jakich mnie wybrali. Słyszy w moim głosie euforię, której nie jestem w stanie opanować. Od ponad dwóch lat nie dostałem podobnego listu. W najgorszym razie mi nie odpowiadają, w najlepszym piszą, żebym się wypchał. Nie wzywają mnie już na rozmowy, bo facet taki jak ja nikogo nie interesuje. Stąd odpowiedź z BLC-Consulting rodzi we mnie najróżniejsze przypuszczenia. Wydaje mi się, że wreszcie znalazłem właściwe.

- Myślę, że to z powodu premii.

- Jakiej premii? - pyta Nicole.

Z tytułu planu ratunkowego dla seniorów. Podobno (gdyby rząd do mnie się z tym zwrócił, oszczędziłby na badaniach, z pewnością bardzo kosztownych) seniorzy nie pracują już wystarczająco długo. Tymczasem kraj nadal ich potrzebuje. Mowa oczywiście o tych, którzy wciąż pracują. To straszne, ale jest jeszcze coś gorszego. Są seniorzy, którzy chcieliby pracować, ale nie mogą znaleźć roboty. I ci, którzy pracują niewystarczająco długo, i ci, którzy już po prostu nie pracują, seniorzy stanowią wielki problem dla

społeczeństwa. Więc rząd im wszystkim pomoże. Przedsiębiorstwa, które zgodzą się zatrudnić starszych, dostaną pieniądze.

- Nie interesuje ich moje doświadczenie, tylko to, że otrzymają ulgi podatkowe i zainkasują premie.

Nicole wysuwa podbródek lekko do przodu z miną wyrażającą powątpiewanie. I to też u niej bardzo lubię.

- A mnie się wydaje - mówi - że czego jak czego, ale pieniędzy w tych firmach na pewno nie brakuje i premie rządowe obchodzą ich tyle co zeszłoroczny śnieg.

Resztę popołudnia poświęciłem na wyjaśnienie kwestii tych premii. Tu Nicole znowu ma rację, argument z trudem się broni: zwolnienie z obciążeń trwa tylko kilka miesięcy, premia pokrywa jedynie niewielką część wynagrodzenia menedżera tego szczebla. I w dodatku jest regresywna.

W kilka minut Nicole doszła do podobnego wniosku co ja w ciągu całego dnia: skoro BLC chce mnie widzieć, to znaczy, że jest zainteresowane moim doświadczeniem.

Od czterech lat robię, co mogę, starając się wytłumaczyć pracodawcom, że człowiek w moim wieku jest równie aktywny jak ci młodzi, a jego doświadczenie oznacza oszczędności dla firmy. Ale to argument dziennikarski, dobry dla dodatku „Praca” w wielonakładowej prasie; sami pracodawcy mają to w nosie. Mam wrażenie, że po raz pierwszy ktoś naprawdę przeczytał mój list i rozważył moją kandydaturę. Jeszcze ich zadziwię.

Chciałbym, żeby rozmowa odbyła się już, natychmiast, najchętniej zacząłbym krzyczeć.

Pilnuję się, żeby tego nie zrobić.

- Dziewczynkom nic nie mówimy, zgoda?

Nicole też uważa, że tak będzie lepiej. Córkom sprawia przykrość widok ojca uganiającego się za zarobkiem. Nic nie mówią, ale wiem, że to silniejsze od nich: mocno straciłem w ich oczach. Nie z powodu bezrobocia, nie; z powodu tego, jak bezrobocie na mnie wpłynęło. Postarzałem się, zapadłem w sobie, miewam chandry. A

jeszcze nic nie wiedzą o mojej pracy w firmie wysyłkowej. Wzbudzić w nich nadzieję, że znajdę pracę, tylko po to, by następnie oznajmić, że nic z tego nie wyszło, byłoby wyczynem ponad moje siły.

Nicole przytula się do mnie. Delikatnie dotyka palcem guza na moim czole.

- Powiesz mi, co się stało?

Staram się, jak mogę, żeby dodać pikanterii mojej opowieści. Mam wręcz pewność, że jestem bardzo zabawny. Ale fakt, że pozwoliłem Mehmetowi skopać sobie tyłek, ani trochę Nicole nie bawi.

- Co za kretyn z tego Turka!

- To niezbyt europejska reakcja.

Ostatni żart też nie wywołał spodziewanego efektu.

Nicole z zamyśloną miną gładzi mnie po policzku. Wyraźnie widzę, że się o mnie martwi. Staram się podejść do sprawy filozoficznie. Ale mnie też jest ciężko na sercu i już sam dotyk jej dłoni sprawia, iż czuję, że wkroczyliśmy na delikatny grunt emocjonalny.

Nicole patrzy na moje czoło i mówi:

- Jesteś pewny, że sprawa się na tym skończy?

Klamka zapadła: następnym razem ożenię się z idiotką.

Ale Nicole zbliża usta do moich ust i mówi:

- Nieważne. Jestem pewna, że to praca dla ciebie. Jestem tego pewna.

Zamykam oczy, modląc się w duchu, żeby mój kumpel Charles, który powtarza to o nadziei i Lucyferze, okazał się po prostu skończonym głupkiem.

4

List z BLC-Consulting był prawdziwą bombą. Przestałem sypiać. Wpadam to w euforię, to w pesymizm. Obojętnie, co robię, moje myśli nieustannie wokół niego krążą, tworząc rozmaite scenariusze. To wyczerpujące.

W piątek Nicole spędziła parę godzin na stronie internetowej swojego ośrodka dokumentacji i wydrukowała dla mnie dziesiątki stron informacji prawnej. Po tych czterech latach zostałem mocno w tyle. W mojej branży regulacje prawne bardzo ewoluowały, zwłaszcza dotyczące zwolnień; tu dziwnie się uelastyczyły. Również w dziedzinie zarządzania jest sporo nowych rzeczy. Mody piekielnie szybko się zmieniają. Przed pięciu laty wszyscy szaleli na punkcie teorii równowagi organizacyjnej; dziś to już prehistoria. Teraz liczy się „zarządzanie okresu przejściowego”, „reaktywność między sektorami”, „tożsamość korporacyjna”, rozwój „sieci interpersonalnej”, „benchmarking”... Ale przede wszystkim mówi się o „wartościach” przedsiębiorstwa. Sama praca już nie wystarczy, należy się „przyłączyć”. Kiedyś trzeba było zgadzać się z firmą, teraz trzeba się z nią zintegrować. Być jednością. O nic więcej nie proszę: niech mnie zatrudnią i chętnie się zintegruję.

Nicole posortowała dokumenty i zrobiła ich selekcję, ja przygotowałem fiszki i od rana przepytuje mnie z materiału. Wkuwamy. Chodzę w tę i nazad po gabinecie, staram się skoncentrować. Tak długo wymyślam dobre sposoby na zapamiętywanie, że w końcu wszystkie mi się mieszają.

Nicole zaparzyła herbatę i wraca na kanapę, zewsząd otoczona papierami. Jest w szlafroku. Czasami jej się to

zdarza, zwłaszcza zimą, kiedy nie ma żadnych planów na dany dzień. W starym, wysłużonym T-shircie, w grubych wełnianych skarpetach nie do pary, pachnie snem i herbatą, jest ciepła jak świeży rogalik i piękna jak poranek. Uwielbiam tę abnegację. Gdybym nie był teraz tak spięty, rzuciłbym się na nią. Zważywszy jednak na moje obecne dokonania w materii seksu, wolę wziąć na wstrzymanie.

- Nie dotykaj - mówi Nicole, widząc, że macam siniak na czole.

Nieczęsto o nim myślę, ale bezlitośnie przypomina mi o sobie, kiedy stoję przed lustrem. Dzisiaj nabrał paskudnego odcienia: fioletowy pośrodku, żółty na brzegach. Liczyłem, że mi doda męskości, ale wygląda raczej paskudnie. Lekarz z pogotowia powiedział, że siniak zniknie za jakieś osiem dni. Mehmet ma złamany nos i dziesięć dni zwolnienia.

Ekipy nocna i dzienna zostały szybko przetasowane, by zneutralizować skutki naszej nieobecności. Poprosiłem Romaina do telefonu. Podszedł Charles.

- Zmieniły się godziny pracy - wyjaśnił mi. - Romain siedział w nocy, ja przez dwa, trzy dni będę po południu.

Jakiś kontroler dorabia w nadgodzinach, zastępując Mehmeta, który już powiadomił firmę, że ma nadzieję wrócić jak najszybciej do pracy. Przynajmniej jeden, któremu nie potrzeba szkoleń, by identyfikować się z wartościami. Ten, który go chwilowo zastępuje, powiedział Charles'owi, że Dyrekcja nie może tolerować bójek w miejscu pracy. „Do czego to podobne, żeby szefowie ekip lądowali w szpitalu za upomnienie podwładnego?“, miał powiedzieć. Nie wiem, co to konkretnie znaczy, ale dla mnie raczej nic dobrego. Nie mówię o tym Nicole, bo nie chcę jej niepokoić: jeśli dopisze mi szczęście i dostanę posadę proponowaną przez BLC, wówczas obecnym kłopotom stawię czoło ze śmiechem na ustach.

- Jutro położę ci odrobinę podkładu - mówi rozbawiona Nicole, patrząc na moje czoło. - Poważnie! Tylko trochę, zobaczysz.

Zobaczymy. Mówię sobie, że jutro czeka mnie test, a nie rozmowa. A do tego czasu siniak prawie całkiem zniknie. O ile oczywiście dojdę do tego etapu.

- Oczywiście, że dojdiesz - zapewnia mnie Nicole.

Prawdziwa wiara czasami bywa pesząca.

Staram się to ukryć, ale moja ekscytacja sięga zenitu. Jest inna niż wczoraj czy przedwczoraj: im bliżej testu merytorycznego, tym większa ogarnia mnie trema. Gdy w piątek siadaliśmy do powtórki materiału, nie miałem pojęcia, jak bardzo pozostałem w tyle. Uświadomiwszy to sobie, wpadłem w panikę. Przyjście córek, które w innych okolicznościach by mnie zirytowało, bo oznaczało stratę czasu przeznaczanego na przygotowanie, nagle okazało się nie najgorszą rozrywką.

Od razu po wejściu Gregory, wskazując na moje czoło, rzucił:

- Cóż to, ojczulku? Zawodzą nas już nogi?

„Ojczulek” to taki jego prywatny żart. Generalnie w podobnych przypadkach Mathilde, moja starsza córka, daje mu kuksańca w bok, bo wydaje się jej, że jestem przewrażliwiony. Moim zdaniem lepiej by zrobiła, zatykając mu po prostu ręką gębę. Mówię tak, bo jest od czterech lat jego żoną i od czterech lat mam ochotę zrobić to za nią. Zresztą czego się spodziewać po facecie o imieniu Gregory... W dodatku zaczesuje włosy do tyłu, a to znak, który wiele mówi. Córce nie przeszkadza kopulowanie z takim gogusiem, ale mnie, przykro mi bardzo, mnie to wkurza. Nicole ma rację. Zrobiłem się przewrażliwiony. Mówi, że przez beczynność. Bardzo lubię to słowo, nawet jeśli nie jest pierwszym, jakie mi przychodzi na myśl, kiedy wstaję o czwartej rano, żeby dostać kopniaka w tyłek.

Mathilde jest nauczycielką angielskiego, zwykłą normalną dziewczyną. Ma niezrozumiałą pasję do spraw życia codziennego. Entuzjazmuje się robieniem zakupów, obmyślaniem posiłków, wyszukiwaniem na osiem miesięcy wcześniej miejsca na wakacje, zapamiętywaniem imion

dzieci wszystkich koleżanek, planowaniem ciąży. Zdumiewa mnie jej łatwość wypełniania sobie życia. W rozkoszy, jaką sprawia jej zarządzanie prozą życia, jest coś autentycznie fascynującego.

Jej mąż Gregory jest dyrektorem agencji banku specjalizującego się w kredytach konsumpcyjnych. Pożycza ludziom pieniądze, żeby mogli kupić rozmaite rzeczy, odkurzacze, samochody, telewizory. Meble ogrodowe. Na broszurach oprocentowanie wydaje się w porządku, ale klient zwraca trzy, cztery razy więcej, niż pożyczył. A jeśli ma kłopoty ze spłatą, sprawa jest prosta, znowu mu pożyczają, ale wtedy zwraca już trzydzieści razy więcej, niż pożyczył. Zwykła rzecz. Kiedy spędzamy wieczory z zięciem, często on i ja skaczymy sobie do gardła. Gregory reprezentuje niemal wszystko to, czego nienawidzę, co jest prawdziwym dramatem rodzinnym. Nicole podziela moje zdanie, ale jest lepiej ode mnie wychowana, a ponieważ pracuje, nie rozpamiętuje tego godzinami. Dla mnie jeden wieczór z zięciem oznacza trzy dni samotnej furii. Odtwarzam naszą ostatnią rozmowę tak, jak inni odtwarzają mecz.

Gdy Mathilde nas odwiedza, często przychodzi pogadać ze mną w kuchni, kiedy kończę szykowanie posiłku. Najczęściej przy okazji zmywa też wszystko, co zalega w zlewie. To silniejsze od niej, nie może się opanować. Jakby była u siebie w domu. W mieszkaniach kumpelek pewnie bez szukania znajduje odpowiednią szafkę na kieliszki, odpowiednią szufladę na sztucce. Musi posiadać jakiś szósty zmysł. Szczerze ją podziwiam.

Przechodząc z tyłu, całuje mnie za uchem, jak kochanka.

- Och, uderzyłeś się?

Jej współczucie mogłoby mi sprawić przykrość, ale ona wyraża je z delikatnością, która dobrze na mnie działa.

Już mam jej odpowiedzieć, kiedy rozlega się dzwonek u drzwi. To Lucie. Moja druga córka. Lucie ma zbyt małe piersi, nad czym bardzo ubolewa. Wszystkim wrażliwym

mężczyznom wydają się wzruszające, ale spróbuj to wytłumaczyć dwudziestopięcioletniej dziewczynie. Jest szczupła, nerwowa, niecierpliwa. Rozum nie zawsze bierze u niej górę, reaguje w sposób bardzo emocjonalny. Szybko wpada w złość, szybko mówi rzeczy, których zaraz żałuje, i ma znacznie więcej starych przyjaciół niż jej siostra, która nigdy się z nikim nie kłóci. Lucie z powodzeniem mogłaby przyłożyć Mehmetowi z główki, Mathilde raczej zaproponowałaby mu podkład.

Dziś Lucie, która prowadzi dość skomplikowane życie, przyszła sama. Całuje matkę i wpada do kuchni jak domowy huragan. Unosi pokrywkę.

- Dodałeś trochę cytryny?

- Nie wiem. Pieczeń to działka twojej matki.

Lucie pochyła się nad garnkiem. Nie ma cytryny. Proponuje, że zrobi beszamel. Dyplomatycznie odmawiam.

- Wolę sam.

W rzeczywistości wszyscy wiedzą, że jedyne, co potrafię zrobić, to beszamel. Więc żeby mi jeszcze i to odebrać...

- Myślę, że w końcu znaleźliśmy... - oznajmia Mathilde zachłannym tonem.

Lucie ze zdziwieniem unosi brew. Nie ma bladego pojęcia, o czym mowa. Żeby dać jej trochę czasu, udaję zdumionego.

- Naprawdę!!!?...

Lucie robi zasmuconą minę, ale w duchu świetnie się bawi.

Nasze córki są prawdziwą krzyżówką swoich rodziców. Lucie fizycznie jest podobna do mnie, ale ma temperament matki, Mathilde odwrotnie. Lucie jest żywa i lubi ryzyko, Mathilde jest pracusiem, który szybko się poddaje. Jest odważna i energiczna i nie oczekuje zbyt wiele od życia. Wystarczy spojrzeć na jej męża. Była dobra w angielskim, dalej nie szukała, została nauczycielką angielskiego. Cały ja. Natomiast Lucie jest bardziej wybredna. Studiowała już historię sztuki, psychologię, literaturę rosyjską i Bóg wie co

jeszcze, nie mogła się zdecydować, wszystkim się pasjonowała. Odnosiła sukcesy na studiach, których nie kończyła, zmieniała plany równie często jak narzeczonych. Mathilde skończyła studia, ponieważ je zaczęła, i poślubiła kolegę z maturalnej klasy.

Ku ogólnemu zaskoczeniu, jako że uważało się, iż nie ma zdolności do wykonywania zadań intelektualnych wymagających rygoru i drobiazgowości (lub właśnie z tego powodu), Lucie została adwokatem. Najczęściej broni maltretowane kobiety. Ta dziedzina jest jak branża pogrzebowa albo skarbówka, pracę będzie miała zawsze, choć fortuny szybko nie robi.

- Trzypokojowe mieszkanie w Dziewiętnastce - ciągnie z przejęciem Mathilde. - Blisko stacji Jaureàs. Niedokładnie taka dzielnica, na jaką liczyliśmy, ale cóż... Uważam, że jest bardzo widne. A Gregory ma stamtąd bezpośredni dojazd metrem, to bardzo praktyczne.

- Ile? - pyta Lucie.

- Sześćset osiemdziesiąt tysięcy.

- No, no, a jednak...

Dowiaduję się, że mają tylko pięćdziesiąt pięć tysięcy euro własnego wkładu i nawet przy znajomościach Gregory'ego w branży bankowej trudno im będzie uzyskać kredyt.

I takie właśnie rzeczy mnie boją. Wcześniej byłem „tata, który zawsze pomoże”. Chętnie się do mnie zwracały, robiłem oziębłą minę, wzdychałem ciężko jak niewolnik, pożyczałem sumy, których nigdy mi nie oddawały, i wszyscy wiedzieli, że jestem szczęśliwy. Teraz Nicole i ja zredukowaliśmy wydatki na życie do minimum, co widać we wszystkim: w tym, co posiadamy, w tym, w co się ubieramy, w tym, co jemy. Mieliśmy dwa samochody, bo wydawało nam się, że tak jest praktyczniej, ale przede wszystkim dlatego, że się nad tym nie zastanawialiśmy. Z biegiem lat, w miarę awansów i idących w parze z nimi podwyżek, nasz poziom życia podnosił się. Nicole została zastępcą

dyrektora ośrodka dokumentacji, ja dyrektorem personalnym grupy Bercaud. Z ufnością spoglądaliśmy w przyszłość, w nadchodzące lata, po spłacie kredytu na mieszkanie. Na przykład, kiedy nasze córki opuściły dom, Nicole zapragnęła odnowić mieszkanie: zachować tylko jeden pokój gościnny, rozbić ścianę w salonie i powiększyć go o sąsiednią sypialnię, przenieść pion wodociągowy tak, żeby kran w kuchni znalazł się pod oknem itp. Więc odłożyliśmy na to pieniądze. Plan był prosty. Kończymy spłacać kredyt, remont robimy za gotówkę i jedziemy na wakacje. Byliśmy do tego stopnia ufni, że działaliśmy szybciej, niż zakładał nasz plan. Zostało nam jeszcze kilka lat spłacania kredytu, ale mieliśmy pieniądze, więc postanowiliśmy ruszyć z remontem od zaraz. Zaczynając od kuchni. Bardzo łatwo odtworzyć tę datę: robotnicy zaczęli rozbijać ściany dwudziestego maja, a dwudziestego czwartego maja mnie zwolniono. Natychmiast wstrzymaliśmy prace. A potem strzałka obróciła się grotem w dół, i tak już zostało. Ponieważ w kuchni wszystko zostało zdemontowane, od rur po kafelki posadzki, musiałem wziąć się do majsterkowania sam. Ustawiłem zlew na dwóch podpórkach z gipsowych płytek, zamontowałem z powrotem rury. A ponieważ była to prowizorka, kupiliśmy trzy szafki kuchenne, które powiesiłem na ścianie. Wybraliśmy najtańsze, więc i najbrzydsze. Więc i najmniej solidne. Zawsze boję się wstawiać do nich zbyt dużo naczyń. Położyłem też na betonowej podłodze linoleum. Co roku je zmieniamy. Zwykle robię wtedy Nicole niespodziankę. Zamaszystym gestem otwieram drzwi, mówiąc: „Odnowiliśmy kuchnię”. Zwykle odpowiada mi formułką w rodzaju: „Otwieramy szampana!”. Oboje wiemy, że to niezbyt śmieszne, ale staramy się, jak możemy.

Kiedy zasilek dla bezrobotnych przestał wystarczać na raty, sięgnęliśmy do oszczędności przeznaczonych na remont. Kiedy i one się wyczerpały, okazało się, że musimy jeszcze cztery lata spłacać kredyt, nim mieszkanie stanie

się naszą własnością, i Nicole powiedziała, że trzeba będzie je sprzedać i kupić mniejsze, za które zapłacimy gotówką. Nie zgodziłem się. Przez dwadzieścia lat pracowałem, żeby mieć to mieszkanie, i nie potrafię pogodzić się z myślą o jego sprzedaży. Czas płynie, a Nicole czuje się coraz mniej upoważniona do podjęcia tego tematu. Na razie. Ale w końcu okaże się, że ma rację. Zwłaszcza jeśli sprawa z hurtownią farmaceutyczną źle się skończy. Nie wiem, czy uda nam się zachować przed córkami twarz. Teraz radzą sobie same. Nie mogą mi już nawet ofiarować tego prezentu, jakim byłaby prośba o pieniądze.

Beszamel się udał. Jest taki jak zawsze. I my wszyscy wokół stołu jesteśmy też tacy jak zawsze. Kiedyś lubiłem te nasze łatwe do przewidzenia rozmowy, nasze stałe żarty, ale od roku czy dwóch z trudem to wytrzymuję. Zrobiłem się niecierpliwy, przyznaję. A dzisiejszego wieczoru aż się palę, żeby ubiegając fakty, powiedzieć dziewczynom: zostałem zaproszony na rozmowę w sprawie pracy, która idealnie mi pasuje, od czterech lat nie trafiła mi się podobna szansa, za dwa dni zwycięsko przejdę testy, a potem będzie rozmowa, pokażę wszystkim, co potrafię, i za miesiąc, drogie dzieci, ojciec, o którego tak się martwicie, będzie już tylko wspomnieniem. Zamiast tego milczę. Nicole uśmiecha się do mnie. Jest przesadna. I szczęśliwa. W jej spojrzeniu jest tyle ufności.

- No więc ten chłopak - mówi Gregory - zapisał się na prawo. A wtedy pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było... wiecie co?

Nikt nie wie. Oprócz Mathilde, która nie chce zepsuć mężowi efektu. Ja sam słucham tylko jednym uchem, bo wiem, że mój zięć jest idiotą.

- Pozwał swój wydział do sądu! - obwieszcza Gregory z podziwem. - Porównał wysokość wpisowego na ten rok i ubiegły i uznał, że podwyżka była nielegalna, bo nie usprawiedliwiało jej „znaczące zwiększenie świadczeń dla studentów”.

I, dla podkreślenia smakowitości anegdoty, wybucha gromkim śmiechem.

Mój zięć - melanz prawicowych przekonań i lewicowych złudzeń - uwielbia takie historie. Zna mnóstwo opowieści, w których pacjenci wygrywają procesy ze swoimi psychoanalitykami, bracia bliźniacy skaczą sobie przed sądem do gardeł, a matki wielodzietnych rodzin pozywają własne potomstwo. W innych wariantach klient zwycięsko procesuje się ze swoim minimarketem albo producent samochodów musi nabywcy auta zwrócić koszty mandatu. A już niemal wpada w ekstazę, kiedy obywatel wygrywa z administracją. Tu Koleje Państwowe zostają ukarane za nieczynny kasownik, tam urząd podatkowy musi zapłacić za znaczek na zeznaniu podatkowym, gdzie indziej Ministerstwo Edukacji przegrywa z rodzicem, który porównawszy stopnie wszystkich uczniów, uznał, że jego syn padł ofiarą karygodnej dyskryminacji przy ocenie wypracowania o Wolterze. Im bardziej błahy powód, tym większa uciecha Gregory'ego. Uważa on, że prawo umożliwia odtwarzanie w nieskończoność sprawiedliwej walki między Dawidem i Goliatem. Ta walka, jego zdaniem, jest czymś wspaniałym. Jest święcie przekonany, że prawo to zbrojne ramię demokracji. Poznawszy go już trochę, człowiek jest szczerze zadowolony, że facet pracuje w banku. Ktoś taki, będąc urzędnikiem, wyrządziłby niewyobrażalne szkody.

- Ja uważam, że to niepokojące - stwierdza Lucie.

Gregory, ani trochę nieskrępowany swoim wykładem na temat prawa w obecności Lucie, będącej adwokatem, nalewa sobie kolejny kieliszek Saint Émilion, które przyniósł, wyraźnie zadowolony, że udało mu się zapoczątkować pasjonującą rozmowę, w której dowiedzie niezbitej wyższości swojej teorii.

- Przeciwnie - mówi stanowczym tonem. - Krzepiąca jest świadomość, że nawet najslabszy może wygrać!

- Czy to znaczy, że możesz mnie pozwać, ponieważ twoim zdaniem pieczeń jest nie dość słona?

Oczy wszystkich skierowały się w moją stronę. Możliwe, ton mojego głosu ich ostrzegł. Mathilde w milczeniu patrzy na mnie błagalnym wzrokiem. Lucie się zaczyna się cieszyć.

- Jest nie dość słona? - pyta Nicole.

- To przykład.

- Mógłbyś wybrać inny.

- W sprawie pieczeni to mogłoby być trudne - przyznaje Gregory. - Ale liczy się zasada.

Mimo szczerzego niepokoju Nicole postanawiam nie ustąpić na krok.

- Właśnie ta zasada mi się nie podoba. Uważam, że jest idiotyczna.

- Alain... - próbuje Nicole, nakrywając dłonią moją dłoń.

- Co, „Alain”?

Jestem zdenerwowany, ale nikt nie rozumie dlaczego aż tak.

- Mylisz się - odpowiada Gregory, który nie należy do osób skłonnych odpuścić temat, zwłaszcza kiedy czują, że przewaga jest po ich stronie. - Ta historia pokazuje, że każdy (kładzie nacisk na „każdy”, tak by do wszystkich w pełni dotarła doniosłość konkluzji), absolutnie każdy może wygrać, jeśli tylko wykaże wystarczająco dużo energii.

- Wygrać co? - pyta Lucie, żeby ostudzić nastroje.

- No... - jąka się Gregory, który nie oczekiwał tak podstępного ataku - no, wygrać...

- Tyle energii, ile trzeba na zapłacenie za znaczek albo wpisowego w wysokości trzydziestu euro - też mi stawka. - Taką energię można by spożytkować na szczytniejsze sprawy, nie uważasz?

Tak mniej więcej wygląda schemat. Teraz Mathilde spieszy z pomocą swojemu kretyńskiemu mężowi, Lucie nie daje za wygraną i kilka minut później siostry biorą się za łby. Na koniec Nicole wali pięścią w stół, ale zawsze robi to trochę za późno. A kiedy znów zostajemy sami, dąsa się, a

potem z kolei ona wybucha i po dzieciach zaczynają się kłócić rodzice.

- Jesteś naprawdę wkurzający - mówi Nicole.

W samej bieliźnie trzaska drzwiami szafy w sypialni i znika w łazience. Widzę wprawdzie jej pośladki tylko przez majtki, ale i tak wyglądają świetnie.

- To prawda, byłem w formie.

Ale moje skecze nie śmieszają jej już od dobrych dwudziestu lat.

Kiedy przychodzi do sypialni, ja już z powrotem tkwię z nosem w notatkach. Nicole wraca do rzeczywistości. Wie, że to cudowne ogłoszenie jest dla nas życiową szansą. Dla mnie owa szansa to właściwie jedyne, co mi pozostało. Widząc mnie w łóżku ślęczącego nad fiszkami, uspokaja się. Znowu się uśmiecha.

- Gotowy na tę wielką chwilę?

Kładzie się obok mnie.

Zbiera delikatnie papiery, powoli je ze mnie zdejmując, jakby ściągała okulary dziecku, które przed chwilą usnęło. Potem wsuwa dłoń pod kołdrę i natychmiast mnie spotyka.

Gotowy na tę wielką chwilę.

5

Od: Bertrand Lacoste (b.lacoste@BLC-Consulting.fr)

Do: Alexandre Dorfmann (a.dorfmann@Exxyal-Europe.com)

Temat: Nabór i rekrutacja

Witam, Panie Prezesie!

Niniejszym rekapituluję główne punkty naszej niedawnej rozmowy.

Pańska grupa zmuszona jest w ciągu najbliższego roku zamknąć placówkę w Sarqueville i w związku z tym przeprowadzić zakrojony na szeroką skalę plan zwolnień.

Chce Pan wybrać spośród swojej kadry kierowniczej menedżera, któremu zostanie powierzona ta trudna misja.

W tym celu poprosił mnie Pan o zastanowienie się nad formułą oceny, tak by selekcję przeprowadzono w sposób jak najbardziej rzetelny, niezawodny, krótko mówiąc, najbardziej kompetentny.

Zaakceptował Pan mój projekt symulacji wzięcia zakładników, podczas którego podlegających ocenie, nieświadomych niczego, menedżerów zaskoczą uzbrojeni napastnicy.

Sprawdzian, któremu zostaną poddani, pozwoli ocenić ich zimną krew, ich zachowanie w sytuacji wzmożonego stresu oraz ich wierność wartościom firmy, zwłaszcza gdy porywacze zażądają, żeby się ich wyparli.

W porozumieniu z Panem połączymy tę operację z rekrutacją zastępcy dyrektora personalnego: grę poprowadzą kandydaci na to stanowisko, co umożliwi ocenę ich przydatności zawodowej.

Połączenie operacji przedstawia wyłącznie korzyści: możliwa będzie ocena Pańskich menedżerów, a równocześnie kandydaci na stanowisko zastępcy dyrektora personalnego będą mogli wykazać swoje umiejętności oceniania innych.

Ja podejmuję się rekrutacji pracowników oraz materialnego przygotowania operacji. Jest to, jak zapewne Pan się domyśla, dość

skomplikowane: potrzebna będzie broń, aktorzy, miejsce, solidny scenariusz, sprzęt, stanowiska umożliwiające obserwację zachowań itp.

Skądinąd trzeba będzie znaleźć jakiś bezdyskusyjny pretekst do zwołania ich wszystkich. Tutaj, Panie Prezesie, konieczna będzie Pańska wiedza. Oraz współdziałanie. O każdej porze.

Proponuję, żeby operację przeprowadzić w czwartek, dwudziestego pierwszego maja (należy wybrać dzień, kiedy biura są zamknięte, i mam wrażenie, że odpowiednie byłoby święto Bożego Ciała, jeśli się Pan zgodzi).

Niebawem przedstawię szczegóły.

Pozdrawiam,

Bertrand Lacoste

6

Nicole mówi, że zawsze wszystko czarno widzę, a sprawy zwykle wypadają lepiej, niż się człowiek spodziewał. I tu również ma rację. Dwa dni temu byłem w kompletnym dołku. Ale jedenaścioro dorosłych ludzi wywoływanych jak do tablicy... Samo w sobie nic takiego (w gruncie rzeczy w życiu ciągle jesteśmy oceniani). Nie, tym, co zaraz po wejściu do sali ścina mnie z nóg, jest uświadomienie sobie, że jestem najstarszy. Że jestem jedyny stary. Trzy kobiety, siedmiu mężczyzn, wszyscy w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu pięciu lat, którzy mierzą mnie wzrokiem, jakbym był jakąś pomyłką w castingu lub reliktem prehistorii. Było to do przewidzenia, niemniej jest deprymujące.

Przyjęła nas dziewczyna o polskim imieniu, Olenka jakaś tam. Ładna, w typie słowiańskim, błyskotliwa. Nie wiem, czym zajmuje się w BLC, nie powiedziała. Ale sądząc z jej władczej postawy, jej kierowniczego stylu, zapewne oddałaby wszystko, co ma, sprzedałaby własną duszę, byle wypaść wiarygodnie. Prawdopodobnie jest na bezpłatnym stażu. Za jej plecami piętrzy się stos teczek: testy, które za kilka minut nam rozda.

Zaczyna od krótkiego wprowadzenia: jest nas jedenastu wybranych spośród trzydziestu siedmiu kandydatów. Przez ułamek sekundy w sali wyczuwa się atmosferę cichego triumfu. Upajającego. Następnie, nie ujawniając nazwy firmy rekrutacyjnej, zapoznaje nas ze stanowiskiem, o które się ubiegamy. Praca do tego stopnia mi odpowiada, że w czasie jej krótkiego wystąpienia stawiam się bez reszty w pozycji szczęśliwego wybrańca.

Szybko jednak schodzę z powrotem na ziemię, kiedy otrzymujemy trzydziestoczterostronicowe formularze z pytaniami otwartymi, zamkniętymi, półotwartymi, częściowo zamkniętymi, w trzech czwartych otwartymi (ciekawe, jak obliczą wyniki) oraz trzy godziny czasu na ich wypełnienie.

I tu kompletne zaskoczenie.

Nastawiłem się głównie na legislację, tymczasem kwestionariusz jest zorientowany przede wszystkim na „zarządzanie, szkolenie i ewaluację”. Muszę sięgać do rezerw pamięci, próbuję wyłowić z niej informacje z czasów, które wydają mi się przedpotopowe. Od kiedy trafiłem poza nawias, nie działam już odruchowo. A nowych metod i modnych gadżetów, które odkrywałem dwa dni temu z Nicole, nie zdążyłem jeszcze przyswoić. Nie potrafię ich umieścić w kontekście, zastosować w konkretnych przypadkach. Czasami odpowiadam albo zaznaczam wariant, który wydaje mi się właściwy, i tylko tyle mogę zrobić. Wypełnić stronę.

W pewnej chwili zauważam, że niewyraźnie piszę, że w niektórych miejscach ledwie mnie można odczytać, muszę się bardziej postarać przy pytaniach otwartych. Czuję niemal ulgę, kiedy należy odpowiedź zaznaczyć krzyżykiem. Istny szympan. To znaczy... stary szympan.

Z mojej prawej strony usiadła dziewczyna, na oko trzydziestolatka, w której dostrzegłem pewne podobieństwo do Lucie. Na próbę uśmiechnąłem się do niej porozumiewawczo. Zmierzyła mnie wzrokiem, jakbym jej złożył jakąś gorszącą propozycję.

Kiedy test się kończy, jestem wykończony. Kandydaci wychodzą z sali z krótkim skinieniem głowy niczym dalecy sąsiedzi, którzy przypadkowo się spotkali.

Na dworze jest pięknie.

Mogła to być piękna pogoda na świętowanie zwycięstwa.

Idę do stacji metra, z każdym krokiem coraz bardziej podupadam na duchu – przypomina to powolny, stopniowy

powrót do rzeczywistości. Na mnóstwo pytań w ogóle nie odpowiedziałem. Co do pozostałych, dopiero teraz znajduję właściwe odpowiedzi, wszystkie inne niż te, jakich udzieliłem. Na takich sprawdzianach najmłodszy czują się jak ryby w wodzie. Ale nie ja. Była to rywalizacja dla przedstawicieli przedziału wiekowego, do którego już nie należę. Próbuję policzyć, na ile dokładnie pytań źle odpowiedziałem, ale gubię się w rachubie.

Opuszczając salę, byłem tylko zmęczony. Kiedy dochodzę do metra, jestem już kompletnie załamany. Chce mi się płakać. Zrozumiałem, że nigdy się już z tego nie wykaraskam. Przyłożenie z główki Mehmetowi wydaje mi się jedynym właściwym rozwiązaniem, jedynym odpowiednim w mojej obecnej sytuacji. Terrorysty uderzają w szkoły ciężarówkami pełnymi materiałów wybuchowych, inni umieszczają bomby rozrywające na lotniskach i czuję, że dziwnie dobrze ich rozumiem. Ale sam nic takiego nie robię, daję się wyrolować. Za każdym razem wchodzę w ich grę. Ogłoszenie? Odpowiadam. Testy? Piszę testy. Rozmowy? Zjawiam się na rozmowy. Trzeba czekać? Czekam. Trzeba wrócić? Wracam. Jestem człowiekiem zgodnym. Z takimi jak ja system będzie trwał wiecznie.

Siedzę teraz w metrze, kompletnie przybity. Jest późne popołudnie, w wagonach tłok. Zwykle maszeruję peronem wzdłuż szeregu automatycznych dystrybutorów. Tym razem, sam nie wiem czemu, idę drugą stroną, po białej linii, której nie wolno przekraczać, bo człowieka może wciągnąć przejeżdżający pociąg. Jestem jak pijany, kręci mi się w głowie. Nagle z lewej strony czuję potężny podmuch. Nie słyszałem, nie zauważyłem pociągu wjeżdżającego na stację. Jego wagony przemknęły ledwie kilka centymetrów ode mnie; nikt nie wykonał najmniejszego ruchu w moją stronę. Tu zresztą wszyscy żyją na krawędzi ryzyka. W mojej kieszeni wibruje komórka. To Nicole; dzwoni już trzeci raz. Chce się dowiedzieć, jak mi poszło, ale nie mam siły, żeby odpowiedzieć. Przez godzinę siedzę na ławce na

peronie, przyglądając się tysiącom tłoczących się podróżnych, którzy wracają do domu. W końcu ja też postanawiam wsiąść.

Tuż za mną wchodzi jakiś młody mężczyzna i staje na końcu wagonu. Kiedy pociąg rusza, zaczyna krzyczeć, starając się przekrzyczeć świszczący łoskot wagonów na zakrętach. Recytuje swoją historię z taką szybkością, że można wyłapać tylko niektóre słowa. „Hotel”, „praca”, „choroba”. Facet śmierdzi alkoholem, gada o kuponach obiadowych, o biletach na metro, mówi, że chce pracy, ale praca jego nie chce; z jego pospiesznej tyrady można też zrozumieć, że ma dzieci, nie jest „zebrakiem”. Kiedy z plastikowym kubkiem z logo Starbucksa w dłoni przechodzi obok pasażerów, ci wpatrują się w swoje buty lub nagle zatapiają w lekturze jakiejś darmowej gazety. Potem mężczyzna wychodzi i wsiada do następnego wagonu.

Jego występ prowokuje do myślenia. Ludzie czasem dają, czasem nie. Spośród wszystkich bezdomnych dają tym, którzy najbardziej ich poruszą, tym, którzy znajdą słowa, które do nich przemówią. Wniosek z tego jest dla mnie jak smagnięcie batem: nawet wśród wyrzutków społecznych przeżywają ci najbardziej przedsiębiorczy, ponieważ udaje im się wyróżnić na tle konkurencji. Jeśli skończę jako bezdomny, nie jest wcale pewne, czy znajdę się wśród tych, którym, jak Charles'owi, udaje się jakoś przetrwać.

Wieczorem w domu udaję wykończonego, zmyślam, że wstałem o czwartej rano, żeby przed testem w BLC-Consulting odrobić swoje w Połańcu. W rzeczywistości, o czym nie powiedziałem Nicole, do hurtowni nieprędko już pójde. W poniedziałek, po dwóch dniach zawieszenia w pracy, powitał mnie list „wręczony do rąk własnych, poświadczony podpisem”. Zostałem wyrzucony. To prawdziwy cios, bo bardzo potrzebowaliśmy pieniędzy.

Od razu pognałem do pośredniaka sprawdzić, czy mój doradca znajdzie dla mnie coś odpowiedniego. Właściwie powinienem zwrócić się do APEC, agencji pracy dla

menedżerów, ale w niej dorywczych zajęć nie proponują. Wolę wydział dla urzędników i pracowników fizycznych. Dwa oczka niżej i człowiek od razu ma większe szanse na przetrwanie.

Ponieważ nie byliśmy umówieni, doradca przyjmuje mnie w klitce między poczekalnią i boksami biurowymi. Mówię mu po prostu, że w hurtowni mnie już nie chcą.

- Nie dzwonili do mnie - dziwi się.

Jest w takim wieku, że mógłby być moim synem, i zachowuje się wobec mnie miło, jakbym był jego ojcem.

- Zadzwoń. A tymczasem nie znalazłby pan czegoś dla mnie naprędce?

- Wszystko jest tam - mówi, wskazując tablicę ogłoszeń.

- Chwilowo nie mamy prawie nic.

Gdybym posiadał świadectwo wózkowego lub dyplom kucharza, łatwiej by mi było utrzymać się na powierzchni. Muszę szukać zajęć niewymagających kwalifikacji, ale tu problem - przyjęcie tych rzadkich ofert uniemożliwia mi moja rwa kulszowa. Kiedy wychodzę, doradca rozmawia z jakąś dwudziestolatką. Macham mu ręką zza szyby, a on, lekko skrępowany, patrzy, jakby mnie skądś znał i nie mógł sobie przypomnieć skąd.

Następnego dnia dostaję list polecony od radcy prawnego hurtowni. Przestudiowałem pismo, żeby się rozeznać w sprawie, w której nie ma nic skomplikowanego: uderzyłem swojego szefa, który zaprzecza, że kopnął mnie w tyłek. Twierdzi, że przeszedł blisko mnie, tylko się o mnie otarł. Wyrzucenie z pracy to jeszcze nic; gorzej, że odpowiem przed sądem za umyślne użycie siły. Mehmet ma żelazne świadectwo lekarskie z wyliczeniem dolegliwości, które grożą poważnym kalectwem i ewentualnymi powikłaniami. Mowa w nim o jego zaburzeniach równowagi i orientacji oraz o poważnym szoku pourazowym, którego następstwa na razie trudno jest ocenić.

Żąda odszkodowania w wysokości pięciu tysięcy euro.

Jestem w wieku blisko sześćdziesięciu lat, szef-kapral skopał mi tyłek, ale ja podobno dopuściłem się „poważnego naruszenia zasady podległości służbowej w przedsiębiorstwie”. Ni mniej, ni więcej. Zachwiałem porządkiem społecznym. Ze swej strony hurtownia żąda dwudziestu tysięcy euro odszkodowania. Pięćdziesięciokrotnej pensji miesięcznej, której już nie otrzymuję.

Wystawiam cierpliwość Nicole na ciężką próbę. I tak ma już ze mną krzyż pański. Postanawiam jej o tym nie mówić. Moje sprawozdanie z testu rekrutacyjnego zmusiło ją, by jeszcze ostatkiem sił zachęcać mnie do poczekania na wyniki; nikt nie jest dobrym sędzią we własnej sprawie, wcale nie wiadomo, czy młodsi lepiej sobie poradzili, to, że wyglądają na pewnych siebie, jeszcze nie znaczy, że im lepiej poszło, zwłaszcza że przy pytaniach otwartych liczy się doświadczenie, a oni doświadczenia nie mają, a zresztą skoro rekrutujący cię wezwali, to dlatego, że oczekiwali od ciebie bardziej racjonalnego, dojrzałego podejścia. Znam te wszystkie słowa na pamięć. Bezgranicznie cię kocham, Nicole, ale tych słów nienawidzę.

Nareszcie zasnęła. Powoli wstałem z łóżka, starając się jej nie obudzić. Zwykle tak robię, gdy nie mogę spać; ubieram się, wychodzę i wędruję po dzielnicy. W ostatnich latach stało się to już niemal rytuałem. Dziś idę dalej niż zwykle. Możliwe, że moja podświadomość odtwarza różne traumatyczne sceny, na przykład tę dzisiejszą w metrze: jestem daleko od domu, obok dworca kolei podmiejskiej. Brama jest otwarta, w tunele dla pieszych wdzierają się chłód i wiatr. Z koszy wysypują się śmieci, surowy beton podłogi zasłany jest puszkami po piwie. Dworzec wypełnia mętne światło neonów. Popycham blaszaną tabliczkę z napisem „Wstęp tylko dla personelu”, schodzę po małych schodkach i oto staję w pełnym świetle na torach. Nie czuję, żebym płakał, łzy jednak zaczynają płynąć. Stoję na

rozstawionych nogach, ze stopami w podsypce torów. Czekam na pociąg.

Tyle zachodu na nic.

Dziś rano widok koperty z logo BLC-Consulting wywołał we mnie szok. Nie spodziewałem się niczego przed upływem tygodnia, a minęły niecałe trzy dni. Otworzyłem kopertę w takim pośpiechu, że rozdarłem część listu.

Cholera.

Idę do mieszkania, zbiegam na dół, i niebawem jest już południe, prawie od godziny czekam na ulicy, chodząc tam i z powrotem, nerwowo jak kot, w końcu zjawia się Nicole, widzi mnie już z daleka, z mojej postawy domyśla się dobrych wieści, podchodzi z uśmiechem, wyciągam do niej list, ledwie go czyta i od razu mówi: „och, kochany”, po czym milknie. Raptem nabieram głębokiego przekonania, że w naszym życiu nastąpił cud. Oboje mamy łzy w oczach. Już teraz chciałbym zadzwonić do naszych córek. Zwłaszcza, sam nie wiem czemu, do Mathilde. Pewnie dlatego, że z nich dwóch ona jest normalna, szybciej ocenia.

Wbrew moim przypuszczeniom zaliczyłem testy.

Zakwalifikowałem się.

Rozmowa indywidualna: czwartek, siódmego maja.

To niewiarygodne, zakwalifikowałem się!

Nicole przytula mnie, ale nie chce robić widowiska przed drzwiami swojej pracy. Całuję się z niektórymi jej koleżankami wychodzącymi na obiad, ściskam dłonie. Wszyscy znają moje położenie. Więc kiedy tu przychodzę, staram się trzymać fason, być typem faceta, który się nie przejmuje, który nie daje się złamać. Dla bezrobotnego chwila, kiedy inni wychodzą z biur, jest zawsze ciężkim przeżyciem. Nie z powodu zazdrości. Nie, dla bezrobotnego najtrudniejsze jest dalsze życie w społeczeństwie opartym na gospodarce rynkowej. Gdziekolwiek spojrzy, zawsze widzi to, czego sam nie ma.

Ale teraz moja sytuacja się zmieniła, mam wrażenie, że oddycham pełną piersią, że po raz pierwszy od czterech lat

w ogóle oddycham. Nicole nic nie mówi, cieszy się, bierze mnie pod rękę i ruszamy ulicą.

Wieczorem zaś świętujemy mój sukces w restauracji *Chez Paul*, choć każde z nas w głębi duszy uważa to za zbyt wielki wydatek. Zachowujemy się tak, jakby to nie miało znaczenia, niemniej wybieramy dania, patrząc na ich ceny w karcie.

- Wezmę danie dnia - mówi Nicole.

Ale kiedy podchodzi kelnerka, zamawiam dwie przystawki, jajka w galarecie, bo wiem, że Nicole je uwielbia. I butelkę Saint Joseph. Nicole przełyka ślinę i uśmiecha się ze zrezygnowaną miną.

- Jestem pełna podziwu dla ciebie - oświadcza.

Nie wiem, dlaczego mi to mówi, ale zawsze miło posłuchać. Chcę jak najszybciej przejść do sprawy dla mnie najważniejszej:

- Zastanawiałem się, jak podejść do tej rozmowy. Moim zdaniem zaprosili trzy lub cztery osoby. Muszę się wyróżnić. Mam taki pomysł...

I zaczynam. Mam w sobie entuzjazm nastolatka opowiadającego o swoim pierwszym zwycięstwie nad dorosłym.

Od czasu do czasu Nicole kładzie mi rękę na dłoni, dając do zrozumienia, że za głośno mówię. Ściszam głos, ale po pięciu minutach znów się zapominam. To ją bawi. Dobry Boże, od lat nie byliśmy tak szczęśliwi jak tego wieczora. Pod koniec posiłku dociera do mnie, że prawie przez cały czas mówiłem. Próbuję wyhamować, ale to silniejsze ode mnie.

Rue de Lapp jest ożywiona jak latem, idziemy objęci niczym para kochanków.

- I będziesz mógł rzucić tę robotę w hurtowni - mówi Nicole.

Zatkało mnie. Nicole unosi pytająco brew. Krzywię się w sposób, jak sobie wyobrażam, wiarygodny. Lekko blednę. Jeśli nie dostanę tej pracy i wyląduję przed sądem, mając w

perspektywie zapłacenie dwudziestu pięciu tysięcy odszkodowania... Ale Nicole nic nie zauważyła.

Powinniśmy wsiąść na stacji Bastille, jednak Nicole idzie dalej, po czym zatrzymuje się przy ławce i siada. Sięga do torebki, wyjmuje małą paczuszkę i mi ją wręcza. Otwieram. To mała kulka z materiału w pomarańczowy deseń. Po drugiej stronie czerwonego rzemyka, na którym jest zawieszona, znajduje się maleńki dzwoneczek.

- To maskotka na szczęście. Japońska. Kupiłam ją tego dnia, kiedy zaprosili cię na testy. Jak widzisz, okazała się skuteczna.

To niemądre, ale wzruszające. Nie tyle prezent sam w sobie. A właściwie tak... sam już nie wiem, ale czuję się wzruszony. Musiałem opróżnić tę butelkę prawie w pojedynekę. Wzrusza mnie nasze życie. Ta kobieta, po wszystkim, co przeszła, zasługuje na szczęście. Wsuwając talizman do kieszeni spodni, czuję się niezniszczalny.

W tej chwili wychodzę na ostatnią prostą.

Nikt nie zdoła mi już stanąć na drodze.

Charles często powtarza: „Jedyne, co pewne, to że wszystko zawsze wygląda inaczej, niż sobie wyobrażaliśmy”. Taki już jest Charles, ma słabość do podniosłych formułek, do przybierania patriarchalnych póz. Zastanawiam się, czy nie jest sierotą.

Śniły mi się różne koszmarnie scenariusze tej rozmowy, a w rzeczywistości wszystko dobrze poszło.

Zostałem zaproszony do siedziby BLC-Consulting na Défense. Usiadłem w poczekalni, wielkim pomieszczeniu z elegancką wykładziną, dyskretnym oświetleniem, zachwycająco piękną azjatycką hostessą oraz tłem muzycznym bezbłędnie pasującym do miejsca, w którym człowiek siedzi i czeka. Przyszedłem kwadrans przed czasem. Nicole położyła mi cienką warstwę podkładu na czole, żeby ukryć ślad po siniaku, a mnie wciąż się wydawało, że krem spływa, i musiałem zwalczać pokusę,

żeby to sprawdzić. W kieszeni obracałem swój japoński talizman.

Bertrand Lacoste wszedł dynamicznym krokiem i uścisnął mi dłoń. Jest mężczyzną koło pięćdziesiątki, irracjonalnie pewnym siebie i niezwykle ujmującym.

- Napije się pan kawy?

Odpowiedziałem, że nie, dziękuję.

- Nerwowo? - spytał z nikłym uśmiechem.

I wrzucając monety do dystrybutora, dodał:

- Tak, szukanie pracy jest zawsze trudne.

- Trudne, lecz zaszczytne.

Spojrzał na mnie z pytającą miną, jakby dopiero teraz mnie zobaczył.

- Na pewno nie chce pan kawy?

- Na pewno.

Oparty o ścianę obok dystrybutora, popijał małymi łykami swoje syntetyczne espresso i rozglądał się po poczekalni z miną zrezygnowaną i zasmuconą.

- Pieprzeni dekoratorzy! Nie można im nigdy zaufać!

Natychmiast zapaliło się we mnie czerwone światełko. I naprawdę nie wiem, co się wtedy stało. Byłem pełen takiego zapału, że wymyśliłem to na poczekaniu. Odczekawszy kilka sekund, rzuciłem:

- Rozumiem.

Lacoste drgnął.

- Co pan rozumie?

- Że rozegra pan to ze mną „nieformalnie”.

- Słucham?

- Powtarzam: rozegra pan to „na luzie”, coś w rodzaju „okoliczności są służbowe, ale przede wszystkim pozostaniemy ludzcy”. Czy nie o to chodzi?

Spiorunował mnie wzrokiem. Wyglądał na szczerze wkurzonego. Pomyślałem, że jak na początek całkiem nieźle mi poszło.

- Stawia pan na fakt, że obaj jesteśmy w podobnym wieku, i sprawdza, czy dam się wziąć na poufałość, a

ponieważ się zorientowałem, piorunuje mnie pan wzrokiem, i jeśli spanikuję, wrzuci pan bieg wsteczny.

Twarz mu pojaśniała. Uśmiechnął się szeroko:

- Dobrze... Całkiem nieźle przygotowaliśmy teren, nie sądzi pan?

Nie odpowiedziałem.

Wrzucił kubek po kawie do wielkiego kosza.

- No to przejdźmy do spraw poważnych.

Ruszył korytarzem, znowu dynamicznym krokiem, a ja za nim. Czułem się jak żołnierz Konfederacji w ostatnich minutach przed szarżą nieprzyjaciela.

Zna się na swojej robocie i uważnie czyta akta. Każdą słabość w CV od razu wyłapuje, każdą słabość u kandydata od razu wykorzystuje.

- Nadal mnie testował, ale już w innym tonie.

- Powiedział ci, dla kogo rekrutuje? - pyta Nicole.

- Nie, oczywiście, że nie... Mam tylko dwa czy trzy tropy. Dość ogólnikowe, ale może uda mi się to odkryć. Bo w moim interesie jest umieć antycypować. Zaraz wszystko zrozumiesz. Pod koniec rozmowy mówię mu:

- Mimo wszystko trochę mnie dziwi, że interesuje pana kandydatura człowieka w moim wieku.

Lacoste waha się, czy udać zdziwienie, ale w końcu opiera łokcie na biurku i wlepia we mnie wzrok.

- Panie Delambre - odpowiada - żyjemy w społeczeństwie konkurencji, w którym każdy z nas musi się czymś wyróżnić. Pan wobec pracodawców, ja wobec moich klientów. Jest pan moim jokerem.

- Ale... co to znaczy? - pyta Nicole.

- Mój klient oczekuje młodych absolwentów, i dostanie ich, nie oczekuje kandydata takiego jak pan, a ja go zaskoczę. A poza tym, tak między nami, myślę, że na ostatniej prostej selekcja dokona się sama.

- Więc selekcja jeszcze trwa? - dziwi się Nicole. - Sądziłam...

- Na krótkiej liście jest pan czwarty. O wszystkim zadecyduje ostatni test. Nie ukrywam, że jest pan najstarszy, ale nie można wykluczyć, że owym czynnikiem wyróżniającym będzie właśnie pańskie doświadczenie.

Nicole robi się nieufna. Przechyla głowę na bok.

- A co to za selekcja?

- Nasz klient pragnie poddać ocenie kilku swoich menedżerów najwyższego szczebla. Pańskim zadaniem będzie pokierowanie procesem tej oceny. Będzie pan testowany... ze swoich umiejętności testowania, że tak to ujmę.

- Ale... - Nicole wciąż nie może zrozumieć, do czego zmierza Lacoste - na czym to będzie polegać?

- Zamierzamy upozorować wzięcie zakładników...

- Co takiego? - pyta Nicole.

Prawie się zakrztusiła.

- ...pana zadaniem będzie zaś postawienie owych menedżerów w sytuacji na tyle intensywnego stresu, byśmy mogli ocenić ich zimną krew, umiejętność stawienia oporu wobec silnych nacisków oraz dochowania wierności wartościom swojej firmy.

Nicole nie wierzy własnym uszom.

- Ależ to szaleństwo! - woła. - Kąże się im wierzyć, że zostali porwani? U siebie w pracy? O to chodzi?

- Będą aktorzy, którzy zagrają napastników, będzie broń ze ślepyimi nabojami, kamery filmujące reakcje, a pan, kierując działaniami terrorystów, poprowadzi przesłuchania. Radzę panu wykazać dużo wyobraźni.

Nicole podrywa się oburzona.

- To haniebne - woła.

Cała Nicole! Można by się spodziewać, że z wiekiem jej skłonność do oburzania się osłabnie, ale nic podobnego. Kiedy jest zgorszona, nic nie jest w stanie powstrzymać jej przed okazaniem tego. W takich przypadkach należy postarać się od razu ją uspokoić, inaczej na dobre się wścieknie.

- Nie powinno się tak tego odbierać, Nicole.

- A jak należy to odbierać? Uzbrojeni napastnicy wpadają do twojego biura, grożą ci, przesłuchują cię - jak długo, godzinę, dwie godziny? Myślisz, że być może zginiesz, że być może cię zabiją? I wszystko dla rozrywki prezesa?

Drży jej głos. Już od lat nie widziałem jej w podobnym stanie. Staram się zachować cierpliwość. Jej reakcja jest całkiem normalna. W gruncie rzeczy nie zastanawiałem się nad tym, myślami jestem już dziesięć dni dalej, bez reszty skupiony na tej jednej jedynej namacalnej rzeczywistości: cokolwiek zaplanowali, muszę zaliczyć test.

Próbuję załagodzić sprawę.

- Przyznaję, że sprawa jest niezbyt... Ale trzeba spojrzeć na wszystko inaczej, Nicole.

- A twoim zdaniem to normalna metoda? Czemu ich, zwyczajnie dla zabawy, nie wystrzelać?

- Chwileczkę...

- Albo jeszcze lepiej! Rozłóż się na chodniku materace, ale im się o tym nie powie. I powyrzuca się ich przez okno. Żeby sprawdzić, jak zareagują! Ależ, Alain... Czyś ty do reszty zwariował?

- Nicole, nie należy...

- I ty weźmiesz w tym udział?

- Rozumiem twój punkt widzenia, ale powinnaś zrozumieć też i mój.

- Nie ma mowy. Mogę wszystko zrozumieć, ale wszystkiego nie mogę wybaczyć!

Stoi w naszej zdewastowanej kuchni, a ja patrzę na gipsowe podpórki, od długich miesięcy podtrzymujące nasz zlew z odzysku. Tegoroczne linoleum jest jeszcze słabsze niż tamto w ubiegłym roku i już zaczyna się żałośnie wywijać na rogach. Pośrodku tej ruiny tkwi wściekła Nicole w znoszonym swetrze, którego nie ma możliwości wymienić na nowy i który wygląda na przyciasny. Który wygląda

biednie. Czego ona nawet już nie dostrzega. Odbieram to jak osobistą niesprawiedliwość.

- Wiem tylko tyle, do kurwy nędzy, że jestem jeszcze w kursie!

Zaczynam wrzeszczeć. Moja gwałtowność sprawia, że Nicole zastyga w miejscu.

- Alain... - zaczyna przestraszona.

- Co, „Alain”! Czy ty, do kurwy nędzy, nie widzisz, że zamieniamy się w kloszardów? Od czterech lat pieczemy się żywcem na wolnym ogniu i jeszcze trochę, a całkiem zdechniemy. Owszem, to obrzydliwe, ale nasze życie też jest obrzydliwe. Tak, ci ludzie są zepsuci, ale to zrobię, słyszysz? Zrobię, co zażądatają. I wszystko, czego zażądatają! A jeśli trzeba będzie zabić, żeby dostać tę robotę, zabiję, bo mam dosyć naszego dogorywania i... mam dosyć tego, że mając sześćdziesiątkę na karku, pozwalam sobie skopać tyłek!

Jestem kompletnie wyprowadzony z równowagi.

Łapię za szafkę ścienną z prawej strony i pociągam z taką siłą, że odrywa się od ściany. Wszystko, talerze, filiżanki, z wielkim hukiem leci na podłogę.

Nicole zakrywa twarz i zaczyna płakać. Ale nie mam siły jej pocieszyć. Już nie potrafię. I to jest najgorsze. Od czterech lat wspólnie walczyliśmy o utrzymanie się na powierzchni i nagle pewnego dnia widzimy, że to koniec. Niepostrzeżenie oboje zamknęliśmy się w sobie. Bo nawet w najlepszych małżeństwach każdy postrzega rzeczywistość po swojemu. To właśnie chcę jej powiedzieć. Ale jestem tak wściekły, że nie bardzo potrafię.

- Ciebie stać na skrupuły i moralność, bo masz pracę. Ja odwrotnie.

Nie zabrzmiało to nadzwyczajnie, ale w obecnych okolicznościach na nic więcej nie mogę się zdobyć. Myślę, że Nicole pojęła ogólny sens, ale nie czekam, żeby to sprawdzić. Trzaskam drzwiami i wychodzę.

Na dole widzę, że nie wziąłem marynarki.

Pada deszcz. Jest chłodno.
Podnoszę kołnierz koszuli.
Jak kłoszard.

7

Jest ósmy maja, dzień wolny. Dzień Matki świętujemy u nas, ponieważ następną niedzielę Gregory chce spędzić u swojej rodzicielki. Nicole tysiąc razy tłumaczyła Mathilde, że Dzień Matki ma kompletnie w nosie, ale bez skutku. Mathilde na tym zależy. Przypuszczam, że chce, żeby w przyszłości jej własne dzieci o niej nie zapomniały. Wprawia się.

Dziewczęta mają przyjść koło południa, ale o dziewiątej Nicole wciąż leży w łóżku, twarzą do ściany. Od czasu jej gniewnej reakcji na czekający mnie sprawdzian kwalifikacyjny nie zamieniliśmy z sobą więcej niż trzy słowa.

Dziś rano chyba płakała, ale nie miałem odwagi jej dotknąć. Wstałem, poszedłem do kuchni. Wczoraj wieczorem nie posprzątała rozbitych talerzy, tylko zepchnęła je w kąt kuchni. Dużo tego jest, musiałem wytłuc większość naczyń, jakie mamy. Teraz nie mogę ich pozbierać, bo narobiłbym piekielnego hałasu.

Kręcę się, nie bardzo wiedząc, co robić, więc włączam komputer, żeby sprawdzić, czy nie mam poczty.

Swoją użyteczność społeczną mierzę ilością otrzymywanych maili. Z początku dawni koledzy od Bercauda przysyłali mi krótkie liściki, na które zaraz odpowiadałem. Gawędziliśmy sobie. A potem zorientowałem się, że jedynymi, którzy jeszcze piszą, są ci, którzy zostali zwolnieni. Trochę jak kumple ze studiów. Przestałem odpowiadać. Oni przestali słać maile. Zresztą generalnie wokół nas się przerzedziło. Mieliśmy dwójkę starych przyjaciół, kolegę Nicole z liceum, który mieszka w

Tuluzie, i chłopaka, którego poznałem w wojsku i z którym od czasu do czasu chodziliśmy na kolację. Reszta to byli znajomi z pracy, z wakacji, dawni rodzice uczniów poznani w czasach, kiedy dziewczęta jeszcze były w domu. Możliwe, że ludzie się nami trochę zmęczyli. A my nimi. Kiedy nie dzieli się tych samych trosk i kłopotów, nie dzieli się też przyjemności. Teraz jesteśmy z Nicole prawie sami. Jeszcze tylko Lucie przysłała mi maile, co najmniej raz na tydzień. Są właściwie o niczym, ale chce pokazać, że o mnie myśli. Mathilde robi to na swój sposób, dzwoni do matki.

W skrzynce mam list z ANPE, drugi z APEC i kilka maili przypominających o konieczności wznowienia prenumeraty czasopism o zarządzaniu firmą lub zasobami ludzkimi, których nie prenumeruję już od dobrych trzech lat.

Otwieram przeglądarkę i Google wyświetla mi wiadomości ze świata: „...dobra nowina: w tym miesiącu w Stanach Zjednoczonych zlikwidowano tylko 548 tysięcy miejsc pracy”. Wszyscy oczekiwali, że będzie jeszcze gorzej. W dzisiejszych czasach niewiele trzeba, żebyśmy się cieszyli. „Przestępczość finansowa osiąga zawrotne szczyty. Osoby odpowiedzialne tłumaczą, że to normalny efekt...” Przeskakuję dalej, nie mam obaw, że osoby odpowiedzialne będą potrafiły wyjaśnić normalne skutki ekonomiczne.

Słyszę ruch w sypialni. Wreszcie pojawia się Nicole.

Bez słowa nalewa kawę do szklanki z pleksi. Z filiżanek zostały skorupy leżące razem ze szczotką przy drzwiach wejściowych.

Irytuje mnie jej postawa. Zamiast podtrzymać mnie na duchu, prawi mi morały.

- Moralnością nie zapłacisz rat za mieszkanie.

Nie odpowiada. Ma twarz ciężką, zmęczoną. Cholera, do czego się doprowadziliśmy.

Wstawia szklankę do zlewu, wyjmuje wielkie torby na śmieci i wypełnia aż cztery, bo szybko robią się bardzo ciężkie. W niektórych miejscach ostre brzegi porcelany przebijają plastik. Naczynia tłucze się w trakcie kłótni

mażeńskich zwykle w wodewilach, ku uciechu widzów. Tutaj wygląda to straszliwie prozaicznie.

- Nie obchodzi mnie, że będę biedna. Ale nie chcę czuć się brudna.

Nie od razu odpowiadam. Wynoszę torby, a Nicole bierze prysznic. Dwie podróże. Kiedy znów się spotykamy, nie potrafimy się przemóc i odezwać do siebie, a minuty mijają. Zaraz przyjdą dzieci, a nic jeszcze nie gotowe. I należałoby pójść i kupić talerze. Brak czasu, ale przede wszystkim, w takiej ciężkiej atmosferze, brak odwagi.

Nicole sztywno usiadła, patrzy przez okno, jakby było co oglądać.

- To społeczeństwo jest brudne. Nie bezrobotni - mówię.

Kiedy dziewczęta dzwonią do drzwi, każde z nas czeka, aż drugie wstanie i otworzy. Ustępuję. Udzielam kilku mętnych wyjaśnień, które odbierają chęć dowiedzenia się czegoś więcej. Zabieram wszystkich do restauracji. Dzieci są zdziwione, uważają, że ich matka, zważywszy okoliczności, jest trochę nieobecna duchem. A ponieważ Nicole udaje szczęśliwą, wygląda to jeszcze gorzej. Czuję, że posmutniały. Nie, nie posmutniały. Wyczuwają, że to, co dzieje się z nami, mogłoby im się udzielić, i boją się nas. Mathilde ofiarowuje matce sweter. Kurwa, sweter. Nie wiem dokładnie, kiedy to się zaczęło, ale już od wielu miesięcy dostajemy od nich prezenty praktyczne. Jeśli zorientują się, że potłukłem naczynia, na urodziny mogę oczekiwać sześciu głębokich talerzy.

Przy deserze Mathilde z dumą oznajmia, że podpisali umowę przedwstępną na kupno mieszkania. Pozostaje jeszcze drobna niepewność co do banku, ale Gregory demonstruje szeroki uśmiech, to już jego sprawa. Teraz notariusz przygotowuje papiery, w wakacje znajdą się już na swoim. W duchu życzę im, żeby zdołali spłacić mieszkanie.

Kiedy chcę uregulować rachunek, stwierdzam, że Lucie niepostrzeżenie mnie ubiegła. Oboje udajemy, że nie

przywiązujemy do tego najmniejszego znaczenia.

- Mogę ci pomóc we wszystkim, Alain - mówi Nicole, kładąc się do łóżka - ale z tym, z tą historią z zakładnikami, pogodzić się nie mogę. Nie chcę o niej więcej słyszeć. Nie każ mi żyć z czymś takim.

I natychmiast odwraca się twarzą do ściany. Jest mi smutno, ale nie liczę, że zdołam ją przekonać.

Zresztą zaraz zaczynam rozmyślać o tym ostatnim sprawdzianie. Bo jeśli wygram, nawet metodami, które budzą jej sprzeciw, nasze spory szybko staną się tylko przykrym wspomnieniem.

8

Od: David Fontana

Do: Bertrand Lacoste

Temat: Operacja „Wzięcie zakładników” – Klient: Exxyal

Zgodnie z umową przedstawiam, jak wygląda sytuacja.

Do roli terrorystów zatrudniłem dwie osoby, z którymi wielokrotnie miałem okazję pracować i za które w pełni odpowiadam.

Do roli klientów Exxyalu wybrałem dwóch mężczyzn, młodego Araba oraz pięćdziesięcioletniego belgijskiego aktora.

Jeśli chodzi o broń, wybrałem:

– trzy pistolety maszynowe Uzi (wagi poniżej trzech kilogramów, 950 strzałów na minutę, naboje 9x19 mm);

– dwa pistolety Glock 17 Basic (635 gramów, ten sam kaliber, magazynki każdy po trzydzieści jeden naboji);

– dwa pistolety Smith & Wesson.

Oczywiście cała broń będzie wyposażona w ślepe naboje.

Lokal, który Panu proponuję, to pomieszczenie o dość wysokim standardzie, ponieważ Exxyal ma tam jakoby podejmować ważnych klientów; jest sala konferencyjna, pięć gabinetów, toalety itp. Położony jest na obrzeżach Paryża, wielkie okna wychodzą na Sekwanę (zdjęcia i plan – załącznik numer 3).

Miejsce jest bardzo dobrze rozplanowane pod kątem Pańskiego projektu. Musimy przeprowadzić wiele prób, stąd konieczność szybkiego zatwierdzenia wstępnego scenariusza. Moją propozycję znajdzie Pan w załączniku numer 4.

Schemat:

Menedżerowie Pańskiego klienta zostaną zwołani na bardzo ważne i poufne spotkanie, co wytłumaczy fakt, że odbywa się ono w dniu wolnym od pracy oraz że zostają wezwani w ostatniej chwili.

Będą tam jakoby rozmawiać z ważnymi zagranicznymi klientami.

Zaraz na początku zebrania do sali wtargną terroryści.

Prezes Exxyal-Europe, pan Dorfmann, zostanie szybko ewakuowany, co wywoła silny stres, sprzyjający sprawdzianowi, oraz umożliwi mu wycofanie się z gry i uczestnictwo w następnych działaniach.

Zatrzymani menedżerowie, pozbawieni przedmiotów osobistych i telefonów komórkowych, będą przetrzymywani w biurze i kolejno poddawani przesłuchaniom. Zgodnie z Pańskim życzeniem scenariusz przewiduje możliwość pozostawienia zakładników przez kilka minut samych, co pozwoli ocenić ich zdolność zorganizowania się oraz odporność psychiczną. Dowódca terrorystów poprowadzi indywidualne przesłuchania zgodnie ze wskazówkami osób oceniających.

Kamery umożliwią obserwację przebiegu symulacji.

Myślę, że wszystkie Pańskie wytyczne zostały w pełni uwzględnione.

Dziękuję za okazane mi zaufanie oraz cenną pomoc, jaką mi zaoferowała pani Olenka Zbikowski.

Z poważaniem,

David Fontana

9

Myślałem, że teraz, kiedy już nie pracuję w hurtowni, wstanie o czwartej rano będzie mnie sporo kosztowało, ale nic podobnego. Zresztą niewiele sypiam, czuję się tak naelektryzowany, że niemal z ulgą opuszczam łóżko. Zwykle Nicole przez sen się do mnie przytula, jakby chciała mnie zatrzymać – to taka gra między nami; ulegam, udajemy, że się od siebie odrywamy, znów się obejmujemy. I tak już od dwudziestu lat.

Dziś rano wiem, że Nicole nie śpi, że tylko udaje. Ale każde z nas tkwi w swojej skorupie. Za milczącym porozumieniem nie dotykamy się.

W hurtowni jestem nieco przed czasem. Znam chłopaków z innych ekip, a że nie mam najmniejszej ochoty na ich pytania czy współczucie, stoję w takim miejscu, z którego, nie będąc widzianym, mogę obserwować wejście, wypatrując wielkiej, niezdarnej sylwetki Romaina. Ale na rogu ulicy pojawia się chwiejna postać Charles'a. Nie wiem, jak on to robi, chyba pije przez sen; jest dopiero piąta rano, a od niego już zionie alkoholem. Ale ja znam Charles'a, nawet napruty zachowuje przytomność. Chociaż dziś rano... mam wrażenie, że z trudem mnie rozpoznał.

– Nie spodziewałem się... – mówi, patrząc na mnie, jakby zobaczył zjawę.

Lekko unosi lewą dłoń, trochę jak Indianin. To jego typowy gest, nieśmiały gest indiańskiego pozdrowienia. Gdy go wykonuje, ogromny zegarek zsuwa mu się aż po łokieć.

– Jak leci, Charles?

– Dobre dni już minęły.

Trzeba przyznać, że czasami Charles wypowiada się dość zagadkowo.

- Czekam na Romaina.

Rozjaśnia mu się twarz. Jest wyraźnie szczęśliwy, że może oddać przysługę.

- Ach, Romain zmienił brygadę!

Od czterech lat w materii kłopotów jestem więcej niż wytrenowany. To u mnie instynktowny odruch; wystarczy słowo i już wiem, że będą.

- To znaczy?

- Pracuje przez całą noc. Został kontrolerem.

Niełatwo stwierdzić, o czym naprawdę myśli facet taki jak Charles. Stan permanentnego odurzenia, w jakim na co dzień funkcjonuje, sprawia, że czasami bywa nieodgadniony. Nie wiadomo, czy daje dowód wielkiej przenikliwości, czy ta, z pozoru niewinna nowina, sprawia, że wyrastają mu czułki refleksji - czy też alkohol do reszty go odmózdzył.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Charles?

Chyba wyczuwa mój niepokój. Z filozoficzną miną wzrusza chudymi ramionami.

- Awansował. Przeszedł na kontrolera i...

- Kiedy dokładnie?

Charles sznuruje usta, jakbyśmy dotarli do nieuniknionej granicy.

- W poniedziałek po twoim odejściu.

Powinienem pogratulować sobie intuicji. Ale to przede wszystkim ogromny kłopot. Charles klepie mnie po ramieniu, jakby mi składał kondolencje. Myśli znacznie szybciej, niżby się wydawało. Dowód:

- Gdybyś mnie potrzebował... - mówi. - Ja też tam byłem i wszystko widziałem.

Nie pomyślałem o tym. By mnie zachęcić, sentencjonalnym gestem unosi palec:

- Kiedy drwal wchodzi do lasu z siekierą na ramieniu, drzewa mówią: trzonek jest jednym z nas.

Jego powiedzonko o siekierze wprawia mnie w osłupienie, ale jakkolwiek Charles je sformułował, wystarczy na niego spojrzeć, by docenić jakość jego propozycji.

- To miłe z twojej strony, Charles, ale nie chcę, żebyś przeze mnie stracił robotę.

Nagle Charles'a ogarnia znużenie i żal.

- Uważasz, że jako świadek prezentuję się niespecjalnie, co? No to ci powiem, masz diabelną rację. Jeśli pojawisz się w sądzie, mając za jedyne świadka taki wrak jak ja, może się to okazać dość... dość...

Szuka właściwego słowa. Podpowiadam:

- Bezproduktywne?

- Właśnie! - wykrzykuje Charles. - Bezproduktywne!

Nie posiada się z radości. Odnalezienie trafnego wyrazu to prawdziwe zwycięstwo. Tak wielkie, że od razu zapomina o całym współczuciu dla mnie. Kiwa głową, autentycznie oczarowany tym słowem. Teraz moja kolej poklepać go po ramieniu. Ale z mojej strony są to szczere kondolencje.

Już mam odejść, ale Charles łapie mnie za ramię:

- Może któregoś wieczoru wpadłbyś do mnie do domu na drinka... To znaczy...

Próbuję wyobrazić sobie, co rozumie przez słowo „dom” i co oznacza jego zaproszenie, ale Charles już oddala się swoim długim, roztańczonym krokiem.

Zastanawiam się nad tym w drodze powrotnej do domu.

W metrze upewniam się, że nadal mam numer komórki Romaina. Hurtownia zdaje się traktować tę sprawę bardzo poważnie. Przygotowują żelazne dossier. Zabiorą mi ostatnią koszulę.

Szybki namysł. Możliwie, że skoro Romain pracuje w nocy, jeszcze się nie położył.

Dzwonię.

Natychmiast odbiera.

- Cześć, Romain.

- O, cześć!

Od razu mnie poznał. Zdawać by się mogło, że czekał na mój telefon. Głos ma uradowany, ale niewyraźny. Nicole mówi, że bezrobocie zrobiło ze mnie paranoika, i jest to całkiem możliwe. Romain potwierdza swój nagły awans.

- A co u ciebie, stary?

Czas płynie, a ja coraz gorzej znoszę to „stary”. Nicole mówi, że bezrobocie zrobiło ze mnie osobnika przewrażliwionego.

Mówię mu o hurtowni, o liście od adwokata. Wspominam o groźbie procesu.

- Niemożliwe! - zdumiewa się Romain.

Nie ma co ciągnąć tego dalej. Udaje zaskoczenie nowiną, którą wszyscy już znają i bez wątpienia od trzech dni komentują. Jeśli chciał mnie zmylić, to mu się nie udało.

- Jeśli wyląduję przed sądem, przyda mi się twoje zeznanie.

- Ależ oczywiście, stary!

Stracona sprawa. Gdyby robił trudności z zeznawaniem na moją korzyść, miałbym jeszcze jakieś szanse. Ale tak... Podjął już decyzję. Dwa dni przed rozprawą stanie się nieuchwytny. Mimo wszystko upewniam się.

- Dziękuję ci, Romain. To miłe z twojej strony, naprawdę dziękuję!

Trafiony. Wyczuł ironię. Milisekunda milczenia poprzedzająca jego odpowiedź potwierdza moje najgorsze obawy.

- Nie ma za co, stary!

Rozłączam się, lekko ogłuszony. Przez chwilę rozważam nawet, czy mimo wszystko nie skorzystać z propozycji Charles'a. Jeśli go poproszę, straci pracę, ale przyjdzie. Myślę jednak, że nic to nie da, bo takiemu świadkowi nikt nie uwierzy. To znaczy, jeśli zostanie mi tylko on, zrobię to. W braku innego wyjścia.

Miecz Damoklesa nad moją głową podniósł się ciut, a im wyżej wędruje, tym większe poczyni szkody, kiedy spadnie. W głowie kłębią mi się różne szalone myśli.

Dlaczego chcą mi to zrobić?

Dlaczego tak im zależy, żebym nie wypłynął na powierzchnię?

Romain – jego rozumiem. Nie mam do niego pretensji. Ja na jego miejscu, mając do wyboru pomoc koledze lub zachowanie pracy, też bym się nie wahał. Ale hurtownia?

W nocy rozważałem ewentualne strategie. Zważywszy okoliczności, postanowiłem zagrać na skruchę. Napiszę list z przeprosinami. Jak chcą, mogą go wszędzie rozwiesić, rozesać do wszystkich pracowników razem z odcinkiem pensji, mam to w nosie. Strata pracy jest bolesnym ciosem, ale to jeszcze nic w porównaniu z procesem, który może zrobić ze mnie żebraka.

Po powrocie pędzę do gabinetu. Kurier musiał przyjść wcześniej rano, bo zastał jeszcze w domu Nicole, która pokwitowała za mnie odbiór grubej koperty z logo BLC-Consulting. Wali mi serce. Wszystko dzieje się bardzo szybko.

Zwykle kiedy w domu coś sobie zostawiamy, dołączamy do tego drobny liścik, humorystyczny, jeśli dopisuje samopoczucie, frywolny, jeśli jesteśmy w formie. Lub po prostu miłosny. Dziś rano Nicole bez żadnego komentarza położyła kopertę na moim biurku.

Nie otwieram jej od razu; najpierw wyjmuję pismo od radcy prawnego hurtowni, które ukryłem w biurku, i dzwonię. Odbiera jakaś dziewczyna, która łączy mnie z inną dziewczyną, która łączy mnie z chłopakiem, który mi wyjaśnia, że mecenas nie może ze mną rozmawiać. Tłumaczę ponad dziesięć minut, w końcu uzyskuję rozmowę telefoniczną z asystentką radcy. Mam zadzwonić dziś po południu, o piętnastej trzydzieści; wtedy poświęci mi pięć minut.

10

Koperta z BLC-Consulting zawiera teczkę z napisem „Rekrutacja zastępcy dyrektora personalnego”. Wewnątrz znajduje się dokument zatytułowany „Uczestnictwo w grze: wzięcie zakładników w miejscu pracy”.

Pierwsza strona mówi o celu: „Pana zadanie: ocena menedżerów w sytuacji silnego, narastającego stresu”.

Na drugiej przedstawione są główne wytyczne scenariusza. Ponieważ akcję wzięcia zakładników przeprowadzą kandydaci na stanowisko dyrektora personalnego (ja i moi rywale), dokument prezentuje szczegółowy regulamin, który pozwoli zapewnić nam równość szans.

Kandydaci na jedno stanowisko selekcjonują kandydatów na inne stanowisko: nachodzi mnie myśl, że system zarządzania firmą jest nieco dziwnie pomyślany. Pracownicy sami sprawują władzę. Plan jest dość śmiały: nie będąc jeszcze zatrudnieni, właściwie będziemy mogli zwalniać urzędujących menedżerów, którzy najgorzej wypadną.

Nowo przybyli generują odchodzących. Kapitalizm wymyślił stały ruch.

Szybko przerzucam akta, ale, tak jak się obawiałem, wszystkie dokumenty są rutynowe, anonimowe. Nie będziemy więc w stanie odgadnąć, o jakie przedsiębiorstwo chodzi, ani zawczasu poznać nazwisk menedżerów poddanych testowi, co mogłoby nam, mającym ich ocenić kandydatom na stanowisko dyrektora personalnego, otworzyć drogę do rozmaitych targów.

System ma swoją etykę.

Menedżerów, których mamy ocenić, jest pięcioro. Ich wiek podano w zaokrągleniu.

Trzech mężczyzn:

- Trzydzieści pięć lat, doktor prawa, dział prawny.

- Czterdzieści pięć lat, docent nauk ekonomicznych, dyrektor finansowy.

- Pięćdziesiąt pięć lat, absolwent École des Mines, pełnomocnik do zadań specjalnych.

Dwie kobiety:

- Trzydzieści pięć lat, absolwentka École Centrale i HEC, dział handlowy.

- Pięćdziesiąt lat, absolwentka Ponts et Chaussées, pełnomocnik do zadań specjalnych.

To kadry najwyższe, z najszerszym zakresem odpowiedzialności. Elita przedsiębiorstwa. Czempioni systemu M&M: „Marketing&Management”, dwa cykli do ssania współczesnego przedsiębiorstwa. Zasada jest znana: marketing polega na sprzedawaniu ludziom rzeczy, których nie chcą; zarządzanie na utrzymywaniu w ruchu menedżerów, którzy już dłużej nie mogą. Krótko mówiąc, chodzi o ludzi bardzo aktywnych w systemie, gromkim głosem identyfikujących się z wartościami przedsiębiorstwa (bez czego już dawno by ich tam nie było). Zastanawia mnie, z jakiego powodu weryfikuje się akurat te pięć osób. Trzeba będzie to koniecznie wyjaśnić.

Akta szczegółowo opisują ich studia, karierę, drogę zawodową, zakres obowiązków. W duchu szacuję ich roczne uposażenie w przedziale od stu pięćdziesięciu do dwustu tysięcy euro.

Przejdę się, żeby wszystko przemyśleć. To moja specjalność. Należę raczej do ludzi impulsywnych. Spacer mnie nie uspokaja, ale ukierunkowuje. A mam mętlik w głowie. Na moment przystaję, zastygam pod ciężarem tej refleksji: wszystko wokół mnie coraz szybciej się wali. Nicole, Romain, hurtownia... Otrzymanie tej posady staje się coraz bardziej niezbędne. Pocieszam się, że pracowałem

przez ponad trzydzieści lat i chyba mogę powiedzieć, że w tym, co robiłem, byłem dobry. Jeśli jeszcze przez dziesięć dni będę dobry, wrócę do gry i zażegnam wszystkie obecne zagrożenia. Ta myśl pomaga mi na nowo się skoncentrować. Ruszam dalej, ale mimo wszystko niełatwo jest mi uciszyć ledwo słyszalny, uparty głos w mojej głowie. Głos Nicole. Ale właściwie niepokoi mnie co innego, nie jej głos czy słowa. Źle znoszę działanie bez jej aprobaty i od kiedy jasno wyraziła swój sprzeciw, zaczynam wątpić. Nie mam rozterek co do samych metod; to rzecz, której ona nigdy nie zrozumie. Nicole, szczęściara, żyje w swojej firmie jak u Pana Boga za piecem i nigdy się nie dowie, do czego czasami trzeba się posunąć, żeby przetrwać w konkurencyjnej branży przemysłowej. Z jej reakcji wynika mianowicie, że tak naprawdę ona w to wszystko nie wierzy i że ekscytuję się szansami być może bardziej wirtualnymi niż rzeczywistymi. Jeśli uznam, że ona ma rację, zaraz wdam się w jakąś bójkę. A jeśli...

Roztrząsam to na wszystkie strony, niezdolny pomyśleć o czym innym. Mój niepokój jest jak wańka-wstańka, wciąż wraca do pozycji wyjściowej. Podejmuję decyzję.

Telefon odbiera młoda Polka. Podoba mi się lekko ochryply tembr jej głosu. Brzmi niezwykle seksownie. Przedstawiam się. Nie, Bertrand Lacoste nie może podejść do telefonu, jest na zebraniu. Czy może mi w czymś pomóc?

- Sprawa jest dość skomplikowana.
- Proszę mimo wszystko spróbować.

Brzmi to dosyć oschle.

- Przygotowuję się do udziału w ostatniej fazie rekrutacji.

- Tak, wiem.

- Pan Lacoste zapewnił mnie, że wszyscy kandydaci mają równe szanse, ale...

- Ale pan w to wątpi.

Dziewczyna nie wykazuje wielkiej empatii. Zaraz ugrzęznę. Więc startuję.

- Owszem. Wydaje mi się to dziwne.

Lacoste może sobie być na zebraniu, ona jednak decyduje się mu przeszkodzić. To mogło być niezłe posunięcie z mojej strony. Agencja doradztwa personalnego opiera swoją reputację na nieskazitelnym wizerunku. To usprawiedliwia zwracanie głowy szefowi. Słyszę w słuchawce jego głos:

- Co u pana słyhać?

Dałoby się głowę, że czekał na mój telefon i nie posiada się z radości, że ze mną rozmawia. Jednak delikatnie mnie napomina.

- Jestem na zebraniu, ale moja asystentka mówi, że coś pana niepokoi.

- Rzeczywiście, kilka spraw. A właściwie tylko jedna. Jestem sceptyczny co do szans osoby w moim wieku w rekrutacji na stanowisko tego szczebla.

- Już mnie pan o to pytał, Alain. A ja panu odpowiedziałem.

Sprytny jest, łajdak. Muszę mieć się na baczności. Ten numer z „Alainem” to klasyczne draństwo, ale zawsze skuteczne: nadal odstawia numer z zażyłością, ale obaj dobrze wiemy, że nie mogę sobie pozwolić w odpowiedzi nazwać go „Bertrandem”.

Wymownie milczę.

Zrozumiał, że zrozumiałem. Właściwie całkiem niezłe się dogadujemy.

- Proszę posłuchać - ciągnie. - Postawiłem sprawę jasno i jeszcze raz to zrobię. Nie będzie was wielu. Sporo się od siebie różnicie. Pański wiek jest przeszkodą, ale pańskie doświadczenie - atutem. Cóż więcej panu powiedzieć?

- O zamiarach pańskiego klienta.

- Mój klient nie wymaga dobrej prezencji, wymaga kompetencji. Jeśli czuje pan, że temu podoła, czego dowodzą wyniki pańskiego testu, podtrzyma pan swoją kandydaturę. W przeciwnym razie...

- Rozumiem.

Wyczuwa moją rezerwę.

- Wezmę pana na inne stanowisko. Chwileczkę...

Centrala funduje mi czterdzieści sekund muzyki. Słuchając tej wersji *Wiosny* Vivaldiego, raczej trudno uwierzyć, że lato będzie piękne.

- Wybacz pan - odzywa się wreszcie Bertrand Lacoste.

- Nic nie szkodzi.

- Proszę posłuchać, panie Delambre.

Już nie „Alain”. Zrzuca maskę.

- Firma, która szuka kandydata, to jeden z moich najpoważniejszych klientów, przy którym nie mogę pozwolić sobie na błąd w ocenie.

Jego głos nie brzmi już poufale, lecz poważnie. Stawia teraz na szczerość. Gdy ma się do czynienia z menedżerem jego szczebla, trudno zgadnąć, do jakiego stopnia ów kłamie.

- To stanowisko wymaga wysokiego profesjonalizmu, a ja nie znalazłem znów tak wielu kandydatów PRAWDZIWIE na poziomie. Nie mogę przesądzać wyniku, ale tak między nami, popełniłby pan błąd, nie startując. Nie wiem, czy wyrażam się dość jasno...

A to już coś nowego. Wręcz piekielnie nowego. Ledwie słucham jego ostatnich słów. Powinienem był je nagrać i dać odsłuchać Nicole.

- To wszystko, co chciałem wiedzieć.

- Do zobaczenia niebawem - mówi, kończąc rozmowę.

Serce mi wali jak szalone. Ruszam dalej. Muszę przewietrzyć moje przegrzane neurony. A potem biorę się do roboty. Cóż za miłe uczucie!

Najpierw elementy obiektywne.

Kandydatów, moim zdaniem, będzie trzech lub czterech, powyżej tej liczby sprawą byłoby trudno pokierować. Przyjmuję, że trzech, ponieważ ogólnej sytuacji to nie zmienia.

Żeby dostać stanowisko, muszę wyeliminować dwóch rywali. By to osiągnąć, powinienem być najlepszy w selekcji

owych pięciu menedżerów. Trzeba wyeliminować najslabszych. Ten z nas, kto odstrzeli więcej ofiar, będzie najlepszy, bo najbardziej selektywny. Cel: jest pięciu, ustrzelić czterech, sukces gotowy. W tym kierunku należy pójść.

Dostanę pracę, jeśli któryś z nich jest na wylocie.

A najlepiej kilku.

Pogrążony w rozmyślaniach, odruchowo skręciłem w lewo i stwierdziłem, że zszedłem do metra. I nie wiem, dokąd idę. Kroki same mnie tu zaprowadziły. Spoglądam na plan metra. Tam, gdzie mieszkam, gdziekolwiek by się jechało, trzeba najpierw znaleźć się na République. Śledzę wzrokiem kolorowe linie i mimo woli się uśmiecham: moimi krokami kieruje podświadomość. Siadam i czekam na przesiadkę.

Muszę maksymalnie zwiększyć swoje szanse. I w tym celu wybrać najlepszą strategię, taką, której efektem będzie największa liczba wyeliminowanych.

Nie wysiadam na République, jadę aż na Châtelet.

Stosuję się do zasady numer jeden w branży zarządzania: ten menedżer jest uważany za kompetentnego, który potrafi antycypować.

Mam do wyboru dwie możliwe strategie.

Pierwsza to ta, którą podpowiada dossier: przeczytać anonimowe akta osobowe, przestudiować scenariusz i wyobrazić sobie, jak zmusić tych menedżerów, żeby ustąpili wobec żądań terrorystów, żeby stracili grunt pod nogami, żeby okazali się tchórzami, żeby zdradzili swoją firmę, swoich kolegów, żeby zdradzili samych siebie itp. Klasyka. Każdy z nas zaufa własnej intuicji, wiedząc, że w takiej sytuacji pytanie polega nie na tym, czy zdradzą (ze spluwą przy skroni!), ale do jakiego stopnia.

Będąc młodszy, w tym kierunku bym poszedł. Tymczasem od Lacoste'a wiem, że wszyscy moi rywale są ode mnie młodszy, więc to pewne, że tak właśnie zrobią.

Pozostaje mi więc do wyboru druga strategia, różniąca się od pierwszej. W duchu już zacieram ręce.

Zarządzanie mówi: żeby osiągnąć główny cel, trzeba stawiać sobie cele pośrednie. Widzę takie trzy. Koniecznie muszę dowiedzieć się, kim jest klient BLC-Consulting, następnie zdobyć nazwiska owej piątki menedżerów i wreszcie wywiedzieć się o każdego z nich, tak żeby poznać ich życie, nadzieje, oczekiwania, siły, a zwłaszcza słabości – i mieć jak najwięcej szans na położenie ich na obie łopatki.

Mam na wszystko zaledwie dziesięć dni, a to bardzo mało.

Moja podświadomość doprowadziła mnie aż tutaj. Pod drzwiami siedziby BLC-Consulting.

Do serca Défense, ogromnego terenu najeżonego wieżowcami, nafaszerowanego tunelami autostrad i metra, z esplanadami targanymi wiatrem, gdzie krzątają się i panikują miriady mrówek mojego pokroju. Właśnie w takim miejscu, jeśli wygram, będę miał szansę dotrzeć do końca kariery. Wchodzę do wielkiego hallu budynku, szybko rozglądam się dookoła i wybieram skupisko foteli, skąd mogę obserwować wyjścia z wind.

W sytuacji, kiedy czasu mam i tak niewiele, szykuję się do wypatrywania, możliwe, że przez długie godziny – i zapewne na próżno – kogoś, kto mnie donikąd nie doprowadzi... Nie jest to dobra strategia, ale i tak potrzebuję czasu na zastanowienie, a to miejsce może okazać się użyteczne. Siadam trochę z boku, nie chcąc, żeby spojrzenie osoby wychodzącej z windy padło od razu na mnie, wyjmuję notes. Co dwadzieścia sekund zerkam w stronę wind. Nie sądziłem, że o tej porze może być tu taki ruch. Ludzie mali, duzi, brzydki – rozmaici.

Usiłuję skupić się na pierwszym celu. Klientem BLC-Consulting jest wielkie przedsiębiorstwo (bardzo pokaźne środki) z sektora strategicznego (skoro menedżerowie podlegają regularnej ocenie, znaczy to, że ciąży na nich odpowiedzialność, która ich przerasta), a sektorów

strategicznych nie brakuje. Od wojskowości po ochronę środowiska, przez wszelkie branże współpracujące z państwem lub organizacjami międzynarodowymi, w grę wchodziłyby tajemnica przemysłowa, obronność kraju, farmacja, bezpieczeństwo... To zbyt rozległe. Wykreślam. Zachowuję dwa klucze: wielkie przedsiębiorstwo i sektor strategiczny.

Windy niestrudzenie wpuszczają i wypuszczają kolejne fale ludzi. Mija godzina. Nadal robię notatki.

Zorganizowanie symulacji wzięcia zakładników nie jest sprawą prostą. Potrzebni są aktorzy, atrapy broni, co jeszcze? Przypominają mi się mgliście różne sceny z filmów telewizyjnych, widzę facetów wpadających do banku, na zewnątrz wyją syreny policyjne, faceci, wrzeszcząc, barykadują wejście i pod struchlałym spojrzeniem pracowników i klientów chronią się po drugiej stronie kontuaru. Wszyscy leżą plackiem na ziemi. A potem?

Mija druga godzina. I pojawia się stażystka. Naprawdę bardzo ładna dziewczyna, blondynka, niewykluczone, że farbowana. Wychodzi z windy pewnym krokiem, nie rozglądając się. Typ dziewczyny, która chce wszystkim pokazać, że nic jej nie zawróci z raz obranej drogi. Ma na sobie jasnoszary kostium i zawrotnie wysokie obcasy. Idzie przez hall, dochodzi do drzwi obrotowych; z pół tuzina mężczyzn się za nią obraca. Nie licząc mnie. Kilka sekund później wstaję, ruszam za nią, a potem na ulicy patrzę, jak swoim zdobywczym krokiem oddala się w stronę metra. Właściwie budzi we mnie niejaki lęk. Nie wiem, czy będzie obecna przy wzięciu zakładników i jaka przypadnie jej w tym rola. W każdym razie mam nadzieję, że nie trafi mi się przeciwnik jej kalibru, bo ta dziewczyna to prawdziwa żyłeta. Zbyt młoda, by wyrządzić wszystkie szkody, na jakie ją stać, lecz czuje się, że już niedługo wybije jej godzina.

W chwili, kiedy wchodzę w drzwi obrotowe, żeby wrócić do hallu, dokładnie naprzeciwko widzę wychodzącego z windy Bertranda Lacoste'a.

W panice spuszczaam głowę i zostaję w drzwiach, robię w nich pełen obrót, po czym przechodzę na drugą stronę ulicy. Wali mi serce, nogi mam jak z waty. Jeśli mnie zobaczył i rozpoznał, żegnajcie nadzieje. Ale tak się nie stało. W tym pośpiechu nie zwróciłem uwagi na szczegóły. Lacoste nie był sam, wyszedł z windy w towarzystwie drugiego mężczyzny koło pięćdziesiątki, niewysokiego i o zwartej muskulaturze, poruszającego się krokiem tak miękkim, jakby płynął.

Mężczyźni przez chwilę rozmawiają.

Upewniam się, że moje stanowisko obserwacyjne znajduje się poza zasięgiem ich wzroku. W chwilę później wychodzą, ściskają sobie dłonie. Lacoste wraca do budynku i idzie do windy, drugi mężczyzna zaś nadal spokojnie stoi na chodniku.

Machinalnie rozgląda się w prawo, potem w lewo.

Kanciasta twarz, wąskie usta, krótkie włosy na jeża.

Nogi lekko rozstawione. Absolutna pewność siebie.

Uważnie mu się przyglądam. Mój wzrok zatrzymuje się na wysokości jego klatki piersiowej i pach. Dałbym głowę, że jest uzbrojony. Wszystko, co o takich sprawach wiem, wyniosłem z kina. Przypuszczam, że owa wypukłość to broń. Mężczyzna powoli sięga ręką do prawej kieszeni, wyjmując gumę do żucia i, spokojnie rozpakowując ją z papierka, rozgląda się dookoła.

Poczuł, że ktoś mu się przypatruje. Rozgląda się i jego spojrzenie na mikrosekundę zatrzymuje się na mnie. Potem chowa papierek po gumie do kieszeni i odchodzi w stronę stacji metra.

Ta krótka chwila mnie zmroziła.

Facet może być kimkolwiek, ale wystarczył ułamek sekundy, żebym nabrał pewności, że z całą pewnością byle kim nie jest.

Przetrząsam swoją pamięć zawodową w poszukiwaniu jakiegoś odpowiednika tego faceta z twarzą bez wyrazu,

oszczędnego w ruchach, z krótkimi szpakowatymi włosami i podobnym sposobem poruszania się...

Z zakamarków mojego umysłu wyłania się model: były wojskowy. A oczko wyżej – kto? Odpowiedź jest szokująca: najemnik.

O ile się nie mylę, Lacoste do zorganizowania akcji z zakładnikami zatrudnił zawodowca.

Odchodzę.

Czas zadzwonić do radcy prawnego.

W zeszycie zanotowałem z grubsza, co mu powiem. Mój zegarek wskazuje punkt piętnastą trzydzieści, kiedy słyszę zdecydowany głos dziewczyny:

– Pan Delambre? Mecenas Stéphanie Gilson. W czym mogę pomóc?

Dziewczyna jest młoda. Jakbym słyszał głos stażystki z BLC-Consulting. Przez moment wyobrażam sobie moją córkę Lucie w uniformie adwokackiej, zwracającą się do bezrobotnego mojego pokroju takim samym nieznośnym sprzeciwu tonem, z taką samą irytacją. Dlaczego wszyscy ci młodzi ludzie są aż tak do siebie podobni? Może dlatego, że wszyscy nieudacznicy mojego pokroju też są do siebie podobni.

Z miejsca potwierdza, że skutkiem wykroczenia firma mnie zwolniła.

– Jakiego wykroczenia? – pytam.

– Uderzył pan swojego zwierzchnika, panie Delambre. Każde przedsiębiorstwo by pana za coś podobnego zwolniło.

– I w każdym przedsiębiorstwie zwierzchnikowi wolno byłoby skopać pracownikowi tyłek?

– A tak, czytałam o tym w pańskim oświadczeniu. Niestety, sprawy wyglądały inaczej.

– Skąd pani wie? Skopano mi tyłek o piątej rano; a co pani robiła o tej porze?

Poniosło mnie. Krótka cisza, która zapada po moich słowach, upewnia mnie, że rozmowa szybko się skończy.

Muszę to naprawić, muszę koniecznie znaleźć do niej doście. Zerkam w notatki.

- Pani mecenas Gilson, wybaczy pani, ale.. czy mogę zapytać, ile pani ma lat?

- Nie widzę związku ze sprawą.

- To mi właśnie nie daje spokoju. Bo widzi pani, mam pięćdziesiąt siedem lat, od czterech lat jestem bezrobotny i...

- Panie Delambre, to nie chwila, żeby się skarżyć.

- ...i tracę jedyną pracę, jaką mam. Pozywa mnie pani do sądu i...

Znowu podniosłem głos.

- Nie mnie należy to powiedzieć.

- ...i żąda ode mnie odszkodowania w wysokości mojej czteroletniej i jedynej pensji! Chce mnie pani zabić?

Nie wiem, czy dziewczyna mnie słucha, ale przechodzę do planu B.

- Jestem gotowy złożyć przeprosiny.

Krótką cisza.

- Przeprosiny na piśmie?

Zainteresowała się, jestem na dobrej drodze.

- Jak najbardziej. Oto co pani proponuję. Zdarzenie wyglądało zupełnie inaczej, ale nieważne. Składam przeprosiny. Nie proszę nawet o ponowne przyjęcie mnie do pracy. Jedyne, czego chcę, to żeby na tym skończyć. Rozumie mnie pani? Żeby nie było procesu.

Dziewczyna szybko się zastanawia.

- Myślę, że możemy przyjąć pańskie przeprosiny. Czy może pan odpowiednie pismo dostarczyć nam jak najszybciej?

- Choćby jutro. Nie ma sprawy. A pani wstrzyma postępowanie karne.

- Wszystko w swoim czasie, panie Delambre. Przeprosi pan Pehlivana, jak również swojego byłego pracodawcę, i potem zobaczymy.

Trzeba będzie się nad wszystkim zastanowić, ale zyskałem na czasie. Już mam się rozłączyć, ale w końcu ciekawość przeważa.

- Jeszcze jedno, pani mecenas. Skąd pani pewność, że zdarzenie wyglądało tak, jak je opisał pan Pehlivan?

Dziewczyna rozważa, czy opłaca się puścić farbę. Już samo jej milczenie jest wymowne. Wreszcie się decyduje.

- Posiadamy pewne zeznanie. Jeden z pańskich kolegów, obecny przy zajściu, zapewnia, że pan Pehlivan tylko się o pana otarł i że...

Romain.

- Dobrze, dobrze, zostawmy to. Przekażę pani pismo z przeprosinami i na tym skończymy. Zgoda?

- Czekam na pański list, panie Delambre.

Niecałe dziesięć minut później siedzę już w metrze.

Kilka miesięcy temu Romain pożyczył mi twardy dysk do komputera i pojechałem do niego go odebrać. Nie pamiętam dokładnie adresu, ale myślę, że trafię. Dość dobrze pamiętam aleję, na rogu jest apteka, a jego dom nieco dalej po prawej, ma numer, który mgliście mi się z czymś kojarzy, nie bardzo wiem z czym, a potem przypominam sobie, mój wiek, pięćdziesiąt siedem, naciskam guzik pod nazwiskiem „Romain Alquier”, w domofonie słyszę zaspany głos.

W rzeczywistości Romain bynajmniej nie wygląda na zaspanego. Jest blady, niespokojny, lekko drżą mu palce. Zapomniałem już, jak u niego ciasno. Klitka. Przesuwane drzwi zasłaniają częściowo aneks kuchenny, pół metra kwadratowego z szafkami upchanymi nad zlewem wielkości dłoni. Połowę powierzchni pokoju zajmuje biurko pod ścianą, całe zastawione sprzętem komputerowym. Drugą połowę - kanapa, rozkładana na noc. To na niej siedzi Romain, który wskazuje mi bezkształtną masę czerwonego plastiku na podłodze, przypuszczalnie coś w rodzaju pufa. Wolę stać. Raptem Romain też się podnosi.

- Słuchaj - zaczyna - wszystko ci wytłumaczę...

Powstrzymuję go szybkim gestem. Stoimy naprzeciwko siebie w tym ciasnym pokoiku jak dwa hodowlane króliki w klatce. Romain przerywa i mrugając oczami, patrzy na mnie. Boi się tego, co zaraz nastąpi, i słusznie, bo muszę absolutnie uzyskać to, po co przyszedłem. Wszystko zależy od niego i właśnie ów fakt przyprawia mnie o nerwowość. Na jego czole, pod linią włosów dostrzegam kilka kropli potu. Kręcę przecząco głową. Staram się zachować spokój. Wiem, że cała nasza mała historia, jego i moja, jest wpisana w wielką historię naszego życia. Jego historię łatwo zrozumieć. Jest chłopskim synem, co określa mentalne ramy wszelkich jego poczynań i reakcji. Nauczył się zachowywać to, co ma. Zazdrośnie. Zarówno pracę, jak i całą resztę. Wszystko – czy to lubi, czy nie – należy do niego, jest jego własnością. Więc kręcę przecząco głową, choć przeciwnie, w pełni się z tym zgadzam.

I żeby pokazać, do jakiego stopnia jestem wyluzowany, z pełną podziwu miną odwracam się do biurka, na którym króluje ogromny płaski monitor komputera. Taka technologia nie pasuje do tej króliczej klatki. Z powrotem przenoszę wzrok na niego. Mruga oczami. Jego wielkie łapy handlarza bydlą zwisają bezwładnie po bokach. Prędeziej da się zabić, niż ustąpi w czymś, co tak naprawdę jest zupełnie bez znaczenia. Gwiżdżę na to. Mam inne pilne sprawy.

- Zachowanie roboty, Romain, to sprawa święta. Rozumiem cię. I nie mam do ciebie pretensji. Na twoim miejscu postąpiłbym dokładnie tak samo. Ale chcę cię poprosić o pewną przysługę.

Nieufnie marszczy brwi, jakbym mu zaproponował cielaka po nienormalnie niskiej cenie. Kciukiem wskazuję na wielki ekran komputera:

- Chodzi właśnie o pracę. Mam coś na oku. Gdybyś mógł mi jednej rzeczy poszukać...

Twarz mu się rozjaśnia. Bardzo mu ulżyło, że wykpił się tak tanim kosztem, więc posyła mi szeroki uśmiech i od razu wyciąga ręce do klawiatury. U niego wszystko jest w

zasięgu ręki. Niewyraźna elektroniczna muzyczka wita nas w drugim życiu, ja zaś wyjaśniam Romainowi, czego potrzebuję. Jego chłopska ostrożność jest silniejsza od niego.

- Sprawa może być bardziej skomplikowana, niż myślisz - zaznacza.

Ale kiedy to mówi, jego palce już biegną po klawiaturze. Pojawia się strona BLC-Consulting, trzy okienka przez moment żeglują i w końcu nieruchomieją w rogach ekranu. Wodny balet. Potem kilka kliknięć i jak korona kwiatu otwiera się jedno, drugie, trzecie, ósme okienko. To dopiero początek, a ja już kompletnie nie nadążam.

- Prawie nie ma zabezpieczeń. Idioci czy co? - mówi Romain.

- Możliwe, że nie mają nic do ukrycia.

Odwraca się do mnie. Coś takiego nigdy by mu nie przyszło do głowy. Precyzuję:

- Na przykład ja na swoim komputerze nie mam nic, co wymagałoby zabezpieczenia.

- No wiesz, mimo wszystko, prywatne życie...

Romain jest wstrząśnięty. Myśl, że można nie zabezpieczać danych, nawet jeśli są zupełnie nieciekawe, po prostu go gorszy. Mnie z kolei zdumiewa jego oburzenie:

- A nawet gdybyś miał dostęp do mojego życia prywatnego, to co byś zrobił? To takie samo życie jak twoje, jak wszystkich.

Romain potrząsa głową z niedowierzaniem.

- Możliwe - mówi, nieprzekonany. - Ale jest twoje własne.

Rozmawiam ze ścianą. Odpuszczam.

Jego palce nadal śmigają po klawiaturze.

- A to są pliki ich klientów.

Listing. W sekundę później zaczyna stukać drukarka stojąca pod biurkiem. Romain przesyła pakiety danych na mój adres mailowy. Jest zawiedziony, że wszystko poszło tak łatwo.

- Chciałbyś coś jeszcze?

Mam właściwie wszystko. Listing, dość krótki, nosi tytuł „bieżący klienci” i otwiera dostęp do ośmiu podkatalogów. Szybko przeglądam nazwiska. Pociąg metra wjedza na stację République. Wsiadam i ruszam podziemnym przejściem, żeby przesiąść się na drugą linię, przez cały czas nie odrywając wzroku od listy, którą trzymam w ręku. *Exxyal*. Gwałtownie przystaję. Jakaś dziewczyna wpada na mnie z tyłu z krótkim okrzykiem; usuwam się na bok. Szybko przeglądam listę jeszcze raz, upewniam się. *Exxyal-Europe* jest jedynym przedsiębiorstwem na liście pasującym do opisu. Wielkość, sektor strategiczny, wszystko. Idę dalej; powoli, ponieważ całą moją energię mobilizuje ta nazwa.

Nawet ktoś taki jak ja, kompletnie nieznający się na przemyśle petrochemicznym, wie, że *Exxyal* to jeden z tych monstrualnych molochów z trzydziestoma pięcioma tysiącami pracowników na czterech kontynentach i obrotem przewyższającym budżet narodowy Szwajcarii, gdzie zresztą w podziemiach niektórych banków pęcznieją zapewne utajone zyski, których wysokość pozwoliłaby spłacić dwukrotność zadłużenia Afryki. Nie wiem, ile w tym międzynarodowym towarzystwie znaczy *Exxyal-Europe*, ale z pewnością należy do wagi ciężkiej. Wiem, że jestem na właściwym tropie. Jeszcze raz studiuje listę: reszta klientów to małe i średnie przedsiębiorstwa oraz kilka dużych firm przemysłowych lub usługowych bez znaczenia strategicznego. Dodatkowy detal: wzięcie zakładników jest operacją dużo bardziej prawdopodobną w spółce petrochemicznej niż w firmie, która produkuje samochody lub krasnale ogrodowe.

Dzień kończy się istotnym sukcesem. Osiągnięciem pierwszego celu: jestem prawie pewien, że ustaliłem, jakie przedsiębiorstwo robi nabór.

Przez krótką chwilę oddaję się marzeniom: dyrektor personalny w filii *Exxyal-Europe*! Totalne szczęście.

Przyspieszam kroku i cały rozentuzjasmowany w kilka minut dochodzę do domu.

Obrót klucza w zamku, drzwi otwierają się. I od razu dociera do mnie ogrom czekających mnie trudności. Rzut oka na zegarek: dziewiętnasta czterdzieści pięć.

Wchodzę.

Na stole kuchennym dwie wielkie papierowe torby z nadrukiem „Najtańsza zastawa stołowa”. Nicole nie zdążyła jeszcze zdjąć płaszcza. W milczeniu mija mnie w korytarzu. Spieprzyłem sprawę.

- Przepraszam cię.

Nicole słyszy mnie, ale nie słucha. Musiała wrócić koło osiemnastej. Kolacja nieprzygotowana. Przez trzy dni stołowaliśmy się gdzie popadnie, ale dzisiaj obiecałem, że kupię naczynia. Musiała wyjść, sama zrobić zakupy. I oto ledwie się spotkaliśmy, a atmosfera już jest napięta. Nicole bez słowa wstawia nowe talerze, filiżanki i kieliszki do zlewu. Wszystko paskudne. Zna mnie.

- Wiem, co myślisz, ale to było najtańsze.

- Właśnie dlatego szukam pracy.

I na nowo włączamy starą kasetę. Zaczynamy być na sobie coraz mocniej rozżaleni. Najbardziej bolesne jest to, że w najtrudniejszym okresie kochaliśmy się i trzymaliśmy razem. I właśnie teraz, kiedy możemy nareszcie się z tego wygrzebać, oddaliśmy się od siebie. Kupiła jakieś gotowe danie z brązowym sosem, pewnie inspirowane kuchnią chińską. Jemy w milczeniu. Atmosfera jest tak ciężka, że Nicole włącza telewizor. Tło dźwiękowe dla nas dwojga („Tagwell zapowiada likwidację ośmiuset miejsc pracy w swojej fabryce w Reims”). Nicole przeżuwa jedzenie, wpatrując się w talerz, który teraz, kiedy jest pełny, wygląda jeszcze szpetniej. Udaję wielkie zainteresowanie dziennikiem telewizyjnym, jakby podawał sensacje („...bardzo silny spadek. Tagwell na zamknięciu zyskuje cztery i pół procenta...”).

Po posiłku, wyczerpani wzajemną urazą, która nas od siebie oddala, w milczeniu się rozstajemy. Nicole z zaciętą miną zmywa naczynia. Potem ona idzie do łazienki, a ja do gabinetu.

Na moim ekranie nie ma już wdzięcznego podmorskiego falowania otwierających się i wędrujących okienek; jest tylko surowa strona internetowa z logo Exxyal-Europe. Mała koperta sygnalizuje nadejście poczty od Romaina. W katalogu klientów czytam listy wymienione między Bertrandem Lacoste'em i jego klientem Alexandre'em Dorfmannem.

Są tam na przykład takie słowa dyrektora generalnego Exxyal-Europe: *Postawmy sprawę jasno: jak wynika z naszej wstępnej oceny, zwolnienie ośmiuset dwudziestu trzech pracowników w Sarqueville dotyczyć będzie, pośrednio lub bezpośrednio, ponad dwóch tysięcy sześciuset osób... Dotkliwie i trwale ucierpi na tym cała strefa zatrudnienia.*

I nieco dalej: *Zakrojona na szeroką skalę operacja zwolnień naturalnie bardzo podniesie poczucie wartości i kwalifikacje: menedżer, który zyska szansę powierzenia mu tej misji, przeżyje wyjątkowe doświadczenie oraz bez wątpienia wielką przygodę emocjonalną. Będzie musiał być bardzo silny psychicznie, posiadać zdolność szybkiej reakcji oraz wielką odporność na szok. Skądinąd musimy być pewni jego bezwarunkowego identyfikowania się z wartościami naszej firmy.*

Notuję:

Sarqueville = strategiczna stawka dla Exxyalu.

* Konieczność wyboru superskutecznego menedżera, który przeprowadzi tę operację.

* Wzięcie zakładników sprawdzianem umożliwiającym wybór najlepszego spośród możliwych kandydatów.

Pozostaje mi teraz tych kandydatów zidentyfikować. Ale na próżno przetrząsam pliki klientów Lacoste'a, żadnej listy menedżerów przystępujących do testu nie ma. Przeszukuję wszystko od początku, przeglądam pliki z innych katalogów

na wypadek, gdyby zostały błędnie zaklasyfikowane, ale już wiem, że to nic nie da. Będę musiał poszukać sam.

Na stronie Exxyalu pojawia się jedynie schemat organizacyjny grupy; na szczycie, umieszczony w centrum, widnieje portret dyrektora naczelnego, Alexandre'a Dorfmann'a. Koło sześćdziesiątki. Przerzedzone włosy, wydatny nos, zimne spojrzenie; powściągliwy uśmiech, skierowany do obiektywu, pozwala się domyślać bezgranicznej pewności siebie, zdradzającej człowieka władzy, któremu wszystko się udało. I który zdaje się być pewny, że ten sukces w pełni mu się należy. Niektórzy ludzie mają w sobie tak głęboką arogancję, że z miejsca chce się ich spoliczkować. Przyglądam się uważnie fotografii. Lekko się wychyliwszy, mogę dostrzec własną twarz w lustrze wiszącym nad małym narożnym kominkiem. Znowu wracam do zdjęcia. Wpatruję się w swoje przeciwieństwo. Ja w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat mam jeszcze wszystkie włosy, nawet jeśli mocno szpakowate, twarz raczej okrągłą i bezgraniczną skłonność do popadania w zwątpienie. Oprócz determinacji dzieli nas wszystko.

W plikach klientów Lacoste'a znajduję pełny schemat organizacyjny Exxyal-Europe. Drukuję go i zaczynam szukać po kolei menedżerów odpowiadających opisowi, w wyniku czego uzyskuję listę jedenastu potencjalnych kandydatów. Nieźle, ale i tak wciąż za dużo – i tu zaczyna się trudność. Pierwszy odsiew jest zawsze najłatwiejszy. Od tego momentu nie wolno mi już popełnić błędu; z każdą eliminacją kandydata krzywa ryzyka mojej porażki szybuje w górę. Otwieram nowy katalog, kopiuję i wklejam do niego jedenaście nazwisk, a potem pocieram palce jak w ruletce w momencie obstawiania.

Otwierają się drzwi, staje w nich Nicole.

Czy to z powodu jej wielkiego zmęczenia, czy dlatego, że jest w swoim nocnym T-shircie? Czy dlatego, że opiera rękę o futrynę drzwi, przechylając głowę w pozycji, która zawsze

sprawia, że mam ochotę zapłakać? Udaję, że pocieram czoło. W rzeczywistości spoglądam na godzinę wyświetloną w rogu ekranu: dwudziesta druga czterdzieści. Bez reszty pochłonięty tą sprawą nawet nie zauważyłem, kiedy minął wieczór. Unoszę głowę.

Zwykle w takich chwilach, kiedy jest szczęśliwa, rozmawia ze mną. Jeśli nie jest, ja wstaję i do niej podchodzę. Tym razem tkwimy nieruchomo po przeciwnych stronach pokoju.

Dlaczego nie rozumie?

Odkąd mieszkamy razem, jest to jedyne pytanie, którego nigdy sobie nie zadawałem. Aż do teraz. Nigdy. Dziś rozdziela nas ocean.

- Dobrze wiem, o czym myślisz - mówi Nicole. - Myślisz, że nie rozumiem, jak bardzo to dla ciebie ważne. Mówisz sobie, że mam swoje małe życie, swoją małą pracę, a do męża na bezrobociu już przywykłam. I że uważam, że nie uda ci się znaleźć pracy na miarę twoich oczekiwań.

- Trochę tak. Niezupełnie... ale trochę.

Nicole podchodzi do mnie. Siedzę przy biurku, ona staje obok, ujmuje moją głowę i przytula do swojego brzucha. Wsuwam dłoń pod jej T-shirt, gładzę jej pośladki. Robimy to już od dwudziestu lat i wrażenie jest zawsze cudowne, pragnienie zawsze żywe. Nawet dzisiaj. Tyle że dzisiaj dzielący nas ocean nie jest między nami, tylko w nas. Jesteśmy parą.

Odrywam się od niej. Nicole patrzy na ekran, na pływające rybki ekonomizera zużycia energii. Pytam:

- Co twoim zdaniem powinienem zrobić?

- Obojętnie co, ale nie to. Po prostu... to jest niedobre. Kiedy człowiek zaczyna robić takie rzeczy...

Powinienem jej wyjaśnić, że kopniak w tyłek od Mehmeta zmusi mnie dzisiejszej nocy do dodatkowego upokorzenia: napisania listu z przeprosinami. Ale byłoby mi wstyd się do tego przyznać. Jak również powiedzieć jej, że pośredniak będzie miał dla mnie coraz mniej propozycji,

ponieważ zostałem zwolniony z powodu poważnego wykroczenia. I w porównaniu z tym, co nas czeka, kupowanie szkaradnych tanich talerzy wyda nam się kiedyś uroczą sceną symbolizującą najpiękniejsze lata naszego szczęścia. Rezygnuję.

- Zgoda.

- Zgoda na co? - pyta Nicole.

Odsunęła się trochę, trzyma mnie za ramiona. Moja ręka wciąż spoczywa na jej biodrze.

- Zrezygnuję.

- Naprawdę?

Trochę mi wstyd, że kłamię, ale to kłamstwo, tak jak inne, jest konieczne.

Nicole przytula mnie. Nawet w jej uścisku wyczuwam ulgę. Próbuje się tłumaczyć.

- Tu nie chodzi o ciebie, Alain. Ty nic na to nie poradzisz. Ale żeby zatrudniać ludzi w taki sposób... Nigdy się nie podniesiemy, jeśli stracimy szacunek dla siebie, zgadzasz się ze mną?

Zbyt wiele odpowiedzi ciśnie mi się na usta. Myślę, że podjąłem słuszną decyzję. Kiwam głową, że tak, że się zgadzam. Nicole przesuwając palcami po moich włosach, opiera się brzuchem o moje ramię, jej pośladki zaciskają się. Walczę, żeby to właśnie zachować. Ona mnie nie rozumie. Zrobię to bez niej, a potem jej to ofiaruję. Chcę znowu być bohaterem jej życia.

- Idziesz do łóżka? - pyta.

- Za pięć minut. Jeszcze tylko jeden mail.

W drzwiach odwraca się i uśmiecha.

- Przyjdiesz zaraz?

Tylko dwóch mężczyzn na tysiąc zdołałoby zostać przy biurku na taką propozycję. Ja jestem jednym z nich. Mówię:

- Dwie minuty.

Waham się, czy napisać list do radcy prawnego, ale mówię sobie, że zdążę zrobić to jutro rano. Ten wykaz z

nieodpartą siłą mnie przyciąga. Kliknięcie i miejsce rybek z powrotem zajmuje strona Exxyal-Europe.

Jedenaścioro potencjalnych kandydatów; muszę zejść do pięciorga, trzech mężczyzn, dwie kobiety. Od nowa przeglądam listę pod kątem kryterium wieku i dyplomów, potem biorę każdego po kolei i staram się odtworzyć przebieg ich kariery. Przepatruję strony ich wcześniejszych pracodawców, stowarzyszeń dawnych absolwentów, gdzie niektórzy prezentują swoje dokonania zawodowe. Żeby poprowadzić grupowe zwolnienia w Sarqueville, muszą mieć na koncie duże doświadczenie oraz wcześniejsze sukcesy w trudnych lub delikatnych misjach, sukcesy, dzięki którym zostali zauważeni przez swoich pracodawców. Takie podejście pozwala mi zmniejszyć liczbę potencjalnych kandydatów do ośmiorga. Wciąż o troje za dużo. O dwóch mężczyzn i jedną kobietę. Ale lepszego wyniku nie uzyskam. Będę miał i tak niebywałe szczęście, jeśli wśród tej ósemki znajdzie się tych pięcioro, których szukam.

Jeszcze tylko kilka kursów między stroną Exxyal i portalami społecznościowymi, na których znalazłem profile kilkorga z nich, i sporządzam fiszki osobowe.

Ponieważ gabinet nie jest zbyt wielki, Nicole sprezentowała mi kiedyś na urodziny zestaw sześciu dużych tablic korkowych, do których można przypinać dokumenty. Tablice otwierają się i zamykają niczym stronicie jakiejś ogromnej książki i wiszą na drzwiach.

Zrywam wszystkie papiery tkwiące tam od niepamiętnych czasów: pozółkłe ogłoszenia, na które odpowiedziałem, listy potencjalnych pracodawców, wykazy staży - z racji mojego wieku dla mnie niedostępnych - listy znajomych haerowców z innych firm, spotykanych w klubie branżowym, do którego nie mam już wstępu. Następnie drukuję portrety kandydatów wraz z przebiegiem ich kariery, zostawiam puste miejsca na własne notatki i wszystko to umieszczam na tablicach korkowych.

Jestem zadowolony ze sporządzonej dokumentacji, którą będę mógł kartkować. Odsuwam się trochę, podziwiając swoje dzieło. Zewnętrzne strony zostawiłem puste, dzięki czemu wystarczy całość zamknąć i nic nie będzie widać.

Nie usłyszałem, kiedy za moimi plecami otworzyły się drzwi. Dopiero płacz Nicole sprowadza mnie za ziemię. Odwracam się. Stoi w swoim wielkim, białym T-shircie. Dwie, może trzy godziny temu obiecałem, że do niej przyjdę. Obiecałem, że ze sprawy zrezygnuję. Widzi wiszące rzędem kolorowe zdjęcia i powiększone CV. W milczeniu kręci głową. I to jest właśnie najbardziej przygnębiające.

Otwieram usta, ale niepotrzebnie.

Nicole już zniknęła. Pliki, które przysłał mi Romain, szybko przerzucam na pendrive'a, podłączam laptopa do prądu, żeby podładować baterię, i wyłączwszy peceta, zamknąwszy tablice i zgasiwszy światło, idę do łazienki, a potem do sypialni, którą zastaję pustą.

- Nicole!

Mój głos w tych ciemnościach brzmi dziwnie. Przywodzi na myśl samotność. Idę do kuchni, do salonu, wszędzie pusto. Znów wołam, lecz Nicole nie odpowiada.

Jeszcze kilka kroków i staję przed zamkniętymi drzwiami gościnnego pokoju. Chwytam za klamkę.

Zamknięte na klucz.

Popełniłem błąd i w dodatku skłamałem. Wyrzucam to sobie. Ale trzeba podejść do sprawy filozoficznie. Kiedy dostanę tę pracę, przypomni sobie, że miałem rację.

Teraz muszę iść spać. Jutro czeka mnie ważny dzień.

11

Przez całą noc roztrząsałem wciąż na nowo te same pytania. W jaki sposób ja bym to na miejscu Lacoste'a rozegrał? Między podjęciem decyzji o cymulacji a jej zorganizowaniem pozostaje szeroki margines swobody działania. Wracają do mnie pytania Nicole: terroryści, broń, przesłuchania...

Zbliża się piąta rano. Jak co dzień wychodzę do pracy w hurtowni i kieruję kroki do ogromnej piwiarni przy Gare de l'Est. Na ladzie baru widzę wielki tytuł w „Le Parisien”: *Na paryskiej giełdzie boom. Dziewiąty tydzień zwyczajki notowań.* Czekaając na kawę, przeglądam gazetę: *...policja ewakuuje fabrykę w Tansonville. Czterdziestu ośmiu pracowników okupujących lokal...*

Usiadłem przy stoliku w głębi głównej sali i otworzyłem laptopa. Czekając, aż system zaskłada się, popijam obrzydliwą lurę; jestem w dworcowej knajpie. O tej porze, nie licząc kilku togijskich zamiataaczy, którzy zrobili sobie teraz przerwę, klientela składa się z cierpiących na bezsenność pijaków, robotników wracających z nocnej zmiany, taksówkarzy, utrudzonych par, młodych hulaków. Poranni goście są naprawdę dołujący. W tej sali tylko ja pracuję, ale nie tylko ja idę na dno. Otwieram pliki przebrane wczoraj na pendrive'a.

W korespondencji Lacoste'a znajduję dwie notatki autorstwa niejakiego Davida Fontany; możliwe, że to ten facet, którego wczoraj widziałem w siedzibie BLC-Consulting. W jednej mowa jest o zatrudnieniu arabskich aktorów i nabyciu broni ze ślepą amunicją. Druga przedstawia plan miejsca, gdzie zostaną więźni zakładnicy.

Styl Davida Fontany oraz branża, w której działa, zdają się wskazywać na byłego wojskowego. Podłączam się do lokalnej sieci i szukam Fontany. To, że go nie znajduję, jest niemal równoznaczne z potwierdzeniem moich przypuszczeń. Typ tak dyskretny, że nigdzie nie figuruje, w każdym razie nie pod tym nazwiskiem. W duchu odnotowuję w pamięci: ustalić tożsamość gościa, dowiedzieć się, skąd jest.

Od początku wiem, że będzie mi potrzebna pomoc. Umiejętność pozyskiwania osób kompetentnych to zaleta numer dwa wymagana od kadrowca.

Uwielbiam internet. Jest w nim wszystko. Obojętnie, jakiego paskudztwa się szuka, internet jest jedynym miejscem na świecie, gdzie na pewno się je znajdzie. Sieć musi odzwierciedlać podświadomość społeczeństw Zachodu.

Potrzebuję dobrej godziny, żeby znaleźć odpowiednią stronę. Są na niej policjanci, byli policjanci, przyszli policjanci, pasjonaci policji – a jest ich więcej, niż mogłoby się wydawać. Długo rozmawiam z kilkoma użytkownikami sieci, ale bez większego sukcesu. O tej porze aktywni są tylko psychole i bezrobotni. Nic ciekawego. Najlepiej będzie zawiesić ogłoszenie. Jestem pisarzem poszukującym konkretnych i szczegółowych informacji o braniu zakładników. Szukam internauty, który ma doświadczenie w podobnych sytuacjach. Podaję adres mailowy stworzony na tę okoliczność, ale potem się rozmyślam. Czas nagli: podaję swój numer komórki i skreślam pierwszą linijkę w zeszycie.

Dalszy ciąg poszukiwań przynosi fatalną wiadomość. Stawki prywatnych detektywów wahają się od pięćdziesięciu do stu dwudziestu euro za godzinę. Robię kalkulację. Wychodzą mi astronomiczne sumy. Ale nie widzę innego rozwiązania. Muszę się dowiedzieć jak najwięcej o tych menedżerach, o ich życiu prywatnym, ich przeszłości zawodowej. Notuję trzy czy cztery adresy biur detektywistycznych, które prześwietlają firmy i które nie są

ani zbyt znane, ani ewidentnie do niczego. I świadom, że to trochę loteria, wybieram adresy najbliższe miejsca, gdzie jestem. Kiedy kończę, jest już prawie ósma. Ruszam w drogę.

Z pozoru zwykły gabinet w zwykłej firmie, a i szef, z którym rozmawiam, też przypomina mnie z czasów, kiedy jeszcze byłem pewien swoich kompetencji oraz miałem teren, gdzie mogłem je wykazać.

- Rozumiem - mówi.

Philippe Mestach. Powyżej czterdziestki, spokojny, poukładany, metodyczny, twarz, jakich wiele. Dokładnie ten typ człowieka, którego się nie dostrzega. Zdecydowałem się zagrać w otwarte karty. Mówię o naborze, ale nie wspominam o braniu zakładników, poprzestaję na wyjaśnieniu, jaki jest cel sprawdzianu dotyczącego piątki tych menedżerów. W pełni rozumie mój krok.

- Tym sposobem zwiększa pan swoje szanse do maksimum - potwierdza. - Jest jednak problem z kalendarzem. Często zdobywamy informacje o pracownikach na zlecenie ich firm, to prężnie rozwijający się rynek. Niestety w naszej pracy jakość rezultatu jest nierzadko uzależniona od czasu, jakiego wymagało jego uzyskanie.

- Ile?

Uśmiecha się. Jesteśmy ludźmi pragmatycznymi.

- Słusznie - potwierdza - to właściwe pytanie. Więc do dzieła.

Spisuje dane, które mu dyktuję, wykonuje kilka obliczeń na małym kalkulatorze, wydobytym z wewnętrznej kieszeni marynarki, i przez długą chwilę się zastanawia. Wpatruje się w cyfry, chowa kalkulator z powrotem do kieszeni, po czym unosi wzrok.

- Łącznie piętnaście tysięcy euro. Wszystkie koszty wliczone. Żadnych dodatkowych opłat. Trzydzieści tysięcy, jeśli pan płaci gotówką.

- I co mi pan gwarantuje?

- Czterech wywiadowców w pełnym wymiarze czasu oraz...

Przerywam mu.

- Nie, mnie interesują wyniki! Co mi pan gwarantuje?

- Podaje pan nazwiska swoich „klientów”, my zdobywamy ich adresy i czterdzieści osiem godzin później dostarczamy panu informacje dotyczące ich stanu cywilnego, szczegółów sytuacji rodzinnej i majątkowej, kluczowych dat życiorysu prywatnego i zawodowego, jak również, w ogólnym zarysie, aktualnego stanu finansów (zobowiązania, gotówka itp.).

- I to wszystko?

Zaniepokojony unosi brew. Ciągnę:

- A na co mi takie ogólniki? Dostanę od pana profil osobowy przeciętnego człowieka.

- Cały kraj jest pełen takich ludzi, panie Delambre. Ja, pan, inni, wszyscy.

- Potrzebuję informacji znacznie bardziej konkretnych.

- W rodzaju?

- Długi, błąd w poprzedniej pracy, rodzina z problemami, nieuleczalnie chora młodsza siostra, żona alkoholiczka, nałogi, przekroczenia szybkości, udział w baletach, kochankowie, kochanki, podwójne życie, występki... Tego typu rzeczy.

- Wszystko jest możliwe, panie Delambre. Ale tu znów czas działa na naszą niekorzyść. Co więcej, w przypadku takiego pogłębienia tematu niezbędne jest uruchomienie bardzo specyficznej siatki wywiadowczej, konieczne jest śledzenie i trzeba mieć szczęście.

- Ile?

Znów się uśmiecha. Podoba mu się nie tyle samo słowo, ile klarowność pytania.

- Potrzebna jest nam metoda, panie Delambre. Oto co, moim zdaniem, byłoby najlepsze. Dwa dni po pierwszej płatności dostarczamy panu podstawowe informacje o każdym z pańskich klientów. Pan studiuje te dane i ustala,

w jakim kierunku chciałby pan dalej szukać, tak by ukierunkować z kolei nasze ruchy, a ja proponuję panu kosztorys.

- Wolę ryczałt.

Znów dobywa swój kalkulator, liczy.

- Za dodatkowe informacje: dwa i pół tysiąca euro od klienta. Za dwa dni pracy. Łapówki wliczone.

- A w gotówce?

- To jest cena w gotówce. Na fakturę będzie...

Pochyla się nad kalkulatorkiem.

- Nie trzeba. Zrozumiałem.

Bajońska suma. Nawet zakładając dodatkowe starania tylko w przypadku połowy moich kandydatów, wychodzi prawie dwadzieścia trzy tysiące euro. Bazując na resztkach naszych oszczędności - brakuje mi 95 procent tej sumy.

- Proszę to przemyśleć na spokojnie, ale też zbytnio nie zwlekając. Jeśli złoży pan zamówienie, będę miał bardzo niewiele czasu na zebranie ekipy...

Wstaję, ściskamy sobie dłonie.

Znów siedzę w metrze. Czeka mnie godzina prawdy.

Od samego początku to wiem. Kłótnie z Nicole, nerwowa atmosfera ostatnich dni, napięcie spowodowane testami i rozmową z Lacoste'em - wszystko zmierzało do tego ostatniego etapu, który sprowadza się do jednego rozstrzygającego o wszystkim punktu: siły mojej motywacji. Od dwudziestu lat nauka zarządzania nic innego nie mówi.

Żeby odnieść sukces, będę musiał podjąć każde ryzyko.

Wciąż nie mogę się zdecydować.

Jestem okropnie zdołowany.

Niewidzącym wzrokiem przesuwam po plakatach w metrze, po pasażerach nieustannie wsiadających i wysiadających, jak automat wchodzę po ruchomych schodach, oto ulica, na której mieszkamy, w dzielnicy, którą pokochaliśmy od razu, kiedy ją odkryliśmy.

Był rok 1991.

Wszystko układało się po naszej myśli. Byliśmy od dziesięciu lat małżeństwem. Mathilde miała dziewięć, Lucie siedem lat. Opowiadałem im różne głupstwa, nazywałem swoimi księżniczkami itp. Nicole promieniała, wystarczy obejrzyć zdjęcia. Byliśmy typowym francuskim małżeństwem, każde z nas miało stałą pracę, dobrą i stopniowo rosnącą pensję. W banku powiedzieli nam, że możemy pomyśleć o czymś własnym. Z wielkim poczuciem odpowiedzialności wyznaczyłem na planie Paryża dzielnicę, gdzie rozsądnie byłoby czegoś poszukać, i prawie natychmiast wybraliśmy miejsce zupełnie gdzie indziej.

Tu, gdzie teraz jestem. Wychodzę z metra. Pamiętam wszystko jak dziś. Wyraźnie widzę tę scenę.

Okolice od razu wydała nam się urocza. Dzielnicę leży na łagodnym wzgórzu, ulice wznoszą się i opadają, kamienice stoją tu od stu lat i tak samo drzewa. Budynek jest czysty, z czerwonej cegły. W duchu liczymy, że mieszkanie będzie miało wielkie okna balkonowe, winda się kołysze, szybko oceniam, że powinien się w niej zmieścić cały sprzęt kuchenny, ale kanapa już nie. Agent nieruchomości, bardzo profesjonalny, stoi ze spuszczonego wzrokiem, otwiera drzwi, mieszkanie jest pełne światła, ponieważ leży bardzo wysoko, i kosztuje tylko o piętnaście procent więcej, niż wynosi kwota, którą możemy pożyczyć. Jesteśmy zachwyceni i spanikowani. Absolutnie upajające uczucie. Bankier zaciera ręce i proponuje dodatkowe kredyty. Kupujemy, podpisujemy, dostajemy klucze, zostawiamy dziewczynki u przyjaciół, wracamy już sami; mieszkanie wydaje nam się jeszcze większe. Nicole otwiera okna wychodzące na tyły budynku, a dalej na podwórko szkolne z trzema platanami. Pokoje rozbrzmiewają pustką, która czeka na wypełnienie, przyszłym szczęściem, życiem, które nas rozpieszcza, Nicole obejmuje mnie w pasie, przyciska do ściany i całuje tak namiętnie, że nie mogę złapać tchu, jest podekscytowana jak dziewczynka, a potem znów

zaczyna wędrować z pokoju do pokoju, płynnymi ruchami rąk kreśląc plany pięknie urządzonej wnętrz.

Jesteśmy zadłużeni po uszy, ale mimo kryzysu za sprawą jakiegoś cudu, jakiegoś szczęścia, z którego nie zdajemy sobie nawet sprawy, udaje nam się bezboleśnie przejść ten okres. Tajemnicą szczęścia tamtych lat była nie miłość, bo miłość wciąż w sobie mamy, i nie nasze córki, bo wciąż je mamy; tajemnicą szczęścia było to, że mieliśmy pracę, że mogliśmy bezrefleksyjnie cieszyć się niezliczonymi pozytywnymi skutkami owej niebywalej życiowej szansy: spłacaniem rat, wakacjami, spotkaniami towarzyskimi, posłaniem córek na studia, samochodami oraz pewnością, że wytrwała i konsekwentna praca gwarantuje nam godne życie, na jakie zasługujemy.

Prawie dwadzieścia lat później znów stoję w tym miejscu, ale jestem starszy o sto lat. Siedzę w gabinecie, znów słyszę płacz Nicole, przypomina mi się jej znoszony sweter, tanie naczynia, szukam numeru, proszę do telefonu Gregory'ego Lipperta, linoleum w kuchni znówu się zawija, trzeba je będzie zmienić, mówię: „Cześć, tu ojczonek”, staram się, żeby zabrzmiało to żartobliwie, ale głos zdradza moje zamiary, zlew z odzysku wygląda jeszcze bardziej ponuro niż zwykle, Gregory odpowiada: „Ooo!”, rzadko do niego dzwonię, oświadczam: „Muszę się z tobą zobaczyć”, on znów: „O!”, wkurza mnie, ale jest mi potrzebny, zaznaczam: „natychmiast”, rozumie, że to naprawdę, rzeczywiście bardzo pilne, więc mówi: „Mogę się urwać na kilka minut, powiedzmy o jedenastej?”.

12

Kawiarnia nazywa się Le Balto. Podobnych pewnie jest we Francji ze dwa albo trzy tysiące. To dokładnie w stylu mojego zięcia, żeby wybrać takie miejsce. Jak nic, codziennie się tu stołuje, mówi kelnerom po imieniu, sprawdza z sekretarkami zdrapki, dowcipkując o wszach łonowych. W Le Balto jest stoisko z papierosami i wielka sala z niewygodnymi kanapami w typie mebli ze sklejki, lśniąca posadzka na podłodze, rozkładane menu z rysunkami hot dogów i sandwiczów dla klientów zbyt głupich, żeby umieli przeczytać słowa „hot dogi” i „sandwicze”.

Przyszedłem trochę wcześniej.

Zawieszony wysoko na ścianie wielki płaski telewizor jest nastawiony na kanał informacyjny. Głos został ściszony do minimum. Klienci przy barze nie odrywają jednak oczu od ekranu i widzą kolejne wiadomości: „Zyski przedsiębiorstw: siedem procent dla pracowników i trzydzieści sześć dla akcjonariuszy. Prognoza: trzy miliony bezrobotnych do końca roku”.

Mówię sobie, że mimo to mam spore szanse na znalezienie pracy.

Gregory każe na siebie czekać. Wcale nie takie pewne, czy z obiektywnego powodu; bez trudu mogę sobie wyobrazić, że celowo się trochę spóźnia, żeby mi pokazać, jaki jest ważny.

Przy sąsiednim stoliku dwóch młodych garniturowców, w typie menedżerów z branży ubezpieczeń, trochę podobnych do mojego zięcia, dopija kawę.

- No mówię ci - mówi jeden - uśmieć się można! Nazywa się to *Na ulicy*. Jesteś bezdomnym. I w grze chodzi o to, żeby

przeżyć.

- Nie żeby wrócić do normalnego życia? - pyta drugi.

- Nie gadaj głupstw! Dobra, no więc trzeba przeżyć. Masz trzy elementy. Trzy rzeczy, które są obowiązkowe! Nie możesz ich uniknąć. Możesz tylko wpływać na ich stopień nasilenia. To zimno, głód i alkoholizm.

- Ekstra!

- No mówię ci, ale mieliśmy ubaw! Rzuca się kostki, ale uwaga, potrzebna jest strategia! Możesz wygrać kupony do bezpłatnych jadłodajni, noc w schronisku, miejsce przy wyjściach z metra, które są ogrzewane (cholernie trudno to zdobyć!), kartony dla osłony przed zimnem, wstęp do toalet na dworcach, żeby się umyć... Możesz mi wierzyć, to wcale nie takie łatwe.

- Ale przeciwko komu się gra?

Facet ani minuty się nie waha.

- Gra się dla siebie, człowieku! Na tym polega wielkość gry!

Zjawia się Gregory. Sciska dłonie obu chłopakom (nie bardzo się pomyliłem). To dla nich sygnał do odejścia. Gregory siada naprzeciwko mnie.

Ma na sobie stalowoszary garnitur i jedną z tych swoich pastelowych koszul, niezmiennie kojarzących się z kolorem kuchennych ścian, błękitnym niebem, wyblakłymi malwami. Dziś włożył woskowożółtą i beżowy krawat.

Kiedy odszedłem z Bercauda, miałem cztery garnitury oraz całe mnóstwo koszul i krawatów. Uwielbiałem się ubierać. Nicole nazywała mnie „starą kokotą”, bo miałem chyba więcej ubrań niż ona. Byłem jedynym tatą, którego można było na Dzień Ojca obdarowywać krawatami, nie narażając się na zarzut, że dało się dokładnie to samo co w zeszłym roku. Jedyne krawaty, których nigdy nie nosiłem, były od Mathilde, ponieważ ma tragiczny gust. Wystarczy spojrzeć na jej męża.

Tak więc miałem cztery garnitury. W jakiś czas po tym, jak straciłem pracę, Nicole zaczęła nalegać, żebym

najstarsze wyrzucił, ale nie mogłem się na to zdecydować. Od pierwszego dnia mojego bezrobocia zakładałem garnitur za każdym razem, gdy musiałem wyjść. I nie tylko do ANPE czy na te rzadkie spotkania w sprawie pracy; do zaczynającej się o piątej rano roboty w hurtowni farmaceutycznej też chodziłem w garniturze. I pod krawatem. Trochę jak ci więźniowie, którzy codziennie się gołą, by odzyskać choć odrobinę godności w ich przekonaniu utraconej. Ale któregoś popołudnia w metrze w mojej ulubionej marynarce puścił szew. Rozdarła się od pachy do kieszeni. Obok dwie młode dziewczyny zaczęły chichotać; jedna z nich próbowała mnie gestem przeprosić, lecz to było silniejsze od niej. Przybrałem godną minę. Nagle ich śmiech zaczął się udzielać innym pasażerom. Na następnej stacji wysiadłem, zdjąłem marynarkę i niedbałym gestem zarzuciłem ją na ramię jak biznesmen w upalny dzień, tylko że był styczeń. Po powrocie do domu wyrzuciłem wszystkie ubrania mające więcej niż cztery, pięć lat. Został mi jeden garnitur i kilka koszul, których oszczędnie używam. Zachowałem przezroczystą osłonę z pralni i moje ubrania żyją pod kloszem niczym antyki.

Pierwsze, co zrobię, jeśli dostanę to stanowisko, to zamówię garnitur na miarę. Nawet w czasach, kiedy pracowałem, nie pozwoliłem sobie nigdy na taki luksus.

Jestem spięty.

- Wyglądasz na spiętego - stwierdza inteligentnie Gregory.

Ale przyjrząwszy się nieco uważniej, dostrzega moją rozpaczliwą minę i przypomina sobie, że chciałem się z nim jak najszybciej spotkać, co nie zdarzyło się jeszcze nigdy, odkąd się znamy. Poważnieje, odkasłuje i posyła mi zachęcający uśmiech.

- Potrzebuję pożyczki, Gregory. Dwadzieścia pięć tysięcy euro. Natychmiast.

Przyznaję, że dla niego to dużo informacji naraz. Ale rozważyłem sprawę na wszelkie sposoby i uznałem, że

lepiej bezzwłocznie przejść do sedna. Efekt jest. Mój zięć w milczeniu rozdziawia usta. Chętnie bym mu podniósł palcem opadłą szczękę, ale się nie ruszam.

- To życiowa sprawa. Chodzi o pracę. Mam jedyną i niepowtarzalną okazję dostania roboty leżącej idealnie w moich kompetencjach. Potrzebne mi jest dwadzieścia pięć tysięcy euro.

- Kupujesz posadę za dwadzieścia pięć tysięcy euro?

- W pewnym sensie. Dość trudno byłoby mi wyjaśnić ci, o co dokładnie chodzi, ale...

- To niemożliwe, Alain.

- Kupić pracę?

- Nie, tyle pożyczyć. Niemożliwe. W twojej sytuacji...

- No właśnie, mój chłopcze! Właśnie dlatego jestem dobrym klientem. Bo mając tę robotę, z łatwością spłacę dług. Potrzebuję pożyczki na bardzo krótki termin. Kilka miesięcy. Nie więcej.

Nie specjalnie może za mną nadążyć. Poprawiam się.

- No dobrze, tak naprawdę nie kupuję pracy. To raczej...

- Łapówka?

Ze zboląłą miną potwierdzam.

- Przecież to haniebane! Nie można kazać człowiekowi płacić za posadę. Zresztą to niedozwolone!

Zawrzała we mnie krew.

- Posłuchaj, mój chłopcze, co wolno, a czego nie wolno, to temat na odrębną dyskusję! Czy wiesz, od jak dawna jestem na bezrobociu? - krzyknąłem.

Gregory próbuje pojednawczo:

- Od...

- Od czterech lat!

W tym momencie podnoszę głos, przez sprawę pracy stałem się kłębkim nerwów.

- A ty byłeś kiedyś na bezrobociu?

Teraz już ryknąłem. Gregory rozgląda się po sali, boi się skandalu. Muszę to wykorzystać. Jeszcze bardziej podnoszę ton. Chcę tej pożyczki, chcę, żeby natychmiast ustąpił, żeby

się wstępnie zgodził, a potem już moja w tym głowa, żeby dotrzymał słowa.

- Wkurza mnie ta twoja kretyńska moralność! Masz pracę, a jedyne, o co cię proszę, to żebyś i mnie pomógł ją znaleźć! Strasznie skomplikowane? Tak?

Dyskretnym gestem pokazuje, żebym się uspokoił. Próbuję manewru okrążającego. Nachylam się. Konfidencjonalnym tonem mówię:

- Pożyczasz mi te dwadzieścia pięć tysięcy na cokolwiek, na samochód, na wyposażenie kuchni... O, świetny pomysł, wyposażenie kuchni, widziałeś naszą... Zwracam w ciągu dwunastu miesięcy. Tysiąc siedemset euro miesięcznie plus odsetki, żadnych kłopotów, zapewniam cię, nic nie ryzykujecie.

Nie odpowiada, ale patrzy na mnie teraz z nową pewnością siebie. Pewnością zawodowca. W krótkim czasie zmieni się mój status. Negocjuję pożyczkę. Byłem jego teściem. Teraz stałem się klientem.

- Nie w tym problem, Alain - mówi stanowczo. - Żeby pożyczyć tyle pieniędzy, potrzebujemy gwarancji.

- Będę miał pracę.

- Tak, możliwe, ale na razie nie masz.

- To stanowisko dyrektora personalnego. W wielkiej spółce.

Gregory marszczy brwi; znowu mój status uległ zmianie. Teraz Gregory bierze mnie za czubka. Sytuacja wymyka mi się z rąk. Próbuję od nowa.

- Dobrze, co jest potrzebne, żeby dostać od was dwadzieścia pięć tysięcy euro?

- Wystarczające dochody.

- Ile?

- Posłuchaj, Alain, to nie jest właściwy sposób postępowania.

- Okej. A jeśli będę miał poręczanie?

W jego oku pojawia się błysk.

- Czyje?

- Nie wiem. Wasze.

Błysk w jego oku gaśnie.

- Przecież to niemożliwe! Kupujemy mieszkanie! Poziom naszego zadłużenia nie pozwoli nigdy...

Ujmuję jego dłonie leżące na stole, ściskam je.

- Posłuchaj, Gregory.

Wiem, że sięgam po swój ostatni nabój, i nie jestem pewny, czy wystarczy mi odwagi, żeby go wystrzelić.

- Nigdy cię o nic nie prosiłem.

To wymaga naprawdę dużo energii.

- Ale teraz nie mam innego wyjścia.

Opuszczam wzrok na nasze splecione dłonie, próbuję się skoncentrować. Bo jest to trudne, bardzo trudne.

- Mam tylko ciebie.

Każde słowo wypowiadam z wielkim wysiłkiem, próbuję myśleć o czym innym jak początkująca prostytutka, która robi po raz pierwszy laskę.

- Bezwzględnie potrzebuję tych pieniędzy. To sprawa życia i śmierci.

Dobry Boże, chyba nie poniżę się aż tak bardzo, co?

- Gregory...

Przełykam ślinę, trudno!

- Błagam cię.

Stało się, powiedziałem to.

Gregory, podobnie jak ja, nie wierzy własnym uszom.

Jego posada lichwiarza była powodem niezliczonych rodzinnych sporów, a dziś ja sam siedzę przed nim, błagając o jałmużnę w postaci pożyczki. To coś tak nie do pomyślenia, że przez dłuższą chwilę obaj jesteśmy jak ogłuszeni. Byłem przekonany, że efekt niespodzianki podziała na niego jak cios na odlew. Ale Gregory kręci głową.

- Gdyby to zależało tylko ode mnie... Przecież wiesz. Ale nie mam możliwości przeforsowania twojego wniosku. Mam nad sobą szefów. Nie znam dokładnie twoich dochodów ani dochodów Nicole, ale wątpię... Gdybyś potrzebował trzech

tysięcy, czy nawet pięciu, zawsze moglibyśmy spróbować, ale tak...

Myślę, że to, co nastąpiło potem, stało się przez jedno słowo. Nie powinienem był powiedzieć „błagam”. Zrobiwszy to, stworzyłem sytuację nieodwracalną. Od razu zorientowałem się, że to błąd, a jednak go popełniłem. Kiedy odchyliam się na krzesło, kiedy odwodzę prawe ramię w tył, jakbym chciał się podrapać w lewy pośladek, nie do końca mam świadomość, co robię, lecz jest to nieuchronna konsekwencja jednego mojego słowa. A właśnie z powodu jednego słowa musiały wybuchnąć okrutne wojny.

Biorę zamach, zbieram wszystkie siły, jakie mi jeszcze zostały, i walę go w twarz. Czegoś takiego zupełnie się nie spodziewałem. To jak trzęsienie ziemi. Moja zaciśnięta pięść trafia go poniżej kości policzkowej, odrzuca jego ciało od stołu, dłonie Gregory'ego rozpaczliwie próbują uchwycić się blatu. Leci dwa metry do tyłu, potrąca sąsiedni stolik i dwa krzesła, ramieniem próbuje się czegoś przytrzymać, zmiata wszystko po drodze, głową uderza w filar, z jego gardła dobywa się chrapliwy, zwierzęcy krzyk, wszyscy klienci się obracają, huk tłuczonego szkła, łamanego krzesła, przewracającego się stolika, pełna niedowierzania cisza. Przede mną wolna droga. Przyciskam pięść do brzucha, tak mnie boli. Ale wstaję i ku ogólnemu zdumieniu wychodzę.

Przez całe życie nic podobnego mi się nie zdarzyło, a teraz turecki nadzorca i mój zięć. Dwóch z rzędu w ciągu paru dni. Zamieniłem się w furiata, to oczywiste.

Jestem już na ulicy.

Nie obejmuję jeszcze myślą szkód, jakie spowoduje mój postępek.

Ale zanim zacznę się tym martwić, chcę rozwiązać mój problem, mój jedyny obecnie problem: jak zdobyć dwadzieścia pięć tysięcy euro.

13

Zostawiam zięcia na pastwę losu i ruszam na dalsze poszukiwania. Osobom postronnym mogłoby się wydawać, że utraciłem wszelką wrażliwość.

Swego czasu dość dobrze znałem siebie. Mam na myśli to, że nigdy nie byłem zaskoczony własnym zachowaniem. Człowiek, który wiele w życiu przeszedł, wie, jak w danej sytuacji należy się zachować. Potrafi nawet określić okoliczności, w jakich niekoniecznie musi się kontrolować (jak na przykład rodzinne pyskówki z takim idiotą jak mój zięć). Poczynając od pewnego wieku, życie jest już tylko powtórką. Tymczasem tego, czego dowiadujemy się (lub nie) z własnego doświadczenia, dzięki metodom zarządzania nauczymy się w dwa lub trzy dni, za pomocą tabel, w których ludzie zostają sklasyfikowani zależnie od ich charakteru. Jest to praktyczne, zabawne, schlebia umysłowi, daje poczucie bycia inteligentnym; dzięki temu wyobrażamy sobie nawet, że zdołamy się nauczyć skuteczniejszego postępowania w życiu zawodowym. Krótko mówiąc, uspokaja. Z biegiem lat mody się zmieniają i jedne tabele zastępują drugie. Jednego roku poddajemy się testowi, żeby dowiedzieć się, czy jesteśmy metodyczni, energiczni, zdeterminowani i czy umiemy pracować w zespole. Następnego roku proponuje się nam sprawdzenie, czy jesteśmy pracowici, buntowniczy, twórczy, wytrwali, empatyczni i czy potrafimy marzyć. Jeśli zmienimy coacha, odkryjemy, że w rzeczywistości jesteśmy opiekuńczy, potrafimy kierować, porządkować, wyzwalać emocje i dodawać otuchy, a kolejne seminarium pomoże nam ustalić, czy jesteśmy nakierowani bardziej na działanie, na

metodyczność, na idee czy na procedury. Jest to rodzaj oszustwa, które wszyscy uwielbiają. Jak w horoskopach – w końcu zawsze odkrywamy jakieś cechy, które nas upodabniają do innych, ale prawda jest taka, że nie będziemy wiedzieć, do czego tak naprawdę jesteśmy zdolni, dopóki nie znajdziemy się w sytuacji ekstremalnej. Ja na przykład ostatnio często sam siebie zaskakuję.

Kiedy wychodzę z metra, dzwoni moja komórka. Zawsze mam się na baczności, gdy sprawy rozwijają się zbyt szybko – tak jak w tym przypadku.

- Nazywam się Albert Kaminski.

Ton sympatyczny, szczerzy, ale to naprawdę za wcześnie. Zawiesiłem ogłoszenie nie dalej jak dziś rano i już...

- Myślę, że pasuję do tego, czego pan szuka – mówi.

- A czego pana zdaniem szukam?

- Jest pan pisarzem. Zamierza pan prawdopodobnie napisać książkę, której tematem jest porwanie zakładników, i potrzebne są panu konkretne i dokładne informacje. Prawdziwe informacje. Chyba że niewłaściwie zrozumiałem pański anons.

Wyraża się poprawnie, bezpośredniość mojego pytania go nie speszyła. Wydaje się wiarygodny. Mam wrażenie, że dzwoni z miejsca, gdzie nie może głośno rozmawiać.

- A pan ma doświadczenie w tej dziedzinie?

- Jak najbardziej.

- Wszyscy, którzy dzwonią, tak mówią.

- Mam doświadczenie w licznych akcjach prawdziwego brania zakładników, w rozmaitych okolicznościach i stosunkowo niedawno. Kilka lat temu. Jeśli chodzi panu o przebieg podobnych operacji, to myślę, że na większość pańskich pytań będę w stanie odpowiedzieć. Gdyby chciał pan się ze mną spotkać, podaję swój numer, 06 34...

- Chwileczkę!

Facet jest bez wątplenia zręczny. Na moje celowo agresywne pytania odpowiada spokojnie, bez irytacji i nawet udało mu się przejąć inicjatywę, bo to ja go proszę o

spotkanie. To może być dokładnie człowiek, jakiego potrzebuję.

- Czy jest pan wolny dzisiaj po południu?
- Zależy o której godzinie.
- Proszę powiedzieć...
- Od czternastej.

Umawiamy się. Kaminski proponuje spotkanie w kawiarni na Châtelet.

Co działo się potem, po moim wyjściu? Zapewne trochę trwało, zanim mój zięć zdołał się podnieść. Wyobrażam sobie tę scenę: leży jak długi na środku sali, zjawia się kierownik, podkłada mu pod głowę rękę i mówi: „No, no, stary, wyglądasz na nieźle trafionego! Kim był ten gość?”. Prawdę mówiąc, niezbyt dobrze znam Gregory’ego. Nie wiem na przykład, czy jest odważny. Czy wstał, otrzepując się i próbując zachować godność, czy odwrotnie, zaczął wrzeszczeć: „Zabiję tego popaprańca!”, robiąc żałosne wrażenie. Podstawowe pytanie, to oczywiście, czy zadzwoni do Mathilde od razu, czy zaczeka do wieczora. Od tego zależy cała moja strategia.

Do liceum, w którym Mathilde uczy angielskiego, wchodzi się do małej uliczki. W południe na chodniku naprzeciwko bramy tłoczy się zawsze sporo młodzieży. Wrzawa, krzyki, przepychanki, chłopcy, dziewczęta, hormony w nich aż buzują. Staję trochę na uboczu, w bramie jakiejś kamienicy. Mathilde dość szybko odbiera telefon. Musi przebijać się przez spory hałas. Jest zaskoczona. Już wiem, że mąż jeszcze do niej nie zadzwonił. Szczelina jest wąska i absolutnie muszę się przez nią przecisnąć.

Teraz, zaraz? Chodzi o mamę, czy coś się stało? Gdzie jestem? Na zewnątrz, ale gdzie?

Nie, nie bój się, nic się mamie nie stało, chciałbym cię tylko zobaczyć, to wszystko, tak, to pilne, na ulicy tuż obok... Gdybyś miała pięć minut... Tak, zaraz.

Mathilde jest ładniejsza od siostry. Nie tak urodziwa, nie tak czarująca, ale ładniejsza. Ma na sobie uroczą wzorzystą sukienkę, z rodzaju tych, które od razu zauważam u kobiety. Porusza się pięknym krokiem, trochę kołysząc biodrami jak Nicole, ale twarz ma spiętą jak osoba wietrząca katastrofę.

To tak trudno wytłumaczyć. Mimo wszystko próbuję. Moja prośba nie jest zbyt klarowna, ale Mathilde szybko wychwytuje najważniejsze: dwadzieścia pięć tysięcy euro.

- Ależ tato! Potrzebujemy tych pieniędzy na mieszkanie. Podpisaliśmy już umowę przedwstępną!

- Wiem, dziecinko, ale finalizujecie ją dopiero za trzy miesiące. Do tego czasu dawno ci wszystko zwrócę.

Mathilde jest bardzo poruszona. Zaczyna chodzić po ulicy, trzy gwałtowne kroki w jedną stronę, trzy niepewne kroki z powrotem.

- Ale na co ci tyle pieniędzy?

Godzinę temu wypróbowałem już ten numer z jej mężem i wiem, że nie bardzo się sprawdza, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy.

- Łapówka? Wysokości dwudziestu pięciu tysięcy euro? Szaleństwo!

Ze zbolałą miną się z tym zgadzam.

Cztery nerwowe kroki po chodniku i wraca:

- Przykro mi, tato, ale nie mogę.

Powiedziała to ze ściśniętym gardłem, patrząc mi w oczy. Zebrała w sobie całą odwagę. Trzeba sprawę rozegrać z wyczuciem.

- Dziecinko...

- Nie, tato, żadnych „dziecinko”! Uprzedzam, tylko nie emocjonalny szantaż!

Trzeba sprawę rozegrać z bardzo wielkim wyczuciem. Argumentuję najspokojniej jak potrafię.

- Ale w jaki sposób zdołasz mnie w dwa miesiące spłacić?

Mathilde jest kobietą praktyczną. Stoi mocno obiema nogami na ziemi i zawsze zadaje trafne pytania. Już w

dzieciństwie, ilekroć trzeba było zorganizować podróż, piknik czy przyjęcie, zgłaszała się na ochotnika. Jej ślub wymagał prawie ośmiomiesięcznych przygotowań. Wszystko zostało zaplanowane z aptekarską dokładnością; jeszcze nigdy w życiu tak się nie wynudziłem. Może dlatego czasami wydaje mi się całkiem daleka. Stoi teraz przede mną, a ja nagle zadaję sobie pytanie: Co ja najlepszego robię? Odpędzam od siebie obraz Gregory'ego leżącego na podłodze w sali z policzkiem rozkwaszonym o filar.

- Jesteś pewny, że dadzą zaliczkę osobie, którą dopiero co zatrudnili?

Mathilde zgodziła się na dyskusję. Jeszcze tego nie wie, ale odmowę ma już za sobą. Nadal chodzi po chodniku w tę i tamtą stronę, ale coraz wolniej, coraz mniej się oddala, coraz szybciej wraca.

Cierpi.

A to sprawia, że ja też zaczynam autentycznie cierpieć. Dopóki niosła mnie dynamika mojego żądania, nie nurtowały mnie żadne rozterki. Gdyby trzeba było jeszcze raz powalić jej męża kretyna, zrobiłbym to bez cienia wahania, ale teraz sam już nie wiem. Stoi przede mną córka rozdarta między sprawami nie do pogodzenia: marzeniem o mieszkaniu i powinnością wobec ojca. Zaoszczędziła te pieniądze, które dzisiaj są jej życiem i ucieleśnieniem jej pragnień.

I to właśnie, jej wzorzysta sukienka, mnie ratuje; dostrzegam dobrane do niej pantofle i torebkę. Na coś takiego powinno również być stać Nicole.

Mathilde kupuje na wyprzedazach z głową, należy do kobiet, które już dwa miesiące wcześniej udają się na rekonesans i które dzięki przygotowaniu oraz strategii pewnego dnia nabywają wymarzoną garsonkę, dotąd pozostającą całkowicie poza zasięgiem ich możliwości. Mathilde musi być rezultatem jakiegoś skoku genetycznego, ponieważ ani jej matka, ani ja nie jesteśmy

zdolni do podobnych wyczynów. I jestem prawie pewny, że to właśnie oczarowało jej męża.

Jego zaś wyobrażam sobie teraz w biurze. Sekretarka pewnie przyniosła mu plastikowy woreczek z kostkami lodu, pewnie planuje wniesienie skargi przeciwko teściowi, pewnie marzy o wyroku wydanym przez sędziego sztywnego jak sama sprawiedliwość. Już z góry delektuje się tą sceną: oto opuszcza budynek sądu jako zwycięzca, z zapłakaną małżonką u boku. Mathilde spuszcza głowę, zmuszona uznać wyższość wartości męża nad wartościami ojca. Jest wewnętrznie rozdarta. Ale on, Gregory, udrapowany w szatę swej znieważonej godności, nieustraszony i dumny, zstępuje po schodach Pałacu Sprawiedliwości, jeszcze nigdy tak w pełni nie zasługującego na swoją nazwę. Z tyłu jego teść, blady i zgębiony, ledwo dyszący, błaga... Oto słowo, którego mi brakowało. Błagać. Powinienem o to błagać.

Ja.

Mówię:

- Potrzebuję tych pieniędzy, Mathilde. Twoja matka i ja ich potrzebujemy. Żeby przetrwać. Ty jesteś w stanie mi je pożyczyć, ja jestem w stanie ci je zwrócić. Ale nie będę cię o nie błagał.

I wtedy robię rzecz straszną: spuszczam głowę i odchodzę. Jeden krok, drugi, trzeci... Idę dość szybko, ponieważ dynamika wydarzeń działa na moją korzyść. Wstyd mi, ale jestem skuteczny. Żeby dostać tę pracę, żeby uratować moją żonę, moje córki, muszę być skuteczny.

- Tato!

Wygrałem!

Zamykam oczy, w pełni świadom, jak nisko upadłem. Zawracam. Nigdy nie wybaczę systemowi społecznemu tego, co ze mną robi. Zgoda, nurzam się w błocie, jestem nikczemny, ale w zamian niech mi bóg systemu da to, na co zasługuję. Niech mi pozwoli wrócić do gry, wrócić do

świata, stać się na nowo człowiekiem. Żywym. I niech da mi tę pracę.

Mathilde ma łzy w oczach.

- Ile dokładnie potrzebujesz?

- Dwadzieścia pięć tysięcy.

Nie ma nic więcej do dodania, to już koniec. Pozostaje tylko wszystko zorganizować. Mathilde się tym zajmie. Wygrałem.

Przepustkę do piekła mam w kieszeni.

Znów mogę oddychać.

- Musisz mi obiecać... - zaczyna.

Widzi we mnie tyle ufności, że mimo woli się uśmiecha.

- Obiecuję ci wszystko, co tylko zechcesz, dziecinko.

Kiedy podpisujesz umowę?

- Nie mamy jeszcze dokładnej daty. Za dwa miesiące...

- Do tej pory wszystko ci zwrócę, przyrzekam z ręką na sercu.

I przykładam rękę do serca.

Mathilde jeszcze się waha.

- Bo widzisz, wolałabym nie mówić o tym Gregory'emu.

Dlatego naprawdę liczę, że...

Ale nie kończąc zdania, już wyjmuje komórkę i wybiera numer swojego banku.

Wokół nas młodzi wrzeszczą, przepychają się, wymyślają sobie na wesoło, upojeni radością, że żyją, że pragną. Dla nich życie sprowadza się do jednej wielkiej obietnicy. Stoimy wśród nich, moja córka i ja, w milczeniu, z opuszczonymi rękami, kołysani falą entuzjazmu tej młodzieży, która wyobraża sobie, że ma przed sobą wszystko. Nagle Mathilde wydaje mi się mniej ładna, jakby oklapła w tej swojej sukience, która też wygląda już mniej szykownie, bardziej pospolicie. Szukam w myślach i znajduję: moja córka przypomina teraz własną matkę. Ponieważ boi się, że źle zrobiła, ponieważ położenie ojca wyczerpuje jej odporność, wygląda mizernie. Nagle nawet jej elegancki strój sprawia wrażenie znoszonego swetra.

Rozmawia przez telefon. Posyła mi pytające spojrzenie.

- Tak, w gotówce - potwierdza.

Koniec aktu. Patrząc na mnie, unosi brwi. Zamykam oczy.

- Mogę przyjść o siedemnastej piętnaście - mówi. - Tak, wiem, dwadzieścia pięć tysięcy to dużo gotówki.

Bankier robi trudności. Kocha swoje pieniądze.

- Transakcja kupna nastąpi nie wcześniej niż za dwa miesiące... Od dzisiaj... Tak, nie ma sprawy. Godzina siedemnasta, tak, znakomicie.

Rozłącza się z wyraźnym lękiem, że zrobiła rzecz nie do naprawienia. Moja córka jest kobietą pokonaną.

Stoimy tak, nic nie mówiąc, ze spuszczonym wzrokiem. Przepelnia mnie fala miłości; bez zastanowienia mówię „dziękuję”. Na Mathilde działa to jak rażenie prądem. Pomaga mi, kocha mnie, nienawidzi, boi się, wstydzi. Ojciec nie powinien wzbudzać u córki w jej wieku tak silnych emocji, zajmować tyle miejsca w jej życiu.

Bez słowa, przygarbiona, wraca do pracy.

O siedemnastej muszę tu być z powrotem, żeby pójść z nią do banku. Dzwonię do Philippe'a Mestacha, detektywa.

- Jutro dostanie pan zaliczkę. Dziewiąta rano u pana w biurze? Może pan zwołać ekipę.

Châtelet.

Lokal w typie piwiarni, ale z klubowymi fotelami. Szykowny, bardzo w stylu bobo. Rodzaj miejsca, które podobałoby mi się w czasach, kiedy zarabiałem pieniądze.

Na widok detektywa od razu mi się przypomina jego głos. Brzmiał nienaturalnie, jakby nie bardzo mógł rozmawiać. Prawie się nie porusza, a jeśli, to jakby w zwolnionym tempie. Jest chudy. Wygląda dość dziwnie. Przypomina mi iguanę.

- Albert Kaminski.

Nie wstaje, tylko lekko się unosi i wyciąga do mnie chłodną dłoń. Pierwsza ocena: minus 10. Jak na początek

gonitwy to wielki handicap, a ja nie mam czasu do stracenia. Muszę załatwić swoje.

Siadam, ale sztywno, na skraju fotela, nie zostanę długo.

Jest w moim wieku. Siedzimy w milczeniu, kelner odbiera od nas zamówienie. Intensywnie zastanawiam się, co mnie w nim niepokoi. Bingo. Facet jest ćpunem. Dla mnie to komplikacja, bo w materii narkotyków jestem zupełnie zielony, co u człowieka mojego pokolenia zakrawa niemal na cud. W tych sprawach mam niewiele wyczucia. Ale myślę, że trafiłem w sedno. Kaminski stacza się po równi pochyłej. Powiedziałbym, że łączy nas pokrewieństwo. Nasz upadek nie jest taki sam, ale zguba czeka nas podobna. Instynktownie kładę na nim krzyżyk. Mnie potrzebni są ludzie silni, kompetentni, obrotni.

- Byłem komendantem policji - zaczyna.

Ma zmiętą twarz, ale oczy mu nie łzawią. Inaczej niż u Charles'a. Alkohol sieje spustoszenie innej natury. Czym szprycuje się Kaminski? Nie mam pojęcia, ale najwyraźniej komendant nie zrezygnował z godności.

Ocena: minus 8.

- Przez większą część swojego życia zawodowego służyłem w RAID ¹.

- Dlaczego pan już tam nie pracuje?

Uśmiecha się i spuszcza głowę. A potem mówię:

- Nie chcę być niedyskretny, ale ile ma pan lat?

- Ponad pięćdziesiąt. Poniżej sześćdziesiątki.

- Jesteśmy prawie rówieśnikami.

- Jaki to ma związek?

- Są pewne kategorie ludzi, jakie w moim wieku od razu rozpoznaję: pederasci, rasiści, faszyci, hipokryci, alkoholicy. Narkomani. Czy pan także, panie...?

- Kaminski. Albert Kaminski. Przecież pan widzi, kim jestem, panie Delambre. I to jest odpowiedź na pańskie pytanie.

Uśmiechamy się do siebie. Odrabia cztery punkty.

- Byłem negocjatorem, zostałem usunięty z kadr policji osiem lat temu. Błąd zawodowy.

- Poważny?

- Śmierć człowieka. Konkretnie śmierć kobiety. Samobójczyni. Byłem nieźle naćpany. Extasy. Wyskoczyła przez okno.

Facet, który w kilka minut odrabia dziesięciopunktową stratę, to ktoś, kto umie grać na współczucie, bliskość, podobieństwo, krótko mówiąc, ktoś, kto dobrze oszukuje. Pokroju Bertranda Lacoste'a. Albo ktoś bardzo szczery.

- I sądzi pan, że zaufam osobie takiej jak pan?

Zastanawia się przez chwilę.

- Zależy, czego pan szuka.

Chyba jest wyższy ode mnie, musi mieć z metr osiemdziesiąt wzrostu. Szeroki w ramionach, ale im niżej, tym szerszy. W dziewiętnastym wieku jak nic uchodziłby za suchotnika.

- Jeśli faktycznie jest pan pisarzem i szuka informacji na temat brania zakładników, na pewno będę mógł panu pomóc.

Podtekst jest czytelny; facet nie jest naiwny.

- Co to jest RAID?

Mruży oczy. Jest skonsternowany.

- Nie, poważnie...

- RAID działa w myśl dewizy „poszukiwania, pomoc, interwencja i perswazja”. Do mnie należała perswazja. To znaczy póki byłem w stanie.

Jest niezły. Nawet jeśli obaj tworzymy pieprzoną parę rozbitków życiowych. Z czego żyje? Ubrany jest skromnie. Wyczuwa się w nim człowieka obrotnego, słabego zdrowia, niegardzącego różnymi fuchami. Wcześniej czy później facet skończy w więzieniu albo na śmietniku dilerów. Oznacza to, że w kwestii stawki będę mógł się targować. Na myśl o pieniądzach ogarnia mnie przytłaczający smutek. Przypomina mi się Mathilde, a potem Nicole, która już nie chce spać ze mną w jednym łóżku. Jestem zmęczony.

Albert Kaminski przygląda mi się z niepokojem i podsuwa karafkę z wodą. Nie mogę złapać tchu. Działam za szybko, wszystko dzieje się za szybko.

- Coś nie tak? - pyta z naciskiem.

Wychylam szklanekę wody. Otrząsam się.

- Ile pan bierze?

14

Od: David Fontana

12 maja

Do: Bertrand Lacoste

Temat: Operacja „Wzięcie zakładników” – Klient: Exxyal-Europe

Teren operacji – w trakcie urządzania. Do naszej dyspozycji będą dwie główne strefy.

Po pierwsze: duża sala (na planie sektor A), w której będą przetrzymywani zakładnicy. Od korytarza oddziela ją częściowo oszklone przepierzenie, które napastnicy będą mogli zasłonić, gdyby chciał Pan wykorzystać efekt odosobnienia.

Po drugie: biura.

W sektorze D: sala wypoczynkowa i do debriefingu.

W sektorze B: sala przesłuchań. Zgodnie ze scenariuszem menedżerowie będą przesłuchiwać kolejno jeden po drugim, rozmowa będzie nakierowana na ich własne poczynania.

Osoby oceniające, które znajdą się w sektorze C, będą śledziły przebieg przesłuchań na ekranach kontrolnych.

W tej konfiguracji kandydaci na stanowisko dyrektora personalnego (na planie zaznaczeni szarym kolorem) będą siedzieli twarzami do ekranów.

Przeprowadziliśmy próby z izolacją dźwiękoszczelną – wypadły zadowalająco.

Sceny dla oceniających będą filmowały kamery na dwóch stanowiskach. Jedno będzie w sali, w której czekać będą zakładnicy, drugie w sali przesłuchań. Kiedy oba stanowiska zostaną w pełni wyposażone, rozpoczniemy próby.

Na koniec czuję się w obowiązku zaznaczyć, że nie zawsze można przewidzieć reakcje uczestników gry.

Niezależnie od rozwoju sytuacji odpowiedzialność za przebieg operacji ponoszą rzecz jasna wyłącznie organizatorzy.

*W aneksie numer 2 znajdzie Pan pokwitowania do podpisu przez
Pana lub Pańskiego klienta.*

*Z poważaniem,
David Fontana*

15

Pierwszą osobą, jaką o godzinie siedemnastej, po wyjściu z liceum, widzi Mathilde, jest jej ojciec. Jestem ja. Stoję otoczony chmarą młodych ludzi, którzy napływają ze wszystkich stron, krzycząc, biegnąc, nawołując się. Mathilde nie odzywa się, kroczy obok mnie z zaciśniętymi ustami, jakby szła na rzeź.

Ifigenia.

Uważam, że to już lekka przesada.

Wchodzimy do agencji banku i oto jest „doradca klienta”. Istna kopia mojego zięcia, ten sam garnitur, ta sama fryzura, ten sam sposób bycia, mówienia. Ile klonów tego modelu stworzono? Ale lepiej unikać myślenia o Gregorym, bo jest on zwiastunem kolosalnych problemów.

Mathilde zamyka się na chwilę z bankowcem i zaraz wraca. Niesamowite, że to takie proste. Córka wręcza mi grubą kopertę.

Odruchowo podsuwa mi policzek do pocałunku; żałuje swojej oschłości, ale już za późno. Myśli, że jestem wściekły; chciałbym coś powiedzieć, lecz nie bardzo wiem co. Ściska mnie za ramię. Teraz, kiedy oddała mi już połowę swojego majątku, zdaje się odczuwać ulgę. Mówi tylko:

- Obiecałeś, pamiętaj...

A potem się uśmiecha, jakby jej było wstyd, że się powtarza, że okazuje mi nie dość zaufania. Jakby się wstydziała, że się boi.

Przy metrze rozstajemy się.

- Trochę się przespaceruję.

W rzeczywistości czekam, aż odjedzie, po czym z kolei ja schodzę. Nie miałem odwagi przedłużyć tego spotkania.

Nastawiam komórkę na tryb wibrujący i wsuwam do kieszeni spodni. Według moich obliczeń powinna dotrzeć do domu za jakieś pół godziny. Mijam kolejne stacje, zmieniam linię, wędruję korytarzami, telefon obija mi się o udo. Na stacji przesiadkowej, zamiast wskoczyć do pociągu, siadam na jednym z foteli, z którego podnoszę nieźle już wymięty „Le Monde”. Czytam: *Pracownicy stanowią w chwili obecnej „największe zagrożenie” dla finansowego bezpieczeństwa przedsiębiorstw.*

Zerkam na zegarek, nerwowo przerzucając gazetę. Strona ósma: *Rekordowy wynik na licytacji jachtu Shahida Al-Abbasiego: sto siedemdziesiąt cztery miliony dolarów.*

Siedzę jak na rozżarzonych węglach i trudno jest mi się skoncentrować.

Nie musiałem długo czekać. Pospiesznie wyjmuję komórkę i spoglądam na ekran. Mathilde. Przełykam ślinę, czekając, aż dzwonek umilknie; Mathilde nie zostawia wiadomości.

Próbuję skupić myśli na czym innym. Strona piętnasta: *Po czteromiesięcznej okupacji fabryki pracownicy Desforges’a przystają na podwyżkę w wysokości trzysta euro i przerywają blokadę.*

Ale dwie minuty później Mathilde znowu dzwoni. Rzut oka na zegarek, szybko obliczam. Nicole jeszcze nie wróciła, ale i tak będzie w domu przede mną, a nie chcę, żeby Mathilde zostawiła wiadomość na naszej sekretarce. Po trzecim dzwonku odbieram.

- Tato!

Brak jej słów. Mnie też.

- Jak mogłeś... - zaczyna.

Ale tylko na tyle potrafi się zdobyć. Jest w domu. Przed chwilą zobaczyła męża z przefasonowaną twarzą i dowiedziała się, że poszedłem do niej, bo z nim mi się nie udało.

Musiała też przyznać się mężowi, że oddała swojemu ojcu ich wspólne pieniądze.

Są wściekli; rozumiem ich.

- Posłuchaj, dziecinko, zaraz ci wyjaśnię...

- PRZESTAŃ!

Ryknęła. Na cały głos.

- Oddaj mi te pieniądze, tato! NATYCHMIAST mi je oddaj!

W obawie, że zaraz zabraknie mi odwagi, mówię:

- Już ich nie mam, dziecinko, przed chwilą zapłaciłem nimi za posadę.

Cisza.

Nie wiem, czy mi wierzy, bo wszystko, czym byłem dotąd w jej oczach, rozplynęło się w nowym obrazie mojej osoby, niewyobrażalnym i strasznym.

I nie tylko musi zrewidować całą dotychczasową wiedzę o swoim ojcu, ale gorzej: będzie musiała z tym żyć.

Więc trzeba jej dodać otuchy. Powiedzieć, że nie powinna się bać.

- Pamiętaj, dziecinko, masz moje słowo!

Tym razem nie musi szukać słów. Jej głos jest poważny i spokojny. W kilku sylabach zamyka sedno swojej myśli.

- Jesteś łajdakiem...

To nie opinia, lecz stwierdzenie faktu. Wychodząc ze stacji, przyciskam do piersi kopertę: moją przepustkę do panteonu ojców rodziny i dzieci łajdaka.

16

Mathilde nie zadzwoniła. Była tak wściekła, że sama przyszła. Z taką siłą i furią nacisnęła klawisz domofonu, że miałem wrażenie, iż nie odrywała od niego palca przez cały ten czas, kiedy wchodziła na górę, a potem zasypała mnie wyzwiskami w obecności swojej matki. Żądała, żebym natychmiast oddał pieniądze, które mi pożyczyła, wrzeszczała, że jestem oszustem. Wolałem nie myśleć, że koperta z pieniędzmi nadal leży w szufladzie mojego biurka i że wystarczyłoby zrobić kilka kroków, żeby ją uspokoić, żeby wszystko wróciło do normy. Skoncentrowałem się, sięgnąłem do swoich ostatnich rezerw jak u dentysty, który zabiera się do bolącego zęba.

Wszystko poszło źle. Co było rzecz jasna do przewidzenia, niemniej sprawiło mi ogromną przykrość.

Dlaczego w żaden sposób nie mogą mnie zrozumieć? To dla mnie zagadka. Choć w istocie niezupełnie. Początkowo dla Mathilde i Nicole bezrobocie było pewnym pojęciem, pewnym konceptem: czymś, o czym piszą w gazetach, o czym się mówi w telewizji. Ale wkrótce rzeczywistość im uświadomiła, jak bardzo powszechne stało się bezrobocie. Bardzo szybko okazało się, że trudno nie zetknąć się z osobą bezpośrednio nim dotkniętą, nie spotkać kogoś mającego bezrobotnego wśród najbliższych. Jednak dla Mathilde i Nicole rzeczywistość ta nadal pozostawała mglista, bezrobocie bezsprzecznie występuje, lecz można z nim żyć; wiadomo, że istnieje, ale dotyczy tylko innych. Tak jak głód na świecie, jak bezdomni, jak AIDS. Jak hemoroidy. Dla tych, których bezpośrednio nie dotknęło, pozostaje abstrakcyjnym tłem. I nagle, kiedy nikt się tego nie

spodziewał, bezrobocie zadzwoniło do naszych drzwi. Zachowało się jak Mathilde; położyło gruby paluch na przycisku domofonu, tyle że nie wszyscy słyszeli jego dzwonek równie długo. Na przykład ci, którzy rano idą do pracy, przez cały dzień pozostają poza jego zasięgiem, słyszą go dopiero wieczorem po powrocie do domu. I to tylko ci, którzy mieszkają z bezrobotnym, albo kiedy ten temat pojawi się w wieczornym dzienniku. Mathilde ów dzwonek słyszała rzadko, tylko w niektóre wieczory lub weekendy, kiedy nas odwiedzała. I tu jest właśnie ta zasadnicza różnica: mnie bezrobocie już dawno zaczęło rozrywać bębny w uszach. I jak im to wytłumaczyć!?

Gdyby Mathilde dopuściła mnie do głosu, spróbowałbym jej wytłumaczyć, jak niebываłe dopisało mi szczęście (praca, na którą miałem bardzo realne widoki) ale ona, ledwie się odezwał, znów zaczęła wrzeszczeć. Krzyczała i waliła pięścią w stół. Nawet się już zastanawiałem, czy aby nie potłucze dopiero co kupionych naczyń. Nicole nie odzywała się. Siedziała skulona w kącie pokoju i wpatrywała się we mnie, cicho płacząc, jakbym odstawił najbardziej żałosny spektakl, jaki w życiu widziała.

W końcu zrezygnowałem z prób wytłumaczenia się. Poszedłem do swojego gabinetu, lecz to nie wystarczyło. Mathilde z rozmachem otworzyła drzwi i znów zaczęła mi wymyślać. Nie mogła się w żaden sposób uspokoić. Teraz nawet Nicole próbowała przemówić jej do rozsądku, przekonywała, że krzyki i wrzaski niczego nie zmieniają, że trzeba podejść do sprawy bardziej konstruktywnie, zastanowić się, co konkretnie można zrobić. Gniew Mathilde zwrócił się przeciwko matce.

- A co można zrobić? Zwrócisz to, co mi zabrał?

A potem znowu do mnie:

- W twoim interesie NAPRAWDĘ leży oddać mi te pieniądze, tato! W twoim interesie NAPRAWDĘ leży zwrócić mi je przed terminem kupna mieszkania, bo jak...

I tu nagle urwała.

Zaślepiąca furia, dopiero teraz to rozumiała: nie będzie mogła nic zrobić. Jeśli jej nie spłace, mieszkanie przepadnie, straci większość tego, co już wpłaciła. Nie można było nic zrobić. Zatkąło ją. Powiedziałem:

- Dałem ci moje słowo, dziecinko. Zwrócę ci całą sumę. Czy kiedykolwiek cię okłamałem?

Był to cios poniżej pasa, lecz czyż mogłem inaczej postąpić?

Kiedy Mathilde wyszła, w mieszkaniu przez dłuższą chwilę panowała ciężka cisza. Słyszałem, jak Nicole wędruje z pokoju do pokoju, w końcu przyszła do mnie. Jej gniew ustąpił miejsca przygnębieniu. Otarła łzy.

- Na co ci były te pieniądze? - zapytała.

- Żeby jak najbardziej zwiększyć nasze szanse.

Machnęła ręką z irytacją i niezrozumieniem. Już od wielu nocy, odkąd przeniosła się do pokoju gościnnego, zastanawiałem się, czy jeśli któregoś dnia zapyta, będę miał odwagę jej o wszystkim powiedzieć. Rozważałem różne hipotezy. Ale to Nicole, całkiem nieświadomie, wybrała jedną z nich.

- Powiedziałeś Mathilde, że na... łapówkę?

Potwierdziłem.

- Ale dla kogo?

- Dla firmy rekrutującej.

Twarz Nicole się zmieniła. Wydało mi się, że dostrzegam na niej błysk zrozumienia. Wykorzystałem to. Wiem, że nie powinienem się aż tak daleko posunąć, ale ja też potrzebowałem ulgi.

- Nabór zlecono BLC-Consulting. Oni dokonają wyboru. Za to zapłaciłem. Kupiłem tę pracę.

Nicole usiadła na krześle przy moim biurku. Ekran komputera rozjaśnił się i ukazała się na nim strona internetowa Exxyalu z szybami naftowymi, helikopterami, rafineriami...

- Więc... to pewne?

Oddałbym wszystkie czekające mnie jeszcze lata życia, byle nie musieć na to odpowiedzieć, ale żaden z bogów nie pospieszył mi z pomocą. Byłem sam naprzeciwko bezgranicznej nadziei Nicole, wyzierającej z jej szeroko otwartych oczu. Nie mogłem wykrztusić słowa. Uśmiechnąłem się tylko i rozłożyłem ręce w geście wyrażającym oczywistość. Nicole uśmiechnęła się. Dla niej był to absolutny cud. Nie przestając się uśmiechać, znów zaczęła płakać. Niemniej nadal szukała jakiejś luki.

- Może łapówki zażądali też od innych kandydatów? - zapytała.

- To byłaby bzdura. Jest tylko jedno stanowisko do objęcia. Po co mieliby je proponować również innym, skoro zaraz musieliby im oddać pieniądze?

- Niesamowite! Nie mogę uwierzyć, że ci coś takiego zaproponowali.

- Sam im to zaproponowałem. Było trzech kandydatów odpowiadających profilem osobowym. Wszyscy mieliśmy równe szanse. Trzeba się było czymś wyróżnić.

Nicole była oszołomiona. Poczułem lekką ulgę, ale ta ulga miała dziwnie gorzki smak: im bardziej podkreślałem słuszność tej wersji, tym bardziej złowieszczo przedstawiały się wątpliwości związane z moim planem. Żegnałem się właśnie z ostatnią szansą na znalezienie jakiegokolwiek zrozumienia dla siebie, nawet jeśli nie wygram.

- Jak zdołasz spłacić tak szybko Mathilde?

Wszyscy wiedzą, że pierwsze kłamstwo pociąga za sobą następne. Teoria zarządzania mówi, żeby jak najmniej kłamać, trzymać się jak najbliżej prawdy. Nie zawsze jest to możliwe. W tym wypadku trzeba było podbić stawkę.

- Wynegocjowałem dwadzieścia tysięcy euro. Ale za dwadzieścia pięć postaram się przekonać swojego klienta, żeby mi dał zaliczkę.

W duchu zastanawiałem się, dokąd mnie to zaprowadzi.

- I na okresie próbnym dostaniesz zaliczkę?

W każdych negocjacjach następuje punkt przełomowy. Wóz albo przewóz. Znalazłem się w tym punkcie. Powiedziałem:

- Dwadzieścia pięć tysięcy to dokładnie trzymiesięczna pensja.

Nadal snuł się między nami woal sceptycyzmu, ale czułem, że jestem na najlepszej drodze do przekonania Nicole. I wiem dlaczego. Z powodu tej cholernej nadziei, niezbędności nadziei.

- Czemu nie wytłumaczyłeś wszystkiego Mathilde?

- Bo Mathilde słucha tylko głosu własnego gniewu.

Podszedłem i wziąłem Nicole w ramiona.

- A więc na czym ma polegać akcja z zakładnikami?

Pozostało mi już tylko oddramatyzować sprawę. Czułem się dobrze, jakbym sam już zaczął wierzyć we własne kłamstwo.

- To tylko pretekst, słonko, zwykły pretekst. W rzeczywistości niczemu niesłużący, bo kości zostały już rzucone! Wpuszczą do środka dwóch chłopaków z plastikowymi pukawkami, którzy na kilka minut napędzą im strachu, i wszystko. To symulacja, która potrwa kwadrans, trzeba sprawdzić, czy ludzie do reszty nie stracą zimnej krwi, i klient będzie zadowolony. Wszyscy będą zadowoleni.

Przez chwilę Nicole siedziała zamyślona, a potem zapytała:

- Więc nie musisz już nic robić? Zapłaciłeś i masz pracę?

- Otóż to. Zapłaciłem. Teraz pozostaje tylko czekać.

Gdyby Nicole zadała jeszcze jedno pytanie, tylko jedno, ja z kolei zalałbym się łzami. Ale ona nie miała już pytań, była uspokojona. Miałem wielką ochotę zauważyć, że teraz, kiedy miała pewność, że dostanie pracę, wzięcie zakładników już jej zbytnio nie oburzało, ale i tak dopisało mi szczęście, no i, szczerze mówiąc, sam byłem wykończony własnymi kłamstwami.

- Wiem, że jesteś bardzo dzielny, Alain - powiedziała. - Wiem, jak bardzo starasz się znaleźć wyjście z tej sytuacji. Wiem, że bierzesz różne fuchy, o których mi nie mówisz, bo boisz się, że będę się za ciebie wstydziła.

Jestem zdumiony, bo sądziłem, że nie ma o tym pojęcia.

- Zawsze podziwiałam i nadal podziwiam twoją energię i determinację, ale naszych córek lepiej w to nie mieszać; musimy sobie poradzić bez nich.

W zasadzie się z nią zgadzam, ale kiedy już tylko one mogą pomóc, co wtedy? Udawać, że się tego nie widzi? Czy solidarność ma działać tylko w jedną stronę? Oczywiście zachowuję ową refleksję dla siebie.

- Tę sprawę z pieniędzmi, z zapłatą za pracę, trzeba to wszystko Mathilde wytłumaczyć - ciągnęła Nicole. - Uspokoić ją. Naprawdę, powinieneś do niej zadzwonić.

- Posłuchaj, Nicole, wszyscy działamy pod wpływem gniewu, emocji, paniki. Za kilka dni dostanę pracę, oddam jej pieniądze, kupi sobie mieszkanie i wszystko wróci do normy.

W gruncie rzeczy oboje byliśmy równie wykończeni.

Nicole przystała na moją tchórzliwą propozycję.

17

Moja wiedza o działalności Exxyl-Europe jest obecnie raczej kompletna.

Znam na pamięć schemat organizacyjny grupy europejskiej (jak również głównych akcjonariuszy grupy amerykańskiej), znam trendy rozwojowe ostatnich pięciu lat, kariery głównych prezesów, szczegółowy skład kapitału, najważniejsze daty w giełdowej historii grupy, projekty – zwłaszcza ten dotyczący przybliżenia produkcji do bazy surowcowej oraz wygaszania działalności rafinerii w Europie, w tym zakładu w Sarqueville. Najtrudniejsze było zrozumienie środowiska rynkowego Exxylu. Całe dwie noce zajęło mi zapoznawanie się z branżą; czytałem o złożach, poszukiwaniu ropy, produkcji, wierceniach, transporcie, rafineriach, logistyce... Z początku wszystko to mnie przerażało, bo sprawy techniczne nie są moją mocną stroną, ale jestem tak silnie zmotywowany, że w końcu się wciągnąłem. Dziwne, ale chwilami czuję się tak, jakbym już tu pracował. Myślę, że nawet niektórzy menedżerowie nie znają grupy równie dobrze jak ja.

Porobiłem fiszki. Jest ich prawie osiemdziesiąt. Żółte do sytuacji finansowej grupy i jej wartości giełdowej, niebieskie – do spraw technicznych, białe dotyczą wspólników. Pod nieobecność Nicole chodzę w tę i z powrotem po salonie i powtarzam informacje z fiszek na głos. Jestem bez reszty w temacie, stosuję technikę zanurzenia.

Już cztery dni tak wkuwam. To zwykle etap najbardziej niewdzięczny, materiał został już przyswojony, ale niektóre pojęcia wciąż mi się mieszają. Jeszcze dwa dni i mój umysł

przystąpi do filtrowania materiału. W chwili próby będę miał wszystko w małym palcu. Pod tym względem sprawy układają się świetnie.

Zaczynam już się orientować, o co - w zależności od ich pozycji w grupie - będę mógł pytać uwięzionych menedżerów, jakie pytania mogą wytrącić ich z równowagi. Prawnicy powinni posiadać poufne informacje dotyczące kontraktów zawartych z podwykonawcami, partnerami, klientami; finansiści powinni znać sekrety ważnych negocjacji. To wszystko jest dla mnie jeszcze trochę niejasne, muszę pogłębić wiedzę, mieć w zanadrzu więcej niż inni, osiągnąć szczyt formy, kiedy nadejdzie dzień wielkiej próby. Robię również fiszki na temat operacji wzięcia zakładników, wrócimy potem do nich z Kaminskim.

Wczoraj agencja Mestacha dostarczyła mi pierwsze raporty.

Przeczytałem je i wpadłem w prawdziwą panikę; ci ludzie są w życiu prywatnym rozpaczliwie zwyczajni. Wypisz, wymaluj przeciętniacy z seriali telewizyjnych. Studia, śluby, kilka rozwodów, dzieci na studiach, śluby, rozwody... Jakże deprymujący potrafi być czasami gatunek ludzki! Sądząc z ich danych osobowych oraz przebiegu karier, ci ludzie są nie do trafienia, ponieważ nie ma w nich nic ciekawego. Tymczasem ja muszę znaleźć jakieś ich słabe strony, żeby ich totalnie obnażyć.

Czekam na Kaminskiego. Mimo że jest rozbitkiem życiowym, umiał wykorzystać fakt, iż jestem w podbramkowej sytuacji, do wynegocjowania korzystnej stawki. Jest drogi, ale - choć ekonomicznie sięgnąłem już dna - lubię faceta, można na nim polegać. Nie bardzo mogłem długo podtrzymywać fikcję o książce, którą mam napisać. Powiedziałem mu, jak jest naprawdę, co znacznie uprościło nasze stosunki na płaszczyźnie pracy.

Przeczytał spokojnie fiszki „zakładników”, tak w moim przekonaniu bezbarwne, i dostrzegł mój niepokój.

- Gdyby pan przeczytał swoją fiszkę - powiedział - byłaby podobna. A przecież nie jest pan pierwszym lepszym bezrobotnym: przygotowuje się pan właśnie do wzięcia zakładników.

Wiedziałem o tym, ale - odkąd nie mogę liczyć na Nicole - nie mam już nikogo, od kogo mógłbym usłyszeć takie zwykłe głupie rzeczy, jakich jestem złaźniony.

Studiowałem na okrągło te fiszki. Jak mówi Kaminski, można być gruntownie przygotowanym, a na koniec człowiek i tak zawsze musi zawierzyć własnej intuicji.

Z matematycznego punktu widzenia, z uwzględnieniem ewentualnych błędów na sporządzonej przeze mnie liście zakładników, moje szanse powodzenia są tylko spore; daleko im do wielkich. Ale stawiam na fakt, że nawet jeśli popełnię jakieś grube błędy w trakcie przygotowań, żaden z moich rywali nie będzie miał tak pełnej informacji o życiu prywatnym zakładników.

Wystarczyłoby mi rzucić na kolana dwóch lub trzech, żeby się bezapelacyjnie wyróżnić na tle pozostałych rywali.

W tym zaś celu potrzebne mi są „miażdżące” informacje.

Mogę zapłacić za dodatkowe informacje dotyczące pięciu osób, nie więcej.

Po długich wahaniach wybrałem dwóch mężczyzn (Jean-Marc Guéneau, czterdzieści pięć lat, docent nauk ekonomicznych, i Paul Cousin, koło pięćdziesiątki, pełnomocnik do zadań specjalnych) i dwie kobiety (Évelyne Camberlin, czterdzieści osiem lat, szefowa security audit, oraz główna księgowa Virginie Tràn, trzydzieści cztery lata). Dorzuciłem jeszcze Davida Fontanę, który, jak wynika z jego korespondencji mailowej z Lacoste'em, jest organizatorem akcji.

Co do Paula Cousina - nawet przez chwilę się nie wahałem: jak wnioskuję z rachunków bankowych, jego pensja nie jest przelewana ani na konto osobiste, ani na konto rodzinne! Tajemnicza sprawa. Jego żona posiada własne konto, które Cousin co miesiąc zasila. Nie są to

duże sumy; z daleka mi tu pachnie rozpadem małżeństwa. Lub też, jeśli to solidne stadło, żona może nie wiedzieć, jak sytuacja wygląda naprawdę. Tak czy inaczej, pensja Cousina (z pewnością niebłaha - pięćdziesięcioletni pełnomocnik do zadań specjalnych z dwudziestoletnim stażem w firmie) nigdzie nie figuruje: jest przelewana na konto opiekujące na cudze nazwisko.

To bardzo obiecujące.

Dodatkowa informacja.

Bardzo wnikliwie przestudiowałem przypadek Jeana-Marca Guéneau. W wieku dwudziestu jeden lat poślubił majątną pannę de Boissieu. Mają siedmioro dzieci. O rodzinie Jeana-Marca Guéneau nie znalazłem prawie nic, natomiast ojciec jego małżonki to nie kto inny jak doktor de Boissieu, zagorzały katolik i prezes niezwykle czynnego stowarzyszenia do walki z aborcją. Skutkiem czego u państwa Guéneau dzieci są płodzone jak króliki. Nie trzeba być wielkim cwaniakiem, by domyślić się, że pan domu używa sobie gdzieś na boku. Kiedy ludzie afiszują się ze swoją wielką moralnością, można mieć pewność, że ukrywają pod dywanem coś wstydlivego.

Dodatkowa informacja.

Wśród kobiet wytypowałem Évelyne Camberlin. U kobiety na tym stanowisku, pięćdziesięcioletniej i samotnej, zawsze można się czegoś doskrobać. O moim wyborze w dużym stopniu zdecydowały jej zdjęcia; nie wiem czemu, ale wydaje mi się interesująca. Kiedy powiedziałem o tym Kaminskiemu, uśmiechnął się. „Coś w tym jest”.

Zakończyłem listę na Virginie Tràn. Podlega jej wiele strategicznych kont, najważniejsi klienci Exxyalu. Jest niebywale ambitna, wyrachowana, szybko awansuje; nie sądzę, żeby taka dziewczyna zawracała sobie głowę zbytними skrupułami. Musi być na nią jakiś haczyk.

Możliwe, że te dodatkowe działania nic nie dadzą. Ale jestem na dobrej drodze.

Wszystko, byle wyrwać się z nędzy.

Czasami ogarnia mnie zawrót głowy.

Tym bardziej że cała reszta układa się gorzej.

Od wysłania listu do radcy prawnego hurtowni farmaceutycznej nie miałem od niego żadnych wiadomości. Codziennie rano, niby to po powrocie z pracy, z niecierpliwością zaglądałem do skrzynki na listy. A ponieważ z kancelarii nic nie przychodziło, po dwa, trzy razy dziennie dzwoniłem do mecenas Gilson, której nigdy jednak nie mogłem zastać. Narastał we mnie głuchy niepokój. Dlatego kiedy listonosz kazał mi pokwitować odbiór listu poleconego i kiedy ujrzałem logo kancelarii Gilson & Fréret, poczułem w krzyżu bardzo nieprzyjemne mrowienie. Mecenas Gilson informowała mnie, że jej klient postanowił podtrzymać pozew i że niebawem otrzymam wezwanie do sądu, gdzie odpowiem za obrażenia cielesne zadane mojemu przełożonemu, panu Mehmetowi Pehlivanowi. Tym razem jakimś cudem bez najmniejszego trudu uzyskuje połączenie z mecenas Gilson.

- Nic na to nie poradzę, panie Delambre, zrobiłam wszystko, co w mojej mocy. Mój klient obstaje przy pozwie.

- Ale przecież mieliśmy umowę.

- Nie, panie Delambre, o nic pana nie prosiliśmy, to pan zaproponował napisanie listu z przeprosinami. Zrobił pan to z własnej inicjatywy.

- Ale... po co iść do sądu, skoro pani klient przyjął moje przeprosiny?

- To prawda, mój klient przyjął pańskie przeprosiny. Skądinąd przekazał je panu Pehlivanowi, który, jak zrozumiałam, był nimi w pełni usatysfakcjonowany. Lecz powinien pan mieć świadomość, że taki list stanowi również przyznanie się do winy.

- I...?

- I skoro w całości i dobrowolnie przyznaje się pan do winy, mój klient czuje się uprawniony, by wystąpić z powództwem o należne mu odszkodowanie.

Proponując napisanie listu z przeprosinami, liczyłem się z możliwością podobnego obrotu sprawy, nie sądziłem jednak, że wobec osoby w mojej sytuacji pracodawca i jego radca prawny zachowają się aż tak cynicznie.

- Jest pani dziwką.

- Rozumiem, lecz to niezbyt prawniczy punkt widzenia, panie Delambre, i dlatego radzę poszukać lepszej linii obrony.

Rozłączyła się. Nie rozjuszyło mnie to aż tak, jak przewidywałem. Miałem tylko jedną kartę, zagrałem nią i nie bardzo wiem, o co miałbym się obwiniać.

Podobnie zresztą jak ich: trudno zrezygnować z dalszej gry, kiedy się wygrywa.

Mimo to rąbnąłem komórką o ścianę tak, że się rozpadła na kilka części. Kiedy znów była mi potrzebna, czyli pięć minut później, musiałem ich szukać pod meblami. Sklejona skoczem wygląda jak rzech. Jak okulary starego człowieka w przytułku.

Wydałem wszystkie pieniądze od Mathilde i choć Kaminski zgodził się zejść z czterech do trzech tysięcy euro za dwa dni pracy, musiałem z naszego rachunku oszczędnościowego, na którym zostało tysiąc czterysta dziesięć euro, pobrać tysiąc. Mam nadzieję, że Nicole nie wpadnie na pomysł, żeby sprawdzić jego stan przed końcem tej historii.

Kaminski od razu zaproponował plan pracy: pierwszy dzień będzie poświęcony aspektom materialnym przedsięwzięcia; drugiego dnia przerobimy aspekty psychologiczne przesłuchań. Kaminski nie zna Davida Fontany, którego Lacoste zatrudnił do zorganizowania akcji. Ale z treści jego maili wynika, że facet zna się na robocie. Obaj, Bertrand Lacoste i ja, mamy własnych doradców, naszych ekspertów, naszych coachów; jesteśmy jak dwaj szachiści przed startem w mistrzostwach świata.

Jeśli chodzi o Nicole, to jak dotąd wszystko układa się dobrze. Uspokoila się; podejrzewam, że mimo moich

zastrzeżeń zadzwoniła do Mathilde, żeby ją uspokoić i wyjaśnić cały kontekst sytuacji.

Tak więc kiedy wczoraj o dziesiątej rano przychodzi Kaminski, nawet przez sekundę nie przypuszczam, jak bliski jestem katastrofy.

Zgodnie z umową Kaminski przyniósł kamerę na statywie, która po podłączeniu do telewizora posłuży nam do wizualizacji, jak to określa, wzajemnych pozycji oraz do prowadzenia przesłuchań.

W celu zapoznania mnie z aspektami materialnymi przyniósł też dwa egzemplarze broni: osiemnastostrzałowy pistolet Umarex kaliber 4,5 oraz karabin Cometa-Baikal-QB 57 - zastępując berettę i pistolet maszynowy Uzi, czyli broń, która, jak wynika z maila organizatora, Davida Fontany, zostanie użyta podczas operacji. Kaminski zaproponował też, byśmy odtworzyli dwie główne sale będące miejscem akcji, tak by mógł mi dokładnie wskazać punkty newralgiczne oraz linie rozwoju sytuacji. Przesunęliśmy kanapę, stół i krzesła po ścianę celem zobrazowania strefy, w której będą przetrzymywani zakładnicy.

Jest kwadrans po dwunastej.

Kaminski wyjaśnia mi, jak w tej przestrzeni będą poruszać się napastnicy, żeby zachować pełną kontrolę nad sytuacją. Udaje, że jest zakładnikiem, siada na ziemi pod ścianą, podciąga kolana pod brodę.

Ja stoję w drzwiach, z przewieszonym przez ramię, wycelowanym w niego małym karabinem maszynowym, i w tej chwili otwierają się drzwi i wchodzi Nicole.

Niesamowita scena.

Gdybym w tym momencie kopulował z sąsiadką, byłoby to groteskowe, więc i całkiem proste. Ale tutaj... To, co zastaje Nicole, jest do bólu realistyczne; przyniesiona przez Kaminskiego broń jest przerażająco prawdziwa. To trening. Mężczyzna, którego widzi pod ścianą obejmującego

ramionami nogi i który przygląda się jej obojętnym wzrokiem, jest zawodowcem.

Nicole nie odzywa się. Stoi wstrząśnięta, oniemiała. Przekonywałem ją, że to tylko formalność. Dociera do niej bezmiar mojej dwulicowości. Jej wzrok przesuwają się po broni w moich rękach, po pokoju, po meblach przestawionych pod ściany. To porażka tak totalna, że ani ona, ani ja nie wiemy, co powiedzieć.

Zresztą moje kłamstwa tak głośno krzyczą, że nikt by mnie już nie usłyszał. Nicole kręci głową w niemym sprzeciwie.

I bez słowa wychodzi.

Kaminski potrafił się znaleźć. Rzucił kilka słów. Odmroziłem w mikrofalówce gotowe danie, którym się napędce pożywiliśmy. Rozmyślam o groteskowości tej sytuacji. Nicole prawie nigdy nie wraca w południe do domu. Góra dwa razy w roku. I wcześniej zawsze dzwoni, żeby się upewnić, czy mnie zastanie. Że akurat musiało stać się to dzisiaj! Wszystko sprzysięga się przeciwko mnie. Kaminski z uśmiechem zauważa, że najczęściej w takich właśnie sytuacjach poznaje się ludzi z charakterem.

Atmosfera wczesnym popołudniem jest ciężka i muszę się resztką sił zmobilizować do dalszej pracy. Obraz stojącej w progu Nicole, jej spojrzenie nie dają mi spokoju.

Kaminski to sympatyczny gość. Nie żałuje trudu i przytacza różne historie z własnego doświadczenia, pozwalające mi wyobrazić sobie rozmaite zwroty sytuacji. W sprawach swojego życia jest bardzo dyskretny, ale w końcu mogę z grubsza odtworzyć jego losy. Zanim zaczął pracować w policji, studiował psychologię kliniczną. Potem został negocjatorem w RAID; przypuszczam, że wtedy jeszcze nie ćpał albo nie było tego po nim widać.

W miarę upływu dnia staję się bardziej nerwowy. To głód. Co jakiś czas mówi, że chętnie by zapalił, żeby podładować baterie. Wychodzi i po kilku minutach wraca uspokojony i z błyszczącym wzrokiem. Co bierze, nie mam

pojęcia. Nie przeszkadza mi jego nałóg; wkurzają mnie natomiast te jego manerwy dla zmylenia przeciwnika. W końcu nie wytrzymuję:

- Ma pan mnie za aż takiego idiotę?

- Pieprz się pan!

Jest wściekły. Gotów wstać i wyjść. Waham się przez sekundę, ale ciągnę:

- Wiedziałem, że od rana do wieczora chodzi pan naćpany, ale nie uprzedził mnie pan, że za tę cenę dostanę wrak człowieka!

- A co to zmienia?

- Wszystko. Uważa pan, że jest wart tych pieniędzy, które płacę?

- Niech pan sam sobie odpowie.

- No cóż, powiedziałbym, że nie. Dziewczyna, którą pan zabił, rzuciła się przez okno w czasie, kiedy pan za furgonetką brał w żyłę...

- I co z tego?

- ...Nie była to jedyna szkoda, którą pan spowodował! Czyżbym się mylił?

- Nie pańska sprawa.

- W policji jest inaczej niż w branży prywatnej. Z powodu jednego błędu nikt was nie wyrzuca. Ile pan ich wcześniej popełnił? Od jak dawna pan ćpał i ilu nieboszczyków miał pan na koncie, kiedy wreszcie zdecydowali się pana wywalić?

- Nie ma pan prawa!

- A jak faktycznie było z tą dziewczyną - widział pan, jak spadała, czy zobaczył pan dopiero jej ciało na chodniku? Podobno, zwłaszcza w przypadku takich młodych dziewczyn, słysząc wtedy posępny huk, to prawda?

Kaminski odchyła się na krześle, spokojnie wyjmując z kieszeni paczkę papierosów. Częstuje mnie. Z niepokojem czekam, co powie.

- Nieźle - mówi z uśmiechem.

Poczułem niesamowitą ulgę.

- Naprawdę nieźle; trzyma się pan obranej linii, pozostaje skoncentrowany na tym, co efektywne, zadaje pan pytania krótkie, jadowite, trafnie wybrane. Naprawdę, jak na amatora, poszło całkiem nieźle.

Wstaje, podchodzi do kamery i wyłącza ją. Nawet nie wiedziałem, że działała.

- Przyda się na jutro, zanalizujemy tę sekwencję, kiedy będzie mowa o przesłuchaniach.

Wykonaliśmy dobrą robotę.

Rozstajemy się o dziewiętnastej.

Potem nadchodzi wieczór.

Jestem w mieszkaniu sam.

Przed wyjściem Kaminski zaproponował, żebyśmy przesunęli meble z powrotem na miejsce. Odpowiedziałem, że nie trzeba; wiedziałem już, że Nicole nie wróci. Zabrałem wszystkie pieniądze, jakie znalazłem w domu, i poszedłem kupić butelkę whisky Islay i paczkę papierosów. Piję już drugą szklankę, kiedy przychodzi Lucie, żeby spakować rzeczy matki. Pootwieriałem na oścież okna, ponieważ na dworze jest ciepło i ponieważ od dymu papierosa kręci mi się w głowie. Kiedy wchodzi Lucie, muszę wyglądać na kompletnego rozbitka, co nie jest prawdą. Ale pozory na to wskazują. Lucie nie wypowiada słowa komentacza, mówi tylko:

- Nie mogę zostać, muszę się zająć mamą. Może wybierzemy się jutro na obiad?

- W południe nie mogę. Ale jutro wieczorem?

Lucie kiwa głową, że zgoda. Czule mnie całuje, a mnie serce się kroi.

Lecz czeka mnie jeszcze sporo pracy.

Zapalam drugiego papierosa, biorę swoje fiszki i wędrując po wielkim pustym salonie, zaczynam powtórkę materiału: „Kapitał: 4,7 miliona euro. Repartycja kapitału: Exxyal Group - osiem procent, Total - jedenaście i pół procent...”.

Tego wieczoru Mathilde nagrywa dwie krótkie, gniewne wiadomości.

W pewnej chwili mówi: „Jesteś przeciwieństwem wszystkiego, czego oczekuję po własnym ojcu”.

Jej słowa łamią mi serce.

18

Od: Olenka Zbikowski

BLC-Consulting

Do: Bertrand Lacoste

Temat: Zakończenie stażu

Jak Panu wiadomo, mój drugi staż kończy się trzydziestego maja tego roku. Trwa on sześć miesięcy i jest kontynuacją wcześniejszego, czteromiesięcznego.

W załączniku do niniejszej notatki znajdzie Pan pełne sprawozdanie z mojej działalności w BLC-Consulting od chwili, kiedy zechciał Pan obdarzyć mnie zaufaniem. Przy tej okazji pragnę gorąco podziękować za misję, które mi Pan w okresie tych dziesięciu miesięcy powierzał, w tym niektóre daleko wybiegające poza ramy zadań zwykle powierzanych stażystce.

Blisko dziesięć miesięcy pracy bez wynagrodzenia, w której wykazywałam pełną dyspozycyjność oraz niezachwianą lojalność to okres próbny wystarczająco długi, bym z Pana strony mogła liczyć na decyzję o zatrudnieniu mnie na stałe.

Przy tej okazji raz jeszcze zapewniam pana o moim oddaniu BLC-Consulting oraz o gorącym pragnieniu kontynuowania pracy u Pańskiego boku.

Szczerze oddana,

Olenka Zbikowski

19

Charles powiedział: „Mieszkam pod czterdziestym siódmym”, co oznacza, że jego samochód zaparkowany jest pod numerem 47.

Numery 47 oraz, trzysta metrów dalej, 45 są jedynymi na tej ulicy. Rozdziela je ogromny mur z piaskowca jakiejś nieczynnej fabryki, będącej wyłączną atrakcją tej dzielnicy. Po drugiej stronie - ogrodzenia i rusztowania nowo budowanych domów. Ulica jest prosta, posępna, z rzędem latarni co trzydzieści, czterdzieści metrów.

Charles wita mnie zwyczajowym uniesieniem lewej ręki.

- Wcześniej - mówi - siedzibę miałem tam, pod samą latarnią. Nie dało rady zasnąć! Musiałem poczekać, aż zwolni się miejsce w strefie zacienionej.

Był bardzo zaskoczony, kiedy zadzwoniłem.

- Wciąż aktualny jest ten drink u ciebie?

Choć był już po swojej dziennej dawce, szczerze się ucieszył.

- Naprawdę? Chcesz mnie odwiedzić w domu?

I oto stoimy o jedenastej w nocy przed jego domem, jaskrawoczerwonym renault 25.

- Rocznik 1985 - z dumą mówi Charles, kładąc rękę na dachu. - V6 turbo, sześć cylindrów, pojemność 2458 centymetrów sześciennych!

Faktem, że wóz od ponad dziesięciu lat jest nie na chodzie, ani trochę się nie przejeżdża. Samochód jest ustawiony na klockach, żeby opony się nie niszczyły. Wygląda, jakby lewitował kilka centymetrów nad ziemią.

- Mam kumpla, który co dwa miesiące wpada, żeby je podpompować.

- Nieźle.

Najbardziej zaskakujące są zderzaki. Przedni i tylny. Grube chromowane rury, absolutnie przesadnej wielkości, dochodzące do prawie metra dwadzieścia wysokości, trochę w rodzaju tych, w jakie wyposażone są amerykańskie ciężarówki. Charles dostrzega moje zdziwienie.

- To przez sąsiadów z przodu i z tyłu. Za każdym razem, gdy wracali z rundki po barach, deformowali mi brykę. Aż któregoś dnia się wkurzyłem. I oto proszę.

Rzeczywiście. Efekt jest.

- Tam dalej (wskazuje wylot ulicy) było też inne renault 25. GTX z osiemdziesiątego czwartego! Ale facet się wyprowadził.

W jego głosie słyszeć żal za utraconą przyjaźnią.

Większość ulicy zastawiona jest rozbitymi furgonetkami, pojazdami na klockach, w których mieszkają cudzoziemscy robotnicy, całe rodziny. Listonosz wsuwa pocztę dla nich za wycieraczki, jak mandaty.

- Atmosfera w dzielicy jest dobra, nie można narzekać - mówi Charles.

Wsiadamy, pijemy drinka. Dobrze zaaranżowane jest to mieszkanie Charles'a, bardzo pomysłowo.

- Cóż, taka jest konieczność! - odpowiada, kiedy mu to mówię. - Nie jest duże, więc musi być...

- Funkcjonalne... - podpowiadam.

- Właśnie! Funkcjonalne!

Przy Charles'u moim największym atutem jest język.

Między siedzeniami Charles stawia pełniącą funkcję bufetu tacę, a na niej butelkę i orzeszki. Na dworze jest ciepło, więc opuściłem szybę; nocny wiatr owiewa mi kark. Przyniosłem przyzwoitą whisky, ani zbyt luksusową, ani zbyt lichą. Oraz kilka paczek chipsów i krakersów.

Prawie z sobą nie rozmawiamy. Patrzymy na siebie, uśmiechamy się. Jesteśmy jak dwaj starzy kumple, którzy po rodzinnym obiedzie siedzą sobie na bujanych fotelach na tarasie. Pozwalam swoim myślom swobodnie błędzić;

zatrzymują się przy Albercie Kaminskim. Spoglądam na Charles'a. Do którego z nich mi bliżej? Nie do Charles'a. Sączy swoją whisky, zapatrzony nieobecny wzrokiem w przednią szybę między dwoma gigantycznymi zderzakami, a dalej, za nimi, w swoją spokojną dzielnicę. Charles tylko wygląda na ofiarę. Kaminski i ja uczestniczymy w wyjątkowych wydarzeniach, obaj równie dobrze możemy skończyć jako mordercy. To możliwa konsekwencja, ponieważ znajdujemy się w sytuacji skrajnej. Możliwe, że Charles z tą swoją utratą wszelkiej nadziei jest z nas trzech najmądrzejszy.

Przy drugiej szklaneczce whisky pojawia się przede mną cień Romaina z całym korowodem czekających mnie przykrości. Uświadamiam sobie, że już podjąłem decyzję. Nie będę prosił Charles'a na świadka. Mówię:

- Myślę, że sam sobie poradzę.

Oczywiście nie jest pewne, że usłyszawszy to stwierdzenie prosto z mostu, Charles zrozumiał, o czym mówię. Zamyślony wpatruje się w dno swojej szklanki i mamrocze kilka słów mogących oznaczać, że się ze mną zgadza, ale nie mam pewności. Po czym kiwa głową na znak potwierdzenia, jakby chciał powiedzieć, że tak już lepiej, że rozumie. Przenoszę wzrok na sznur samochodów, na asfalt lśniący w żółtych plamach świateł latarni, na majaczący w mroku fabryczny mur, który przypomina mury więzienia. Jestem w przededniu Wielkiej Próby, w którą zaangażowałem wszystkie swoje siły, a nawet więcej. Delektuję się tą chwilą spokoju jak człowiek, który jutro może nie żyć.

- Dziwne, jak o tym pomyśleć...

Charles potwierdza, że to faktycznie dziwne. Dopiero teraz, po whisky, zadaję sobie pytanie: co ja tutaj robię? Obawiam się, że przyszedłem tu, żeby nabrać sił: jeśli mi nie pójdzie - oto co mnie prawdopodobnie czeka: samochód na klockach na wyludnionym przedmieściu. Niezbyt to miłe wobec Charles'a.

- Niezbyt to miłe z mojej strony...

Charles bez wahania kładzie mi rękę na kolanie i mówi:

- Nie przejmuj się.

Mimo wszystko jest mi głupio. Próbuję zmienić temat:

- Masz radio?

- Też pytanie! - mówi Charles.

Wyciąga rękę i przekręca gałkę: „...którego prezes i dyrektor naczelny, odchodząc z pracy, otrzymał odprawę w wysokości trzech milionów dwustu tysięcy euro”.

Charles wyłącza radio.

- Ekstra, co? - mówi z podziwem.

Nie wiem, czy ma na myśli informację, czy tylko cieszy się, że może mi zademonstrować, jaki ma tu komfort. I tak mija kolejna godzina.

A potem mówię sobie, że czas wracać. Czeka mnie powtórka materiału, muszę zachować koncentrację.

Nic nie powiedziałem, a jednak Charles, wskazując butelkę, mówi:

- Strzemiennego na drogę?

Udaję, że się zastanawiam. Naprawdę się zastanawiam. To byłoby nierozsądne. Mówię, że nie, to byłoby nierozsądne.

Mijają kolejne długie minuty, pogodne i miłe. Spokojne. Z tego wszystkiego zaczyna mi się chcieć płakać. Charles znów wyciąga rękę i poklepuje mnie po kolanie. Skupiam się na swojej szklance. Pusta.

- Komu w drogę, temu czas...

Odwracam się i sięgam ręką do klamki.

- Odprowadzę cię - mówi Charles, otwierając drzwi ze swojej strony.

Z tyłu za samochodem ściskamy sobie dłonie.

Bez słowa.

Idąc do metra, zastanawiam się, czy Charles nie stał się aby moim jedynym przyjacielem.

20

Jeszcze pięć dni i wszystko się rozstrzygnie. To odliczanie na wspak jest krzepiące, a zarazem przerażające. Na razie potrzebuję pokrzepienia.

Mimo że wczoraj wieczorem wlałem w siebie pół butelki whisky, skoro świt staję do walki. Pijąc kawę, stwierdzam, że powtarzany materiał wchodzi mi do głowy. W poniedziałek lub wtorek powinienem otrzymać wyniki dodatkowych działań firmy detektywistycznej; zostanie mi jeszcze dzień lub dwa na opracowanie strategii. O ile będzie jakieś ziarno do mielenia.

Od wyprowadzki Nicole mieszkanie jest bardzo smutne.

Mathilde już przestała wymyślać mi przez sekretarkę. Pewnie niełatwo jej wyperswadować mężowi natychmiastowe złożenie na mnie skargi. A może już to zrobił.

Kaminski, jak zwykle zapięty na ostatni guzik, zjawia się punktualnie co do sekundy. W programie: lektura i analiza materiałów służących do szkolenia agentów RAID, aspekty psychologiczne wzięcia zakładników oraz przesłuchania.

Najpierw sporządza szczegółową listę wszystkich sztuczek, jakich będą próbowali zakładnicy - o ile będą wystarczająco długo przetrzymywani - i środków ostrożności, jakie zwykle podejmują terroryści. To pozwala mi zapoznać się bliżej z różnymi stadiami psychologicznymi, przez jakie przechodzą zakładnicy, a więc wychwycić momenty, w których będą najslabsi.

Około południa robimy podsumowanie naszej pracy i całe popołudnie poświęcamy przesłuchaniom. Dzięki mojemu doświadczeniu kadrowca jestem obeznany z

technikami manipulacji. Przesłuchanie zakładnika to nic innego jak rozmowa kwalifikacyjna pomnożona o doroczną ocenę pracy i spotęgowana do kwadratu obecnością broni. Główna różnica polega na tym, że w firmie pracownicy żyją w stanie tajonego strachu, podczas gdy przy wzięciu zakładników ofiary jawnie ryzykują własne życie. Chociaż... W firmie tak samo. W gruncie rzeczy jedyna istotna różnica sprowadza się do rodzaju broni oraz okresu inkubacji.

Wieczorem, zgodnie z planem, idę na kolację z Lucie.

To ona mnie zaprasza, ona wybiera restaurację. Starzejąc się, wcześniej lub później stajemy się dziećmi naszych dzieci, to one biorą nas na utrzymanie. Ale ponieważ nie mogę uwierzyć, że nadeszła już ta chwila, wymuszam zmianę restauracji. Idziemy do Roman Noir, dwa kroki od domu. Pogoda jest piękna, Lucie wygląda ślicznie i zachowuje się tak, jakby to nie było żadne okolicznościowe wyjście. I nagle, ponieważ rozmawiamy o czym innym, okoliczność staje się wydarzeniem. Lucie próbuje wina (od dawna przyjęło się, że ona z całej rodziny zna się na tym najlepiej, co nigdy nie zostało udowodnione). Może nie wie, od czego zacząć. Tak czy inaczej woli rozmawiać o wszystkim i o niczym, o swoim mieszkaniu, z którego chętnie by się wyprowadziła, bo jest nie dość widne, o swojej pracy w stowarzyszeniu, o nielicznych zleceniach obrony z urzędu, pozwalających jej na skromne życie. O swoich miłościach Lucie opowiada tylko wtedy, kiedy akurat jest sama. A ponieważ nie porusza tematu, pytam:

- Jak mu na imię?

Uśmiecha się, upija łyk wina i unosząc głowę, oznajmia jakby wbrew sobie:

- Federico.

- Wyraźnie lubisz egzotykę. Jak nazywał się ten ostatni?

- Tato... - protestuje z uśmiechem.

- Fusaaki?

- Fusaaki.

- A nie było też jakiegoś Omara?

- Słuchając cię, można by pomyśleć, że miałam ich setki.

Teraz kolej na mój uśmiech. I tak krok po kroku udajemy, że zapomnieliśmy, co tu oboje robimy. Żeby jej ułatwić sprawę, od razu po zamówieniu deseru pytam, jak się czuje jej matka.

Lucie nie od razu odpowiada.

- Jest bardzo smutna - mówi w końcu. - Bardzo podminowana.

- Cały ten okres jest taki.

- No dobrze, czy powiesz mi, o co chodzi?

Czasami do spotkania z własnym dzieckiem należałoby się przygotować jak do spotkania służbowego. Oczywiście nie miałem na to ani energii, ani ochoty, więc teraz improwizuję, przestając na ogólnikach.

- A konkretnie? - pyta Lucie, kiedy kończę moje wystąpienie.

- Konkretnie twoja matka nie chciała o niczym słyszeć, a twoja siostra nie chciała niczego zrozumieć.

Uśmiecha się.

- A gdzie w tym wszystkim ja?

- W moim obozie zawsze znajdzie się miejsce.

- To nie jest regularna bitwa, tato!

- Nie, ale zawsze bitwa, i jak na razie prowadzę ją samotnie.

Trzeba więc tłumaczyć. I od nowa kłamać.

Dopiero powtarzając to, co już powiedziałem Nicole, widzę, do jakiej wysokości musiałem wznieść gmach swoich kłamstw. Utrzymuję go w stanie chwiejnej równowagi, ale wystarczy najmniejsze potknięcie i wszystko się zawali, włącznie ze mną. Ogłoszenie, testy, łapówka... I tutaj zaczyna się problem. Lucie nawet przez sekundę nie wierzy w moją bajkę.

- I renomowana agencja pośrednictwa pracy bawi się w taką bzdurę dla kilku tysięcy euro? Mimo wszystko dziwne...

Tylko ślepiec nie zauważyłby jej sceptycyzmu.

- Nie cała firma. Facet robi to na własną rękę.

- Mimo wszystko ryzykowna sprawa. Nie zależy mu na tej pracy?

- Nie wiem, ale dla mnie to on równie dobrze może wylądować w pudle, gwizdź na to, byle tylko mnie zatrudnili.

Kiedy kelner przynosi kawę, zapada chwila milczenia i potem rozmowa już się nie klei. Wiem dlaczego. I Lucie też wie. Nie wierzy w ani jedno słowo z mojej opowieści. Wypija kawę, kładzie obie dłonie na stole i mówi:

- Będę musiała już iść.

To nieomylny znak, że odpuszcza sprawę. Mogłaby pogrzebać w którymś z bolesnych miejsc, ale tego nie robi. Wymyśli kilka banałów na użytek matki i siostry, poradzi sobie. Jej zdaniem wdałem się w jakąś podejrzaną aferę i wcale jej nie spieszo poznać szczegóły. Lucie ucieka.

Przez chwilę idziemy razem. Wreszcie odwraca się do mnie i mówi:

- Cóż, mam nadzieję, że wszystko ułoży się po twojej myśli. Gdybyś mnie potrzebował...

A w tym, jak ściska moje ramię i jak mnie całuje, kryje się głęboki smutek.

Ten ostatni weekend przypomina noc przed bitwą.

Jutro, w czas bitwy, o mnie myśl.

Tyle że ja jestem kompletnie sam. Tęsknię za Nicole nie tylko dlatego, że jestem sam, ale ponieważ moje życie bez niej traci sens. Nie wiem, dlaczego nie dała sobie nic wytłumaczyć, dlaczego wszystko się tak zapętleło. Nigdy dotąd czegoś podobnego nie przeżyliśmy. Dlaczego Nicole nie chciała o niczym słuchać? Dlaczego nie uwierzyła, że może mi się udać? Skoro Nicole już we mnie nie wierzy, jestem podwójnie martwy.

Muszę wytrzymać jeszcze kilka dni.

Do czwartku.

Następnego dnia znów przeglądam fiszki, obliczam, ile wydałem, i na myśl o tym, co będzie, jeśli mi nie wyjdzie, czuję zawrót głowy. Studiuję uważnie zdjęcia zakładników, przebieg ich karier. Żeby zachować koncentrację, idę na przechadzkę. Zabieram z sobą wszystkie fiszki, informator o przemyśle petrochemicznym oraz materiały RAID, które Kaminski dla mnie skserował.

Po powrocie zastaję trzy wiadomości od Lucie. Dwie na komórce, którą zostawiłem w domu, trzecią na telefonie stacjonarnym. Po naszej nieudanej wczorajszej kolacji chciałyby się dowiedzieć, co słyhać. Nie mówi dlaczego, ale trochę się niepokoi. Nie mam ochoty oddzwaniać, nie wolno mi się rozpraszać. Za cztery dni, kiedy otrzymam wreszcie przepustkę na powrót do gry, będę mógł im powiedzieć, jak bardzo było mi bez nich trudno.

21

Wczoraj wieczorem zadzwonił do mnie Mestach z wiadomością, że raporty są już gotowe. A że wiszę mu jeszcze połowę honorarium, nie omieszkał zaznaczyć, że jego wywiadowcy mieli bardzo mało czasu i to cud, że udało im się zdobyć tyle informacji – stara taktyka podbijania wartości towaru, którą dobrze znam.

Mestach ponownie przelicza pieniądze, po czym wręcza mi kopertę formatu A4. Chce mnie odprowadzić do wyjścia, lecz ja sadowię się w fotelu w małym korytarzu przed jego gabinetem.

Rozumie, że jeśli nie dostanę za swoje pieniądze dobrego towaru, za chwilę znów się spotkamy.

To pieniądze mojej córki, nie zamierzam ich oddać za darmo.

I trzeba przyznać, że biorąc pod uwagę termin, spisał się dobrze. Pod pewnymi względami nawet bardzo dobrze. Nie chcę tego pokazać. I dlatego po wstępnym zapoznaniu się z wynikami dyskretnie opuszczam budynek. Myślę, że więcej nie będziemy mieli okazji się spotkać.

W domu opróżniam blat biurka i sortuję materiał.

Jean-Marc Guéneau. Czterdzieści pięć lat.

Równie dobrze mógł się urodzić w dziewiętnastym wieku. W jego środowisku od pokoleń zawiera się małżeństwa w obrębie rodzin katolickich. A w nich spotyka się generałów, księży, profesorów oraz mnóstwo gospodyń domowych zamienionych w kury nioski. Ich drzewo genealogiczne jest rozgałęzione niczym tropikalny krzew. Cały ten światek, wrażliwy na niepogodę jak to burżuazja, od początku rewolucji przemysłowej – dla której żywi

wyłącznie pogardę, bo za bardzo pachnie klasą robotniczą – dzięki rencie gruntowej ostrożnie się bogaci. Oczywiście, co było do przewidzenia, ostatnie pokolenia są już otwarcie skrajnie konserwatywne. Mieszkają w Szesnastce, w Siódemce, w Ósemce, w Neuilly – sama klasyka. Mój Guéneau w wieku dwudziestu jeden lat żeni się i przez ponad dekadę, co osiemnaście miesięcy, płodzi dzieciaki. Kończy na siódmym. Madame musi o stałych porach, czyniąc znak krzyża, mierzyć temperaturę, a on musi ją z marszu przelatywać, bo ostrożności nigdy za wiele. Więc siłą rzeczy mój Guéneau potrzebuje powietrza, najchętniej powietrza niezdrowego. Mam dwa jego zdjęcia, pierwsze zrobione o dziewiętnastej trzydzieści, kiedy wchodzi do gabinetu na zapleczu restauracji na rue Saint-Maur. Na drugim – jest dwudziesta czterdzieści pięć – wychodzi. Około dwudziestej pierwszej piętnaście pewnie jest już w domu. Do swojego „fitness klubu” chodzi ze sportową torbą.

Miałem szczęście. Z jego karty kredytowej wynika, że na rue Saint-Maur spędza dwie godziny tygodniowo, najchętniej w czwartki. Pewnie ma kumpli wśród bywalców. Ubawiłem się. Biorę go na muszkę: już nie żyje.

Paul Cousin, lat pięćdziesiąt dwa, jest znacznie bardziej interesujący, bo mniej klasyczny.

Moim zdaniem facet z taką przeszłością jest nie do trafienia, nie pozwoli mi zabłysnąć na tle konkurencji. Będę musiał postarać się, żeby jego przesłuchanie przypadło któremuś z moich rywali. To mój cel.

Sądząc po zdjęciach, jego fizjonomia może wzbudzić strach: ogromna czaszka i wybałuszone oczy. W Exxyalu musi pracować codziennie, w podziemiach firmy ma własne imienne miejsce parkingowe, jego specjalnością są misje techniczne, podróżuje, składa raporty, uczestniczy w spotkaniach, wizytuje obiekty, a jednak od ponad czterech lat płaci mu APEC i... jest właściwie bezrobotny. Studiuję uważnie przebieg jego służby i posiłkując się załączoną

notką zawierającą niezbite dane: daty oraz kilka faktów, w końcu udaje mi się odtworzyć jego przedziwną karierę.

Paul Cousin pracuje dla Exxyalu już od dwudziestu dwóch lat, kiedy cztery lata temu, przy okazji redukcji personelu w dziale, do którego został oddelegowany miesiąc wcześniej, zostaje zwolniony. Ma wówczas czterdzieści osiem lat. Co się wtedy działo w jego głowie: zablokował się całkowicie czy opracował rozpaczliwą strategię? Postanawia nadal, jakby nigdy nic, przychodzić do pracy. Przełożeni wzywają go na rozmowę, sprawa trafia do dyrekcji, która podejmuje decyzję na jego korzyść: skoro chce nadal pracować, nie ma sprawy. Nie otrzymuje wynagrodzenia, jest wydajny, ale nie mogę tego nazwać inaczej jak wolontariatem: od czterech lat pracuje za darmo!

Pewnie liczy, że znów uda mu się pokazać, co potrafi. Będzie pracował tak długo, aż go z powrotem zatrudnią.

Paul Cousin ucieleśnia najstarsze marzenie kapitalizmu. Nawet najbardziej pomysłowy szef firmy nie zdołałby wymyślić nic lepszego. Cousin sprzedał mieszkanie, na które nie było go już stać, przesiadł się z limuzyny na jakiś tani model, pobiera śmiesznie niski zasiłek, ale piastuje niesamowicie wysokie stanowisko. Wyraźnie widzę, dlaczego jest zainteresowany zamknięciem zakładów w Sarqueville: jeśli uda mu się pilotować ten program zwolnień i jeśli robi to dobrze, wróci do firmy; zdobędzie bilet powrotny do stratosfery grupy Exxyal. Człowiek z taką determinacją bez zmrżenia oka pozwoli się zabić, nie da ująć się żywcem. Nigdy się nie ugnie, nawet przed pistoletem maszynowym.

Za to w osobie Virginie Tràn, małej Wietnamki, trafia mi się dobra klientka.

W agencji Mestacha nie potrafili mi powiedzieć, jak dawno temu spotkała Huberta Bonnevala. Na podstawie jej rozmów telefonicznych i kilku wyciągów z karty kredytowej oceniają, że ich związek trwa około osiemnastu miesięcy.

Mam sporo zdjęć zrobionych dwa dni wcześniej, kiedy na targu na rue du Poteau para robi zakupy. Pożerają się wzrokiem nad serami, wymieniają namiętne pocałunki nad papryką. Na ostatnim ujęciu widać, jak objęci wchodzą do domu panny Tràn. Na moje oko trwa to krócej niż osiemnaście miesięcy, albo to prawdziwa namiętność. Musieli spotkać się, jak spekuluje autor załączonej notki, w jakichś okolicznościach służbowych, typu seminarium, wystawa itp. Możliwe. Ważna jest nie tyle panna Tràn, ile jej amant. Hubert Bonneval ma trzydzieści osiem lat, jest szefem projektów w Solaremie, filii głównego rywala handlowego Exxyalu. Sprawa jest oczywista - panna Tràn sypia z konkurencją.

Znakomicie.

Szybko zaglądam do internetu i niebawem znajduję główne inwestycje Solaremu. Teraz już wiem, w jakiej sytuacji postawić małą Virginie, sprawić, żeby pękła, i pokazać, co potrafię w materii oceny pracownika: skłonię ją do zdrady uczuciowej dla dobra swojej firmy, wydobędę od niej informacje techniczne dotyczące platform offshore instalowanych przez Solarem. Będzie musiała zadzwonić do przyjaciela i wytłumaczyć, że w ramach pracy są jej „konieczne” pewne tajne dane techniczne o inwestycjach rywala. Żeby dowieść lojalności wobec pracodawcy, będzie zmuszona zdradzić bliską osobę. Świetnie. Klasyczny szkolny kazus.

O Évelyne Camberlin nic. Drobiazgi.

Wyrzucone pieniądze.

Na koniec najciekawsze.

David Fontana. Zawodowiec zatrudniony przez BLC-Consulting do zorganizowania akcji wzięcia zakładników. Rozpoznaję go na zdjęciu; to ten facet, którego widziałem w towarzystwie Lacoste'a.

Sześć lat temu założył specjalistyczną agencję ochrony. Podśluchy, instalacje, nadzór. Jego firma ma się lepiej niż dobrze; żegluje po wodach powszechnej paranoi. Co roku

jego ekipy zakładają tyle kamer, ile tylko ksiądz zdąży pobłogosławić. Jego bilans nie jest jakiś powalający; wywiadowca wysuwa hipotezę, że dzięki kreatywnej księgowości spora część realnych dochodów w różnych ukrytych formach trafia prosto do rąk właściciela. Jeszcze bardziej mętna jest ta sfera jego działalności, która pozostaje w cieniu; prawie tak mętna jak jego własna przeszłość. Zlecenia wywiadowcze dla firm, ściąganie wiarygodności, wszelkiego rodzaju ochrona. Klientom ujawnia tylko atrakcyjną stronę swojego doświadczenia. Karierę zaczynał w wojsku, w jednostkach transportu powietrznego, potem długa służba w DGSE². I dla klientów jego oficjalna biografia na tym się kończy. Nigdy nie wspomina o swoim doświadczeniu „wolnego strzelca”. Czyli najemnika. Poszperawszy nieco, można się dowiedzieć, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat Davida Fontanę widywano w Birnie, w Kurdystanie, w Kongu, w byłej Jugosławii... Kocha podróże. Idąc z duchem czasu, zaciąga się do różnych prywatnych armii, z których usług korzystają rządy, koncerny międzynarodowe, organizacje międzynarodowe, branża diamentowa. Zajmuje się głównie szkoleniem bojowym. O współpracę z nim ubiegają się najświetniejsze agencje: Military Professional Resources Inc. Dyncorp, Erynis... Nie odmawia pomocnej ręki na różnych scenach operacji wojskowych. Czuje się, że facet jest pełen dobrej woli.

W końcu Fontana zmienia front na skutek pewnej drobnej wpadki: zostaje posądzony o udział w masakrze siedemdziesięciu czterech osób w południowym Sudanie, w okresie, gdy zatrudniająca go agencja pomagała dżandżawidom, milicji popieranej przez rząd.

Wtedy przezornie uznaje, że czas przejść na zasłużoną emeryturę, i zakłada własną agencję ochrony.

Zapewne Bertrand Lacoste o tym wszystkim nie wie. Podobnie jak Exxyal. Firma Fontany w folderze

reklamowym prezentuje się bardzo poprawnie, jego życiorys jest starannie wygładzony. Jakkolwiek, nawet gdyby wiedzieli, pewnie by im to nie przeszkadzało: niezależnie od branży, zawsze potrzebni są ludzie kompetentni, a David Fontana bezdyskusyjnie jest fachowcem.

Przypominam sobie lęk, jaki poczułem, kiedy mnie przydybał przed siedzibą BLC-Consulting. Intuicja mnie nie zawiodła.

Robię fiszkę dla tej trójki i dołączam własne uwagi. Wyobrażając sobie, jakie zadam im pytania i jak poprowadzę przesłuchania, czuję jednak pewien niepokój. Wybrałem ich na podstawie własnego doświadczenia. Ale jeśli menedżerowie obecni w dniu sprawdzianu okażą się nie tymi, na których postawiłem, w których zainwestowałem? Wtedy katastrofa, z powrotem znajdę się w punkcie zerowym.

Perspektywa jest tak zatrważająca, że natychmiast przeganiam ją z myśli. W życiu potrzebne jest też szczęście. A ponieważ w ciągu tych ostatnich paru lat odebrałem już swoją porcję pecha, rozsądnie stwierdzam, że teraz pora, by i do mnie los się uśmiechnął. Mimo to raz jeszcze analizuję kryteria, jakimi się kierowałem, i na szczęście mój wybór się potwierdza. Nalewam sobie szklaneczkę whisky, żeby mi się lepiej myślało. Teraz, kiedy mieszkanie jest puste, kiedy już nikogo przy mnie nie ma, gratuluję sam sobie. Nie pozostało mi nic innego.

22

Bertrandzie!

W sytuacji, kiedy nie dostaję od Ciebie żadnej odpowiedzi w związku z końcem mojego stażu i umową stałą, którą mi przyrzekłeś, dowiaduję się, że zawierasz umowę o nieodpłatny staż z Thomasem Jaulinem, absolwentem tej samej szkoły co ja.

Pozwolę sobie zauważyć, że stanowisko, które mu proponujesz, przypomina co do joty to, które ja sama od dziesięciu miesięcy zajmuję w BLC! (Żeby sporządzić umowę z nim, wyraźnie poprzestałeś na skopiowaniu umowy ze mną!)

Wysłałam ten liścik „instytucjonalny”, ale mam szczerą nadzieję, że błędnie interpretuję tę informację!

Zadzwoń, proszę, do mnie dziś wieczorem.

O dowolnej godzinie.

Olenka

PS Zapomniałam zabrać z łazienki swój naszyjnik, dzięki, że o tym pomyślałeś...

23

Od: Bertrand Lacoste

BLC-Consulting

18 maja

Do: Olenka Zbikowski

Temat: Staż

Szanowna Pani!

W nawiązaniu do naszych wcześniejszych rozmów stwierdzam, że nie mamy obecnie możliwości zatrudnić Pani na czas nieokreślony.

Kilka ostatnio otrzymanych zleceń pozwala nam ufnie patrzeć w najbliższą przyszłość naszej firmy, nie są one jednak zawarte na wystarczająco długi okres, byśmy mogli pozwolić sobie na stałe zaangażowanie nowych współpracowników.

Pani praca w BLC-Consulting została ogólnie uznana za zadowalającą i nie licząc kilku sporadycznych trudności, cieszymy się, że mogliśmy ofiarować Pani sposobność zdobycia wartościowego doświadczenia, które będzie atutem w prezentacji Pani osiągnięć zawodowych ewentualnym pracodawcom.

Rozumiem Pani zdziwienie w związku z akceptacją przez nas kandydatury pana Thomasa Jaulina na pięciomiesięczny nieodpłatny staż w BLC-Consulting. Zgoda ta wynikała z naszego przeświadczenia, że nie będzie Pani chciała przedłużyć swego stażu kończącego się 30 maja, niemniej to oczywiste, że – zważywszy Pani dobrą znajomość naszej działalności oraz zadowalającą integrację z zespołem – jeśli tylko zażyczy sobie Pani kontynuacji obecnego stażu, nasza propozycja dla pana Jaulina zostanie bezzwłocznie wycofana.

W oczekiwaniu na odpowiedź,

Serdecznie pozdrawiam,

Bertrand Lacoste

24

Wszystko jest jasne i wyraźnie przemawia na moją korzyść.

Moim zdaniem będę najlepiej przygotowany.

Będę najlepszy, ponieważ ciężko pracowałem, z pewnością nawet ciężiej niż wszyscy pozostali razem wzięci.

Jestem na tym etapie rozmyślań, kiedy koło dziewiętnastej dzwoni telefon.

Głośnik jest włączony.

Nie jest to kolejny telefon od Lucie. Znam ten głos. Kobieta. Młoda.

- Mówi Olenka Zbikowski.

Zaintrygowany i nieufny podchodzę do aparatu.

- Niedawno spotkaliśmy się w BLC-Consulting, kiedy zdawał pan testy. To ja...

Kiedy do mnie dociera, z kim rozmawiam, łapię telefon w takim pośpiechu, że go przewracam, i muszę wsunąć rękę pod mebel, żeby wyłowić słuchawkę. Krzyczę:

- Halo!

Zrobiłem tylko trzy kroki i skłon, a jestem zdyszany jak po maratonie. Przeraził mnie ten telefon, bo zupełnie nie mieści się w porządku rzeczy.

- Pan Delambre?

Potwierdzam, tak, to ja, mój głos zdradza panikę, dziewczyna przeprasza; skądinąd dobrze ją pamiętam, to ona rozdawała nam formularze testu.

Chce się ze mną spotkać. Teraz, zaraz.

Nie jest to normalne.

- Ale dlaczego? Proszę mi powiedzieć dlaczego?

Słyszysz, jak bardzo wstrząsnął mną ten telefon.

- Jestem niedaleko od pana domu. Mogę być u pana za dwadzieścia minut.

Dwadzieścia minut to jak dwadzieścia godzin, jak dwadzieścia lat.

Jesteśmy w małym ogródku przy skwerze. Siedzimy na ławce. Zapalają się kolejne latarnie. Na ulicy widać niewielu ludzi. Dziewczyna nie jest tak ładna, jak ją pamiętałem. Pewnie dlatego, że nie ma makijażu. Bierze rozpęd i obwieszcza mi koniec świata.

W prostych słowach.

- Oficjalnie jest czwórka kandydatów, ale trzech z was posłuży tylko jako dekoracja. Stanowisko otrzyma kandydatka nazwiskiem Rivet, Juliette Rivet. Nie macie żadnych szans. Jesteście figurantami.

Płynąca przez wiązkę neuronów informacja skręca na bok, ale nie udaje jej się przebić przez osłonkę. Ponownie skręca i w końcu wnika między dwa złącza nerwowe. Zaczyna do mnie docierać rozmiar katastrofy.

- Juliette Rivet jest bardzo bliską przyjaciółką Bertranda Lacoste'a - ciągnie dziewczyna. - To ona ma zostać wybrana. Więc wytypowałem trzech kandydatów-figurantów. Jednego, który ma profil międzynarodowego menedżera, co spodoba się klientowi, drugiego z doświadczeniem mniej więcej podobnym, ale Lacoste postara się zaniżyć ich wyniki. Pan został wybrany ze względu na wiek. Zdaniem Lacoste'a w dzisiejszych czasach dobrze mieć w ofercie seniora.

- Przecież to Exxyal wybiera, nie on!

Jest zdziwiona:

- Skąd pan wie, że rekrutuje dla Exxyalu?

- Proszę odpowiedzieć...

- Nie wiem, jak się pan tego dowiedział, ale Exxyal nie zakwestionuje decyzji Lacoste'a. Przy właściwie równych kompetencjach zatrudnią kandydata preferowanego przez agencję, do której mają zaufanie. Koniec, kropka.

Rozglądam się dookoła, ale wszystko widzę jak przez mgłę. Zaraz się pochoruję. Żołądek mam tak zaciśnięty, że czuję to w krzyżu.

- To stanowisko jest nie dla pana, panie Delambre. Nie ma pan na nie najmniejszych szans.

Jestem tak zdezorientowany, tak ogłupiały, że dziewczyna zastanawia się, czy dobrze zrobiła, mówiąc mi o tym. Muszę przedstawiać sobą przerażający widok.

- Ale... dlaczego pani mi o tym mówi?

- Poinformowałam również dwóch pozostałych kandydatów.

- Lecz jaki pani ma w tym interes?

- Lacoste mnie wykorzystał, wyzyskał, wyeksploatował, a na koniec mi podziękował. Sprawię, że jego wspaniała operacja zakończy się kląpą z powodu braku uczestników. Stawi się tylko jego kandydatka, co będzie dla niego osobistym policzkiem. Oraz kompromitacją wobec klienta. Przyznaję, że trochę to dziecinne, ale przynosi ulgę.

Wstaje.

- Najlepsze, co pan może zrobić, to nie przyjść. Przykro mi to mówić, ale na testach wypadł pan bardzo słabo. Wypadł pan już z gry, panie Delambre, nie powinien pan zostać nawet wezwany na rozmowę. Lacoste zatrzymał pana jako figuranta, bo wie, że gdyby nawet jakimś cudem się panu udało, klient nigdy nie zgodzi się na osobę w pana wieku. Przykro mi...

Wykonuje nieokreślony gest ręką.

- Mam tu własny interes, nie ukrywam, lecz mówię to również dlatego, by oszczędzić panu niepotrzebnych starań, a być może i upokorzenia. Mam ojca mniej więcej w pana wieku i nie chciałabym...

Jest wystarczająco inteligentna, by zorientować się, że z tym demagogicznym argumentem trochę się zagalopowała. Zaciska usta. Po mojej wstrząśniętej twarzy wyraźnie widzi, że osiągnęła cel.

Czuję się jak po lobotomii.

Mój umysł stracił wszelką zdolność reakcji.

- Dlaczego miałbym pani uwierzyć?

- Ponieważ pan sam od początku w to nie wierzył. I dlatego przed kilkoma dniami zadzwonił pan nawet do Bertranda... to znaczy Bertranda Lacoste'a. Chciał pan wierzyć, ale to sprzeczne z wszelką logiką. Myślę, że pan o tym wiedział...

Czekam, aż mój umysł znów zacznie działać.

Kiedy unoszę głowę, dziewczyny już nie ma, widzę ją po drugiej stronie skweru; powolnym krokiem idzie do metra.

Zapadła już noc. Przez szeroko otwarte okna do salonu wpada słabe światło latarni.

Siedzę po ciemku w opustoszałym mieszkaniu.

Sam.

Nicole odeszła.

Pobiłem się z własnym zięciem. On i moja córka czekają na swoje pieniądze.

Za kilka tygodni zaczyna się proces z hurtownią.

Nagle słyszę domofon.

Lucie. Jest na dole.

Dzwoniła i dzwoniła, niepokoi się. Wstaję, lecz kiedy już jestem pod drzwiami, rezygnuję. Osuwam się na kolana i wybucham płaczem.

Głos Lucie nabiera błagalnego tonu.

- Tato, otwórz.

Wie, że jestem, bo widzi w mieszkaniu otwarte okna i zapalone światło. Ale nie stać mnie już na żaden gest.

To klęska. Czas najwyższy się poddać.

Łzy nie przestają mi płynąć. To pierwsze wielkie szczęście od długiego czasu - móc się do tego stopnia wypłakać. Jedyna rzecz absolutnie prawdziwa. Łzy rozpaczy. Jestem unicestwiony. Nie można mnie pocieszyć.

W końcu Lucie odeszła.

Płakałem i nie mogłem przestać.

Musi być straszliwie późno. Jak długo siedziałem tak pod drzwiami i płakałem? Dopóki nie zabrakło mi łez.

W końcu, mimo wyczerpania, udaje mi się wstać.

W mojej głowie zaczynają sobie mozolnie torować drogę jakieś myśli.

Biorę głęboki oddech.

Dławi mnie gniew.

Szukam pewnego numeru telefonu, dzwonię.
Przepraszam, że tak późno.

- Czy wie pan, gdzie mógłbym skombinować jakąś broń?
Prawdziwą...

Kaminski przez kilka sekund trzyma mnie w niepewności.

- W zasadzie tak... Ale... Czego konkretnie pan potrzebuje?

- Obojętnie... Nie! Nie obojętnie. Pistoletu. Pistoletu automatycznego. Może pan? Z amunicją.

Kaminski przez chwilę skupia myśli, a potem pyta:

- Na kiedy to panu potrzebne?

PODCZAS

25

Na godzinę przed rozpoczęciem operacji przyszedł do mnie pan Lacoste i powiedział:

- Panie Fontana, nastąpiła drobna zmiana. Kandydatów na stanowisko dyrektora kadr będzie nie czterech, tylko dwóch.

Rzucił to takim tonem, jakby chodziło o nieistotny detal, ale ponieważ widziałem jego spiętą twarz chwilę wcześniej, kiedy dostał drugiego SMS-a, założyłbym się, że jest odwrotnie. Jego klient Exxyal oczekiwał czwórki kandydatów i trudno sobie wyobrazić, żeby zmniejszenie ich liczby o połowę było całkiem bez znaczenia. Nie wyjaśnił, z jakiego powodu dwóch kandydatów tak w ostatniej chwili się wycofuje, i nie mnie go o to pytać.

Nic nie powiedziałem, to nie moja sprawa. Moim zadaniem było przygotowanie operacji od strony technicznej, zorganizowanie lokalu, personelu itp.

Rzecz w tym, że skomplikowanych operacji zmontowałem już trochę, nawet znacznie trudniejszych niż ta teraz, i zauważyłem, że taka operacja jest jak żywy organizm, bardzo delikatna. To łańcuch, w którym wszystkie ogniwa są ważne. I kiedy w ostatnich minutach przed rozpoczęciem działań zaczynają się pojawiać drobne zakłócenia, z doświadczenia wiem, że nieraz można wtedy spodziewać się najgorszego. Człowiek zawsze powinien słuchać własnej intuicji. Ale tego typu rzeczy często mówi sobie za późno.

Z daleka widziałem pana Lacoste'a rozmawiającego z panem Dorfmannem, prezesem Exxyal-Europe. Zachowywał się z nonszalancją ludzi, którzy obwieszczają złą nowinę,

jakby to była rzecz bez znaczenia. Możliwe, że pan Dorfmann się zaniepokoił, ale nic po sobie nie pokazał. To człowiek, który nie traci zimnej krwi. Wzbudził we mnie pewien szacunek.

Tuż po dziewiątej przez interfon dostałem wiadomość, że przybyły dwie osoby. Zszedłem na dół. Wielki, kompletnie pusty hall budynku wyglądał naprawdę przygnębiająco z tymi dwudziestoma ogromnymi fotelami i dwójką samotnych ludzi, którzy usiedli dobre dziesięć metrów od siebie i nie mieli odwagi nawet się przywitać.

Od razu rozpoznałem pana Delambre'a. Podchodząc do niego, odtwarzałem w głowie ciąg wydarzeń; flashback zatrzymał się na scenie sprzed kilku dni. Wychodziłem ze spotkania z panem Lacoste'em. Stałem na chodniku i już miałem odejść, kiedy poczułem, że ktoś mnie obserwuje. To bardzo szczególne wrażenie, na które niezwykle mnie wyczuliły lata dość niebezpiecznych doświadczeń. Mogę nawet powiedzieć, że dzięki temu dwukrotnie ocalałem życie. Więc zostałem na miejscu. Z miną jakby nigdy nic wyjąłem z kieszeni gumę do żucia i powoli ją rozpakowując, zastanawiałem się, skąd jestem obserwowany. Kiedy moja intuicja zamieniła się w pewność, szybko uniosłem głowę. Zza węgła budynku po przeciwnej stronie ulicy przyglądał mi się jakiś mężczyzna. Od razu udał, że patrzy na zegarek; w tym samym momencie zadzwoniła jego komórka, wyjął ją i przykładając do ucha, odwrócił się, jakby niezwykle zaaferowany tym telefonem. To był pan Delambre. Pewnie tamtego dnia rozpoznawał teren. Ale człowiek, którego ukradkiem przyuważyłem wtedy na ulicy, nie miał nic wspólnego z facetem, który stał teraz przede mną.

Od razu wydał mi się nienormalnie zdenerwowany.

Istny ładunek wybuchowy.

Miał wymizerowaną, prawie trupio bladą twarz. Musiał się zaciąć przy goleniu i na jego prawym policzku widać było paskudny czerwony strup. Lewe oko co rusz kurczyło mu się w nerwowym tiku i miał spocone dłonie. Każdy z

tych symptomów sam w sobie wystarczał, by domyślić się, że ów człowiek znalazł się tu przez pomyłkę i niewielkie są szanse, żeby dotrwał do końca.

Dwie rezygnacje za jednym zamachem, panna Zbikowski telefonicznie nieosiągalna (pan Lacoste przez cały czas zostawiał na jej poczcie głosowej coraz bardziej naglące wiadomości), jeden z kandydatów o krok od zawału serca... Sprawa mogła okazać się bardziej ryzykowna, niż się zdawało. Ale to nie był mój problem. Miejsce akcji zostało przygotowane zgodnie z życzeniem, należycie wyposażone, sprzęt działał, moi ludzie byli dobrze wyszkoleni. Zrobiłem, co do mnie należało, i niezależnie od tego, jak skończą się ich wygłupy, oczekiwałem należnej mi zapłaty. Reszta mnie nie obchodziła.

Niemniej, ponieważ moje zadanie miało też charakter „doradczy”, wolałem się zabezpieczyć. Dlatego, uściskawszy dłonie pana Delambre’a i pani Rivet... a tak, przepraszam, panny Rivet... poprosiłem, żeby chwilę poczekali. Poszedłem do recepcji i przez wewnętrzny telefon połączyłem się z panem Lacoste’em, któremu wyjaśniłem, jak wygląda sytuacja.

- Mam wrażenie, że pan Delambre jest w bardzo złym stanie fizycznym. Nie wiem, czy nadaje się do udziału w grze.

Pan Lacoste przez chwilę milczał. Po szeregu niepowodzeń, które spotykały go od naszego przybycia, wydawało się, że ta wiadomość go dobiła. Zadałem sobie nawet pytanie, czy z kolei on nie zaczyna wymiękać, bo to byłby już koniec zabawy. Ale bardzo szybko wziął się w garść.

- Jak to w złym stanie?

- Wygląda mi na bardzo zdenerwowanego.

- Zdenerwowany! To normalne, że jest zdenerwowany!

Wszyscy są zdenerwowani! Ja też jestem zdenerwowany!

Do wcześniejszych symptomów marnej kondycji całego przedsięwzięcia w duchu dodałem skrajne napięcie w głosie

pana Lacoste'a. Całkiem dosłownie nie chciał o niczym słyszeć. Sprawa została rozkręcona, i co z tego, że coraz bardziej zaczynała przypominać szalony pociąg z *Bestii ludzkiej* – nie wiedział, jak powstrzymać bieg wydarzeń, nie tracąc twarzy wobec swojego klienta. Zachowywał się tak, jakby wszystkie te problemy były jedynie drobnymi przykrościami. Od kiedy pracuję dla firm, nieraz się już z czymś podobnym spotkałem. Ponieważ takie projekty to ciężkie maszyny, kiedy jakiś już pochłonął wiele energii, pieniędzy i czasu, nikt nie ma odwagi go zatrzymać. Widać to w kampaniach reklamowych, operacjach marketingowych, kreacji eventów. Potem, kiedy się już na nim wyłożą, szefowie przyznają, że były pewne oznaki, które woleli zignorować, ale generalnie przyznają to tylko sami przed sobą i nigdy nie powiedzą tego głośno.

- Poradzimy sobie – powiedział pan Lacoste uspokajającym tonem. – Zresztą nie jest powiedziane, że pan Delambre nie wypadnie lepiej, niż nam się wydaje.

Wobec tak bezgranicznego zaślepienia wstrzymałem się od komentarza.

Po drugiej stronie hallu zgarbiona postać pana Delambre'a wyglądała jak wielka kula hysterii, gotowa w każdej chwili eksplodować. Oprócz fiaska technicznego (które obciążyłyby mnie) nie widziałem nic niebezpiecznego w tej sytuacji. W końcu to była tylko symulacja.

No tak... Żeby być całkiem szczerym – nie powiem, by świadomość, że cała operacja zaczyna się sypać, była mi tak znów przykra. Sytuacja raczej mnie bawiła. A przynajmniej z początku. Widzi pan, prawie dwadzieścia lat życia spędziłem na arenach różnych działań wojennych. Z tuzin razy ryzykowałem własnym życiem i widziałem śmierć wielu ludzi. Więc firma, która funduje sobie wirtualne wzięcie zakładników... Tak, nie wątpię, że nie bez powodu, że operację uzasadniały ważne interesy ekonomiczne, ale ponieważ to ja przygotowałem ją technicznie od a do zet, trudno, żebyśmy nie zauważył, jaką im to sprawiało frajdę. Ci

ludzie, pan Dorfmann i pan Lacoste, zajmują niesamowicie odpowiedzialne stanowiska, ale z tą zabawą we wzięcie zakładników zabawili się w napędzenie sobie strachu. Wiadomo zresztą z jakim skutkiem.

Pan Lacoste wkrótce do nas dołączył. Trudno było stwierdzić, czy jest po prostu zdenerwowany sytuacją, czy, tak jak ja, niejasno czuł, że sprawa zaczyna przybierać zły obrót. To już właściwie nawyk u ludzi sukcesu: nigdy w sobie nie wątpią, zawsze uważają, że uda im się pokonać trudności. Czują się niezniszczalni.

Postać pana Delambre'a mocno kontrastowała ze smukłą, prawie bezcielesną postacią panny Rivet. Ładna kobieta. Była ubrana w szary kostium, który podkreślał jej zgrabną sylwetkę. Wybierając ten strój, na pewno wiedziała, co robi. Pan Delambre, usadowiony w ogromnym fotelu, sprawiał wrażenie okropnie starego i steranego życiem. Batalia zapowiadała się na nierówną, no ale nie był to w końcu pokaz mody, lecz sprawdzian, w którym trzeba było wykazać się kompetencją w kontaktach i prawdziwą umiejętnością postępowania, i pod tym względem pan Lacoste miał rację: pan Delambre miał duże szanse. Matematycznie nawet dwa razy większe, bo było ich tylko dwoje zamiast czworga.

Oboje kandydaci wstali jednocześnie. Pan Lacoste dokonał prezentacji:

- Pan Delambre, panna Rivet... I pan David Fontana, główny organizator.

W mojej głowie zapaliło się światełko ostrzegawcze: swoboda młodej kobiety, nacisk w głosie pana Lacoste'a, coś w ich zachowaniu się - wszystko to sprawiło, iż nabrałem pewności, że między tą dwójką coś już... jak by to powiedzieć... zaistniało. Nie mogłem powstrzymać odruchu współczucia dla pana Delambre'a, bo jeśli się nie myliłem, jego udział mógł się sprowadzić do roli statysty.

Zauważyłem też, że pan Delambre miał z sobą teczkę, gdy tymczasem panna Rivet tylko torebkę, co dodatkowo

pogłębiało różnicę między nimi. Miało się wrażenie, że on szedł do pracy, a ona z niej wracała.

- Jest nas tylko dwoje? - zapytał pan Delambre.

Ton jego głosu osadził zapal pana Lacoste'a. Tchnął niepokojem. Niski, metaliczny, pełen napięcia.

- Tak - odpowiedział w końcu pan Lacoste - tamci zrezygnowali. Tym większe wasze szanse...

Pan Delambre chyba nie był zachwycony. Bo nawet jeśli zwiększało to jego szanse, to organizowanie takiego przedsięwzięcia jedynie dla dwójki kandydatów wydawało się dziwne. Pan Lacoste musiał to wyczuć, bo dodał:

- Nie chcę być niemiły, ale istotą naszej operacji nie jest pańskie zatrudnienie!

Mówiąc to, patrzył panu Delambre'owi prosto w oczy, bo koniecznie musiał odzyskać kontrolę nad sytuacją.

- W przeddzień niezwykle istotnej dla niego operacji nasz klient musi poddać sprawdzianowi pięciu swoich menedżerów, żeby wybrać najodpowiedniejszego. I to jest najważniejsze. Tak się składa, że ta ocena zbiega się z wyborem zastępcy dyrektora personalnego, a podstawowym zadaniem dyrektora personalnego jest właśnie ocena presonelu. Chcemy po prostu upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

- Dziękuję, zrozumiałem - powiedział pan Delambre.

Trudno stwierdzić, czy jego ton wyrażał cierpkość czy z trudem powściągany gniew. Pomyślałem, że pora zmienić temat. Zaprowadziłem kandydatów na piętro.

Punktualnie o dziewiętej siedemnaście weszliśmy do sali konferencyjnej. Tak, jestem tego pewny. W moim zawodzie dokładność jest niezbędna. Wraz z doświadczeniem przyswoiłem sobie miarę czasu, o każdej porze dnia mogę z dokładnością do kilku minut powiedzieć, która jest godzina. Ale wtedy dodatkowo patrzyłem na zegarek. Zebranie zostało zwołane na godzinę dziesiątą, dyrektorzy Exxyal-Europe zjawią się przynajmniej dziesięć lub piętnaście

minut wcześniej i w tym momencie wszystko musi być zapięte na ostatni guzik.

Przedstawiłem ekipę panu Delambre'owi i pannie Rivet, zaczynając od dwóch aktorów, którzy mieli się wcielić w rolę klientów. Malik był ubrany w obszerną jasną dżelabę i fioletową kefiję w geometryczny deseń, Renard w klasyczny garnitur.

Wyjaśniłem:

- Na początku symulacji Malik i pan Renard będą klientami, na spotkanie z którymi zaproszeni zostali dyrektorzy Exxyal-Europe. Malik wkrótce wyjdzie, pan Renard zostanie do końca.

W czasie tej prezentacji czujnie obserwowałem reakcje kandydatów, bo choć André Renard może nie jest znanym aktorem, ale kilka lat temu wystąpił w reklamie jakiegoś artykułu gospodarstwa domowego, która odniosła pewien sukces, i bałem się, żeby graczom jego twarz się z czymś nie skojarzyła. Ale pan Delambre i panna Rivet przenieśli już uwagę na trójkę terrorystów. Bo widzi pan, choć wiadomo, że to symulacja - kombinezony, kominiarki, czarne martensy oraz trzy pistolety maszynowe Uzi razem z magazynkami leżące na stole zawsze robią wrażenie. Tym bardziej że, nie chwaląc się, dobrze wybrałem ludzi do tego zadania. Kader, dowódca, ma spokojną i stanowczą twarz, Yasmine zaś umie zrobić srogą minę, mogącą wzbudzić strach. Oboje zaczęli karierę w marokańskiej policji i są skuteczni, co po nich widać. Z kolei Mourada, mimo jego słabości, wybrałem z powodu grubo ciosanych rysów; z tymi niedogolonymi policzkami ma twarz brutala, która dobrze pasuje do roli.

Wszyscy przywitali się zwykłym skinieniem głowy. Atmosfera była dość ciężka. Zawsze tak jest w minutach poprzedzających rozpoczęcie akcji i może to być zwodnicze.

Następnie pokazałem im salę konferencyjną, gdzie zacznie się gra, a następnie będzie przetrzymywana grupa zakładników, i salę przesłuchań, do której menedżerowie

będą wzywani pojedynczo lub parami, gdyby chciało się doprowadzić między nimi do konfrontacji. Otwarty laptop na stole był połączony z intranetem grupy Exxyal. Potem poszliśmy do sali obserwacyjnej, w której będzie przebywać dwójka kandydatów prowadząca przesłuchania. Dwie kamery w sali konferencyjnej oraz trzecia w sali przesłuchań będą przesyłały obraz na ich monitor. Ostatnia sala, w której panowie Dorfmann i Lacoste śledzić będą przebieg operacji, jest dla nich niedostępna.

Potem pan Lacoste nas zostawił. Widać było, że coś go gnębi. Myślę, że wyszedł, żeby jeszcze raz spróbować dodzwonić się do panny Zbikowski, nawet jeśli, biorąc pod uwagę godzinę, obaj wiedzieliśmy już, że nie przyjdzie. Nie wiem, do czego między nimi doszło, ale nietrudno było domyślić się, że go zostawiła, i odtąd będzie musiał sobie radzić sam, bez asystentki.

Panna Rivet próbowała uśmiechnąć się do pana Delambre'a, pewnie by rozładować atmosferę, lecz on był zbyt niespokojny, żeby zareagować. Usiedli obok siebie i zwrócili twarze do ekranów pokazujących obraz z sali konferencyjnej.

Z kolei zjawił się pan Alexandre Dorfmann, prezes Exxyal-Europe. Spotkałem go tylko raz, podczas jedynej próby, kilka dni temu. Z dużą uwagą i cierpliwością odniósł się do moich zaleceń, co jest bardzo skuteczną formą zademonstrowania autorytetu. Jak na człowieka w tym wieku jest dość elastyczny, szybko nauczył się odpowiednio upadać.

Poszliśmy do sali wypoczynkowej, żeby go wyekwipować. Przypomniałem mu instrukcje, ale pan Dorfmann był już mniej uprzejmy niż podczas próby. Denerwowało go słuchanie tych samych rad. Streściłem się. Szybko wrócił do sali konferencyjnej. Wszyscy byli bardzo podminowani.

Zgodnie ze scenariuszem pan Renard zajął miejsce po jego prawej stronie. Zdawał się wczuwać w swoją rolę

klienta, natomiast Malik, siedzący na prawo od Renarda, małymi łyżkami popijał mocną kawę.

I zaczęło się czekanie.

26

Obraz przesyłany przez kamery był idealnie czysty. Od strony technicznej wszystko grało.

Pan Lacoste z notatnikiem zajął miejsce tuż za panem Delambre'em i panną Rivet. Przysunąłem krzesło i również usiadłem, poprzestając na roli obserwatora. Ja też byłem trochę zdenerwowany. Nie z powodu stawki w grze, nie, bo dla mnie nie było tu żadnej, ale ponieważ lubię dobrze wykonaną robotę. Oraz ponieważ po zakończeniu operacji miałem odebrać pozostałą jedną trzecią wynagrodzenia. Trzeba przyznać, że zlecenie było bardzo dobrze płatne. Szczerze mówiąc, na symulacjach w firmach dobrze się zarabia, ale nie są one zbyt interesujące. Zabawę mają firmy i menedżerowie. Oobiście wolę bardziej konkretne roboty.

Tak czy inaczej, niezależnie od wagi zadania, kiedy operacja startuje, zawsze jestem trochę zdenerwowany. Ale to jeszcze nic w porównaniu z panem Delambre'em. Wpatrywał się w ekrany wyteżonym wzrokiem, jakby spodziewając się w nich odkryć jakieś ukryte treści, a kiedy odrywał wzrok od ekranu, żeby popatrzeć w inny, nie przenosił go, tylko, trochę jak kura, odwracał całą głowę. Panna Rivet sprawiała wrażenie zaniepokojonej bardziej towarzystwem sąsiada niż samym sprawdzianem. Obserwowała go ukradkiem, jak klienta przy sąsiednim stoliku w restauracji, który niechłujnie je. Pan Delambre zdawał się jej nie widzieć. Działał w sposób mechaniczny. A że jego zachowanie wydało mi się trochę niepokojące (można być w takich okolicznościach zdenerwowanym, ale żeby aż do tego stopnia...), wyciągnąłem rękę i dotknąłem

jego ramienia, żeby zapytać, czy wszystko w porządku. Jeszcze nie skończyłem zdania, gdy poderwał się, jakbym raził go prądem.

- Co? O co chodzi? - spytał, gwałtownie się odwracając.

- Wszystko w porządku, panie Delambre?

- Co? Tak, w porządku... - odpowiedział, ale duchem był nieobecny.

I to właśnie jest straszne: w tym momencie zyskałem potwierdzenie, że sprawa się źle skończy. Mój niepokój zamienił się w pewność. Ale nic nie zrobiłem. Z głową pana Delambre'a było coś nie tak. Można było anulować test kandydatów na dyrektora personalnego, nie anulując jednocześnie ewaluacji menedżerów. Tyle że od początku w moim umyśle obie operacje były z sobą powiązane i nie wpadłem na ów pomysł. A potem wszystko potoczyło się już szybko.

W miarę jak zbliżało się rozpoczęcie operacji, panna Rivet wydawała się coraz bardziej niespokojna. Właściwie już kiedy zobaczyła „terrorystów” i czarną, lśniącą broń, mocno zbladła - a nie wiedziała, że to jeszcze nie koniec jej kłopotów. Wstałem, żeby im pokazać, jak obsługiwać mikrofon, tak żeby mieć łączność ze słuchawką każdego z „terrorystów”. Pan Delambre w odpowiedzi coś wymamrotał, ale rozumiał, co się do niego mówi, bo kiedy przyszła jego kolej, żeby spróbować, prawidłowo wykonywał czynności.

Powoli nadchodzili dyrektorzy Exxyalu.

Pierwszy pan Lussay w towarzystwie panny Tràn.

Maxime Lussay jest prawnikiem i jeśli chce pan znać moje zdanie, dziwnie dobrze się składa, bo dokładnie na prawnika wygląda. Zapięty na ostatni guzik, wszystkie jego ruchy cechuje pewna sztywność. Nawet wzroku nie przenosi płynnie, tylko z przerwami, jakby musiał wpierw sprawdzić swoją pozycję, zanim ją zmieni. Przystudiowałem uważnie ich akta i pamiętam, że pan Lussay jest doktorem

prawa. To on przygotował i nadzorował wiele kontraktów grupy Exxyal.

Co do panny Tràn - widział ją pan - jest handlowcem, osobą bardzo dynamiczną. Moim zdaniem aż za bardzo. Wygląda trochę, jakby brała w żyłę. Chodzi pewnym krokiem, staje przed człowiekiem blisko, twarzą w twarz. Ma się wrażenie, że nic jej nie przestraszy, a jeśli będzie pan zbyt wolno mówił, ona wcześniej skończy za pana zdanie. Ze swoją aparycją i sześciocyfrową pensją musi być dla mężczyzn w jej wieku bardzo atrakcyjna.

Wystarczyło popatrzeć na tych młodych dyrektorów wchodzących do sali konferencyjnej, by ocenić, do jakiego stopnia pozostają w zgodzie z duchem swoich czasów. Już w samym uścisku ich dłoni zawierało się przesłanie: „Jesteśmy ludźmi dynamicznymi, produktywnymi i szczęśliwymi”.

Dyrektorzy Exxyalu podchodzili przywitać się ze swoim prezesem, panem Dorfmannem, który odnosił się do nich z pewną poufałością; jest to postawa często spotykana w firmach, moim zdaniem bardzo dwuznaczna. Od najwyższego po najniższy szczebel hierarchii wszyscy przyjaźnią się ze wszystkimi i wszyscy mówią sobie po imieniu, nawet kiedy są z sobą na pan, pani. Uważam, że to mąci ludziom w głowie. W takiej atmosferze zaczynają w końcu traktować swoje biuro jak filię pobliskiej knajpki. Służyłem kilka lat w wojsku, a tam wszystko jasne. Wiadomo, po co się jest w wojsku. Oprócz kumpli są tylko dowódcy i podwładni, i kiedy się kogoś spotyka, ma się pewność, że jest jednym albo drugim, nad tobą albo pod tobą. W firmach sprawa jest bardziej skomplikowana. Grasz w w squasha ze swoim prezesem, biegasz ze swoim dyrektorem działu i jest to piekielnie mylące. Nie uważając, możesz nabrać wrażenia, że nie ma już szefów, a twoją pracę kontrolują tylko programy kalkulacyjne. Tyle że wcześniej czy później to nieuniknione, trzeba wrócić do hierarchii. A wtedy robi się problem: jeśli w opinii

programu kalkulacyjnego nie jesteś wystarczająco wydajny, a twoi zwierzchnicy ci to wytykają, nie masz im tego tak naprawdę za złe, bo już od dawna mylisz ich z kumplami ze szkolnej ławy.

Przynajmniej takie jest moje zdanie.

Tak, no więc pan Dorfmann tronował u szczytu stołu, a jego pracownicy wchodzili i zanim zaczęli wzajemnie klepać się po ramieniu, przechodzili przez komórkę Władzy, ściskając dłoń pana Dorfmann (oraz panów Renarda i Malika, których im pan Dorfmann krótko przedstawiał), po czym zajmowali miejsca.

W sali obserwacyjnej, w której się znajdowaliśmy, przy każdorazowym wejściu menedżera pan Lacoste wymieniał jego nazwisko i wyjaśniał pannie Rivet i panu Delambre'owi, kim jest na liście, którą otrzymali. Mówił na przykład: „Maxime Lussay to doktor prawa – trzydzieści pięć lat – dział prawny” albo: „Virginie Tràn: trzydzieści pięć lat – École Centrale i HEC – dział handlowy”.

Pan Delambre był dobrze przygotowany. Dla każdego miał osobną fiszkę i robił sporo notatek, odnośnie do ich zachowania, jak przypuszczam, ale drżała mu ręka i nie byłem pewny, czy w razie potrzeby zdoła je odczytać. Panna Rivet miała metodę bardziej niefrasobliwą, pracowała bezpośrednio na dokumencie, który jej przysłano, i tylko odhaczała na marginesie nazwiska osób, które wchodziły. Co sprawiało wrażenie, że mniej się przykłada.

W odstępie kilku minut weszli panowie Jean-Marc Guéneau i Paul Cousin.

Pierwszy jest ekonomistą i człowiekiem co najmniej zadowolonym z siebie. Kroczy z zadufaną miną, z wypiętą pierśią. Wyczuwa się w nim człowieka, którego raczej rzadko trapią wątpliwości. Jego rozbieżny zez jest dość krępujący, nigdy nie wiadomo, którym okiem patrzy.

Jego sąsiad przy stole, pan Paul Cousin, wyglądał prawie jak jego przeciwieństwo. Ma ogromną głowę i jest przerażająco chudy. Wypisz wymaluj fanatyczny jezuita.

Bateria dyplomów inżyniera, duża część kariery zawodowej w Zatoce Perskiej, cztery lata temu powrót do centrali firmy na zawrotnie wysokie stanowisko. Król techniki, imperator pól naftowych.

Pani Camberlin ma około pięćdziesięciu lat, jest szefem projektu. I osobą na tyle pewną siebie, by zjawić się jako ostatnia.

Wydawało się, że pan Dorfmann chce jak najszybciej przejść do rzeczy.

Zabębnił palcami w blat stołu, po czym zwrócił się do Malika i pana Renarda.

- Najpierw pozwólcie panowie, że w imieniu Exxyal-Europe serdecznie panów powitam. - Prezentacje zostały dokonane dość szybko. - Więc...

Atmosfera w sali obserwacyjnej, już i tak nielekka, zrobiła się autentycznie ołowiana.

Głosy dobiegające z głośników zdawały się pochodzić z jakiegoś odległego i niezwykle złowrogiego świata.

Spojrzałem na pana Lacoste'a, który w odpowiedzi lekko skinął głową.

Wyszedłem z pomieszczenia, żeby dołączyć do moich ludzi w sąsiedniej sali.

W korytarzu ścigał mnie głos pana Dorfmann.

(...ta bardzo obiecująca fuzja, z której się niezwykle cieszymy...)

Wszyscy trzej byli już w pełnej gotowości, prawdziwi zawodowcy, poprawiłem tylko do pozycji poziomej pistolet maszynowy Yasmine, zwykły odruch. A potem rozłożyłem ręce.

Gestem mówiącym jasno: akcja.

Kader skinął głową.

I natychmiast ruszyli.

Pamiętam ich, jak idą korytarzem *(...i stanowi decydujący zwrot w globalnej strategii uczestników branży. Oto dlaczego...)*. Ja za nimi, ale zaraz skręcam i z powrotem siadam za panem Delambre'em i panną Rivet.

Dojście do sali konferencyjnej i gwałtowne otworzenie drzwi zajęło im niecałe siedem sekund.

- Ręce płasko na stół! - wrzeszczy Kader, a Mourad zajmuje pozycję z jego prawej strony, żeby mieć na muszce całe pomieszczenie.

Yasmine szybkim, pewnym krokiem obchodzi stół, wymuszając posłuch krótkim uderzeniem lufy swojego uzi w blat.

Oszłupienie jest tak całkowite, że nic ani nikt się nie porusza, z żadnego gardła nie dobywa się żaden dźwięk. Wszystkich momentalnie zatkało. Dyrektorzy Exxyalu wpatrują się nierozumiejącym wzrokiem w lufy pistoletów maszynowych kilka centymetrów od ich twarzy. Są dosłownie zahipnotyzowani, chyba ich nawet nie kusi, żeby podnieść wzrok na ludzi, którzy je trzymają.

Pan Delambre próbuje napisać coś w swoim notatniku, ale za bardzo drży mu ręka. Spogląda w prawo. Panna Rivet na próżno udaje obojętność; scena ma w sobie taką gwałtowność, że twarz kobiety przybiera barwę równie białą jak twarz jej sąsiada.

Zdalnie uruchamiam kamerę i szybko omiatam stół; piątka menedżerów siedzi jak skamieniała, z wytrzeszczonymi oczami, nikt nie próbuje wykonać najmniejszego ruchu, są dosłownie sparaliżowani...

Na ekranie widzimy, jak Kader podchodzi do pana Dorfmann.

- Panie Dorfmann - zaczyna ze swoim silnym arabskim akcentem.

Prezes Exxyalu powoli unosi głowę. Raptem wydaje się jakby mniejszy, starszy. Usta ma rozdziawione, oczy tak wytrzeszczone, że mało mu nie wypadną z orbit.

- Pozwoli pan, że wyjaśnię sytuację - ciągnie Kader.

Nawet gdyby ktokolwiek wpadł na dziwaczny pomysł, żeby zainterweniować, i tak by nie zdążył. W niecałe dwie sekundy Kader dobył pistolet Sig Sauer, wyciągnął rękę i strzelił do pana Dorfmann.

Rozległ się ogłuszający huk.

Pana Dorfmana odrzuca w tył, krzesło, na którym siedzi, przez moment się chwieje, a potem jego ciało znów pochyła się do przodu i zwała na stół.

Akcja przyspiesza. Grający rolę klienta Malik podrywa się, i powiewając obszerną dżelabą, zaczyna wrzeszczeć po arabsku do dowódcy terrorystów. Słowa padają szybko, wyraża swoją wściekłość w wyzwiskach, które z kolei są wyrazem jego paniki. Zdania płyną mu z ust wartkim potokiem. Potok urywa się, kiedy Kader oddaje do niego pierwszy strzał i trafia w to miejsce na piersi, gdzie zgodnie z wyobrażeniem znajduje się serce. Młody mężczyzna robi półobrót, bo nie ma czasu wykonać pełnego. Druga kula trafia go prosto w brzuch. Zgina się wpół i upada ciężko na ziemię.

Tradycyjnie w reakcjach zakładników wyróżnia się trzy kategorie: opór fizyczny, opór słowny i brak oporu. Zaleca się oczywiście nakłanianie do braku oporu, co ułatwia działanie na dalszych etapach operacji. W trakcie przygotowań postanowiłem, że jeden z zakładników będzie reprezentował strategię „przegranego” (Malik przed chwilą bardzo przekonująco odegrał tę scenę), by wskazać pozostałym zakładnikom drogę, jaką powinni pójść, czyli zaniechanie oporu. Firma żądała, żebyśmy poddali testowi ich odporność na szok, co oznaczało, jak wielokrotnie przypominał mi pan Lacoste, ocenę stopnia ich współpracy z nieprzyjacielem w przedziale od pełnego oporu do haniebnej kolaboracji. W tym celu musieli pogodzić się z koniecznością negocjacji, a najlepiej było pokazać im, że jest to faktycznie jedyna słuszna droga postępowania.

Ale wracam do wydarzeń.

Przy pierwszej kuli wszyscy obecni stłumili krzyk. Co dalej, można sobie wyobrazić: sala rozbrzmiewa hukami trzech wystrzałów, a dwóch mężczyzn leży w kałuży krwi, która rozlewa się pod ich ciałami coraz większą plamą.

Évelyne Camberlin instynktownie zakryła rękami uszy, natomiast Maxime Lussay, z zamkniętymi oczami, z dłońmi leżącymi płasko na stole i oszołomioną miną, przechyliła głowę na prawo i na lewo, jakby chciał przemieścić mózg z jednej półkuli do drugiej.

- Myślę, że reguły gry są już dla wszystkich jasne. Nazywam się Kader. Ale mamy mnóstwo czasu, żeby się poznać.

Jego głos dociera do nich jak przez mgłę.

Kader zatrzymuje wzrok na Jeanie-Marcu Guéneau i z lekko zirytowaną miną marszczy brwi.

Słychać wyraźny odgłos jakiejś cieczy skapującej na podłogę.

Pod krzesłem pana Guéneau rozlewa się coraz większa ciemna kałuża.

Pomijając charaktery i indywidualne temperamenty każdego z zakładników, wykazują oni zawsze mniej więcej podobne reakcje. Na nagłość, na strach i zagrożenie mózg reaguje dość ograniczonym zestawem zachowań. Zdarza się, że zakładnicy - mam wrażenie, że tak było w przypadku pana Cousina, który trzymał się za głowę i wpatrywał prosto przed siebie - przyjmują z niedowierzaniem nagłość ataku, jakby nie chcieli w to uwierzyć i woleli myśleć, że padli ofiarą głupiego kawału. Ale szybko wracają do postawy bardziej realistycznej, zwłaszcza kiedy na ich oczach zabije się jedną albo dwie osoby. Właśnie z tego powodu pana Dorfmana, uosabiającego w ich oczach autorytet, wolałem od razu „zabić”. Ten ruch sprawił, że momentalnie zawalił się porządek hierarchii. Tym samym przesłanie terrorystów było jasne: my tu rządzymy. Skądinąd pan Dorfmann znakomicie odegrał swoją rolę, rozerwał saszetkę z hemoglobina, którą ode mnie dostał, i upadł tak, jak mu pokazałem. Zresztą zapewniłem go, że gdyby nawet odegrał swoją rolę niezbyt dobrze, to nagłość sytuacji tak bardzo paraliżuje neurony, że nikt by tego nie zauważył.

Pan Delambre i panna Rivet nawet nie drgnęli. Wzięcie zakładników w telewizji i prawdziwe wzięcie zakładników to bynajmniej nie to samo. Powie pan, że nie było to „prawdziwe” wzięcie zakładników, ale nie chwając się, wyglądało bardzo realistycznie i naszych dwoje kandydatów tak wszystko przeżywało, jakby sami brali udział w akcji. U ofiar podobnych sytuacji odnotowano dziewięć rozmaitych reakcji: oszołomienie, zdumienie, niepokój, przerażenie, poczucie krzywdy, bezbronność, niemoc, upokorzenie i osamotnienie. Do zachowania pana Delambre’a najbardziej pasowały niepokój i osamotnienie, do panny Rivet – oszołomienie i przerażenie.

Na wypadek gdyby śmierć arabskiego klienta nie podziałała na nich tak odstrasząco, jak oczekiwaliśmy, w scenariuszu przewidziałem zduszenie w zarodku u zakładników wszelkiej myśli o oporze fizycznym.

- Wszyscy tutaj! - ryknął Mourad, wskazując ścianę naprzeciwko wielkich okien.

Jak gdyby wprawieni w ruch własnym strachem, gwałtownie się poderwali i ruszyli szybkimi drobnymi kroczkami, jakby bojąc się potrącić jakiś cenny przedmiot, spuszczać głowy, żeby uniknąć wyimaginowanych pocisków.

- Ręce na ścianę, nogi w rozkroku! - dodaje Mourad.

Pan Lussay, który pewnie widział, jak to robią w telewizji, szeroko rozłożył ramiona i nogi i wygląda, jakby nadstawiał tyłek do rewizji. Stojąca obok niego panna Tràn, którą krępuje spódnica, nie może rozstawić nóg. Yasmine podchodzi do niej z tyłu i jednym szarpnięciem kolbą pistoletu podciąga materiał do góry. Potem kilkoma krótkimi szturchnięciami stopą zmusza ją, by stanęła w rozkroku. Z kolei panna Tràn opiera dłonie na ścianie, rozczapierzając palce. Z mocno zakasaną spódnicą wygląda dość nieprzyzwoicie, zwłaszcza że są tu mężczyźni – jest to, często skuteczna, metoda postawienia zakładnika w pozycji słabszego. Pan Guéneau, w mokrych do kolan spodniach,

trzęsie się na całym ciele, a pan Cousin zamyka oczy, jakby w każdej chwili spodziewał się kulki w głowę. Nasz aktor, pan Renard, włączony do grona dyrektorów Exxyalu, po cichu coś niezrozumiale mamrocze. Zamykająca szereg pani Camberlin jest wstrząśnięta, kiedy dociera do niej, że (zgodnie z moim żądaniem) odmawia on modlitwę. Pokazanie zakładnikom, że jeden z nich modli się o ocalenie życia, to również dobry sposób nakłonienia ich do współpracy.

Kilka sekund później wszyscy słyszą za sobą jakieś kroki oraz otwieranie i zamykanie drzwi. Każdy z nich czuje, że za jego plecami ktoś chodzi tam i z powrotem. Słyszą odgłos przesuwanych stołów, a potem zdyszany oddech. Domyślają się, że trwa wynoszenie obu ciał.

Mijają trzy czy cztery minuty i Kader każe im się odwrócić. Stoły zostały ustawione wzdłuż przepierzenia. Plamy krwi wsiąkłej w wykładzinę nabierają czarnego metalicznego odcienia. Środek sali jest zupełnie pusty i ta pusta przestrzeń wywołuje u nich teraz zawrót głowy.

Kiedy Mourad wraca do pomieszczenia, trzymając niedbale swój pistolet maszynowy, poplamioną krwią pierś zdążył już otrzeć wewnętrzną stroną rękawa. Jak w dopracowanym do milimetra układzie choreograficznym, każdy z członków grupy terrorystycznej zajmuje miejsce naprzeciw rzędu zakładników, Kader w środku, po prawej stronie Yasmine, Mourad po lewej.

Mija kilka sekund, w czasie których słychać tylko pochlipywanie pana Guéneau stojącego ze wzrokiem utkwionym w ziemi.

- Dobra - mówi Kader - a teraz wszyscy opróżniają kieszenie!

Do dwóch damskich torebek leżących na wielkim stole konferencyjnym dołączają portfele, pęki kluczy, odtwarzacze MP3, komórki.

Następnie Yasmine rozpoczyna rewizję.

Wie, jak to się robi. Niczego nie zostawia na los szczęścia. Kieszenie, paski, sprawdza wszystko. Panna Tràn czuje dłonie młodej kobiety wprawnie prześlizgujące się po jej piersiach, między udami. Pani Camberlin nie zwraca uwagi na nic, stara się tylko utrzymać na nogach, bo najwyraźniej chętnie by się osunęła na ziemię. Teraz Yasmine rewiduje mężczyzn, fachową dłonią przesuwając po pośladkach, po kroczu, nawet mokre spodnie pana Guéneau zostają bez ceregieli obmacane, po czym, dając znak dowódcy, że wszystko w porządku, cofa się kilka kroków.

Zakładnicy z powrotem ustawiają się w szeregu. Naprzeciwko nich w rozciągniętym szyku stoją terroryści.

- Znaleźliśmy się tu dla świętej sprawy - oświadcza spokojnie Kader - sprawy wartej wszelkich poświęceń. Potrzebna jest nam wasza współpraca i by ją uzyskać, gotowi jesteśmy poświęcić własne życie. Lecz, jeśli będzie to konieczne, również wasze. Teraz was zostawimy, żebyście to przemyśleli. *Allah akbar!*

Pozostali napastnicy jednym głosem powtarzają za nim: „Allah akbar”, po czym dowódca wychodzi, a za nim Yasmine.

Zostaje tylko wielki Mourad.

Nikt nie wie, co robić.

Nikt się nie rusza.

Pan Guéneau pada na kolana i, z łokciami na podłodze, zaczyna szlochać.

Malik, który grał rolę zastrzelonego klienta, już się przebrał. Ma na sobie dzinsy i sweter, na podłodze leży jego sportowa torba. Wręczam mu kopertę, ściskamy sobie dłonie i znika w korytarzu prowadzącym do wind, ja zaś wracam do pana Delambre'a i panny Rivet.

Pan Dorfmann, który zmienił już w sali wypoczynkowej garnitur i koszulę, zagląda do nas. Uniesionym w górę kciukiem potwierdzam, że świetnie wywiązał się z roli. Pan Dorfmann uśmiecha się i w tym momencie uzmysławiam sobie, że po raz pierwszy widzę uśmiech na jego twarzy.

Szybko znika i w towarzystwie pana Lacoste'a wraca do sali wypoczynkowej, gdzie ekrany pokazują im obrazy z sali konferencyjnej, w której przetrzymywani są zakładnicy, oraz z sali przesłuchań, gdzie kolejno będą zasiadali przy stole przed Kaderem menedżerowie jego firmy.

Od tego momentu panowie Dorfmann i Lacoste pracują w swojej sali. Są zleceniodawcami, muszą konsultować z sobą przebieg sprawdzianu i oceny menedżerów. Zostają z dwójką kandydatów sam, żeby nadzorować operację wzięcia zakładników od strony technicznej. To śmieszne, ale mogę powiedzieć, że zorganizowałem dla tej firmy i tego prezesa operację na wielką skalę (w każdym razie taką, którą się zapamięta), a przecież zamieniłem z panem Dorfmannem nie więcej niż ze dwadzieścia zdań. Nie znam stanu ducha tego człowieka. Musi mieć pewność, że jest niezbędny i że działa w najlepszym interesie swojej firmy. W swoim świecie jest bogiem. Ale kim jest jego własny bóg? Rada zarządzająca? Akcjonariusze? Pieniądze? Nie mam czasu pogłębić tych rozważań, ponieważ pan Delambre

zaczyna się wiercić na krześle, jakby chciał pójść do toalety. Panna Rivet jest bardzo blada, notuje na kartce kilka słów, zakręca pióro i zaciska poły żakietu, jakby nagle zrobiło jej się zimno.

- Ustawimy ich teraz w odpowiedniej pozycji. A potem wy włączacie się do gry.

Na mój głos oboje aż podskoczyli. Odwrócili się do mnie. Widzę ich teraz en face. Wyglądają inaczej niż jeszcze przed chwilą. Nieraz już zauważyłem, że silne emocje przeobrażają ludzi, jakby w sytuacjach skrajnych ujawniała się ich prawdziwa twarz, prawdziwe ja. W tym momencie zwłaszcza twarz pana Delambre'a wygląda tak, jak prawdopodobnie wyglądać będzie w dniu jego śmierci.

Pochyliam się do mikrofonu i wydaję polecenie:

- Mourad, posadźcie ich w kole jak zaplanowane.

Słuchając mnie, Mourad przyłożył stuloną dłoń do ucha, jakby miał zaraz zaśpiewać.

Kiwa potakująco głową. W pustkę. Potem rusza. Słuchawka opada.

- Dobrze - mówi.

Sześć par niespokojnych oczu momentalnie obraca się w jego stronę i wpatruje w słuchawkę dyndającą na końcu kabla.

- Teraz, eee... - mówi Mourad. - Zmiana. Pozycja. Zmienicie pozycję.

Sens jego słów nie jest dość jasny. Miałem co do Mourada wątpliwości, nawet na próbach nie był nadzwyczajny. Zaangażowałem go z powodu wyglądu, ale postanowiłem ograniczyć do minimum jego wystąpienia, bo chłopak do zbyt rozgarniętych nie należy. Jest kuzynem Kadera, a że chodziło o symulację - w przypadku prawdziwej operacji nie poświęciłbym jego CV nawet trzech sekund - zgodziłem się. Prawdę mówiąc, nawet trochę mnie bawił. Ale teraz, muszę przyznać, przeszedł już samego siebie. Gdyby sytuacja nie była tak napięta, mielibyśmy

rozrywkę, ale w tych okolicznościach każdy z nas tylko popatrzył na niego z niepokojem.

Zakładnicy zrozumieli, że mają coś zrobić, ale żaden nie wie, o co chodzi z tą pozycją. Pani Camberlin spogląda na pannę Tràn, która obserwuje pana Cousina. Pan Renard przestał się modlić. Pan Lussay pociąga nosem i patrzy na pana Guéneau. Nikt nie wie, co za chwilę się stanie.

- Więc - mówi Mourad - pan.

Pokazuje palcem na Paula Cousina, który od razu się prostuje. To jego ulubiony sposób postępowania: w obliczu przeciwności losu - wyprostować się. Mówię sobie, że ten łatwo nie ustąpi.

- Pójdzie pan tam - mówi Mourad (pokazuje miejsce pani Camberlin). - Więc pan (wskazuje pana Renarda) przejdzie tutaj (miejsce gdzieś między panią Camberlin i panną Tràn) obok pana (celuje palcem w pana Guéneau), a pani (to do panny Tràn) stanie tutaj (tym razem ruch ręki jest nieprecyzyjny, nie bardzo wiadomo, chyba obok pani Camberlin). A pan, eee... (pan Lussay zawisa wzrokiem na jego ustach), no to pan tutaj (pokazał palcem własne stopy). Ale w kole! - dorzuca dla dopełnienia efektu.

Zakładnicy nie czują się zagrożeni. Mourad wyjaśnił im swój zamysł bez gniewu, mozolnie, nawet z pewną przyjemnością. Tonem łakomczucha, który wybiera ciastka w witrynie cukierni. Zresztą teraz, kiedy już skończył, wygląda na dość zadowolonego. Na usprawiedliwienie zakładników, nawet ja, choć jestem autorem tej konfiguracji, też nic nie zrozumiałem.

- Dalej, ruszać się! - rzuca Mourad z najbardziej ujmującą miną, na jaką go stać.

Ale sam pan rozumie, kiedy facet taki jak Mourad próbuje przybrać zachęcającą minę, trzymając przewieszony przez ramię pistolet maszynowy lufą do przodu, jego mina siłą rzeczy traci dobroduszny wyraz. Dlatego, mimo całej werwy, jaką teraz wykazuje, jego słowa pozostają bez efektu. Każdy się waha.

Wtedy pan Cousin podejmuje decyzję. Po takich właśnie detalach poznaje się charakter człowieka. Nikt nie wiedział, co zrobić. Pan Cousin postanowił działać. Patrząc wstecz... ale jeszcze do tego nie doszliśmy.

Więc pan Cousin idzie na wskazane miejsce, następnie ruch wykonuje panna Tràn, a po niej pan Guéneau. Pani Camberlin wstaje i przechodzi na prawo, po jej lewej stronie staje pan Renard, a potem wszyscy zatrzymują się niezdecydowani. Pan Lussay wpada na pana Cousin, który popycha go w stronę pani Camberlin.

Mourad jest rozczarowany. A przecież wydaje mu się, że jasno wyraził, o co mu chodzi.

I wtedy robi rzecz niezwykłą. Ten chłopak, niech mi pan wierzy, potrafi zaskakiwać: odkłada broń na ziemię i podchodzi do zakładników. Ujmuje panią Camberlin za ramiona, patrząc w dół, jakby na wykładzinie wyrysowane były jakieś znaki. Jakby brał udział w lekcji tanga i teraz zaprosił panią Camberlin, żeby razem wypróbowali kroki. Prowadzi ją metr dalej i mówi: „Tutaj”. Jest tak zaabsorbowany tą czynnością, że nawet mu nie zaświta w głowie, że zakładnicy mogliby to wykorzystać, rzucić się, złapać jego pistolet, wycelować w niego. Panna Tràn, sprężona jak kot, już robi krok w stronę broni... Czuję, jakby mi ktoś kostką lodu przesuwiał po krzyżu. Ale Mourad już się odwrócił. Wciąż niezwykle zaaferowany, bierze za ramiona pana Renarda i przestawia go trochę dalej, potem przychodzi kolej na pannę Tràn, panów Lussaya, Guéneau i Cousina. Zakładnicy zostają ustawieni szerokim półkolem, w odległości koło metra jeden od drugiego, plecami do siebie. Żaden z nich nie jest zwrócony twarzą do drzwi.

- Usiądźcie - mówi Mourad.

I podnosi z ziemi swoją broń.

- Teraz jest dobrze - stwierdza z satysfakcją.

Po czym odwraca się do obiektywu, jakby oczekując, że kamera powinszuje mu tak błyskotliwego wyczynu.

Następnie zakładnicy słyszą odgłos otwieranych i zamykanych drzwi.

Zapada cisza. Mijają dwie lub trzy minuty.

Wreszcie panna Tràn ryzykuje spojrzenie w bok.

- Wyszedł - mówi zmienionym głosem.

28

- Mam... Mam telefon...

Wszyscy odwracają głowę w jego stronę.

Pan Renard patrzy na nich. Twarz ma białą jak prześcieradło. Kilkakrotnie przełyka ślinę.

- To mojej żony, całkiem o nim zapomniałem... - mówi ze zdumieniem.

Wkłada prawą rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjmuje małą komórkę.

- Ja... Nie znaleźli...

I z niedowierzaniem wpatruje się w aparat leżący na jego otwartej dłoni.

Wiadomość podziałała jak bomba.

- Przez ciebie nas zabiją, idioto! - krzyczy wyprowadzony z równowagi pan Guéneau.

- Uspokój się - mówi pani Camberlin.

Oszołomiona mina pana Renarda, który przenosi wzrok ze swojej komórki na twarze towarzyszy.

- Obserwują nas - stłumionym głosem cedzi przez zęby pan Lussay.

Dyskretnym ruchem podbródka wskazuje małą kamerę zainstalowaną w górnym rogu sali. A wtedy wszyscy spoglądają na sufit, jedni w prawo, inni w lewo.

- Kiedy się świeci na czerwono, to znaczy że nie działa - stwierdza zdecydowanym tonem panna Tràn.

- Nie mamy pewności - odpowiada pan Lussay.

- Tak! Kiedy działa, jest zielone światło, kiedy pali się czerwone, jest wyłączona - rzuca panna Tràn.

W jej głosie słyhać więcej niż rozdrażnienie, jest w nim prawie nienawiść.

- Kamery nie rejestrują dźwięku - ucina pani Camberlin.
- Nie mogą nas usłyszeć.

Tylko pan Cousin nic nie mówi. Nadal jest sztywny jak kij. Stężenie pośmiertne. Nieugięty.

- To co mam zrobić? - pyta pan Renard.

Głos mu się trzęsie aż miło. Świetnie gra swoją rolę. Po żalonym wystąpieniu Mourada działa to na mnie krzepiąco.

- Trzeba zadzwonić na policję - mówi pani Camberlin, próbując dodać sobie animuszu.

- Trzeba im ją oddać! - wrzeszczy Guéneau.

- Przymknij się wreszcie!

Wszyscy odwracają się do panny Tràn, która piorunuje wzrokiem pana Guéneau.

- Może byś spróbował pomyśleć, kretynie!

Teraz obraca się do pana Renarda i wyciągając do niego rękę, mówi:

- Niech mi ją pan rzuci.

Kolej na moją interwencję. Mówię szeptem do mikrofonu:

- Mourad, szybko z powrotem do sali z zakładnikami!

Słyszę Mourada biegnącego korytarzem...

Pan Renard kładzie aparat na podłodze i zamierza go posłać do panny Tràn jak krążek po lodowisku. Koncentrując się, pociera go parokrotnie o ziemię i w końcu wykonuje ruch. Telefon, wirując jak bąk, sunie po podłodze, ale trajektoria została źle wymierzona.

Na ekranie widać, jak Mourad otwiera drzwi dokładnie w chwili, kiedy komórka kończy swój długi ślizg na wysokości pana Guéneau. Ten, wzięty z zaskoczenia, szybko wsuwa ją do prawego rękawa i przyjmuje odprężoną postawę człowieka, który od wyjścia strażnika nie ruszył się o milimetr.

Przedemną pan Delambre zaciekle coś notuje, co w tym momencie wydaje mi się raczej uspokajające. To, jakim go widziałem zaraz po przyjsciu, mogło być tylko skutkiem

emocji przed akcją. Teraz jest skupiony, pracuje. Panna Rivet również robi notatki.

Zapada długa chwila ciszy. Mourad grzebie przy uchu, próbując umocować w nim słuchawkę. Bez reszty skoncentrowany na tej trudnej operacji sprawia wrażenie, jakby kompletnie zapomniał o zakładnikach. Spojrzenia wszystkich, oprócz jego, kierują się na pana Guéneau, który kilkakrotnie próbuje przełknąć ślinę. Robię krótkie powiększenie jego ramienia: widać wyraźnie, że ma w rękawie małą komórkę i stara się, żeby mu nie wypadła. Potem odkaszuje i w końcu rzuca:

- Proszę pana...

Mourad się do niego odwraca. Słuchawka wypada mu z ucha.

- Toaleta... - mówi pan Guéneau tak, że go prawie nie słychać. - Muszę tam pójść.

Temu człowiekowi brak nie tylko opanowania, ale i wyobraźni. Spodnie ma mokre jak ścierka do podłogi i chce iść do toalety... Ale Mourad nie należy do ludzi dociekliwych. Jest wręcz szczęśliwy, że trafia mu się taka okazja.

- Jest to w planie - odpowiada z dumą. - Musimy wam towarzyszyć - dodaje, recytując wyuczoną lekcję.

Pan Guéneau natychmiast widzi, że popełnił strategiczny błąd. Spogląda na panią Camberlin.

- Ja też muszę do toalety - mówi ta ostatnia.

Mourad zamyka oczy, po czym je znowu otwiera.

- To też jest w planie - oświadcza triumfalnie. - Pójdziecie po kolei. Najpierw pan - mówi do pana Guéneau - bo pan był pierwszy.

Szeptem rzucam do słuchawki Mourada „bardzo dobrze”, a on uśmiecha się wniebowzięty. Pan Guéneau nie bardzo wie, jak należy rozumieć to nagłe zadowolenie. Waha się. Mourad wyciąga do niego rękę.

- No, dalej - mówi z miną w jego pojęciu zachęcającą.

I otwiera szeroko drzwi. Za progiem, z kamienną twarzą, na szeroko rozstawionych, jak wrośniętych w ziemię nogach, stoi Yasmine.

- Dalej! - powtarza Mourad.

Wtedy pan Guéneau wstaje. Ma zaciśnięte pięści i sztywno opuszczone ramiona; tylko tak może utrzymać ześlizgującą się w rękawie komórkę.

Pan Delambre unosi oczy w górę, jakby rozważał jakiś intrygujący pomysł, i zapisuje kilka słów w notatniku. Potem odkłada pióro.

Zaczynamy czekać.

Upływa kilka minut.

Wiem, że w tym momencie, jeśli moje instrukcje są ściśle przestrzegane, pan Guéneau pod dobrą strażą dotarł do toalety. Wszedł do kabiny, odwrócił się, żeby zamknąć drzwi, ale natknął się na lufę uzi. Znowu ma przed sobą Yasmine.

- Czy mogłaby pani... - zaczyna zgorszonym tonem pan Guéneau.

Ale dalsze słowa grzęzną mu gdzieś po drodze.

Yasmine zimno rzuca:

- Decyduje się pan, czy odprowadzić pana z powrotem?

Pan Guéneau odwraca się i wściekłym gestem unosi deskę klozetową. Potem rozpina rozporek, przez chwilę w nim grzebie i zaczyna hałaśliwie oddawać mocz. Ze spuszczonej oczami przesuwając telefon w stronę nadgarstka. Na swojej prywatnej komórce potrafi napisać SMS-a z zamkniętymi oczami. Wszystkie są do siebie podobne, kalkuluje. Te same funkcje w tych samych miejscach. Trzyma głowę spuszczoną, wciąga brzuch, starając się zyskać kilka cennych sekund. Trzyma już palec na klawiaturze. Znajduje dolny przycisk i zaczyna dyskretnie stukać w klawiaturę.

I w tym momencie rozlega się dzwonek komórki.

Natężenie dźwięku jest tak silne, że słyszymy go nawet w naszym pomieszczeniu po przeciwnej stronie korytarza.

Słyszając tę hałaśliwą, rozbrzmiewającą w całej toalecie muzykę, pan Guéneau czuje, że odpływa z niego cała krew. Próbuje schwycić wibrujący w rękawie telefon, ale ten wymyka mu się i wyslizguje z palców jak schwytane zbyt późno mydło. Przez chwilę z zamkniętymi oczami stoi w tej pozycji, być może spodziewając się, że strażniczka pośle mu serię w plecy. Ale nic się nie dzieje. Mrugając oczami, odwraca się do Yasmine. Na co czeka? Na cios w twarz? Kopniaka? Kulę w głowę? Nic nie rozumie, drży na całym ciele. Yasmine nie porusza się. Rozlega się drugi sygnał. Wtedy Yasmine kieruje lufę pistoletu maszynowego w stronę telefonu, którego wibrowanie przeszywa go od stóp do głów jak fale prądu elektrycznego.

Yasmine wykonuje swoją bronią wymowny gest.

Pan Guéneau spuszcza wzrok i czerwony na twarzy zapina rozporek, po czym oddaje aparat Yasmine, która w odpowiedzi wykonuje raz jeszcze ten sam władczy gest.

Pan Guéneau spogląda na migoczący ekran: nieznany numer.

Naciska zielony klawisz, a wtedy słyszy głos mężczyzny:

- Uważa pan, że to rozsądne posunięcie, panie Guéneau?
- pyta go Kader.

29

Pierwszą rzeczą, jaką po wejściu do sali widzi pan Guéneau, jest leżący na stole obok Kadera pistolet maszynowy. Coś takiego zawsze robi większe wrażenie niż zwykły pistolet. Nawet jeśli zakładnikowi uda się go dopaść, to ponieważ jego obsługa trwa dłużej, jest czas na interwencję. Kader ma duże doświadczenie, przy amatorach nic podobnego zdarzyć się nie może, zwłaszcza że cała broń jest na ślepe naboje. Co więcej, mam ekipę, której jestem pewny. Brali udział w wielu akcjach, nieraz dość ryzykownych, i znam ich zalety. Kader trzyma w ręku tylko sig sauera, z którego „zastrzelił” kilka minut wcześniej dwójkę ludzi. Pan Guéneau szybko się odwraca. Jego wzrok napotyka kamienną twarz Yasmine. Młoda kobieta pchnięciem kolby swojego uzi w plecy pokazuje mu puste miejsce.

Sprawdzian prawdy.

Pierwsze przesłuchanie nada symulacji ton. Jeśli pójdzie dobrze, to znaczy że środki zostały wybrane odpowiednio do celu. Na razie mój scenariusz się sprawdza i wszystko przebiega zgodnie z planem. Kwestia doświadczenia. Ale przechodzimy do etapu aktywnego, kiedy pan Delambre i panna Rivet będą przesłuchiwali menedżerów, by ocenić ich zachowanie, i wtedy nie da się uniknąć elementu improwizacji. Tak więc nadal uważnie śledzę wszystkie szczegóły.

Panna Rivet przysuwa mikrofon umieszczony między nią i panem Delambre'em. Kaszle. Suchym kaszlem.

Pan Guéneau siada. Cały się trzęsie. W tych mokrych spodniach musi mu być bardzo zimno. Na ekranie widzimy,

jak formułuje słowa, ale nie słyszymy żadnego dźwięku.

Nie czekając na instrukcje, Kader pochyła się do niego i pyta:

- Słucham?

Pan Guéneau szepce:

- Nie zabije mnie pan?

Głosu pana Guéneau prawie nie słyhać, przez co jego strach staje się trochę żaloszny. Zresztą panna Rivet też to chyba czuje, bo od razu przechodzi do rzeczy:

- Nie jest to naszym głównym zamiarem, panie Guéneau. Chyba że nas pan do tego zmusi.

Kader wiernie powtarza jej słowa, bardzo dobrze je interpretując. Może z powodu akcentu, może dlatego że tchnie w nie bardzo sugestywne, stłumione napięcie, w jego ustach słowo „zamiar” brzmi jak groźba. Panna Rivet słyszy powracające do niej echem własne słowa, co sprawia, że wszyscy troje mamy niezwykle wrażenie, jakbyśmy byli jednocześnie tu i tam.

Pan Guéneau z zamkniętymi oczami kręci głową i znów zaczyna płakać. Szepce:

- Proszę...

Powoli wkłada rękę do kieszeni, wyjmując komórkę i kładzie ją na stole, jakby to była fiolka z nitrogliceryną.

- Błagam.

Panna Rivet odwraca się do pana Delambre'a i pokazuje mikrofon, sugerując, że teraz jego kolej, ale pan Delambre nawet nie drgnie, tylko nadal wpatruje się w ekran. Stwierdzam, że się poci, co jest dość dziwne, bo klimatyzacja dobrze działa. Panna Rivet nie zwraca na to uwagi i ciągnie:

- Chciał pan wezwać pomoc? - pyta ustami Kadera. - Więc źle pan życzy naszej sprawie, panie Guéneau?

Pan Guéneau unosi głowę, gotowy zaklinać się na wszystkie świętości... ale nagle zmienia zdanie:

- Czego... ode mnie chcecie? - pyta.

- Nie tędy droga, panie Guéneau. Jest pan jednym z finansistów grupy Exxyal. Z tego tytułu ma pan dostęp do wielu poufnych informacji, kontraktów, porozumień, transakcji... Więc pytam: jak wiele jest pan gotów zrobić dla naszej sprawy w zamian za ocalenie życia?

Guéneau ma oszołomioną minę.

- Nie rozumiem... Nic nie wiem... Nic nie mam...

- Ejże, panie Guéneau, oboje dobrze wiemy, że kontrakty naftowe są jak góry lodowe; w dużej mierze pozostają pod powierzchnią. Jeśli się nie mylę, wiele z nich pan sam negocjował...

- Jakie kontrakty?

Złe posunięcie.

Od początku przesłuchania wyczuwa się, że panna Rivet niewystarczająco przemyślała sytuację osobistą pana Guéneau i nie do końca uświadamia sobie wagę tego przesłuchania. Próbuje pozyskać informacje, ale nie trafia. Skądinąd pan Guéneau wyczuwa zasadzkę, nawet jeśli nie całkiem ją identyfikuje.

Chwila niepewności...

- Czego... konkretnie... ode mnie chcecie?

- Niech pan mi to powie - nie ustępuje panna Rivet.

Rozmowa utknęła w miejscu.

- Czegoś przecież... ode mnie chcecie, prawda? - pyta pan Guéneau.

Jest bardzo wzburzony.

Stawiane mu pytania nie pasują do brutalności całej sytuacji.

Ma wrażenie, że terroryści nie wiedzą, czego chcą.

Nie znoszę takich chwil niepewności. Przeliżę ślinę.

A wtedy z letargu budzi się pan Delambre. Wyciąga rękę, przysuwa do siebie mikrofon:

- Czy jest pan żonaty, panie Guéneau? - pyta.

Kader jest zaskoczony zmianą głosu w słuchawce. Zapewne również grobowym tonem pana Delambre'a.

- No... tak - odpowiada pan Guéneau na pytanie, które powtarza Kader.

- I dobrze się panu układa?

- Słucham?

- Pytam, czy między panem i żoną dobrze się układa?

- Nie rozumiem...

- W łóżku, z żoną? Dobrze się układa?

- Proszę posłuchać...

- Niech pan odpowie!

- Nie widzę związku...

- ODPOWIEDZIEĆ!

- Tak... no... dobrze się układa...

- Nic pan przed nią nie ukrywa?

- Co takiego?

- Słyszał pan.

- No cóż, nie... nie bardzo wiem... nie...

- I przed własnym pracodawcą też pan nic nie ukrywa?

- To znaczy... to nie to samo...

- Czasem wychodzi na jedno.

- Nie rozumiem...

- Proszę się rozebrać.

- Co?

- Powiedziałem: proszę się rozebrać! Tu, natychmiast!

Kader wyczuł zamiary Delambre'a: odłożył się sauera, sięgnął po pistolet maszynowy. Pan Guéneau wpatruje się w niego ze zgrozą. Niezrozumiale coś bełkocze...

- Proszę, nie - mówi błagalnym głosem.

- Ma pan dziesięć sekund - dodaje Kader i wstaje.

- Proszę, nie...

Mijają dwie, trzy długie sekundy.

Pan Guéneau płacze, przenosząc wzrok z twarzy Kadera na pistolet maszynowy i z powrotem, i czuje się, że szepce „Proszę, błagam...”, ale mówiąc to, jednocześnie zaczyna zdejmować marynarkę, która opada na podłogę, i rozpinać dolne guziki koszuli.

- Najpierw spodnie - włącza się pan Delambre. - I proszę się cofnąć...

Pan Guéneau przerywa, cofa się o krok.

- Jeszcze dalej!

W ten sposób znalazł się już prawie pośrodku pokoju, na pełnym widoku. Jęcząc, zaczyna rozpinąć pasek. Nieporadnym ruchem ociera oczy.

- Szybciej... - na polecenie pana Delambre'a pogania go Kader.

Pan Guéneau ściągnął spodnie. Nie podnosi głowy. Ma na sobie kobiece majtki. Jasnoczerwone. Z kremową koronką. Takie jak te, które widuje się w witrynach sex-shopów.

I powiem panu szczerze, co w tym momencie czuję: jest mi za niego wstyd.

Nie lubię homoseksualistów, ale homoseksualiści ukryci to już kompletne dno.

- Koszula - dodaje pan Delambre.

Kiedy pan Guéneau zdjął wszystko, okazało się, że pod garniturem ma na sobie pełny komplet, majtki i biustonosz. To okropnie smutne. Stoi ze zwisającymi wzdłuż tułowia rękami, ze spuszczoną głową, a jego łyzy są teraz naprawdę rozdzierające. Ma tłustawy tors człowieka, który lubi dobrze zjeść, ściśnięty miseczkami stanika. Jasnoczerwony komplet mocno kontrastuje z tym tęgim, owłosionym ciałem, z bladym, obwisłym brzuchem. Majtki, które wrzynają mu się między grube pośladki, są wilgotne od moczu.

Nikt nie rozumiał, skąd pan Delambre miał takiego nosa, ale miał. Jak wyczuł słabość w tym człowieku? Panna Rivet całkiem straciła głowę: to pierwsze przesłuchanie przerasta wszelkie jej wyobrażenia.

Pan Delambre znów zabiera głos.

- Panie Guéneau!

Ten unosi oszołomioną twarz.

- Uważa pan, że można zaufać komuś takiemu jak pan, panie Guéneau?

Mężczyzna stoi zgięty pod brzemieniem upokorzenia, ramionami porusza do przodu i w tył, pierś mu się zapada, kolana prawie się o siebie obijają. Pan Delambre odczekuje długą chwilę, po czym zadaje ostateczny cios.

- Z przyczyn politycznych, które za długo by tu panu wyjaśniać, chcielibyśmy, żeby w prasie napisano o grupie Exxyal. Nasza sprawa wymaga zdyskredytowania wielkich spółek europejskich. Grupa Exxyal musi zaś zostać przedstawiona w jak najczarniejszym świetle, rozumie pan, co mam na myśli. W tym celu potrzebne są nam wiarygodne informacje, które udostępnimy prasie. Wiemy, że posiada pan wiedzę, która może przysłużyć się naszej sprawie. Poufne klauzule, łapówki, ciche układy, fikcyjne spółki, wstydlive protekcje, wyjścia zapasowe, pomoc, zachęty... Orientuje się pan, o czym mówię. Ma pan więc wybór. Mogę pana natychmiast zabić. Ale jeśli pan woli mieć czas na przemyślenie naszej propozycji, mogę pana odesłać na kilka godzin do pańskich kolegów. Uśmieją się, ujrząwszy pana w tym mocno... dekadencckim stroju.

Pan Guéneau cicho pojękuje.

- Nie... - szepce.

Jest rozpaczliwie nieszczęśliwy, to straszne upokorzenie.

Za plecami musi wyczuwać obecność Yasmine. Choć w mundurze, to przecież młoda kobieta, która na niego patrzy. Zaciska ręce, jakby chciał zedrzeć z nich skórę.

- Chyba że jest pan gotów przysłużyć się naszej sprawie? Wszystko potoczyło się bardzo szybko.

Pan Guéneau rzucił się do pistoletu. Zanim Kader zdążył wykonać jakikolwiek ruch, złapał broń i wpakował sobie lufę w usta. Yasmin ma znakomity refleks. Łapie go za ramię i gwałtownie przyciąga. Pistolet spada na ziemię.

Pan Guéneau w czerwonej damskiej bieliźnie leży na stole na plecach, jedno ramię złożone na piersi, drugie bezwładnie zwisa. Wygląda jak groteskowa ofiara na

ołtarzu. Scena trochę jak z filmów Felliniego. Czuje się, że ten człowiek właśnie stracił część szacunku dla siebie, którego już nigdy nie odzyska. Nie porusza się, z trudem łapie oddech. W końcu przekręca się na bok, zwiija w pozycji embrionalnej i znowu zaczyna płakać, tym razem w milczeniu.

Widać, że najchętniej by umarł.

Pan Delambre znów pochyla się do mikrofonu.

- Teraz do dzieła - szepce do Kadera. - Jego blackberry!

Kader rzuca coś po arabsku do Yasmine, która przynosi niewielki karton, do którego zostały wrzucone telefony, zegarki i inne osobiste przedmioty zakładników, i stawia go przy głowie pana Guéneau.

- Teraz pański ruch, panie Guéneau. - mówi Kader - Co pan wybiera?

Chwila zdaje się nie mieć końca. Pan Guéneau, jak odrętwiały, porusza się bardzo wolno. Jest zdruzgotany, ale w końcu jakoś udaje mu się, choć chwiejnie, stanąć na nogach. Robi ruch, jakby chciał rozpiąć stanik, ale pan Delambre rzuca szybko do mikrofonu:

- Nie!

Więc nie.

Pan Guéneau posyła Kaderowi spojrzenie pełne nienawiści. Ale nienawiść też niczemu nie służy, oto stoi teraz ubrany w kobiecą bieliznę, przemoczony do suchej nitki, bojąc się stracić życie, na którym mu już przecież nie zależy, jest pokonany. Niemrawie grzebie w kartonie, wyjmując swój blackberry i włącza jedną ręką. Wprawna ręką. Cała scena jest o tyle bardziej żałosna, że tak długo trwa. Pan Guéneau łączy się przez smartfona z laptopem mającym połączenie z intranetem Exxyal-Europe. Za jego plecami stoi Kader, z bliska śledząc jego ruchy. Pan Guéneau wprowadza kody i zaczyna prawdopodobnie szperać w rachunkowości niektórych operacji; na naszych ekranach nie widać dokładnie, co się naprawdę dzieje.

Zdaje się, że od tego momentu opinie się różnią.

Co do mnie, to jestem pewny, że usłyszałem, jak pan Delambre mówi: „Łajdak”. Nie, nie potrafię powiedzieć, czy było to w liczbie pojedynczej czy mnogiej. I nie powiedział tego głośno, ale jakby pod nosem, sam do siebie. Panna Rivet zresztą stwierdziła, że tego nie słyszała. Ja odwrotnie, jestem pewny. Przesłuchanie się skończyło, pan Guéneau został zniszczony, nie bardzo nawet rozumieliśmy, jak do tego doszło, pan Delambre odwrócił głowę, powiedział, jestem pewny: „Łajdak” i wstał. Do końca akcji, którą doprowadził aż do tego momentu, było jeszcze daleko. A jednak wydawało się, że sprawa przestała go interesować. Kader odwrócił głowę do obiektywu kamery, czekając na wskazówki. Pan Guéneau w czerwonym koronkowym komplecie, skulony nad klawiaturą laptopa, wciąż szlochał jak dziecko. Potem z kolei Yasmine spojrzała w obiektyw. I pośród tej ogólnej niepewności co dalej, pan Delambre wstał. Widziałem go z tyłu, trudno mi powiedzieć, jaką miał minę. Odnoszę wrażenie, że coś w nim... jak by to powiedzieć... puściło. Jakby poczuł ulgę. Oczywiście łatwo mówić takie rzeczy po fakcie, ale może pan sprawdzić, to samo powiedziałem przy pierwszym zeznaniu.

Do rzeczy. Tak więc pan Delambre stoi w dziwnym milczeniu. Panna Rivet jest zaskoczona. Potem pan Delambre bierze swoją teczkę, odwraca się i wychodzi.

Dość dziwnie to wyglądało. Głowę by się dało, że wraca do domu. Jakby skończył pracę.

Ale ledwie wyszedł, już wiedziałem, że trzeba działać. Natychmiast. W sali przesłuchań Kader patrzył na nieszczęsnego pana Guéneau łkającego nad klawiaturą i czekał na instrukcje. Złapałem mikrofon i szybko rzuciłem: „Niech przerwie i się ubierze!”, potem przełączyłem się na słuchawkę Mourada, który w wielkim skupieniu przechylił głowę. Powiedziałem: „Nie spuszczaaj ich z oka”. Odwróciłem się, żeby pobiec za panem Delambre’em, bojąc się, że zrobi jakieś głupstwo, ale nie zdążyłem zrobić dwóch

kroków, kiedy do naszej sali weszli panowie Dorfmann i Lacoste.

Byli bardzo sztywni i patrzyli prosto przed siebie. Obok nich kroczył pan Delambre z teczką w lewej ręce. W prawej trzymał pistolet, berettę cougar, wymierzoną w skroń pana Dorfmann. Od razu zobaczyłem, że nie żartuje, bo miał dzikie spojrzenie i postawę wyrażającą determinację. A kiedy facet przykłada broń drugiemu do skroni, zawsze lepiej założyć, że naprawdę jest gotowy strzelić.

Pan Delambre wrzasnął:

- Wszyscy do sali konferencyjnej!

Wrzeszczał, bo się bał; szeroko otwarte oczy nadawały mu trochę szalonego wyglądu.

Panna Rivet krzyknęła.

Zacząłem mówić: „Co jest grane?“, ale pan Delambre mnie uprzedził. Odjął broń od głowy pana Lacoste'a, wycelował przed siebie, zamknął oczy i strzelił. Bez sekundy wahania. Huk był straszny, dwa ekrany wybuchły (pan Delambre strzelał na oślep), wszędzie szkło, dym, smród spalonego plastyku, panna Rivet z krzykiem padła na kolana, obaj mężczyźni, których trzymał na muszce, zgięli się wpół, zasłaniając uszy.

Ja sam podniosłem ręce jak najwyżej, żeby pokazać, że nie stawiam żadnego oporu, bo ten eksplodujący ekran i ten smród prochu... nie było wątpliwości... mógł nas wszystkich zabić.

Pan Delambre strzelał z ostrej amunicji.

30

„Ręce do góry!”, „Dalej!”, „Ruszać się!”

Pan Delambre nie przestawał wrzeszczeć. Żeby wypełnić dźwiękową przestrzeń, żeby nie dać nam czasu do namysłu, żeby wykorzystać element zaskoczenia.

I zaraz, wciąż krzycząc, pogonił nas korytarzem, zbierając po drodze Kadera, pana Guéneau i Yasmine, i brutalnie nas wepchnął do sali konferencyjnej, w której szóstka rzekomych zakładników, nie wiedząc o tym, właśnie została prawdziwymi zakładnikami.

Potem, dla dopełnienia efektu, odwrócił się do prawej kamery, uniósł ramię i strzelił; kamera zniknęła w tumanie pyłu. Odwrócił się w drugą stronę i znów strzelił, ale teraz miał mniej szczęścia: kula przeszła daleko od kamery i przebiła przepierzenie, robiąc w nim dziurę wielkości piłki futbolowej. Ale pan Delambre nie był gotów dać się wypunktować; wrzasnął „Pieprzone gówno!”, znów wypalił i tym razem kamera rozprysła się na kawałki.

Nie wyobraża pan sobie nawet, ile huku potrafią zrobić trzy wystrzały z beretty 9 mm parabellum w pomieszczeniu o powierzchni czterdziestu metrów kwadratowych. Wszyscy mieli wrażenie, że ich głowy, jak te ścienne kamery, rozpadają się na kawałki. Ten typ beretty to broń trzynastostrzałowa i nawet jeśli pan Delambre nie miał zapasowego magazynka, nie była to chwila na robienie głupstw.

Tym, co mnie z miejsca uderzyło, był „profesjonalizm” pana Delambre’a. To znaczy był oczywiście okropnie podekscytowany, wrzeszczał i nie miał ani krzty zimnej krwi, widać to było po jego szybkich, urywanych ruchach

(to właśnie sprawiało, że był niebezpieczny), z dziwnie niespokojną miną bez przerwy rozglądał się wkoło i musiał zastanawiać się nad wszystkim, co robi, nad każdym kolejnym posunięciem, każdą zmianą pozycji; Kader bardzo szybko na mnie spojrzał, sprawdzając, czy myślę to co on: w działaniach pana Delambre'a była pewna metoda, to, co robił, było zgodne z logiką bezpieczeństwa i wskazywało, że doradzał mu zawodowiec. Na przykład trzymał broń w obu rękach; amatorzy często mają wtedy ramiona maksymalnie wyprężone, bo tak widzieli w telewizji, a nie lekko zgięte (a czasem nawet słabszą dłoń opierają z tyłu broni). Ale pan Delambre trzymał pistolet jak należy, w przewidywaniu odrzutu, gdyby strzelił. Było to oczywiście zaskakujące, no ale w końcu ja byłem doradcą panów Lacoste'a i Dorfmana, więc czemu pan Delambre miałby też nie mieć swojego doradcy lub doradców? I słusznie zrobił, jeśli się tak zabezpieczył, ponieważ jego zadanie nie było wcale proste. Bo widzi pan, wymierzyć z beretty do jednego czy dwóch facetów to jedno, ale wzięcie dziesięciu osób na zakładników to już całkiem inna sprawa. I muszę przyznać, że do roboty zabrał się całkiem nieźle; stąd ciąg dalszy wydarzeń. Gdyby nie działał składnie i metodycznie, gdyby nie wykonywał właściwych posunięć, to, nie chwaląc się, z ludźmi takimi jak ja czy Kader nie miałby żadnych szans.

Muszę przyznać, że w duchu spojrzałem na sprawę inaczej.

Odnosiło się wrażenie, jakby on był na scenie, a za kulisami stał ktoś inny. Miałem niemiłe uczucie, że manipuluje mną inny zawodowiec, co w mojej sytuacji było bardzo nieprzyjemne. Do tej pory „odgrywaliśmy” wzięcie zakładników, a tu nagle zmienia się reżyser. Fakt, że źle to przyjąłem. Nie lubię być wystawiany na próbę. Nie mówiąc już o tym, że pan Lacoste bardzo hojnie zapłacił mi ZA TO, żeby wszystko odbyło się jak trzeba. A tu jakiś marny bezrobotny kadrowiec, nie wiadomo przez kogo

manipulowany, celuje w nas, myśląc, że wszystko ujdzie mu na sucho. Nie, naprawdę mi się to nie spodobało.

Miał berettę. Broń, którą bardzo dobrze znam.

Kader, Yasmine i ja popatrzyliśmy na siebie i milcząco doszliśmy do tego samego wniosku. Jak tylko komuś z naszej trójki trafi się sposobność – pierwszy jego błąd i pan Delambre nie żyje.

W tym momencie niemal wszyscy obecni w sali musieli pomyśleć, że zwariowali. Ci, którzy wiedzieli, że chodziło o symulację, natychmiast pojęli, że wróciliśmy do realu. Pozostali kompletnie nie rozumieli, jak to się stało, że porywacze, którzy dopiero co wzięli ich na zakładników, teraz sami są więźniami. Pewnie nie mogli tego w żaden sposób rozgryźć. Menedżerowie Exxyalu, którzy widzieli, jak terroryści zastrzelili pana Dorfmana, ujrawszy go teraz całego i zdrowego, zorientowali się oczywiście, że padli ofiarą oszustwa. Ale zobaczyli też ludzi, których nie znali, i mężczyznę, który trzymał na muszce ich prezesa i strzałami z pistoletu rozwaliał kamery. Efekt oszołomienia działał na korzyść pana Delambre'a.

Nim ktokolwiek zdążył zastanowić się nad sytuacją, ten kazał nam położyć się na podłodze na brzuchu, z szeroko rozłożonymi rękami i nogami.

- Palce też rozprostować! Jeden ruch i strzelam!

Tego się samemu nie wymyśli. Rozstawione palce to rzecz, o której trzeba wiedzieć. Jednak, mimo fachowych rad, jakich mu ewidentnie udzielono, technikę miał nowicjusza. Sam zresztą zdał sobie z tego sprawę, kiedy chciał nowo przybyłych przeszukać: ludzie leżeli na ziemi bez ładu i składu, nie mógł robić dokładnej rewizji i jednocześnie mieć ich wszystkich w polu widzenia. To jest główny problem samotnego napastnika. Od strony technicznej działanie w pojedynkę wymaga świetnej organizacji i doskonałej umiejętności przewidywania, i jeśli jest jakiś szczegół, o którym człowiek nie pomyślał, to może być pewny, że właśnie na nim się potknie. Co więcej, pan

Delambre nie miał do tego odpowiedniego nastawienia. Ciągłe pokrzykiwał: „Żadnych ruchów! Kto się ruszy, zabiję!”. W głębi duszy w siebie nie wierzył. Tak przynajmniej wyczułem, kiedy podszedł, żeby mnie obmacać. Jego ruchy nie były na tyle niezręczne, by dać mi uzasadniony powód do reakcji, ale brakowało im należytej systematyczności i precyzji. Ten człowiek może popełniać błędy, byłem nawet pewny, że niedługo zrobi pierwszy. Leżąc plackiem na ziemi jak pierwszy lepszy klient supermarketu podczas napadu, uznałem, że gdybym miał rękę, nie dałbym mu żadnych szans.

Jeszcze nigdy pan Delambre nie był tak bliski śmierci jak wtedy i być może o tym wiedział.

Gdy nas rewidował, mimo niewdzięcznej pozycji miał jedną przewagę: wiedział, czego szuka. Głównie telefonów komórkowych. Po jednym od osoby. A przy okazji zegarków, by nas pozbawić punktów odniesienia. Bez problemu nam je odebrał i wrzucił wszystkie do szuflady wyciągniętej z biurka.

Potem spuścił żaluzje w oknach i przeszedł do dalszego etapu operacji, zmieniając układ na sali:

- Pan! - krzyknął do pana Cousina. - Tak, pan! Proszę wstać, ręce WCIĄŻ do góry, i stanąć tutaj. Z ŻYCIEM!

Cały czas krzyczał, a niektóre słowa dosłownie wywrzaskiwał. Nie widziałem, czy był to sygnał zwiastujący panikę, czy pan Delambre nadal wypełniał dźwiękową przestrzeń, żebyśmy nie mogli pomyśleć. Rzecz w tym, że jemu też to uniemożliwiało myślenie. Jako jeden z pierwszych na jego rozkaz wstałem i przez krótką chwilę mogłem mu się przyjrzeć: był bardzo pobudzony. I właśnie świadomość, że jest taki rozgorączkowany, taki porywczy - instynktownie wymuszała na nas posłuch. Czuliśmy, że jest zdolny popełnić każdy błąd, ale i każdą zbrodnię.

Gdy relacjonuje się owe wydarzenia teraz, wszystko wydaje się dziać w zwolnionym tempie. Opisuje się każdy gest, każdy zamiar, ale w rzeczywistości sprawy potoczyły

się bardzo szybko. Tak szybko, że nie zdążyłem nawet zadać sobie zasadniczego pytania: dlaczego pan Delambre to wszystko robił? Na co liczył? Dlaczego menedżer wezwany na rozmowę kwalifikacyjną wziął swoich przyszłych pracodawców na zakładników przy użyciu ostrej amunicji? Kryło się za tym coś, czego nie potrafiłem pojąć, więc pomyślałem, że lepiej poczekać, aż sytuacja sama się wyklaruje.

Tak więc kazał nam kolejno wstawać i wskazywał każdemu jego miejsce pod ścianą. Wtedy polecił nam usiąść plecami do niej i położyć płasko ręce. Okazja do działania nieszybko miała się nadarzyć, bo to jedna z pozycji, które najtrudniej zmienić. Sam wiele razy stosowałem ją podczas różnych operacji.

Nie przygotował szczegółowego planu, bo nieraz wskazywał kogoś, wahał się, mówił: „Tam!”, a potem zmieniał zdanie: „Nie, tam...!”. Było to bardzo niepokojące.

Ale w końcu wszyscy zostali usadzeni.

Nie wiem, czy o taki właśnie rezultat mu chodziło, ale był w tym logiczny porządek. Po prawej miał ludzi z Exxyal-Europe: pani Camberlin, panna Tràn, panowie Cousin, Lussay i Guéneau (który zdążył włożyć z powrotem spodnie i marynarkę). Z lewej moja ekipa: Mourad, Yasmine, Kader, pan Renard i ja, i wreszcie pośrodku samotni, więci w kleszcze między obie grupy, panowie Dorfmann i Lacoste. Efekt, choć improwizowany, robił wrażenie, ponieważ ci dwaj natychmiast skojarzyli się wszystkim obecnym z oskarżonymi na ławie sądowej. Zresztą to poczuli; obaj zbledli. Chyba bardziej widoczne było to u pana Lacoste'a, który zwykle jest lekko opalony; pewnie uprawia sporty zimowe.

W takich razach, odwrotnie, niż się sądzi, to nie kobiety płaczą najwięcej i najgłośniej. Pan Guéneau, który wylał już wszystkie łzy, ściskając poły marynarki, wpatrywał się z uporem w podłogę między własnymi stopami. Pałeczkę po nim przejął pan Lussay, cicho popłakując jak malec, który

boi się, że dostanie lanie. Pani Camberlin szlochała w milczeniu, rozmazał się jej makijaż, miała ciemne ślady na policzkach, tylko na dolnej wardze zostało jeszcze trochę szminki. U pięćdziesięcioletniej kobiety to zawsze niezbyt ładny widok. Z kolei panna Tràn była blada, wyglądała, jakby w kilka minut postarzała się o dziesięć lat, włosy jej oklapły. Już nieraz to zauważyłem. W sytuacjach skrajnych ludzie natychmiast rezygnują ze wszystkiego, co stanowiło o ich urodzie, bo myślą tylko o tym, żeby przeżyć, i najczęściej brzydną.

Ale największe wrażenie robił pan Cousin. Już w normalnych warunkach jego skrajna chudość była szokująca, ale teraz był sztywny jak wielkanocna świeca, a jego sokole oko zdawało się przewiercać wszystko na wylot. Odwrotnie niż tamci, gotowi w razie potrzeby wyrzec się wszelkiej godności, byle uratować życie, on wpatrywał się w pana Delambre'a jak w osobistego wroga, nie spuszczając wzroku, nie mrugnawszy okiem, jakby byli sobie równi, a jego gesty, kiedy wykonywał polecenia tamtego, wyrażały milczący, ale radykalny sprzeciw. Pozostali starali się nie rzucać w oczy, jak najmniej poruszać.

Osobami, które hałasowały najbardziej, byli boleściwie pojękujący pan Lussay i nasz aktor, pan Renard, który wyglądał, jakby się chciał wtopić w wykładzinę dywanową i zapewne przeżywał najtrudniejsze chwile w swojej karierze.

Na pół minuty zapadła cisza.

Pan Dorfmann, prezes Exxyal-Europe, nie okazywał żadnych emocji. To człowiek, jak już mówiłem, niezwykle opanowany.

Mój pracodawca, pan Lacoste, zaczynał dopiero dochodzić do siebie. Popatrzył w moją stronę, pytająco unosząc brwi. Był gotów podjąć próbę interwencji. Dałem mu znak, że sam się wszystkim zajmę. Należało to do moich zadań jako organizatora operacji, byłem też osobą posiadającą największe doświadczenie w tej dziedzinie.

Ciekaw byłem zdania Yasmine, która studiowała również psychologię sytuacji kryzysowych. Posłała mi spojrzenie wyrażające wahanie, trudno było wyrobić sobie zdanie. Pomyślałem, że mógłbym spróbować. Wykorzystałem moment wytchnienia u pana Delambre'a, żeby nawiązać pierwszy kontakt:

- Czego pan chce, panie Delambre?

Starłem się nadać swoim słowom pogodny, spokojny ton, ale nie wiem, czy właśnie tak należało zacząć. Pan Delambre podskoczył do mnie. Wszyscy odruchowo spuściliśmy głowy. Ja pierwszy.

- A czego ty chcesz, palancie?

I gwałtownym ruchem przyłożył mi pistolet do czoła prawie przy nasadzie włosów, a ponieważ nie widziałem, czy go zabezpieczył, przyznaję, że się przestraszyłem. Zacisnąłem powieki.

- Nic, nic nie chcę...

- I dlatego zawracasz mi głowę, palancie? BEZ POWODU?

Poczułem nagłą falę zimnego potu i żołądek podszedł mi do gardła. Widzi pan, w moim fachu zdarzyło mi się już bać, że zginę, i zapewniam, że tego uczucia nie sposób pomylić z żadnym innym...

Najlepiej było milczeć, nie ryzykować, że się jeszcze bardziej nakręci.

Lufa jego pistoletu była wycelowana w mój mózg.

Pomyślałem, że facetowi zaczyna odbijać i że przy pierwszej sposobności wpakuję mu kulę dokładnie w to samo miejsce.

31

Bez wątpienia zainterweniowałem przedwcześnie, ale było już za późno, żeby tego żałować. Wskazałem panu Delambre'owi wyłom, w który z impetem się wdarł:

- No i co, osiłku! - zawołał. - I jak się skończyła ta twoja wspaniała inscenizacja? Co, kretynie, jak się skończyła?

Nie powiem panu, jak zareagowali tamci, bo miałem zamknięte oczy.

- Szkoda wielka, była taka dopracowana! Twoja ekipa, twoje kamery, twoje ekrany, twoje gówniane pistolety maszynowe.

Znów przyłożył mi broń do czoła, jakby chciał wkręcić lufę w moją czaszkę.

- Ale to jest prawdziwe, kolego. Z prawdziwymi kulami, które robią prawdziwe dziury. Skończyła się już zabawa w Indian i kowbojów. A właśnie, à propos Indian, gdzie jest nasz Wielki Manitu?

Pan Delambre wstał i zaczął udawać, że się za czymś rozgląda.

- Tak, prawda, gdzie jest Wielki Kacyk? Aaaa, tu jest!

I tak jak wcześniej przede mną, przykucnął teraz przed panem Dorfmannem. Przytknął mu lufę beretty dokładnie w tym samym miejscu, pośrodku czoła. Ze sposobu, w jaki mówił, wyraźnie wynikało, że kieruje nim nienawiść. Czuł potrzebę upokarzania, poniżania. Co było odpowiedzią na moje pytanie i co miała potwierdzić przyszłość: w gruncie rzeczy pan Delambre nie miał żadnych żądań. Nie był tutaj z powodu pieniędzy, z powodu okupu.

Nie, był tu z powodu zemsty.

Jego poczucie krzywdy, jego rozgoryczenie doprowadziły do tego, co robił teraz, do symbolicznego odwetu.

Ale ten stary kadrowiec na bezrobociu, trzymający na muszce europejskiego barona przemysłu, zdawał się czerpać z tego tak niezdrową frajdę, że z powodzeniem można było spodziewać się prawdziwej jatki.

- No cóż... - ciągnął. - Generalissimus siedzi dziwnie cicho. Denerwuje się, to normalne! Rzecz w tym, że spoczywa na nim niebywała odpowiedzialność! Ciężko, co? A tak, ciężko...

Mówił to z udawanym współczuciem, teatralnym tonem.

- O, bo na przykład planowanie zwolnień to dopiero ciężka sprawa. Mało powiedziane! Nie ma nic cięższego! Wszędzie się zwalnia, wiele się tego robi, ma się w zwalnianiu wprawę, co? Nie, nie, nie, najciężej je zorganizować. O, to jest dopiero piekielnie skomplikowane! Potrzebna jest wiedza, potrzebna determinacja. Trzeba z kretynami negocjować. A do tego potrzeba ludzi, i to dobrych. Potrzeba żołnierzy, prawdziwych piechurów kapitalizmu. Nie można wybrać byle kogo, co, Cezarze? A świetnym sposobem, żeby wybrać najlepszego, będzie wzięcie zakładników. No więc udało ci się, Najwyższy Wodzu: zostali wzięci!

Pochylił się do przodu, lekko obracając głowę, jakby go chciał pocałować w usta, i wtedy zobaczyłem twarz pana Dorfmann. Nadal była pełna godności. Pan Dorfmann zaczerpnął tchu, próbując coś powiedzieć, ale nie było potrzeby. Pan Delambre był już na orbicie.

- Tak à propos, Wasza Lodowata Wysokość... Niech mi pan powie, ilu dokładnie ludzi zwalnia pan w Sarqueville?

- Czego... pan chce? - wykrztusił pan Dorfmann.

- Chcę wiedzieć, ilu pan tam zwalnia. Ja tutaj mogę zabić was wszystkich, co daje dwunastu. Ale jestem tylko drobnym rzemieślnikiem. Pan działa na skalę przemysłową. No to ilu pan zamierza ustrzelić w Sarqueville?

Pan Dorfmann uznał, że na ten teren lepiej się nie zapuszczać, i postanowił milczeć. I jeśli chce pan znać moje zdanie, postąpił piekielnie słusznie.

- Mnie wyszło, że ośmiuset dwudziestu trzech - z miną wyrażającą powątpiewanie ciągnął pan Delambre. - Ale nie wiem, czy moje wyliczenie jest aktualne. Ilu dokładnie?

- Nie... nie wiem...

- Ależ tak, wie pan! - ufnie upierał się przy swoim pan Delambre. - Ejże, po co ta fałszywa skromność - ilu?

- Mówię panu, że nie wiem! - krzyknął pan Dorfmann. - Czego pan właściwie chce?

Na co pan Delambre tylko wstał i powiedział:

- Zaraz panu wróci pamięć, zobaczy pan.

Odwrócił się, wyciągnął rękę i strzelił w pojemnik z wodą, który pękł, uwalniając dobre dwadzieścia litrów cieczy.

Zostało mu osiem kul. I nikt nie wątpił, że z taką ilością amunicji może wyrządzić jeszcze poważniejsze szkody.

Znów pochylił się nad panem Dorfmannem.

- Na czym to skończyliśmy? A, prawda. Sarqueville. Więc dokładnie ilu?

- Osiemset dwadzieścia pięć osób - jednym tchem rzucił pan Dorfmann.

- No widzi pan, wróciła! Aha, to znaczy dwie osoby więcej. No tak, co to dla pana dwie osoby więcej. Co innego dla tych dwojga.

Do tej pory pan Delambre sprawiał wrażenie zorganizowanego, dokładnego i wydawało się, że wie, czego chce, ale od kiedy zabrał się do pana Dorfmann, jego taktyka wyraźnie straciła na konstruktywności. Co potwierdzało, że wziął nas na zakładników tylko w jednym celu: żeby nas sterroryzować lub upokorzyć. Trudno było w to oczywiście uwierzyć, ale patrząc, jak sobie poczynił, ta hipoteza była najbardziej prawdopodobna.

Napięcie to rodzaj nici, którą wszyscy w sobie nosimy, nie znając jednak stopnia jej wytrzymałości. Każdy ma

własną. Pani Camberlin musiała być bliska załamania, bo zaczęła krzyżeć, najpierw dość cicho, potem coraz głośniej. A wtedy, tak jakby dała tym sygnał czy pozwolenie, wszyscy jednocześnie podnieśli krzyk, co wyglądało jak zbiorowa psychodrama. Krzyżąc, dawali upust swojemu strachowi, swojemu lękowi, i ten krzyk się przedłużał, głosy mężczyzn i kobiet łączyły się w jedno zwierzęce wycie, które wypełniało całe pomieszczenie. Wydawało się, że nigdy nie przestaną.

Na tę zaskakującą kakofonię pan Delambre podniósł się, ale nie mógł napotkać niczyjzego spojrzenia, bo wszyscy mieli opuszczone głowy i kurczowo zaciskali powieki. Cofnął się na środek pokoju i też zaczął krzyżeć, ale jego krzyk był tak potężny, tak przejmujący, jego ból pochodził gdzieś z bardzo daleka... Wytrącił tamtych z transu; umilkli, podnieśli na niego wzrok. Wie pan, to była przedziwna scena, ten stojący pośrodku sali konferencyjnej mężczyzna z bronią w dłoni, który patrząc w górę, wył jak wilk, jakby miał zaraz umrzeć. W ułamku sekundy Kader i ja porozumieliśmy się wzrokiem. Rzuciliśmy się na niego. Kader dopadł jego nóg, ja chciałem go schwycić w pasie. Ale w tym samym momencie pan Delambre, jak domek z kart, osunął się na podłogę, co było najlepszą metodą obrony. Jego kula trafiła mnie w prawą nogę, a Kader, kiedy pan Delambre walnął go kolbą pistoletu w czaszkę, rozłożył szeroko ramiona, by mnie uspokoić, że nic mu się nie stało.

Mimo bólu krzyknąłem: „Nie ruszać się, zostańcie na miejscach!”, bo bałem się, że ktoś spróbuje się na niego rzucić, a wtedy zacznie strzelać na oślep.

Kader i ja doczołgaliśmy się pod ścianę, trzymając się jeden za nogę, drugi za głowę. Pojawienie się krwi niezbitcie pokazywało, że wkroczyliśmy w nowy etap eskalacji działań, i wszyscy to dobrze czuli. Dotąd był tylko hałas i strach, a to, co zobaczyli teraz, było bardziej fizjologiczne, bardziej organiczne, zbliżało nas do śmierci. Słyszałem piski zakładników.

Długo się zastanawiałem, czy działałem wtedy świadomie. Kader zapewnił mnie, że tak. Uważa, że nie mogliśmy pozwolić, żeby taka niebezpieczna sytuacja dalej trwała, nie podejmując żadnej próby, a to był najodpowiedniejszy moment. Dla mnie jedyna dobra akcja to udana akcja. Ów epizod tylko umocnił mnie w poczuciu frustracji i w postanowieniu, żeby pokazać panu Delambre'owi, że nie ujdzie mu to płazem.

Już pod ścianą Kader i ja stwierdziliśmy, że żaden z nas nie został poważnie ranny. On miał tylko rozcięcie na głowie pod włosami, ale coś takiego zawsze obficie krwawi i wygląda dość widowiskowo. Ja, wykrzywiając twarz, trzymałem się za nogę, ale kiedy rozdarłem materiał spodni, stwierdziłem, że kula tylko mnie drasnęła, nie wyrządzając większych szkód. Pan Delambre najwyraźniej był kompletnym amatorem, więc Kader i ja mocno przesadzaliśmy z tym bólem.

Pan Delambre stał na środku sali. Ocknął się już i nie bardzo wiedział, co robić. Mruknąłem:

- Trzeba wezwać pomoc.

Był zdezorientowany, zagubiony. Całkowicie zbity z tropu. Trzeba mu było podsunąć rozwiązanie.

Nie odpowiedział, więc poszedłem za ciosem. Starąłem się mówić bardzo powoli:

- Jak dotąd, panie Delambre, nic złego się jeszcze nie stało, może się pan z tego wykaraskać. Bez problemu. Jesteśmy tylko ranni, ale jak pan widzi, bardzo krwawie. Kader też... Trzeba wezwać pomoc.

Nie miałem zegarka, ale wiedziałem, że wzięcie zakładników trwało nie więcej jak dwadzieścia minut. Pan Delambre oddał pięć strzałów, ale budynek znajdował się w strefie biurowców i niewielkie były szanse, żeby w dniu wolnym od pracy, jak dzisiaj, ktokolwiek zainteresował się, co się tu dzieje. Zostało tylko jedno rozwiązanie: żeby pan Delambre sam zrezygnował. Nasze obrażenia były tu dobrym pretekstem, ale nie wyglądało na to, żeby był

gotów ustąpić bez oporu. Milczał, ale przez dłuższą chwilę przecząco kręcił głową, jakby się spodziewał, że rozwiązanie samo się znajdzie. Wreszcie się odezwał:

- Rany... Czy ktoś tu zna się na tym?

Żadnej odpowiedzi. Wszyscy instynktownie czuli, że oto rozgrywa się kolejna próba sił.

- Więc nikt? Okej - powiedział wtedy zdecydowanym tonem pan Delambre. - Zrobimy inaczej! Skoro już robić nieodwracalne szkody, to przynajmniej robić je w dobrym miejscu!

Dwoma susami doskoczył do pana Dorfmana, przyklęknął i przystawił mu lufę do kolana, mówiąc:

- No dalej, Wielki Sterniku, teraz pokaż swój heroizm!

A zważywszy szybkość, z jaką podjął decyzję, nie było najmniejszych wątpliwości, że strzeli. Wtedy rozległ się czyjś wyraźny głos:

- Ja, ja to zrobię!

Pan Cousin wstał. Trudno mi to ująć inaczej: wyglądał jak duch. Kredowobiała skóra, prawie przezroczysty, spojrzenie nawiedzonego. Nawet pan Delambre był pod wrażeniem.

- Trochę się na tym znam. Spróbuję.

I pan Cousin przystąpił do działania. Było to tak zdumiewające, że mieliśmy wrażenie, że porusza się w zwolnionym tempie. Najpierw podszedł do Kadera i pochylił się. Powiedział:

- Proszę spuścić głowę.

Przez chwilę grzebał mu we włosach.

- Nic poważnego - stwierdził. - To tylko naskórek. Płytkie skaleczenie. Samo się zatamuje.

Wyrażał się władczo, jakby teraz on był porywaczem. Swoją pewnością siebie, swoją zimną krwią, zyskał nagłą przewagę nad panem Delambre'em, który wciąż klęczał przed prezesem Exxyalu, nie wiedząc, co robić.

Potem pan Cousin nachylił się nad moją nogą. Ujął ją pod kość piszczelową, tak jak robią to ratownicy, uniósł,

odsunął materiał i powiedział:

- Również nic poważnego. Nic mu nie będzie.

Wstał i odwrócił się do pana Delambre'a.

- No dobrze... Żeby już z tym skończyć - czego pan konkretnie chce? A przede wszystkim: kim pan jest?

Pan Cousin żądał wyjaśnień.

W kilka sekund wzięcie zakładników zamieniło się w pojedynek dwóch silnych osobowości. Wokół siedzą zakładnicy, a pośrodku, jak na ringu, dwóch mężczyzn stoi z sobą twarzą w twarz. Pan Delambre miał rzecz jasna dużą przewagę: trzymał w ręku pistolet, z którego sześć razy wypalił, dziurawiąc ściany i raniąc dwóch ludzi. I zostało mu jeszcze siedem kul. Co jednak na panu Cousinie zdawało się nie robić większego wrażenia. Przybrał wojowniczą postawę, wydawało się, że wręcz zależy mu na jak najszybszej konfrontacji.

- Ach, ach! - zawołał pan Delambre, wstając z klęczek. - Przykładowy dyrektor, który spieszy z pomocą swojemu prezesowi! Jakże to wzruszające!

Nie oglądając się za siebie, trzymając pistolet w obu rękach, ostrożnie zaczął się cofać, dopóki nie dotknął plecami drzwi. Potem znowu zwrócił się do pana Dorfmana:

- Brawo, Ekscelencjo, ależ się panu udało z tym dyrektorem! Toż to wzorowy menedżer! Pan go wyrzuca, a on nadal na ochotnika pracuje, licząc, że go pan z powrotem przyjmie! Więc pytam: czy to nie nadzwyczajne?

Mówiąc to, uniósł w górę broń, jakby brał nas wszystkich na świadków albo chciał strzelić w sufit. Potem, kręcąc z podziwem głową, wycelował broń w pana Cousina:

- A ty, ty chcesz bronić swojej firmy! Jak trzeba, ryzykując własnym życiem. To twój klan, twoja rodzina! Od miesięcy pozwala ci dogorywać, gotowa jest bez najmniejszych skrupułów wywalić cię na śmietnik, ale to nieważne: dla niej gotowy jesteś umrzeć! Jak męczennik za wiarę...

Pan Cousin, zupełnie niezwruszony, patrzył mu prosto w oczy.

- Powtarzam - powiedział. - Kim pan jest i czego pan chce?

Występ pana Delambre'a ani wycelowana w niego broń zdawały się nie robić na nim najmniejszego wrażenia.

Pan Delambre z zasmuconą miną powoli opuścił ręce:

- Ależ... tego samego co ty, staruszk. A jedyne, czego chcę ja, to pracy.

Po czym podszedł do pana Lacoste'a, który z niepokojem uniósł brwi. Ale zamiast przystawić mu lufę do czoła, wycelował ją w jego serce:

- Zrobiłem wszystko, co trzeba, żeby dostać tę pracę.

- Proszę posłuchać... - zaczął pan Lacoste słabym głosem. - Sądzę, że pan...

Ale pan Delambre krótkim ruchem dłoni trzymającej pistolet kazał mu się zamknąć. Głos miał wciąż spokojny i właśnie ten skupiony ton wzbudzał lęk:

- Zrobiłem więcej niż wszyscy, żeby dostać tę pracę. Pozwolił mi pan wierzyć, że mam wszelkie szanse. Okłamał mnie pan, bo dla pana nie jestem nawet człowiekiem!

I zaczął trącać pistoletem pierś pana Lacoste'a.

- W rzeczywistości jestem lepszy od niej! Znacznie lepszy!

Niedbałym ruchem głowy wskazał miejsce, gdzie siedziała panna Rivet, ale to chyba z powrotem ożywiło w nim gniew, bo nagle zaczął krzyczeć:

- Zasługiwałem na tę posadę! A wy mi ją ukradliście! Słyszysz pan: ukradliście mi, a to JEDYNE, CO MIAŁEM!

Przerwał. Nachylił się do ucha pana Lacoste'a i wystarczająco głośno, by wszyscy go usłyszeli, powiedział:

- A skoro nie dostaję tego, co mi się należy... przyszedłem odebrać to w naturze.

Nagle usłyszeliśmy odgłos szybkich kroków.

Kiedy pan Delambre zorientował się, że pan Cousin wymknął się na korytarz, odwrócił się i strzelił w drzwi, ale

wymierzył za wysoko i zrobił tylko wielką dziurę w ścianie. Rzucił się w pościg, potknął o krzesło, które przewrócił po drodze pan Cousin, i o mało nie rozłożył się jak długi. Ale w końcu wypadł na korytarz. Zobaczyliśmy, że unosi broń, waha się, po czym opuszcza rękę. Było już za późno.

Miał do wyboru dwa złe rozwiązania: pobiec za panem Cousinem, pozwalając nam działać i telefonować, albo zostać z nami i pozwolić, żeby pan Cousin sprowadził pomoc.

Znalazł się w pułapce.

Wiele mogło się jeszcze wydarzyć, różne mogły być konsekwencje, ale niezależnie od tego, czy sprawa potoczy się dobrze czy źle, czy jedni ujdą z życiem, a inni zginą, jedno było pewne – w jakiś sposób był to już koniec.

Doświadczenie nauczyło mnie, że człowiekowi wystarczy kilka sekund, żeby zamienić się w szaleńca. Zaistniały wszystkie podstawowe składowe (poczucie upokorzenia lub niesprawiedliwości, skrajne osamotnienie, broń i świadomość, że nie ma się nic do stracenia) po temu, żeby pan Delambre zabarykadował się razem z nami przed policją.

Kiedy wrócił do sali z pistoletem w opuszczonej dłoni, ze spuszczoną głową, pokonany, naprawdę pomyślałem, że teraz on z kolei się rozpłacze.

Mógł jeszcze się wycofać, ale myślę, że to było ponad jego siły. Osiągnął punkt, od którego nie ma odwrotu, i pewnie nawet nie wiedział, jak skończyć. To zawsze jest najtrudniejsze: skończyć.

Przysunął krzesło i oto siedzi tyłem do drzwi, twarzą do zakładników.

To już nie ten sam człowiek.

Jest pokonany, u kresu sił. Oparł łokcie na kolanach, w prawej ręce trzyma niedbale pistolet, z nieobecny wyrazem twarzy patrzy w ziemię. W lewej dłoni ściska jakiś przedmiot z pomarańczowego materiału, przypuszczalnie z maleńkim dzwoneczkiem, który cienko podzwania. Wygląda to jak talizman.

Siedzi po przeciwnej stronie sali, o wiele za daleko, by ktokolwiek zdążył go dopaść, nim uniesie broń.

O czym w tym momencie myśli? Cóż, nie wiem, czego się spodziewał. Przyniósł nabitą broń, co świadczyło o tym, że nie wykluczał jej użycia, ale w jakim celu? Na próżno to roztrząsam, widok, jaki sobą teraz przedstawia, potwierdza jedno: pan Delambre postąpił jak człowiek zdesperowany. W swojej desperacji nie wykluczał posunięcia się do morderstwa.

Jak przewidział przed swoją ucieczką pan Cousin, rozcięcie na głowie Kadera rzeczywiście przyszło. Ja z kolei zrobiłem opaskę uciskającą, rana przestała krwawić i teraz to już tylko kwestia cierpliwości.

Grupa siedzi spokojnie, jak żołnierze w noc przed walką. Skończyły się płacze, zrzędzenie, jęki i skargi. Minęła

niespełna godzina. Ale tak wiele się w tym czasie zdarzyło, że wszyscy są wyczerpani.

Zaczął się ostatni akt.

Każdy się go boi i, skupiając się wewnątrz, zbiera siły. Gdyby pan Delambre osłabł w swojej woli przetrzymywania nas, byłaby jakaś nadzieja, ale wystarczy na niego spojrzeć i już wiadomo, że ten człowiek pójdzie do samego końca. I nikt nie wie, jaki będzie ten koniec.

Kiedy mniej więcej trzy kwadranse później dobiega nas odgłos syren policyjnych, wszyscy zadają sobie pytanie, jaki obrót przybierze to starcie. Czy pan Delambre podda się, czy stawi opór. Orzeł czy reszka. Każdy obstawia jedno lub drugie. I czeka, jaki będzie rezultat.

Syreny się zbliżają, ale pan Delambre nawet nie podnosi głowy. Siedzi nieruchomo, jest totalnie zdołowany. Uważnie słucham, to pięć wozów policyjnych i dwie karetki. Pan Cousin okazał się skuteczny i przekonujący, władze potraktowały sprawę poważnie. Na parkingu rozlegają się pospieszne kroki. Gliny rozpoznają teraz rozmiary problemu. Najpierw budynek zostanie otoczony. Za kilka minut pojawi się RAID. Zaczniemy wówczas pięciominutowe lub trzydziestogodzinne pertraktacje, zależnie od tego, ile zrozumienia, sprytu i odporności wykaże pan Delambre. A ponieważ ten wciąż gapi się w podłogę, pogrążony we własnych myślach, zakładnicy popatrują na siebie, zastanawiają się, co teraz, a kumulacja niepewności każdego z nich wywołuje zbiorowy lęk. Pan Dorfmann, spoglądając na każdego po kolei, stara się swoim opanowaniem uspokoić ludzi. Co do pana Lacoste'a, to sam początek tak go zaskoczył, że nie udało mu się już wrócić do wyścigu. Ma twarz pokonanego.

W megafonie zagwizdało i usłyszeliśmy pierwszy głos:

- Budynek został otoczony...

Pan Delambre, wciąż siedząc na krześle, bez cienia wahania wyciągnął rękę i nawet nie unosząc głowy, wystrzelił w okno; za opuszczoną storą z głośnym hukem

rozprysła się szyba. Obsypani odłamkami szkła zakładnicy momentalnie się skulili, zasłaniając głowy.

Wtedy pan Delambre wstał. Zupełnie nie zwracając na nas uwagi, jakbyśmy przestali być problemem, podszedł do swojej teczki. Wyjął z niej dwa magazynki do beretty; z taką ilością można by wytrzymać oblężenie. I z powrotem usiadł na krześle. Oba magazynki położył przy swoich stopach. To była bardzo zła wiadomość. Ostatnia faza zapowiadała się naprawdę źle.

Po pierwszym wezwaniu przez megafon policja nie naciskała. Kilka minut później usłyszeliśmy następne wozy. Przyjechali ludzie z RAID. Potrzebowali dwudziestu minut na zapoznanie się z planami budynku, na zamontowanie, jeśli to możliwe, mikrosond i kamer, żeby móc obserwować, co się dzieje w naszej sali, na ustawienie ludzi przy strategicznych wejściach celem otoczenia budynku. Równolegle naprzeciwko okien RAID rozmieści snajperów, gotowych przy najmniejszym błędzie pana Delambre'a wpakować mu dwie kule w głowę.

Oceeniłem, że upłynie dziesięć minut do pierwszego telefonu negocjatora, i mam wrażenie, że niezbyt się pomyliłem.

Zadzwoił na aparat wewnętrzny, który stał na podłodze pod ścianą, po prawej stronie pana Delambre'a.

Spojrzenia wszystkich skierowały się na aparat, ale dopiero po dobrych dziesięciu sygnałach pan Delambre zdecydował się wstać. Miał zmordowaną twarz. Telefon był standardowy, z klawiszami i cyfrowym ekranem. Pan Delambre podniósł słuchawkę, rzucił: „Halo”, a że oczywiście nikt mu nie odpowiedział, nacisnął najpierw jeden klawisz, potem drugi, szybko się zdenerwował, w końcu wypróbował prawie wszystkie, skutkiem czego wszyscy słyszeliśmy głos jego rozmówcy, ponieważ przy okazji włączył też i głośnik. Zdawało mu się to nie przeszkadzać.

- Panie Delambre, mówi kapitan Prungnaud.

- Czego pan chce?
 - Chcę się dowiedzieć, jak czują się zakładnicy.
- Pan Delambre omiół wzrokiem salę.
- Wszystko w porządku.
 - Ma pan dwóch rannych.

Rozmowa potoczyła się zgodnie z przewidywaniami i według zwykłych zasad. Pan Delambre od razu oświadczył, że nikogo nie wypuści i że trzeba będzie „po niego przyjść”. Dla podkreślenia wiarygodności swojego oświadczenia uniósł ramię i roztrzaskał dwa następne okna. Plastikowe story, przez które strzelał, miały teraz wielkie wypalone dziury dające dość dobre wyobrażenie o tym, co może dziać pistolet pana Delambre’a, gdyby zamiast na oknie wypróbował go na jednym z nas. W tym momencie wyborowi strzelcy RAID musieli mocno wyciągać szyje, licząc, że może zobaczą pana Delambre’a przez otwory w zasłonach, ale on stał zbyt daleko od okien, żeby mogli starać się go trafić.

Kader i ja straciliśmy już nadzieję, że uda nam się włączyć do akcji. Kiedy czekaliśmy na przybycie policji, dyskretnie obserwowałem Yasmine, która dotąd zachowywała niezwykle spokojny. Podczas tego długiego czekania udało jej się, milimetr po milimetrze, zmienić pozycję, podciągnąć niepostrzeżenie stopy, żeby mieć dobre oparcie, przerzucić ciężar ciała na drugą rękę, żeby mieć dobre wybiecie. Prawdziwa profesjonalistka. Siedziała w odległości około siedmiu metrów od pana Delambre’a i wiedziałem, że w chwili najmniejszej nieuwagi z jego strony gotowa jest rzucić się na niego. Więc nieco wcześniej, kiedy pan Delambre poszedł po dwa nowe magazynki, dałem jej znak, że jeszcze nie teraz. Dobra okazja nadarzy się, kiedy pan Delambre wystrzeli ostatni nabój. Zanim się zorientuje, że magazynek jest pusty, zanim sięgnie po nowy i go zamocuje, Yasmine będzie miała szerokie pole do popisu! Nie dawałem panu Delambre’owi nawet jednej szansy na sto przy tej dziewczynie żywej jak górski potok i doskonale

wyszkolonej. Zostały mu trzy kule i wyglądało, że gotów jest strzelać do wszystkiego, co się ruszy, co paradoksalnie dobrze wróżyło, bo przybliżało dogodny moment. Trafiła nam się nieoczekiwana okazja wkroczenia do akcji przed RAID.

Przyznam szczerze: było to moim jedynym celem.

Czułem się zaszachowany i postawiłem sobie za punkt honoru załatwić sprawę samemu, przed przybyciem sił porządkowych. Tym bardziej się do tego skłaniałem, że pan Delambre był uzbrojony, mogłem go więc z zimną krwią zabić, niczym nie ryzykując; przysługiwało mi prawo do obrony koniecznej. Wystarczyło, żebym przy zakładnikach bardzo szybko wystrzelił, jakbym nie zdążył dobrze wycelować. Prawda jest taka, że potrzebny był mi ułamek sekundy, żeby mu umieścić kulę w głowie, i to właśnie zamierzałem zrobić.

Ale jako się rzekło, wszystko działo się inaczej, niż przewidywałem.

Pan Delambre, choć wydawał się taki zagubiony, musiał sobie przypomnieć udzielone mu rady. Siedział na krześle, tyłem do drzwi, twarzą do grupy, i wtedy, gdy niecierpliwie oczekiwaliśmy, kiedy wystrzeli ostatni nabój, on nagle wyrzucił wciąż zdalny do użycia magazynek i wymienił na nowy. Zajął mu to niecałe cztery sekundy; ledwie Yasmine i ja zorientowaliśmy się, co robi, pan Delambre znów trzymał w ręku broń z trzynastoma nowymi kulami.

Yasmine nic po sobie nie pokazała, ale wiedziałem, że w duchu się załamała.

Atak RAID, ze wszystkimi tego konsekwencjami, był coraz bliższy.

Nasza sala znajdowała się na czwartym piętrze budynku i miała cztery okna, z czego trzy rozwalone strzałem z pistoletu, przez które do środka dostawały się podmuchy powietrza. Na początku było to przyjemne, ale teraz stanowiło duży problem. Czy RAID wybierze tę właśnie drogę? Nie było to niemożliwe. Stawiałem na akcję w

dwóch miejscach jednocześnie, korytarz i od zewnątrz, kleszcze, którym pan Delambre w pojedynkę nie dałby rady. A widząc, jak bez ostrzeżenia wypalił w dwa okna i to z ostrej amunicji, siły interwencyjne nie dałyby człowiekowi, który przetrzymywał dwunastu zakładników, w tym dwóch rannych, najmniejszej szansy wyjścia żywym.

Jeśli chodzi o śledztwo, służby uwinęły się z tym bardzo sprawnie: mężczyzna, który nas wziął, został szybko zidentyfikowany, dzięki czemu negocjator już w czasie pierwszego kontaktu mógł zwrócić się do pana Delambre'a po nazwisku. Właściwie na podstawie danych dostarczonych przez pana Cousina nietrudno było dotrzeć od pana Dorfmana do pana Lacoste'a, może nawet przyskrzynić jego współpracownicę, pannę Zbikowski, która zapewne była w posiadaniu wszystkich kluczy do tej historii.

Pierwsza runda negocjacji trwała krótko i zakończyła się trzema strzałami z pistoletu. Tylko patrzeć, jak oddział RAID wkroczy do akcji. Co nastąpiło dziesięć minut później.

Kiedy telefon zadzwonił po raz drugi, pan Delambre wstał. Yasmine i ja obserwowaliśmy jego zachowanie. Czy mówiąc, odwróci wzrok? Gdzie w czasie rozmowy odłoży broń? Czy przemieści się tak daleko, na ile pozwoli mu długość kabla? Naciskał wściekle kolejne klawisze, z których zapewne jedne blokowały drugie, a głośnik nadal był włączony.

- Panie Delambre, czego pan sobie życzy?

Był to znowu głos kapitana Prungnauda, wyraźny, spokojny, tchnący profesjonalizmem.

- Nie wiem... Czy może mi pan znaleźć pracę?

- Tak, z tego, co zrozumiałem, zaistniał pewien problem w tej kwestii.

- W rzeczy samej, drobny problem. „W tej kwestii”. Mam dla pana propozycję.

- Słucham.

- Ludzie, którzy tu ze mną są, wszyscy mają pracę. Jeśli jednego zabiję, obojętnie którego, a resztę uwolnię, da mi pan jego posadę?

- O wszystkim możemy porozmawiać, panie Delambre, podkreślam, o wszystkim, również o pańskim zatrudnieniu, lecz w tym celu najpierw będzie pan musiał uwolnić kilku zakładników.

- Porozmawiamy na przykład o pieniądzach?

Negocjator odczekał sekundę, oceniając znaczenie problemu.

- Chce pan pieniędzy? Ile?

Ale nim zdążył skończyć zdanie, pan Delambre strzelił w ostatnie okno, z którego szkło znowu posypało się na plecy zakładników.

Ledwie otworzyliśmy oczy, pan Delambre odłożył już słuchawkę i usiadł z powrotem na krześle. Policjanci nie mieli łatwego zadania z facetem, który na pytania odpowiada strzałami z pistoletu w okna.

Jakieś pięć minut później telefon znowu zadzwonił.

- Alain...

- Panie Delambre, proszę. Nie meldowaliśmy się razem w agencji zatrudnienia!

- Dobrze. Panie Delambre, jeśli pan woli. Dzwonię, ponieważ jest obok mnie ktoś, kto chciałby z panem porozmawiać. Przekazuję słuchawkę.

- NIE! - zawył pan Delambre.

I rozłączył się. Ale stał przy aparacie jak sparaliżowany, w milczeniu, bez ruchu.

Yasmine z napięciem się we mnie wpatruje, czy teraz, ale ja wiem, że negocjator po takiej odpowiedzi pójdzie za ciosem. Faktycznie parę sekund później telefon znowu dzwoni, ale tym razem odzywa się nie negocjator z RAID, tylko kobieta. Młoda. Na moje ucho poniżej trzydziestki.

- Tato?...

Głos dźwięczny, wzruszony. Pan Delambre przestępuje z nogi na nogę.

- Tato, proszę cię, odezwiąj się...

Ale pan Delambre nie może mówić. W lewej ręce trzyma słuchawkę, w prawej broń, ale wydaje się, że nic nie jest w stanie wytrącić go ze stanu, w jaki wprawia go ten głos. Słuchać mu go trudniej, niż zabić pana Dorfmana strzałem w głowę, ale być może to to samo: bezsprzeczna oznaka rozpaczyci człowieka w sytuacji bez wyjścia. Jeszcze trochę, a zacząłbym mu współczuć.

Konfuzja na linii, nikt nie wie, co się może stać.

Teraz włącza się inna kobieta, starsza.

- Alain? - mówi. - Tu Nicole.

Pan Delambre dosłownie wrasta w miejsce.

Kobieta okropnie płacze, ale nie może wykrztusić słowa. Słysząc tylko jej szlochanie. A my czujemy się dziwnie, bo ona płacze nie nad naszym losem, tylko nad losem mężczyzny, który nas uwięził i od ponad godziny grozi nam śmiercią.

- Alain - mówi. - Błagam, odezwiąj się do mnie.

Ten głos, te słowa wywierają na panu Delambrze pionurujące wrażenie. Cicho mówi:

- Nicole... wybacz mi.

Tylko to.

Tylko tyle.

Po czym odkłada słuchawkę, łapie szufladę z naszymi telefonami i zegarkami. Następnie podchodzi do okna, unosi storę i wyrzuca całą zawartość przez okno. Jednym ruchem. Wszystko naraz. Niech mi pan wierzy, nie wiem, dlaczego to zrobił, to było bardzo dziwne. W każdym razie na odpowiedź nie trzeba było długo czekać.

Pierwsza kula przeszła mu kilka milimetrów od prawego ramienia, druga trafia w miejsce, gdzie sekundę wcześniej znajdowała się jego głowa. Pada na ziemię i błyskawicznie, z wycelowanym pistoletem, odwraca się do nas. I dobrze robi, bo Yasmine już jest na nogach, gotowa do skoku.

- Na podłogę! - krzyczy do niej.

Yasmine wykonuje polecenie. Pan Delambre czołga się i kilka metrów dalej wstaje. Podchodzi do drzwi, otwiera je i odwraca się do nas.

- Możecie odejść - mówi. - To koniec.

Powszechne zdumienie.

Powiedział: „To koniec”, nikt w to nie wierzy.

Przez chwilę stoi z rozchyłonymi ustami, jakby chciał nam coś powiedzieć, ale nie był w stanie. Słowa grzęzną mu w gardle. Ma rację, to koniec. Telefon wciąż dzwoni. Nie zamierza go odebrać.

Odwraca się i wychodzi.

Ostatnie, co słyszymy, to zgrzyt klucza w zamku.

Jesteśmy uwięzieni.

Jesteśmy wolni.

Tę chwilę trudno opisać. Wszyscy zakładnicy wstają i podbiegają do okien, zrywają story. Ja i moi ludzie potrzebowaliśmy wiele energii, żeby im wyperswadować przełożenie nogi przez parapet i skok w dół. Zapanowała nieopisana panika.

Widząc nagle zakładników tłoczących się w oknach, policjanci na parkingu nie od razu zorientowali się, co się dzieje. Negocjator znowu zadzwonił. Odebrała Yasmine i powiedziała policjantom, jak zdaje się wyglądać sytuacja, bo przecież pan Delambre mógł się jeszcze rozmyślić. Wciąż nie było całkowitej pewności i podzielałem niepokój policjantów. Na przykład nie wiadomo było, gdzie podziewa się teraz ze swoim pistoletem i dwoma pełnymi magazynkami. Czy rzeczywiście zrezygnował? A może raczej zaczął się gdzieś na terenie budynku?

Kader starał się uspokoić panią Camberlin i panów Lussaya i Guéneau. Pan Renard był najbardziej ze wszystkich rozemocjonowany. Wrzeszczał: „Zabierzcie nas! Zabierzcie nas!”, i jedyne, co mogła zrobić Yasmine, to wymierzyć mu dwa siarczyste policzki, skutkiem czego natychmiast nabrał rozumu.

Kulejąc, podszedłem do telefonu i przedstawiłem się. Odbyłem krótką rozmowę z kapitanem z RAID.

Dziesięć minut później do ściany zewnętrznej budynku przystawiono drabinki. Momentalnie weszły po nich dwa pododdziały RAID w kamizelkach kuloodpornych, hełmach i z karabinami z celownikiem optycznym. Pierwszy nas zabezpieczał, drugi otwierał wewnętrzne drzwi, wpuszczając następne pododdziały, które natychmiast ruszyły na poszukiwanie pana Delambre'a.

W chwilę później wszyscy byliśmy już na parkingu, okryci termicznymi kocami...

To mniej więcej wszystko, co powiedziałem policjantom i powtórzyłem w sądzie.

Podobno pan Delambre zostawił broń i oba magazynki na progu gabinetu, w którym się zamknął. Kiedy znalazł go pododdział RAID, siedział załamany na podłodze przy biurku, z głową między kolanami, z rękami na karku.

Nie stawiał żadnego oporu.

Mam w dorobku z tuzin akcji bardziej skomplikowanych i niebezpieczniejszych od tej. Następnego dnia Kader, Yasmine i ja zawsze robiliśmy szczegółowy debriefing, bo nie ma operacji, z której nie można by się czegoś nauczyć; należy odtworzyć przebieg zdarzeń jakby w zwolnionym tempie, obraz po obrazie, żeby z każdego detalu, nawet najbardziej błahego, wyciągnąć coś, co wzbogaci nasze doświadczenie, na którym zarabiamy. A potem każdy wyrusza w nową drogę, na inną misję.

Ale tym razem jest inaczej.

Obrazy z tych kilku godzin nie przestają do mnie wracać, jakby zawierały jakiś podprogowy przekaz, który przeoczyłem.

Mówię sobie, że to bzdura, i zabieram się do czegoś, ale to nie pomaga, czas mija, a obrazy wracają.

Wciąż te same.

Stoimy na parkingu. Panuje uczucie powszechnej ulgi. Pododdział, który znalazł pana Delambre'a w gabinecie,

zadzwoił do gliniarzy na parkingu, zawiadamiając ich o zakończeniu operacji. Moją nogą troskliwie się zajęto. Otaczają nas ratownicy z karetki pogotowia. Podchodzi kapitan z RAID, żeby mi uścisnąć rękę. Wymieniamy kilka okolicznościowych zdań.

Ze swojego miejsca widzę uwolnionych zakładników. Każdy reaguje zgodnie z własnym temperamentem. Pan Guéneau znowu ma na sobie garnitur, który jest w oplakanym stanie, panna Tràn zdążyła już poprawić urodę, pani Camberlin odzyskała kolory i starła smugi makijażu jeszcze przed chwilą pokrywające jej policzki. Wszyscy otaczają kołem pana Dorfmann, który z uśmiechem odpowiada na ich pytania. Autorytet nie potrzebuje wiele czasu, by odzyskać należne mu miejsce. Wydaje się wręcz, że zakładnicy potrzebują go jako elementarnego punktu odniesienia. Niezwykle jest natomiast to, że nikt nie ma za złe prezesowi Exxyal-Europe zorganizowania tej symulacji równie okrutnej, co brutalnej. Odwrotnie, wszyscy zdają się uważać, że była wyjątkowo owocna. Ci, którzy zachowali się jak trzeba, sądzą, że dzięki temu zyskali kredyt zaufania, pozostali wierzą, że w takich okolicznościach ich słabość pójdzie w niepamięć. Naprawdę, życie zdumiewająco szybko wraca do normy. Na tle innych wyraźnie odcina się długa postać pana Cousina. Wszyscy widzą: to człowiek, który umiał się znaleźć, który ucieleśnia zbiorową odwagę, główny zwycięzca dnia. Nie uśmiecha się. Przypomina kandydata, który się właśnie dowiedział, że go wybrano, i - by wyraźnie podkreślić swoją wyższość umysłową - zdaje się nie przywiązywać do tego wielkiej wagi. Ale wystarczy spojrzeć na miejsce, które zajmuje przy panu Dorfmannie, dostrzec ten niewidzialny, pełen szacunku krąg, jakim otaczają go koledzy - ci sami, którzy jeszcze trzy godziny temu musieli nim gardzić - by zrozumieć, że bezsprzecznym zwycięzcą jest on. Jego przepustka do rafinerii w Sarqueville nie budzi niczyich wątpliwości.

Pan Lacoste już dorwał się do telefonu. To u niego odruch gatunkowy. Rozmawia z ożywieniem. Myślę, że czeka go sporo roboty. Będzie musiał stawić czoło swojemu klientowi, panu Dorfmannowi; życzę mu szczęścia...

Nieco dalej pan Renard, z kontrolowaną, więc tym bardziej wyrazistą gestykulacją relacjonuje już prasie okoliczności naszego uwięzienia, a następnie uwolnienia. To jego najpiękniejsza rola. Myślę, że mógłby szczęśliwy umrzeć tej nocy we własnym łóżku.

Koguty policyjne powoli się obracają, silniki wozów mruczą, cała scena tchnie kojącą aurą zażegnanego kryzysu.

Oto co zapamiętałem.

I jeszcze dwie kobiety, których nie znam. Matka i córka. Małżonka pana Delambre'a jest urodziwą kobietą. To znaczy pełną wdzięku. Córka, na oko trzydziestolatka, obejmuje matkę ramieniem. Żadna z nich nie płacze. Z łękiem wpatrują się w drzwi budynku. Powiedziano im, że pan Delambre bez oporu się poddał i że nie jest ranny. Zjawia się trzecia kobieta, też około trzydziestki. I też bardzo ładna, ale jej przestraszona twarz jest mizerna i postarzała. Trzy kobiety ściskają się mocno za ręce, kiedy agenci RAID wychodzą z panem Delambre'em.

To są te obrazy, które wciąż do mnie wracają.

Jestem w domu. Sam. Od tamtej historii upłynęło prawie sześć tygodni.

Jest wtorek. Czeka mnie praca, nic pilnego.

Przedwczoraj zadzwoniła z Gruzji Yasmine, żeby się dowiedzieć, co słyszać. Spytała, czy wciąż „przeżuam” tę sprawę. Ze śmiechem zaprzeczyłem, ale to nieprawda. Nie dalej jak dziś rano, pijąc kawę i patrząc na wielkie drzewa na skwerze, znów przypomniałem sobie scenę wyprowadzenia pana Delambre'a.

Dziwne, jak czasami wydarzenia zaczynają się zazębiać.

Była dziesiątą rano. Znów widziałem agentów RAID wynoszących pana Delambre'a.

Od razu zapakowali go w rodzaj kaftana bezpieczeństwa z czarnego materiału. Nie znałem tej metody. Kapitan Prungnaud wyjaśnił mi, że jest bardzo praktyczna. Tak więc pan Delambre został w to zawinięty i poniesiony jak w jakimś hamaku. Leżał na plecach. Gliniarze nieśli go na czterech skórzanych pasach, kołysząc jego ciałem, kiedy energicznym krokiem biegli do furgonetki, która miała go odtransportować. Widać było tylko jego twarz. Trzy kobiety, kiedy znaleźli się kilka metrów od nich, ujrawszy go w tej pozycji, zaczęły płakać. Żona wyciągnęła do niego rękę w daremnym geście. Policjanci biegli tak szybko, że wszystko trwało nie dłużej niż sekundę.

I to jest właśnie coś, co nie daje mi spokoju od zakończenia tej historii.

Jego spojrzenie.

To właśnie od długich tygodni tkwiło w zawieszeniu w moim umyśle. Jego twarz, prawie obojętna. Dla osoby postronnej nic godnego uwagi. Jest nawet zrozumiałe, że po całej awanturze twarz pana Delambre'a nareszcie się odprężyła, wyrażała ulgę.

Ale to, jak wtedy na mnie patrzył... Przez ułamek sekundy. To nie był człowiek pokonany, skończony, jakiego spodziewałem się zobaczyć.

Otwarcie odparł moje spojrzenie.

Miał spojrzenie zwycięzcy.

Kryjące, dałbym głowę, cichy uśmiech.

Obraz jest nieostry, ale jest.

Pan Delambre opuścił scenę z satysfakcją zwycięzcy i nikłym uśmiechem, który przypominał... puszczenie oka.

Dziwne...

I znów odtwarzam w pamięci zapis wydarzeń.

Teraz, kiedy wyłowilem już właściwe wspomnienie, wyraźnie widzę jego twarz. Ten uśmiech nie jest ostatnim rewanżem pokonanego.

Obraz jest blisko.

Flashback, cofam taśmę. Pojawia się oddział RAID, strzela pociskami dymnymi. Wcześniej zakładnicy chcą skakać przez okno. Jeszcze wcześniej pan Delambre mówi: „To koniec”.

Cholera.

Pan Delambre jest sam w sali, gdzie czeka, aż przyjdą go aresztować. *Kiedy znalazł go pododdział RAID, siedział załamany na podłodze przy biurku, z głową między kolanami, z rękami na karku.*

Właśnie dlatego podkreślam ten zbieg okoliczności. Ponieważ dokładnie w chwili, kiedy wszystko zrozumiałem, zadzwonił telefon.

Dzwonił pan Dorfmann, prezes Exxyal-Europe.

Nigdy wcześniej nie rozmawiałem z nim przez telefon. Był klientem nadrzędnym. Moim jedynym rozmówcą był bezpośredni zleceniodawca, czyli pan Lacoste. Co zresztą próbowałem mu powiedzieć.

- Lacoste'a już nie ma - oświadczył prosto z mostu.

Jak pan zapewne zauważył, pan Dorfmann nie przywykł, żeby mu się sprzeciwiać.

- Panie Fontana, czy podjąłby się pan nowego zadania, zbliżonego do ostatniego zlecenia?

- W zasadzie tak. To kwestia...

- Pieniądze nie są problemem! - uciął z irytacją.

Po chwili dodał:

- Widzi pan, panie Fontana, mamy... bardzo poważny kłopot.

A ponieważ sam przed chwilą wszystko zrozumiałem, ze spokojem odparłem:

- Wcale mnie to nie dziwi. Z całym szacunkiem, proszę pana, ale mam wrażenie, że daliśmy się zrobić w konia. I to po całości.

Cisza.

A potem:

- Rzeczywiście, można tak to ująć - zgodził się pan Dorfmann.

PO

Wydawało mi się, że aby zdobyć pracę, gotowy jestem na wszystko, ale nie pomyślałem o więzieniu.

Natychmiast stwierdziłem, że nie posiadam żadnej z genetycznych cech niezbędnych do przetrwania w takim miejscu. Na darwinowskiej drabinie przystosowania do warunków więziennych znajduję się na samym dole. Sporo jest takich jak ja, którzy trafili tu wskutek przypadku, zbiegu okoliczności lub głupoty (ja ze wszystkich trzech powodów) i szamoczą się śmiertelnie przerażeni. To tak, jakby chodzili z napisem: „Idealna zdobycz: częstujcie się”. Właśnie spośród ofiar takiego „więziennego wstrząsu” wywodzą się pierwsi samobójcy.

Wystarczy zrobić krok poza celę i od razu wiadomo, do jakiej grupy społecznej się należy: ja do tych, którzy z miejsca zarabiają pięścią w twarz i których ograbia się ze wszystkiego, czego nie zabrała im jeszcze administracja. Nie zdążyłem nawet zauważyć, kiedy facet podszedł, i już leżałem na ziemi jak długi z rozkwaszonym nosem. Pochylił się, wziął zegarek, obrączkę, a potem wszedł do mojej celi i wyniósł wszystko, co go interesowało. Wstając, pomyślałem, że w gruncie rzeczy moja ostatnia rozmowa z Mehmetem dała mi dobre wyobrażenie o tym, co mnie tutaj czeka, jakkolwiek występują dwie istotne różnice: po pierwsze, odwróciło się ode mnie szczęście, a po drugie, ilość potencjalnych Mehmetów w więzieniu była naprawdę duża jak na jednego człowieka. Walka zaczynała się dla mnie niepomysłnie. Reszta kołesiów przyglądała się temu z założonymi rękami. Upokarzające było nie tylko dostać na dzień dobry w gębę – w pewien sposób od pierwszego dnia

na bezrobociu ciągle mnie to spotyka. Nie, upokarzające było paść ofiarą sytuacji do przewidzenia dla wszystkich oprócz mnie. Chłopak, który mnie obrabował, był po prostu najszybszy ze wszystkich, którzy na mnie czekali. W kilka chwil pozwolił mi zrozumieć, że to miejsce to zoo, że odtąd wszystko będzie walką.

Od kiedy tu jestem, doszło trzydziestu nowych więźniów; jedyni, którzy umieją tego uniknąć, to recydywiści. Bycie debiutantem w moim wieku wcale mnie nie pocieszyło. Stwierdzam zresztą, że potem sam zachowywałem się jak inni: z założonymi rękami obserwowałem spektakl.

Na samym początku odsiadki przyszła do mnie w odwiedziny Nicole. Mój nos przypominał świński ryj. Tworzyliśmy dość dziwną parę, bo Nicole, odwrotnie, wyglądała ślicznie jak obrazek, starannie umalowana, we wzorzystej sukience z zachodzącymi z przodu połami, którą uwielbiam, bo wystarczyło pociągnąć za wąski paseczek... jednym słowem, chciała mi zademonstrować swoją pewność siebie, pokazać, że mnie wciąż pragnie, chciała mi sprawić przyjemność, natchnąć spokojem, któremu całkowity kłam zadawały okoliczności, ale który ona uważała za konieczny, żeby wejść w czekający nas okres. Na widok mojej twarzy w ogóle nie zareagowała. I chwala jej za to, bo pielęgniarz, który do delikatnych nie należy, przed chwilą zmienił mi opatrunek. Natychmiast z powrotem poleciała krew, w obu dziurkach nosa miałem grube tampony z waty, musiałem oddychać przez usta, a rozcięcie pod dwoma szwami pokrywał strup. Miałem też niejakie trudności z otworzeniem prawego oka, bo powieka spuchła mi do trzykrotnej wielkości. W świetle neonów lśniła maść gojąca żółta jak szczynty.

No więc Nicole siada naprzeciwko, uśmiecha się do mnie. Powstrzymuje się przed pytaniem: „Jak się czujesz”, i wpatrując się w jakiś wyimaginowany punkt pośrodku mojego czoła, zaczyna opowiadać o naszych córkach, o domu, o codziennych drobiazgach; po upływie kilku minut

po policzkach zaczynają jej spływać łzy. Jakby nieświadoma tego, mówi dalej. Wreszcie słowa grzęzną jej w gardle, a ponieważ wydaje jej się, że okazuje słabość w sytuacji, kiedy ja potrzebuję jej siły, mówi: „Przepraszam”, tak po prostu, i spuszcza głowę obezwładniona ogromem katastrofy. Potem sięga po chusteczkę i bardzo długo szuka jej w torebce. Oboje, pokonani, nie patrzymy na siebie.

Dociera do mnie, że po raz pierwszy, odkąd się znamy, jesteśmy od siebie aż tak daleko.

Owo „przepraszam” Nicole nie daje mi spokoju, bo nastał bardzo trudny dla niej okres, a to dopiero początek. Jest mnóstwo papierów, zwalają się kolejne kłopoty. Mówię, że nie musi mnie odwiedzać, ale ona odpowiada:

- Wystarczy, że muszę bez ciebie spać...

Słuchanie tego dosłownie mnie dławi.

A później, kiedy mimo wszystko zdołała jakoś wziąć się w garść, przemoc smutek, zapragnęła mi zadać różne pytania. Jest tyle rzeczy, których nie rozumie. Co takiego się stało? Fizycznie nie przypominam już jej męża i moje czyny też już nie przypominają postępowania człowieka, którego utraciła.

Co się ze mną stało? Oto jej pytanie.

Jej umysł trochę tak jak podczas wypadku, chwytą się drugorzędnych detali. Nicole jest pod wrażeniem.

- Skąd wzięłeś broń i prawdziwe kule?

- Kupiłem.

Chciałaby mnie zapytać gdzie, jak, za ile, ale bardzo szybko przechodzi do tego, co najbardziej chce wiedzieć:

- Zamierzałeś zabić tych ludzi, Alain?

Trudne pytanie, ponieważ zamierzałem, tak myślę. Odpowiadam:

- Ależ nie, skąd...

Nicole wyraźnie ani trochę mi nie wierzy.

- Więc po co ją kupiłeś?

Mam wrażenie, że ten pistolet długo jeszcze między nami zostanie.

Nicole znów zaczyna płakać, ale tym razem nie próbuje ukryć swoich łez. Wyciąga ręce, ujmuje moje dłonie, ja zaś nie mogę dłużej ukrywać prawdy: nie mam już obrączki. Naszą ślubną obrączką zapłaciłem pewnie za zrobienie mi laski przez jakąś młodą prostytutkę, która przez kilka dni ponosi ją w uchu, a potem wymieni na działkę koki, kilka działek Subuteksu albo metanolu... Nicole nic nie mówi, odnotowuje tylko informację w kolumnie danych, które pewnego dnia posłużą jej do podsumowania wysokości naszych wspólnych strat. I być może sporządzenia bilansu naszego bankructwa.

Wiem, że na jej usta ciśnie się to jedyne pytanie, którego mi nigdy nie zada: dlaczego mnie porzuciłaś?

Ale chronologicznie pierwszą wizytę złożyła mi Lucie. Nic dziwnego. Gliny aresztują mnie i pytają, czy mam adwokata, na co odpowiadam: Lucie. Zresztą gotowa jest przyjść. Od razu wiedziała, że do niej zwrócę się najpierw. Ściskamy się, pyta, jak się czuję, żadnego osądzania, ani słowa krytyki – co za ulga. Właśnie dlatego, nawet gdyby jej siostra była adwokatką, nigdy bym się do niej nie zwrócił.

Gliniarze posadzili nas w małym pokoiku, mamy ograniczony czas. Skracamy serdeczności, oboje wolimy nie ryzykować, że owładną nami emocje, i pytam Lucie o ciąg dalszy, co będzie teraz. Wyjaśnia mi z grubsza, jak wygląda procedura, a kiedy dociera do niej, co zamierzam, reaguje natychmiast:

- O nie, tato! To niemożliwe!

- Nie rozumiem dlaczego. Odwrotnie, to nawet logiczne: jestem w więzieniu, a moja córka jest adwokatem!

- Jestem adwokatem, ale nie mogę być TWOIM adwokatem!

- Dlaczego, czy to zabronione?

- Nie, nie jest zabronione, ale...

- Ale co?

Lucie posyła mi uprzejmy uśmiech, który przypomina mi jej matkę, co w obecnych okolicznościach kompletnie mnie

dołuje.

- Posłuchaj, tato... - stara się mówić jak najspokojniej - nie wiem, czy zdajesz sobie z tego w pełni sprawę, ale to, co zrobiłeś, jest bardzo... niepokojące.

Mówi tak, jakbym był dzieckiem. Udaję, że tego nie zauważam, bo przypuszczam, że na obecnym etapie rozmowy to normalna reakcja z jej strony.

- Nie wiem, jak sędzia zakwalifikuje twój czyn. Może uzna go za nielegalne uwięzienie, a może za coś gorszego, ponieważ strzelałeś do policji...

- Nie strzelałem do policji, strzelałem w okna!

- Tak, możliwe, ale za tymi oknami była policja, a to nazywa się „przemoc z bronią w rękę wobec urzędnika państwowego”.

Kiedy ktoś nie ma bladego pojęcia o prawie, takie określenie natychmiast budzi w nim strach. Nasuwa się wtedy tylko jedno pytanie:

- A ile mogą za to dać? Maksimum...?

Czuję suchość w gardle, suchość na języku, mam wrażenie, że moje struny głosowe wibrują na papierze ściernym. Lucie przez chwilę uważnie mi się przygląda. To na niej spoczywa najtrudniejsze zadanie - sprowadzenia mnie do rzeczywistości. I bardzo dobrze się spisuje. Moja córka jest świetną prawniczką. Mówi wyraźnie, powoli.

- Za to, co zrobiłeś, tato, grozi ci właściwie najwyższy wymiar kary... Trzydzieści lat więzienia.

Do tej pory ta liczba była abstrakcją. W ustach Lucie staje się przerażająco realna.

- A skrócenie kary...?

Lucie wzdycha.

- Uwierz mi, do tego jeszcze daleko...

Trzydzieści lat! Lucie widzi, że ta perspektywa mnie załamała. A i tak jestem w niewesołym stanie. To obwieszczenie wyroku mnie dobija. Osuwam się na krześle i nie mogąc nad sobą zapanować, zaczynam płakać. Wiem, że

nie powinienem, bo widok starych ludzi, którzy płaczą, jest bardziej niż nieprzyzwoity, ale to silniejsze ode mnie.

Zanim wdałem się w tę awanturę, dwa dni przed wzięciem zakładników musiałem się dowiedzieć, jak sprawa wygląda w świecie prawa, co zajęło mi niecałą godzinę. Otworzyłem i przerzuciłem dwie czy trzy książki prawnicze, z roztargnieniem poczytałem; kierował mną ślepy gniew. Wiedziałem, że wdaję się w coś ekstremalnego, ale konsekwencje były znacznie bardziej abstrakcyjne niż moja nienawiść. A teraz mówię sobie: Dokonam tu żywota.

I wystarczy spojrzeć na Lucie, by zobaczyć, że myśli to samo. Nawet połowa tej kary, nawet piętnaście lat, jest nie do pomyślenia. Wyjdę, jak będę miał ile? – sześćdziesiąt pięć, osiemdziesiąt lat?

Nawet jeśli nikt już nie będzie obijał mi facjaty dwa razy w miesiącu, to niemożliwe.

Płaczę gorzkimi łzami. Lucie przełyka ślinę.

– Będziemy walczyć, tato. Po pierwsze, to najwyższy wymiar i nie jest powiedziane, że ława przysięgłych...

– Jak to ława przysięgłych? Nie sędzia?

– Ale skąd.

Jest przerażona moją ignoracją.

– To, co zrobiłeś, podlega sądowi przysięgłych.

– Sądowi przysięgłych? Przecież nie jestem mordercą! Nikogo nie zabiłem!

Moje łzy w połączeniu z oburzeniem wyglądają żałośnie. Dla Lucie sprawa się komplikuje.

– Właśnie dlatego potrzebny ci fachowiec. Zasięgnęłam języka i znalazłam...

– Nie mogę sobie pozwolić na zapłacenie fachowcowi.

– Znajdziemy na to pieniądze.

Grzbietem dłoni ocieram łzy.

– Co ty powiesz? A gdzie? Wiesz, mam pomysł: poprosimy Mathilde i Gregory'ego, żeby dali nam to, co im jeszcze zostało.

Wściekła się. Zamykam usta.

- Opuść sobie. Nieważne, sam się będę bronił.

- Nawet o tym nie myśl! W takiej sprawie naiwność może się skończyć tylko jednym: dostaniesz najwyższy wymiar.

- Lucie...

Ujmuję jej dłoń i patrzę w oczy.

- Jeśli nie ty, zrobię to ja. Ale nikt inny.

Do mojej córki dociera, że nie wystarczy mi przytakiwać ani nawet ze mną dyskutować. Że być może nie będzie miała innego wyjścia. I to ją obezwładnia.

- Dlaczego mnie o to prosisz, tato?

Uspokoilem się. I mam nad nią ogromną przewagę, bo wiem, czego chcę. Chcę, żeby moja córka mnie broniła. Przez ostatnie godziny o niczym innym nie myślałem. Osobiście nie widzę innego rozwiązania. Podjąłem już decyzję.

- Niedługo skończę sześćdziesiąt lat. Stawką w tej walce jest czas, jaki mi jeszcze został. Nie chcę powierzyć go osobie, której nie znam.

- Ale to nie jest psychoterapia, tato, tylko rozprawa przed sądem przysięgłych! Potrzebny ci profesjonalista, fachowiec!

Szuka właściwych słów.

- Ja nie wiem, jak działają przysięgli, procedura jest bardzo specyficzna. To... To...

- Proszę cię, Lucie. Jeśli nie chcesz, rozumiem, ale skoro nie ty...

- Już powiedziałaś! To szantaż!

- W żadnym wypadku! Liczę, że mnie kochasz na tyle, żeby zgodzić się mi pomóc. Jeśli się mylę, powiedz!

Ton równie szybko podniósł się i opadł. Sytuacja bez wyjścia. Przez chwilę milczymy. Lucie mruga nerwowo. Myślę, że się złamie. Sprawa jest na dobrej drodze. Mam spore szanse.

- Muszę się zastanowić, tato, nie mogę ci tak z marszu odpowiedzieć...

- Zastanów się, Lucie, nie ma pośpiechu.

W rzeczywistości jest, czas nagli. Trzeba będzie bardzo szybko podjąć szereg kroków, sędzia wkrótce zażąda odpowiednio umocowanego reprezentanta oskarżonego, będę potrzebował rad, jaką wybrać linię obrony, zaczną się okropne komplikacje...

- Nie wiem. Zastanowię się...

Lucie dzwoni na strażnika. Nic innego nie może powiedzieć. Nie sądzę, żeby miała mi to za złe. W każdym razie jeszcze nie teraz.

34

Moja sprawa szybko nabrała rozgłosu. Mówiono o niej nawet w dzienniku wieczornym, co akurat nie jest dobre z uwagi na sędziego, któremu nie spodoba się ten medialny szum. W dwa dni po aresztowaniu nabrałem już nadziei, że mi się upiecze, gdyż pewien wielki przedsiębiorca również trafił za kratki za przekręty gospodarcze sięgające astronomicznych sum (jesteśmy w tym samym areszcie, ale jemu przysługuje kwatery dla VIP-ów). Afer gospodarczych jest tak dużo, że owe również spowszedniały – rozrywka trwała krótko i uwaga mediów bardzo szybko przeniosła się z powrotem na mnie. Moja historia jest bardziej medialna, ponieważ ludzi mogących identyfikować się z bezrobotnym, któremu puszczają nerwy, jest o wiele więcej niż czujących pokrewieństwo z biznesmenem, który sprzeniewierza sześciokrotną wartość swoich opcji na akcje.

Dziennikarze dopatrzyli się w moim wzięciu zakładników podobieństwa z dramatycznymi wypadkami w Ameryce, kiedy to nastolatki wygarniają z broni maszynowej do nauczycieli i kolegów z klasy. Wychodzę na faceta odmóżdżonego przez bezrobocie. Szaleńca. Reporterzy przeprowadzili wywiady z moimi durnymi sąsiadami („Hmm, cóż, nie, był bardzo spokojnym sąsiadem. Gdybyśmy wiedzieli...”), z paroma dawnymi kolegami („Hmm, cóż, nie, był bardzo spokojnym kolegą. Gdybyśmy wiedzieli...”), z moim doradcą z pośredniaka („Hmm, cóż, nie, był bardzo spokojnym bezrobotnym. Gdybyśmy wiedzieli...”). Zabawne jest być tak jednomyślnie ocenianym. Człowiek ma wrażenie, że uczestniczy we własnym pogrzebie albo że czyta swoje nekrologi.

Exxyal też nie omieszkał się wypowiedzieć.

Najpierw bohater dnia, Jego Wysokość Paul Cousin *himself*. Jego odwaga z pewnością pozwoliła mu odzyskać zaufanie swojej firmy. Został z powrotem przyjęty. Udało mu się to, o czym ja tak marzyłem. Już go widzę w Sarqueville pilotującego zwolnienia, które dotkną ponad trzystu rodzin – spisie się na medal.

Przed kamerą jest genialny; taki sam jak przede mną pod koniec akcji wzięcia zakładników: niewzruszony, zawzięty. Trzymający pion. Kwintesencja pierwszych kalwinistów i purytanów z Nowego Świata. Paul Cousin to Torquemada w wydaniu kapitalistycznym. Przy nim posąg Komandora to Myszka Miki. Nie jest z tych, co to będą się wywnętrzali. Cały on: od razu do sedna sprawy. Jest świetny. „Nie możemy tolerować, żeby firma zamieniła się w miejsce zbrodni”. Rzuca przykład: gdyby wszyscy bezrobotni brali na zakładników swoich potencjalnych pracodawców... Można sobie wyobrazić. Aż ciarki przechodzą. Jego przekaz jest jasny; dyrekcja ma pełną świadomość spoczywającej na niej odpowiedzialności i zawsze, kiedy jakiś przestępca zechce zaatakować firmę, musi się liczyć z tym, że spotka na swej drodze Paula Cousina. W rzeczy samej można się przestraszyć.

Jako drugi wystąpił prezes i dyrektor generalny Exxyalu Alexandre Dorfmann. Jest „ofiara”. Powściągliwy, stosownie do okoliczności zasmucony. Imponujący. Cokolwiek mówić, Alexandre Dorfmann jest prezesem, który bał się o swoich menedżerów, bardzo ludzkim gościem. On sam zachował stoicki spokój, to normalne, zważywszy ciężącą na nim odpowiedzialność, i gdyby za pracowników trzeba by było oddać życie, to zrozumiałe, że nie wahałby się ani sekundy. Pod moim adresem nie żałuje twardych słów. Groziłem jego dyrektorom, a to rzecz, której nigdy nie wybaczy. Podtekst jest czytelny: pracodawcy nie zamierzają pozwolić, żeby podskakiwali im jacyś bezrobotni kadrowcy, nawet

uzbrojeni. Nie ustąpimy. Brzmi to obiecująco w kontekście czekającego mnie procesu.

Kiedy Dorfmann mówi do kamery, mam wrażenie, że patrzy prosto na mnie. Ponieważ za tym przekazem kryje się, rzecz jasna, inny: „Delambre, zachowałeś się bardzo nierozsądnie, traktując mnie jak idiotę, i na pewno nie będę czekał do końca twojej trzydziestoletniej odsiadki, żeby ci wyrwać jaja!”. Brzmi to obiecująco w kontekście najbliższych miesięcy mojego uwięzienia.

Słyszając, jak tak do mnie mówi, wiem, że już niedługo będę miał od niego wiadomości. Ale na razie odpędzam ten obraz, bo kiedy nadejdzie ów dzień, nie mam pojęcia, co będę musiał zrobić, żeby uratować skórę.

Następnie autorzy reportażu zajęli się mną, moim życiem, pokazano okna naszego mieszkania, bramę naszej kamienicy. Naszą skrzynkę na listy. To głupie, ale widok naszego nazwiska na małej żółtej plakietce pamiętajacej jeszcze czasy, kiedy się sprowadziliśmy, sprawia mi ogromną przykrość. Wyobrażam sobie Nicole zamkniętą w mieszkaniu, z płaczem rozmawiającą przez telefon z córkami.

Kiedy o tym pomyślę, pęka mi serce.

Aż trudno uwierzyć, że dzieli nas tak wielki dystans.

Lucie wytłumaczyła matce, co ma robić – lub mówić, kiedy dziennikarze napastują ją przez telefon – na stacji metra, w supermarkecie, na ulicy, na klatce schodowej, u siebie w pracy, w windzie. W toalecie kafeterii. Uważa, że jeśli nie będzie się odpowiadało, dziennikarze wkrótce o nas zapomną i zjawią się dopiero na procesie, którego należy spodziewać się nie wcześniej niż przed upływem osiemnastu miesięcy. Mężnie zniosłem tę wiadomość. Oczywiście szybko liczę: zakładam najłagodniejszy wyrok, odejmuję skrócenie kary, na jakie mogę liczyć, i czas trwania aresztu tymczasowego. Wychodzi mi wciąż niewiarygodnie długa odsiadka. Jeszcze nigdy przyszłość nie jawiła mi się aż tak złowieszczo.

Dzięki telewizji przeżyłem w areszcie swój kwadrans sławy; mój przypadek jest komentowany, każdy przedstawia własną opinię, zadają mi pytania. Tu wszyscy mają się za świetnie zorientowanych; jedni uważają, że będą mi przysługiwały okoliczności łagodzące, co rozśmiesza innych, którzy są pewni, że odwrotnie, posłużę jako przykład odstraszający dla innych bezrobotnych, którym też mógłby przyjść do głowy równie dziwny pomysł. Tak naprawdę każdy ocenia mój przypadek miarą swojego, zależnie od własnych nadziei i obaw, własnego pesymizmu czy desperacji. To wszyscy nazywają trzeźwym podejściem.

Nazwa „izba zatrzymań” jest bardzo trafna. Tutaj, nie licząc wszelkiego rodzaju transakcji handlowych, całe życie zatrzymuje się, lub prawie. Jedyne, co nieustannie się zmienia, to liczba zatrzymanych: powinno nas być czterystu, jest siedmiuset. Co daje blisko trzech i osiem dziesiątych więźnia na jedną celę. A to znaczy, że trzeba cudu, by nie wylądować w czwórce w dwuosobowej celi. Początki były trudne: w ciągu ośmiu miesięcy jedenaście razy zmieniłem celę lub towarzyszy. Aż trudno uwierzyć, że tak osiadła społeczność może tak często zmieniać miejsce pobytu. Miałem już w celi wszystkich: furiatów, psycholi, zdołowanych, fatalistów, bandytów, narkomanów, samobójców, narkomanów-samobójców... Tak jakby więzienie pokazywało mi zwiastun filmu.

Panuje tu atmosfera dość wolnorynkowa. Wszystko można kupić, sprzedać, wymienić, wycenić. Więzienie to całodobowa giełda elementarnych wartości. Mój świński ryj był mi dobrym doradcą; od tej pory już nic przy sobie nie noszę i ograniczyłem garderobę do dwóch szkaradnych zestawów, które co tydzień zmieniam. Wyglądam biednie.

Doradził mi to Charles.

Nie licząc dziewczyn, to znaczy Nicole i Lucie, on pierwszy się ze mną skontaktował. Charles dostaje moje listy najpóźniej w trzy dni, ale kiedy on do mnie pisze, mija piętnaście, zanim dostanę list od niego, ponieważ moja

poczta przechodzi przez biuro sędziego, który ją sprawdza i jeśli ma czas, puszcza dalej. Widzę Charles'a, jak siedzi w swoim samochodzie z notatnikiem opartym na kierownicy. Bez trudu wyobrażam sobie jego oddech. To dopiero musi być widok. W pierwszym liście napisał: *... jeśli mi odpowiesz ale nie czuj się zobowiązany powiedz mi czy Morisset jeszcze tam jest Georges Morisset to porządny gość znam go z czasów kiedy sam byłem na twoim miejscu.*

Czytać twórczość literacką Charles'a to jak słuchać go mówiącego. Brak znaków przestankowych, wszystko tasiemcowo długie, automatyczny zapis myśli.

Trochę dalej: *Niedługo do ciebie przyjdę nie to żebym nie mógł zawsze można kiedy się chce ale to mi przypomina przykre chwile więc wolę nie ale ponieważ chciałbym cię też zobaczyć to i tak przyjdę.* Styl Charles'a ma ten plus, że pozwala śledzić tok jego myśli.

Georges Morisset, o którym pisze Charles, jest jednym ze strażników i cieszy się najlepszą opinią. Zaliczył wszystkie szczeble kariery w służbie więziennej, stopień po stopniu. Doniosłem Charles'owi, że jest teraz sierżantem, więc w ostatnim liście napisał: *Morisset i sierżant to mnie nie dziwi bo to pracoś chce i ma po temu możliwości zobaczysz nie zostanie tam nie będę zdziwiony jeśli zda egzamin na porucznika zobaczysz.*

I jeszcze kilka linijek pochwał. Wytrwałe pięcie się w górę sierżanta Morisseta budzi w Charles'u szczerzy zachwyty. Musiałem pójść do więzienia, żeby się dowiedzieć, że mój najlepszy, a właściwie mój jedyny kumpel trafił tu już dwa razy. I najpierw właśnie do tego aresztu. Oczywiście nie zapytałem Charles'a, co przeszkrobał. Choć wcale nie z braku ciekawości.

Charles napisał mi też: *Ponieważ trochę już znam to miejsce to może mógłbym ci pomóc zrozumieć jak to działa bo z początku siłą rzeczy człowiek jest trochę zagubiony i czasem się zdarza że dadzą mu w ryj od razu na dzień dobry tymczasem jak się wie*

czasem może się udać uniknąć najbardziej wkurzających problemów.

Propozycja przyszła w samą porę, bo właśnie skutkiem drobnego sporu natury seksualnej pod prysznicem z dość prymitywnym pakerem, którego mój wiek nie zniechęcił, założono mi dwa dodatkowe szwy na lewym łuku brwiowym. Charles stał się moim mentorem i śmiało można powiedzieć, że słowo w słowo stosuję się do jego rad.

To właśnie dzięki nim wiem, jak się ubierać, jak zachować gros posiłku, wiem, że nie należy zapuszczać się przez nieuwagę w „strefy zastrzeżone” rozmaitych klanów, których wielkość i lokalizacja zmienia się według zwyczajowych i dość zagadkowych reguł, ani od razu pozwolić odebrać sobie tego, co się kupiło, ani dać się zbyt szybko spędzić ze swojej pryczy nowo przybyłym.

Charles wyjaśnił mi też, że ponieważ dałem sobie rozkwasić twarz dwa razy z rzędu, istnieje poważne ryzyko, że będę postrzegany jako kozioł ofiarny, facet, któremu można dać wycisk.

Trzeba to będzie powstrzymać i zmienić front i tu są dwa wyjścia pierwsze to dołożyć największemu osiłkowi w grupie i jeśli to nie zadziała albo nie możesz tego zrobić a bez obrazy myślę że tak będzie w twoim przypadku będziesz musiał znaleźć protekcję kogoś kto wymusi na innych respekt dla ciebie.

Charles ma rację. To strategia szympansa, ale w więzieniu nie da się inaczej. Mając to na uwadze, zacząłem popatrywać na różnych mięśniaków, zastanawiając się, w jaki sposób mógłbym zapewnić sobie opiekę któregoś z nich.

Początkowo mój wybór padł na Bebetę. Jest to trzydziestoletni Murzyn, którego musiano w bardzo młodym wieku poddać lobotomii i od tej pory funkcjonuje wyłącznie w tempie na dwa. Kiedy podnosi sztangę, rozumie tylko dwa polecenia: podnieść/opuścić, kiedy je: żuć/połknąć, kiedy idzie: noga prawa/noga lewa itd. Czeka na wyrok za uśmiercenie rumuńskiego sutenera ciosem pięści

(wyprowadzić pięść/cofnąć pięść). Ma blisko dwa metry wzrostu i po odjęciu kości powinno mu zostać jeszcze dobre sto trzydzieści kilo mięśni. Obcowanie z nim opiera się na zasadach zbliżonych do etologii. Wykonałem pierwsze podejście, ale już samo zapamiętanie mojej twarzy zajmie Bebecie wiele tygodni. Na to, żeby zapamiętał kiedyś moje nazwisko, nawet nie liczę. Początkowe kontakty wypadły dobrze. Udało mi się wykształcić w nim pierwszy odruch warunkowy: kiedy mnie widzi, uśmiecha się. Ale zajmie to dużo czasu, bardzo dużo.

Nie wiem dlaczego, ale to, co usłyszałem od Charles'a o sierżancie Morissecie, tkwiło gdzieś w mojej głowie w stanie czuwania. Z zaskoczeniem stwierdzałem, że w ciągu dnia o nim myślę, że obserwuję go, kiedy przechodzi obok mojej celi albo na spacerunku. To mężczyzna koło pięćdziesiątki, korpulentny, ale silny, widać, że pracuje w służbie więziennej od dawna i w razie czego konfrontacji się nie boi. Lustruje wszystko doświadczonego okiem. Widziałem, jak strofował Bebetę, który musi ważyć trzy razy tyle co on. Oczywiście, reprezentuje władzę, ale w sposobie, w jaki do niego mówił, jak mu tłumaczył, co mu się nie podoba, było coś, co mnie zaintrygowało. Nawet Bebeta pojął, że ten człowiek uosabia autorytet. Wtedy zaświtał mi w głowie pewien pomysł.

Wpadłem do biblioteki, odszukałem program konkursu na porucznika służby więziennej. Upewniłem się, że intuicja mnie nie zawiodła i że jest pewna szansa, że mi się uda.

- Więc jak, sierżancie, co z tym konkursem...? Słyszałem, że niełatwy.

Spacerunek. Następnego dnia. Piękna pogoda, więźniowie spokojni, sierżant nie jest z tych, co to lubią używać kija. Pali swoje papierosy w wielkim skupieniu, jakby każdy kosztował czterokrotność jego pensji. Trzyma papierosa między kciukiem a palcem wskazującym i odnosi się do niego równie czule jak młoda matka do dziecka, co wygląda dość dziwnie.

- Nie, niełatwy - odpowiada sierżant, zdmuchując delikatnie z filtra odrobinę popiołu, który na niego spadł.

- A na pisemnym co pan wybiera, rozprawę z wiedzy ogólnej czy syntezę?

Wtedy przenosi spojrzenie ze swojej fajki na mnie.

- Skąd pan wie takie rzeczy?

- Och, na konkursach na stanowiska w administracji państwowej dobrze się znam. Przez lata udzielałem lekcji ludziom, którzy ubiegali się o najróżniejsze posady. W Ministerstwie Zdrowia, w Ministerstwie Pracy, w prefekturach. Programy są bardzo podobne. To zawsze mniej więcej ta sama problematyka.

Boję się, że tą „problematyką” trochę się zagalopowałem. Przez niecierpliwość. Już miałem przygryźć wargę, ale zdążyłem się pohamować. Sierżant z powrotem skupił uwagę na papierosie, dłuższą chwilę milczał. A potem, wygładzając paznokciem zagięcie na filtrze, powiedział:

- Streszczenie nie jest moją mocną stroną.

Bingo. Delambre, jesteś genialny. Możliwe, że wlepią ci trzydzieści lat, ale w materii manipulowania lata nauki o zarządzaniu na pewno ci się zwróciły. Odczekawszy chwilę, podjąłem:

- Rozumiem. Problem w tym, że dysertację wybiorą prawie wszyscy kandydaci. Bo prawie wszyscy, tak jak pan, boją się streszczenia. Więc ci, którzy je wybierają, siłą rzeczy są zauważani przez egzaminatorów. Od razu dostają fory. I zresztą mają rację, bo streszczenie, kiedy człowiek raz zrozumie, na czym to polega... Jest nawet łatwiejsze od dysertacji. Bardziej konkretne.

To sierżantowi Morissetowi da do myślenia. Wiedziałem, że facet nie jest głupi, i lepiej było nie ciągnąć tematu, bo mogłem stracić tę drobną przewagę, jaką zyskałem. Powiedziałem:

- Więc do dzieła, sierżancie, odwagi.

I wróciłem na dziedziniec. Miałem cichą nadzieję, że mnie zawoła, ale tego nie zrobił. Kiedy rozległ się dzwonek, stanąłem w szeregu razem z innymi.

Kiedy się odwróciłem, sierżanta Morisseta już nie było.

35

Zaczyna się lato i w więzieniu jest bardzo gorąco. Powietrze stoi w miejscu, ciała się pocą, atmosfera staje się ciężka, chłopaki są jeszcze bardziej agresywni, podminowani. Klimat więzienia zaczyna mnie toczyć jak nowotwór. Nie wiem, jak przeżyję z tym strachem, że przyjdzie mi tu dokonać żywota.

Dwa razy w tygodniu poprawiam streszczenie sierżanta Morisseta. To tytan pracy. W każdy wtorek i każdy czwartek bierze trzy godziny wolnego, żeby odrobić zadania domowe zgodnie z wymogami konkursu. Szczęśliwie dla mnie, daleko mu jeszcze do końca, a jego technika jest opłakana. Mój pomysł, żeby się wyróżnić na tle reszty kandydatów, szczerze go oczarował.

Ostatni temat, jaki mu zadałem, dotyczył stanu zakładów penitencjarnych we Francji. Naszymi więzieniami zajął się raport Europejskiego Komitetu do spraw Zapobiegania Torturom, ni mniej, ni więcej. Kiedy zaproponowałem to sierżantowi, zapytał, czy jaja sobie z niego robię. Ale dobrze wie, że podobny temat z powodzeniem może pojawić się na konkursie. Staram się udzielać mu rad stopniowo, żebym mu był jak najdłużej potrzebny. Jest bardzo zadowolony z mojej pomocy. Dwa razy w tygodniu wzywa mnie do swojego pokoju i pracujemy nad techniką. Podsuwam mu projekty, doradzam w sprawie struktury prac pisemnych. Ponieważ ze strony administracji nie może na nic liczyć, kupił za własne pieniądze tablicę z brystolu i flamastry. Nasze posiedzenia trwają po dwie godziny. Kiedy wychodzę od niego, niektórzy więźniowie pytają, czy sierżant posunął mnie w tyłek, czy spuścił mi się w usta, ale mam to gdzieś:

sierżant Morisset cieszy się szacunkiem, przy nim każdy wie, czego się trzymać, ale przede wszystkim znalazłem opiekę. Na razie.

Również w przypadku Lucie postawiłem na właściwą osobę. Jest bardzo aktywna. Niełatwo jej oczywiście poszło z sędzią, który odniósł się dość sceptycznie do pomysłu, by tak niedoświadczona adwokat podjęła się obrony przed sądem przysięgłych. Lucie ma mnóstwo pracy, ponieważ na każde spotkanie z sędzią przychodzi z odpowiedziami na zadane pytania, przedstawia swoje stanowisko, robi mnóstwo notatek, powołuje się na orzecznictwo, twarz ma prawie tak samo zmęczoną jak ja, a sytuacja ta potrwa jeszcze długie miesiące. Wolne tempo przygotowywania procesu jest jej na rękę, bo musi się podciągnąć. Udało jej się uzyskać pomoc jakiegoś mecenasa Sainte-Rose, o którym ciągle mówi. Kiedy zgłaszam wątpliwości albo zaczynam się spierać, powołuje się na niego jako autorytet, pewnie jest jakąś znakomitością. Na mnie to nie działa. Co z tego, że facet się zna na swojej robocie; nie on jest moim adwokatem. Dla niego moja sprawa to teoria. Podobno ma wielkie doświadczenie i wie, jak osiągnąć zamierzony cel. Niech więc przyjdzie i udzieli teoretycznych pouczeń mojemu współwięźniowi, który od pierwszego dnia wyżera mi połowę posiłku pod obojętnym spojrzeniem dwójki pozostałych.

Lucie zadaje sobie mnóstwo trudu. Myślę, że nawet na studiach nigdy nie musiała aż tyle pracować, nigdy nie była pod taką presją.

Jak w tragediach antycznych; od niej zależy, czy uratuje swojego ojca. A ja tylko jej ufam. To dramat sam w sobie.

Niepokoi ją sprawa hurtowni farmaceutycznej.

- Powodzi cywilni przypomną, że kilka dni przed wzięciem tych ludzi na zakładników powaliłeś ciosem z głowy swojego szefa. Dwa ataki w odstępie dziesięciu dni. Zostaniesz uznany za furiata.

Mówi to facetowi, który trzymał na muszce pistoletu kaliber 9 mm tuzin osób...

Rzucam ostrożnie:

- Zależy, jak się do tego zabierzesz...

- Możliwe - mówi, grzebiąc w żółtej teczce z aktami procesu hurtowni. - Ale gdyby twój dawny pracodawca wycofał skargę, byłoby łatwiej. Sainte-Rose powiedział, że...

- Tego nie zrobią nigdy. Podstępem wyłudziłem ode mnie przyznanie się do winy. To nie w ich stylu porzucić ciało, skoro można się jeszcze na nim pożywić...

Lucie znalazła dokument, którego szukała.

- Mecenas Gilson - mówi.

- ...

- Mecenas Christelle Gilson?

- Możliwe, nie wiem, nie jestem z nią zbyt blisko...

- A ja tak.

Patrzę na Lucie.

- Miałam na wydziale kumpelkę, która tak się nazywała.

Więc zasięgnęłam języka. To na pewno ona.

Zabiło mi serce.

- Dobrą kumpelkę?

- O tak, byłam nawet jej najlepszą kumpelką.

Lucie krzywi się z zakłopotaniem.

- Z tych, co to odbijają koleżance narzeczonego.

- Kto komu odbił narzeczonego?

- Ja jej.

- Nie wierzę... Nie zrobiłaś tego!

- Wybacz, tato, ale wtedy jeszcze nie mogłam wiedzieć, że mój ojciec zostanie kryminalistą, którego będę bronić przed sądem przysięgłych, i że...

- Stop, stop!

Unoszę ręce na znak, że się poddam. Lucie uspokoiła się.

- Zresztą oddałam jej przysługę. Był wyjątkowym dupkiem.

- Tak... ale to był jej dupek.

Tego typu dialogi prowadzimy z sobą, Lucie i ja.

- Jednym słowem - stwierdza - będę musiała się z nią zobaczyć.

I wyjaśnia, że jeśli nie uda jej się przekonać swojej dawnej najbliższej kumpelki do wstawiennictwa u swojego klienta tak, by ten wycofał pozew i zrzekł się roszczeń finansowych od nas, wówczas ja będę musiał spróbować tego samego z Romainem, który jest głównym świadkiem. Nic nie mówię. Udaję, że rozumiem, ale na razie wolę, żeby Romain oficjalnie uchodził za mojego przeciwnika. Dzięki temu można ukryć fakt, że oddał mi naprawdę wielką przysługę. Nie uśmiecha mi się rozgłaszanie naszej komitywy.

Podczas naszych spotkań Lucie informuje mnie, co się dzieje u matki, która czuje się bardzo samotna. Z początku udawało mi się do niej zadzwonić. Lucie mówi, że matka się niepokoi, bo już do niej nie telefonuję. Odpowiadam, że teraz stało się to trudniejsze. Prawda jest taka, że na sam dźwięk głosu Nicole zbiera mi się na płacz. Nie mogę się przełamać.

Lucie twierdzi, że jej siostra Mathilde niedługo mnie odwiedzi. Nawet przez sekundę w to nie wierzę. Zresztą jest mi to na rękę, gdyż boję się chwili, kiedy będę musiał stanąć z nią twarzą w twarz.

Wstydzić się siebie przy własnych dzieciach to naprawdę trudne.

Więc zacząłem spisywać moją historię. Nie jest to łatwe, bo potrzebna jest koncentracja, a tu, gdziekolwiek się ruszysz, od rana do wieczora ryczy telewizor. O dwudziestej robi się prawdziwa kakofonia; każdy z więźniów podkręca głos, żeby wysłuchać swojego ulubionego dziennika. Główne wiadomości nachodzą na siebie w stanie totalnego chaosu. France 2: „Z kwotą 1,85 miliona euro rocznie wielcy francuscy prezesi są najlepiej opłacani w całej Europie” nakłada się na TF1: „Przewiduje się, że pod koniec roku stopa bezrobocia osiągnie pułap dziesięciu

procent”. Rejwach jest straszny, ale można się zorientować, jaka jest ogólna tendencja.

Prawie niemożliwe jest uciec przed tym nieustannym ciągiem seriali, klipów, gier, towarzyszą człowiekowi na każdym kroku, ogłuszają, telewizja staje się w końcu częścią strun głosowych człowieka. Źle znoszę stopery w uszach, więc nabyłem hełm przeciwhałasowy. A że zapomniałem określić kolor, dostał mi się jasnopomarańczowy. Wyglądam w nim jak facet na lotnisku kierujący ruchem na pasie startowym, koledzy nazywają mnie „powietrznym zwrotniczym” ale nie przejmuję się, bo dzięki temu lepiej mi się pracuje.

Nie mam specjalnej łatwości pisania, zawsze lepiej wypadałem na egzaminach ustnych. (Po cichu liczę, że ta umiejętność przyda mi się na procesie, nawet jeśli Lucie powtarza, że powinienem pozwolić mówić jej, a samemu poprzestać na kwestiach wyuczonych na pamięć kilka godzin przed rozpoczęciem posiedzenia sądu). Nie piszę pamiętnika, próbuję tylko opowiedzieć swoją historię. Robię to głównie dla Mathilde. Ale również dla Nicole, która kompletnie nie rozumie, co nas spotkało. I dla Lucie, która nie wie wszystkiego. Niesamowite, jak banalna – widziana pod tym kątem – wydaje mi się ta historia. Chociaż jest oryginalna. Nie każdy przychodzi na test kwalifikacyjny z naładowaną beretką.

Skądinąd być może niesłusznie. Zapewne niejednemu da to do myślenia.

36

Od kiedy tu jestem, od pierwszego wystąpienia Alexandre'a Dorfmana przed kamerami nazajutrz po wzięciu zakładników, niepokoi mnie brak wiadomości od Exxyalu.

Nie jest to normalne.

Nie mogą przecież całymi miesiącami milczeć.

Właśnie o tym myślałem, kiedy dzisiaj, o dziesiątej rano, wchodząc do pralni, dostałem od nich wiadomość.

Więzień, który zajmuje się bielizną, odbiera ode mnie paczkę i znika w czeluściach pomieszczenia.

Kilka sekund później jego miejsce zajmuje wielki Bebeta. Uśmiecham się do niego i unoszę prawą dłoń jak do złożenia przysięgi; nauczyłem go, że ten gest oznacza powitanie. Ale z miejsca się skupiam, kiedy za jego plecami pojawia się sylwetka Śruby. Śruba jest dużo mniejszy od Bebety, lecz zdecydowanie bardziej niebezpieczny. Zboczeniec. Ksywka pochodzi od jego ulubionej broni, procy, wyszukanej zabawki, w której kamienie zastępuje śrubkami. Przebywając na wolności, nosił w kieszeniach różnej wielkości śruby i potrafił nimi trafiać do celu z niewiarygodnie wielkiej odległości. Jego ostatnim wyczynem było trafienie śrubą o średnicy trzynastu milimetrów w sam środek czoła mężczyzny stojącego pięćdziesiąt metrów od niego. Weszła prosto w mózg. Czysto i gładko. Znany jest z różnych niewyobrażalnych okrucieństw, lecz chwali się, że nigdy nie przelał kropli krwi. W gruncie rzeczy, mimo pozorów, może mieć całkiem cięty dowcip.

Widząc go tak ni stąd, ni zowąd w pralni w towarzystwie Bebety, od razu wiem, że otrzymam wiadomość od mojego byłego przyszłego pracodawcy. Odwracam się, gotów zwiewać, ale Bebecie wystarczy tylko wyciągnąć rękę, żeby mnie złapać za ramię. Próbuję krzyczeć, ale w ułamku sekundy Bebeta obraca mnie i przyciska do siebie, zatykając mi ręką usta. Bez najmniejszego wysiłku unosi mnie z ziemi, odwraca do siebie i ściska. Zabija mnie. Wiem, że ci faceci mnie zabijają. Daremnie się wyrywam, Bebeta niesie mnie, jakbym był poduszką z kanapy. I już jesteśmy za kontuarem, między górami prześcieradeł i koców. Tu chce mnie z powrotem postawić na ziemi, ale z przerażenia nie mogę ustać na nogach i musi mnie trzymać. Wciąż wrzeszczę, a w nieludzkim rżeniu wydobywającym się spod dłoni, którą mi zatyka usta, nie poznaję własnego głosu. Jestem jak złomowany samochód, który ma zostać sprasowany. Bebeta jedną ręką knebluje mi usta, drugą chwyta mój prawy nadgarstek i siłą wyciąga go do Śruby, który spokojnie i w milczeniu na mnie patrzy. Używam łokci, ramion, nóg, starając się wyrwać, ale opór na nic się nie zda. Wiem, że mogą mnie skrzywdzić. Naprawdę bardzo. Wciąż próbuję krzyczeć. Sytuacja bez wyjścia, jestem rozpaczliwie samotny. Gotów oddać wszystko. Ze wszystkiego zrezygnować. Ze wszystkiego. Przez moją głowę niczym błyskawica przelatuje obraz Nicole. Łapię się jej, ale to Nicole, która płacze, Nicole, która z płaczem będzie patrzeć, jak w cierpieniach umieram. Próbuję błagać, z moich ust nie wydobywa się żaden dźwięk, wszystko dzieje się w mojej głowie. Śruba mówi krótko:

- Mam dla ciebie wiadomość.

Tylko tyle.

Wiadomość.

Bebeta siłą kładzie moją dłoń płasko na półce. Śruba bierze najpierw mój kciuk i krótkim ruchem go wykręca. Ból jest porażający, paralizujący. Wrzeszczę. Czuję, że wariuję. W jednej chwili. Próbuję się wyrwać, kopię na

wszystkie strony, zwłaszcza w tył, chcąc zmusić Bebetę, żeby choć trochę poluzował uścisk, ale Śruba już ujął mój palec wskazujący i też go wykręcił. Posepny trzask. Oślepiający ból. Łapią mnie mdłości, rzygam, Bebeta wciąż mnie trzyma, jakby polecenie, że ma czuć do mnie odrazę, nie docierało do tego, co mu zastępuje mózg. Kiedy Śruba chwyta mój trzeci palec, mdleję. Wydaje mi się, że mdleję. Bo jestem jeszcze przytomny; kiedy palec pęka, z góry do dołu przeszywa mnie prąd elektryczny, już nawet nie krzyczę. Moje ciało jest miękką szmatą w imadle ramion Bebety. Pocę się. Myślę, że właśnie wtedy się zesrałem. Ale Śruba jeszcze nie skończył. Zostały dwa palce. Umrę. Z bólu. Dusza ze mnie uchodzi, z bólu wariuję. Od stóp do głów przenikają mnie fale bólu. Nawet fale bólu są spanikowane. Kiedy Śruba łamie mi ostatni palec, najmniejszy, wyzionąłem już ducha, chcę umrzeć, tak mnie boli, Bebeta mnie wypuszcza. Zwalam się na ziemię z krzykiem. Upadłem na rękę. Nie mogę jej nawet do siebie przycisnąć, nie mogę jej nawet dotknąć. Rzęzę. Jestem jednym wielkim cierpieniem. Mój umysł nie może się zmobilizować, wariuję.

Śruba pochyła się nade mną i spokojnie mówi:

- To jest ta wiadomość.

Nie wiem, co dzieje się później, bo tracę przytomność.

Kiedy się budzę, moja dłoń jest jak napompowana na full piłka futbolowa. Leżę na łóżku w ambulatorium, wciąż płaczę. Tak jakbym nie przestał płakać, od kiedy mnie złapali.

Tak strasznie boli. Tak boli. Tak boli.

Przewracam się na bok, zabandażowaną rękę trzymam przy brzuchu. Płaczę. Boję się. Okropnie się boję. Nie chciałem tego. Wyjść stąd. Nie chcę tu umrzeć.

Nie tak.

Nie tutaj.

37

Plusem więzienia jest to, że pobyty w szpitalu trwają krótko. Cztery dni. Usługi ograniczone do minimum. Przemieszczenie stawów śródrečno-paliczkowych, złamania i zwichnięcia zostały zoperowane i nastawione przez chirurga całkiem sympatycznego jak na chirurga.

Mam założone łubki, gips i przed sobą długie miesiące nadziei na powrót do normalnego stanu, w co specjalista nie za bardzo wierzy. Bez powikłań się nie obejdzie.

Kiedy wszedłem do celi, młody człowiek wstał i wyciągnął do mnie rękę. Ujrawszy górę bandaży, nie mógł powstrzymać uśmiechu i wyciągnął drugą. Ściskamy sobie dłonie na wspak, to dobra wróżba.

Ale na razie najchętniej bym się położył.

Do wczoraj ręka niewyobrażalnie mnie rwała, a pielęgniarz nie miał żadnego wystarczająco silnego środka przeciwbólowego. Albo nie chciał mi dać. Sierżant Morisset nie dość, że kazał mnie przenieść, to dostarczył mi także Stianofil. Jestem po nim lekko otępiony, ale przynajmniej ból słabnie i momentami udaje mi się zasnąć. Sierżant mówi, że zostanie wszczęte śledztwo i że muszę podać nazwiska napastników, ale nie czekając nawet na odpowiedź, wychodzi z celi.

Mój nowy sąsiad Jérôme jest zawodowym oszustem. Koło trzydziestki, ładna twarz, kręcone włosy, wzbudzająca zaufanie powierzchowność, a kiedy człowiek wyobrazi go sobie w garniturze, od przodu będzie miał dyrektora swojego oddziału banku, od tyłu swojego agenta nieruchomości, z prawego profilu swojego nowego lekarza rodzinnego, z lewego – kolegę z klasy, któremu poszczyło

się na giełdzie. Ma mniej dyplomów niż wieśniak z Beninu, lecz wyraża się bardzo poprawnie, ma osobowość, charyzmę i dostrzegam w nim pewne podobieństwo do Bertranda Lacoste'a, tylko młodszego. Może dlatego, że tamten też jest oszustem. A że mam za sobą dwadzieścia lat praktyki w zarządzaniu, mimo różnicy wieku całkiem dobrze się dogadujemy. To bardzo sprytny chłopak. Nie na tyle, żeby uniknąć więzienia, ale i tak cwaniak. Ma na swoim koncie dziesiątki podrobionych czeków, całe tony wymyślonych towarów sprzedawanych za gotówkę, autentyczne fałszywe dokumenty dostarczane za cenę złota, fikcyjne rekrutacje z łapówkami i przyznawaniem subwencji państwowych, a nawet cesje akcji giełdowych na rynkach zagranicznych. Tutaj trafił przez sprzedaż fikcyjnych apartamentów w nieistniejącej luksusowej rezydencji pod Grasse. Wyjaśnił mi, na czym polegał numer, ale dla mnie to zbyt mądre. Facet ma kupę kasy. Może kupić wszystko z wyjątkiem wolności. Musiał się nieźle dorobić na tym interesie. Przy nim wyglądam na nędzarza.

Milczę.

Jérôme patrzy na moją głowę i prawą rękę, która jest wciąż bardzo spuchnięta. Koniecznie chce się dowiedzieć, z jakiego powodu tak mnie urządzono. Jest zaintrygowany. Wietrzy dobry interes. Muszę uważać na to, co mówię, sposób, w jaki to mówię, na to, czego nie mówię, w jaki sposób milczę.

Skutek stresu pourazowego po moim spotkaniu ze Śrubą i Bebetą jest taki, że boję się wyjść z celi. Rozglądam się ze strachem wokół siebie, za siebie, na wszystko, co się rusza. Z daleka zauważam Śrubę załatwiającego swoje sprawy, swoje interesy; odwraca się, ale ma minę, jakby mnie nie widział. Dla niego nie jestem niczym innym jak interesem. Zaistnieję z powrotem w jego oczach, dopiero kiedy otrzyma nowe zlecenie, a wtedy jedyne, co będzie chciał wiedzieć, to jak daleko ma się posunąć i czy mu za to wystarczająco zapłacą. Bebeta zaś na mój widok uśmiecha

się błogo i unosi otwartą dłoń, tak jak mu pokazałem, niebywale kontent, że może mnie powitać, zupełnie jakby połamanie mi palców stworzyło między nami nowe więzi uczuciowe. To, co stało się w pralni, uleciało już z owej części jego rdzenia kręgowego, która zastępuje mu mózg.

Jérôme siłą rzeczy ma mnie za niezbyt rozmownego. Sam jest gadułą, czuje potrzebę mówienia. Mnie po głowie chodzą czarne myśli. Możliwe, że to po części skutek leku. Roztrząsam „wiadomość”. Najbardziej rzecz jasna niepokoi mnie dalszy ciąg. Bo wiadomość była właśnie taka: to dopiero początek.

Dobry Boże, nie mam bladego pojęcia, co robić.

Od początku działałam, nie wiedząc, jak to wszystko się skończy.

Od początku wszystko jest tylko jednym ciągiem krótkoterminowych strategii.

Nieustannie improwizuję.

Reaguję dopiero wtedy, gdy staję przez faktem dokonanym.

W więzieniu od razu dostaję wycisk, ale potem znajduję sierżanta Morisseta i zyskuję jego opiekę. Łamią mi palce, ale potem staram się, by mnie przeniesiono do dwuosobowej celi w sekcji lepiej chronionej.

W najgorszym razie wychodzę cało z próby.

W najlepszym udaje mi się zyskać odroczenie terminu.

Od chwili, kiedy dowiedziałem się, że Exxyal wodzi mnie za nos, kiedy zrozumiałem, że wszystkie moje starania, by zdobyć tę posadę, były niepotrzebne, że ukradłem pieniądze córki na darmo, od kiedy poczułem, jak ogarnia mnie głuchy gniew – reaguję, staram się znaleźć rozwiązania, ale w gruncie rzeczy nigdy nie miałem globalnej strategii. Żadnego planu, który uwzględniałby również konsekwencje. Nie jestem przestępcą. Nie wiem, co robić.

Miotam się.

Zresztą gdybym miał jakąś całościową strategię i gdyby mnie doprowadziła tu, gdzie teraz jestem, mógłbym powiedzieć, że to bardzo zła strategia.

Pierwszą wiadomość już dostałem.

Co teraz nastąpi?

Koniecznie muszę coś wymyśleć, żeby nie dotarła do mnie druga wiadomość.

Co ciekawe, na trop naprowadza mnie psychiatra, który ma sporządzić ekspertyzę.

Pięćdziesiąt lat, klasyczny, posługujący się żargonowym słownictwem, ale bystry. Każde jego zdanie brzmi jak sentencja, ma wysokie mniemanie o swojej roli. Całkiem słusznie. Tyle że ze mną sprawa jest prosta. Wystarczy zapomnieć o moich aktach i CV i diagnoza gotowa. Nie muszę się wysilać, by przekonać go o tym, co już i tak wie.

Uderza mnie natomiast zdanie, którym zagaja rozmowę: „Gdyby chciał pan opowiedzieć mi o swoim życiu, od czego by pan zaczął?”.

Po tym spotkaniu rzucam się jak szalony w wir pracy.

Ponieważ nie mogę pisać, poprosiłem o pomoc Jérôme'a, dyktuję, czytam, Jérôme pod moje dyktando poprawia. Robota idzie dość szybko, dla mnie nie dość szybko, ale udaje mi się ukryć, że oto rozpocząłem wyścig z czasem.

Jeśli wszystko dobrze pójdzie, tekst za cztery, pięć dni będzie gotowy. Nadaję dynamikę swoim działaniom. Sporo przesadzam, dorzucam symboliczną przemoc, piszę w pierwszej osobie, staram się być przekonujący, to może się udać. I dowiaduję się, które gazety może to zainteresować.

Moje stosunki z Nicole komplikują się. Upadła na duchu, żyje w ciągłym oczekiwaniu, w ciągłym zagrożeniu, widzi, jak się męczy. Czuje się bardzo samotna, bardzo przybita, a ja w żaden sposób nie mogę jej pomóc.

W zeszłym tygodniu:

- Sprzedam mieszkanie - mówi. - Przyślę ci papiery, musisz je podpisać i szybko mi odesłać.

- Sprzedajesz mieszkanie? Dlaczego?

Jestem oszołomiony.

- Niedługo zacznie się proces z twoim byłym pracodawcą i jeśli zostanie mu zasądzone odszkodowanie, chcę mieć z czego zapłacić.

- Jeszcze do tego nie doszliśmy!

- Nie, ale dojdziemy. A zresztą niepotrzebne mi to mieszkanie. Dla mnie samej jest za duże.

Po raz pierwszy tak otwarcie zdradza się z myślą, że pewnie nigdy już nie będziemy razem mieszkali. Nie wiem, co odpowiedzieć. Widzę, że Nicole już żałuje, że tak się zagalopowała. Żeby zatrzeć złe wrażenie, dodaje:

- A poza tym są koszty sądowe.

- Bardzo nieduże, nie płacimy za adwokata!

Mam wrażenie że, nie wiedzieć czemu, moje słowa ją przybiły.

- Alain, nie twierdzę, że w więzieniu ci łatwiej, ale ty chyba nie masz pojęcia, co się naprawdę dzieje!

Muszę wyglądać na człowieka, który nie rozumie, co się do niego mówi, bo Nicole rzuca twardym tonem:

- Nie chcę, żeby Lucie pracowała za darmo. Chcę jej zapłacić. Rzuciła robotę, żeby podjąć się twojej obrony, sięga do oszczędności, żeby mieć z czego żyć. Poza tym...

- Poza tym co?

Skoro już tyle wiem... Nicole mówi:

- I mecenas Sainte-Rose drogo ją kosztuje. Bardzo drogo. Nie chcę, żeby dłużej płaciła.

Wiadomość spada na mnie jak grom z jasnego nieba.

Najpierw Mathilde, a teraz Lucie zadłuża się dla własnego ojca.

Nie mam odwagi spojrzeć Nicole w twarz.

Ani ona mnie.

Rozmowa Lucie z mecenas Gilson, ekskumpelką z uczelni, nic oczywiście nie dała. Lucie nie miała żadnej propozycji w zamian. Prosiła tylko o odrobinę życzliwości i wyrozumiałości. Na próżno ją zapewniałem, że hurtownia farmaceutyczna takich towarów nie ma na składzie, Lucie

musiała spróbować, to było silniejsze od niej. Jest bardzo dobrym adwokatem, ale jest też trochę naiwna. To chyba u nas rodzinne. W efekcie Lucie została oczywiście upokorzona. Sama odmowa klienta nie wystarczyła, dawna kumpelka bez cienia współczucia dla tego, co przeżywam i co mi grozi, napawała się swoją zemstą na Lucie. Tak jakby dziewczynę, której odbito chłopaka, można było porównać z sześćdziesięcioletkiem, któremu grozi trzydzieści lat więzienia. Aż trudno uwierzyć. Krótko mówiąc, Lucie chce, żebym teraz ja spróbował z Romainem. Jeśli on zgodzi się nie zeznawać, hurtownia straci swojego jedyne go świadka i cała konstrukcja się zawali. A wówczas Lucie będzie mogła pójść za ciosem i obalić oskarżenie. Wydaje mi się trochę niepoważne zajmowanie się czymś takim w sytuacji, kiedy czeka mnie ława przysięgłych, ale podobno Sainte-Rose, za którym Lucie w piekło by skoczyła, przywiązuje do tego wielkie znaczenie.

- Chce oczyścić akta sprawy - tłumaczy mi Lucie. - Musimy cię przedstawić jako człowieka pokojowego, pokazać, że w żadnym wypadku nie jesteś furiatem.

Jestem niefuriatem z berettą kaliber 9 mm w dłoni.

W porządku.

Obiecuję, że wyślę list do Romaina lub poproszę Charles'a, żeby z nim porozmawiał, ale wiem, że nie zrobię ani jednego, ani drugiego. Mój własny interes, jak również bezpieczeństwo Romaina nakazują, żeby, wręcz odwrotnie, w oczach wszystkich pozostał moim wrogiem.

38

Wczoraj dowiedziałem się, że otrzymam drugą wiadomość.

W nocy nie zmrużyłem oka.

Dzień wcześniej zostają nam przydzielone rozmównice, ale nigdy nie wiemy, kim będzie nasz gość. Dla niektórych bywa to niespodzianką, nie zawsze miłą. Tak jak dzisiaj rano dla mnie.

To ich wysłannik, jestem pewny. Nicole w tym tygodniu nie przyjdzie, a odwiedzin Mathilde już dawno przestałem się spodziewać. Lucie jako obrończyni przysługują osobne widzenia. Zresztą i tak ma teraz zbyt dużo pracy przy mojej sprawie, żeby znaleźć jeszcze czas na składanie wizyt.

Jest punkt dziesiąta.

Stoimy w szeregu w korytarzu, czekając na wywołanie naszych nazwisk. Jedni wyglądają na podekscytowanych, drudzy na pogodzonych z losem. Ja jestem przerażony. Rozgorączkowany. Takiego określenia użył mój ulubiony oszust Jérôme, widząc, z jaką miną opuszczam celę. W korytarzu jeden ze znajomych współwięźniów uważnie na mnie spogląda. Niepokoi się o mnie. I słusznie.

David Fontana jest w garniturze i pod krawatem. Wygląda niemal elegancko. Gdybym nie wiedział, do czego jest zdolny, wziąłbym go po prostu za menedżera wyższego szczebla. Jest kimś znacznie więcej. Jest groźny, nawet gdy siedzi. To facet, który wybiera na posłańca Śrubę, ale wolałby osobiście zająć się sprawą, gdyby okazja pozwoliła.

Ma bardzo jasne oczy. I prawie nieruchome powieki.

Wypełnia sobą małą celę, za którą co czterdzieści sekund przechodzi strażnik. Emanuje z niego przerażająca

siła i gwałtowność. Jestem pewny, że bez trudu mógłby mnie zabić w przerwie między jednym i drugim przejściem strażnika.

Już na sam jego widok słyszę trzask moich łamanych palców. Czuję mrowienie w krzyżu.

Siadam naprzeciwko.

Spokojnie się do mnie uśmiecha. Zdjęto mi już bandaż, ale palce mam nadal spuchnięte, a te, które zostały złamane, są wciąż w łubkach, coraz brudniejszych. Wyglądam na człowieka po groźnym wypadku.

- Jak widzę, panie Delambre, dostał pan moją wiadomość.

Głos ma zimny. Ostry. Czekam. Nie rozdrażnić go. Czekać, co dalej. Zyskać na czasie. A przede wszystkim, przede wszystkim nie zrobić nic, co by go rozeźliło, nie zmuszać, żeby rozkazał Śrubie i Bebecie zawlec mnie do warsztatu i wsadzić mi głowę w szczęki imadła...

- Zresztą wcale nie moją... Chodzi o wiadomość od mojego klienta - poprawia się Fontana.

Myślę, że osoba klienta się zmieniła. Z Bertrandem Lacoste'em już koniec. Wielki doradca personalny pokazał, co potrafi. Z opłakanym skutkiem. Polska stażystka zapędziła go w koziego róg, z którego nieszybko się wygrzebie. Mistrz managementu zdecydowanie nie ma szczęśliwej ręki w sprawach zatrudnienia. Pewnie medytuje teraz nad swoją niełaską, mówiąc sobie, że maluczkim i miernotom nigdy nie można zaufać. Jego genialny pomysł wzięcia zakładników celem ewaluacji kadry kierowniczej zakończył się spektakularną klapą. Exxyal na pewno zadba o rozgłoszenie tej nowiny. To bolesny cios dla jego kariery. A jego agencję doradztwa personalnego czeka przyszłość podobna do mojej.

Lacoste opuszcza scenę, wkracza Wielki Wódz.

Alexandre Dorfmann we własnej osobie przejmuje dowodzenie. Z urzędu.

Zmiana kategorii.

Wprowadzenie w temat powierzono półzawodowcom, teraz pora na ekspertów.

Momentalnie wyczuwa się zmianę metod działania. Lacoste obiecuje posady, co nie ma żadnych konsekwencji. Dorfmann zatrudnia Fontanę, który nasyła na mnie terrorystów w osobach Śruby i Bebety. Dorfmann pewnie zaznaczył: „Szczegóły mnie nie interesują”. Jak ktoś kiedyś powiedział, ten człowiek ma czyste ręce, ale nie ma rąk. Czemu Fontana z pewnością przyklasnął, jako że taki dyskretny angaż pozwolił mu potroić stawkę oraz załatwić sprawę na swój sposób – jaki, miałem już tego przedsmak.

Fontana spokojnie czeka, aż przetrawię tę myśl, aż ponownie ułożę puzzle. Organizując dla Exxyalu pozorowane wzięcie zakładników, odgrywał tylko jedną z ról. Teraz przychodząc, by wyrównać ze mną porachunki, jest nareszcie w swoim żywiole. I to widać. Jest w świetnym nastroju, sportowiec szczęśliwy, że po pechowym zerwaniu sięgnął znów wrócił na bieżnię.

Czy otrzymałem od niego wiadomość? Też pytanie.

Przełykam ślinę i w milczeniu potwierdzam.

Zresztą i tak nie wykrztusiłbym słowa. Kiedy go widzę tutaj, przypomina mi się moja wściekłość, Exxyal, Bertrand Lacoste – wszystko, co doprowadziło mnie za kratki. Pamiętam, jak Fontana rzuca się na mnie z zaciśniętymi szczękami. Gdyby mógł mnie w tym momencie zabić, zrobiłby to. Potem, kulejąc, wlecze się pod ścianę z zakrwawioną nogą. Rozmównicę wypełnia tamta woń prochu, w ręku czuję zimny ciężar pistoletu, z którego strzelałem w okna. Chciałbym go mieć teraz z sobą, chciałbym trzymać tę broń w ręku, wyciągnąć ramię i wpakować jemu, Fontanie, dwie kulki w głowę. Ale nie przyszedł tu, bym go uśmiercił swoją wściekłością. Przyszedł, żeby mi odebrać tę odrobinę, którą wygrałem.

– Odrobinę...? – pyta. – Pan chyba żartuje.

No i zaczęło się.

Nie ruszam się.

- Porozmawiamy o tym, ale najpierw moje gratulacje, panie Delambre. Bardzo ładny numer. Naprawdę bardzo ładny. Dość powiedzieć, że byłem pod wrażeniem...

Jego twarz zadaje kłam słowom uznania. Ma zaciśnięte usta, utkwił wzrok w moich oczach. Sączy we mnie podprogowe przekazy, które bezbłędnie odbieram. Wszystkie krążą wokół jednej myśli: rozdepczę cię jak robaka.

- Niedoświadczony obserwator uznałby, że sprawa została starannie zaplanowana, ale myślę, że było wręcz odwrotnie... Pan działa impulsywnie, nie jest pan strategiem. Improvizuje pan. Nie wolno tak postępować, panie Delambre (dla podkreślenia unosi palec wskazujący). Nigdy.

Chętnie bym mu przypomniał, że mimo wspaniałych przygotowań jego operacja wzięcia zakładników okazała się niewypałem. Ale z całych sił staram się nic po sobie nie pokazać, zachować kamienną twarz. Serce wali mi z szybkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Nienawidzę go równie mocno, jak się go boję. Zdolny jest przysłać mi zabójców do celi. Nawet nocą.

- A co do improwizacji - ciągnie - muszę powiedzieć, że była dość widoczna. Potrzebowałem trochę czasu, żeby to zrozumieć. Kiedy zaś zrozumiałem, było już rzecz jasna za późno. Zresztą może i nie za późno... Nadrobimy ten stracony czas, panie Delambre, na pewno.

Nawet nie drgnę. Oddychać przeponą. Żadnego ruchu, żadnych emocji. Kamienna twarz.

- Pierwszy był przesłuchiwany pan Guéneau. Myślę, że akurat tutaj dopisało panu szczęście. Ponieważ mimo pozorów (nieokreślonym ruchem ręki wskazuje otoczenie) miał pan trochę szczęścia, panie Delambre. To znaczy aż do dzisiaj.

Przełykam ślinę.

- Gdyby pan Guéneau był przesłuchiwany później - kontynuuje Fontana - pański plan też by zafunkcjonował,

ale pan... nie sędzę, żeby pan przystąpił do działania. Wnikliwiej oceniłby pan ryzyko. I ostatecznie by się pan nie odważył. Tyle że... okazja nasunęła się sama... To było silniejsze od pana. Nie oparł się pan pokusie. Pamięta pan, jakiego stracha miał pan Guéneau?

Jean-Marc Guéneau i jego rozbiegane oczy. Pamiętam, jak zeszywniał, kiedy młody Arab zaczął mu zadawać pytania. A obok mnie ta głupia gęś Lacoste'a, która...

Fontana bardzo dobrze wszystko zapamiętał.

- Przesłuchanie pana Guéneau idzie opornie. Czuje pan, że panna Rivet sobie nie radzi, stawia nieporadne pytania, traci grunt pod nogami, nie potrafi narzucić swojej woli, więc pan Guéneau siłą rzeczy zaczyna wątpić, kręci głową w prawo, w lewo, nie wyczuwa jeszcze pułapki, ale to tylko kwestia czasu, że sprawa wymyka się spod kontroli. I wtedy pan postanawia się włączyć...

Pamiętam to; pochyłam się do mikrofonu. I kilka minut później Jean-Marc Guéneau zostaje tylko w koronkowej damskiej bieliźnie... Stoi i płacze. Potem rzuca się do pistoletu i pakuje sobie lufę w usta.

- Był zdesperowany. Za mało pan wprawdzie kalkuluje, ale muszę przyznać, że ma pan piekielną intuicję...

Fontana jest pełen podziwu... W rzeczywistości tylko czeka, kiedy niewzruszona twarz, jaką staram się zachować, w końcu pęknie. Próbuje wszystkiego.

- Rozłożył go pan na obie łopatki. Był gotów sprzedać własną firmę, poświęcić ją, był gotów oddać wszystko, zdradzić tajemnice bankowe, opowiedzieć o tajnych umowach, sekretnych funduszach... A pan tylko na to czekał.

Tak, na to czekałem, nawet jeśli nie spodziewałem się, że tak szybko nastąpi. To, że facet, na którego stawiałem, trafił na przesłuchanie pierwszy, stworzyło mi nieoczekiwaną szansę.

Siada przy biurku wskazanym mu przez dowódcę terrorystów.

Podłącza swój blackberry do laptopa i wchodzi na intranet Exxyal-Europe.

Klika raz, dwa razy. Wchodzi na finanse.

Przez chwilę czekam, uważnie się przyglądam.

Wprowadza swoje prywatne kody, pierwszy, drugi.

Chcę zobaczyć ów charakterystyczny gest, który wykonuje się, kiedy kody przeszły. Kiedy droga jest już wolna i można wreszcie przystąpić do pracy. Ów nieznaczny odruch ulgi zauważalny w dłoniach, w ramionach.

- Wtedy pan wstaje. I mówi: „Łajdak”. Długo się na tym zastanawiałem; powiedział pan „łajdak” w liczbie pojedynczej czy „łajdacy”?

Nie reaguję.

Fontana przez sekundę uważnie na mnie patrzy.

I mówi dalej.

- Dalszy ciąg to już tylko inscenizacja. Jest pan przerażony tym, co pan robi, i to jest właśnie ten trik! Pana odkrycie! Ponieważ pańskie poruszenie jest prawdziwe, pańskie przerażenie jest prawdziwe, decyduje się pan na zrobienie czegoś, co wymaga niewiarygodnego tupetu! Wszyscy przypisują pana strach tej impulsywnej decyzji wzięcia zakładników - strach menedżera, któremu puściły nerwy i którego przeraził własny postępek - ale panu chodzi przede wszystkim o zmylenie naszej uwagi.

Ustawiam zakładników w szeregu, wprowadzam w czyn słowo w słowo wszystko, co usłyszałem od Kaminskiego. Rewiduję ludzi po kolei, zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Rozstawione palce. Plecami do drzwi. Strzelam w okna...

- I wreszcie korzysta pan z okazji stworzonej przez pana Cousina. Ależ ten facet pragnął odstawić bohatera! Ale gdyby okazja nie trafiła się panu z jego strony, trafiłaby się z innej. To było bez znaczenia. Mnie pan odepchnął tylko po to, żeby uwiarygodnić swój ruch, ale równie dobrze mogła to być również moja interwencja. Ponieważ zależało panu

tylko na jednym: żeby znaleźć się w pozycji przegranego... Nikt tego nie mógł zrozumieć.

Paul Cousin. Kredowobiały człowiek-widmo. Pręży się naprzeciwko mnie. Jest świetny. Rzeczywiście, dokładnie to, o co mi chodziło. Swoim działaniem ucieleśnia prawowitość przedsięwzięcia. Jak w jakimś obrazku rodzajowym, jest „znieważonym dyrektorem stawiającym czoło przeciwnościom losu”.

- O to panu właśnie chodziło: żeby wyglądać na pokonanego. Żeby móc nas uwięzić. Żeby potem udać, że pan rezygnuje, i móc się poddać. I wreszcie zrobić to, co od początku było pana celem: schronić się w sali, gdzie laptop był nadal włączony na sesji pana Guéneau... Dostęp jest otwarty. Uwięzienie nas otworzyło przed panem drogę prosto do rachunkowości Exxyalu. Wystarczyło tylko usiąść, wyciągnąć rękę i obsłużyć się.

David Fontana przerywa.

Jest pełen szczerego podziwu. Dwuznaczna komitywa, podziw, który będzie mnie drogo kosztował. Który ma mnie drogo kosztować...

- Dziesięć milionów euro, panie Delambre. Śmiało pan sobie poczyna!!!

Nie wierzę własnym uszom.

Nawet jego klient nie powiedział mu prawdy.

Zgarnąłem 13,2 miliona.

Nagle przestałem mieć się na baczności, na mojej twarzy musiał się pojawić nikły uśmiech. Fontana jest w siódmym niebie:

- Brawo, panie Delambre. Naprawdę, brawo! Nie obchodzą mnie szczegóły techniczne. Zdaniem informatyka, który zbadał wyciek, zaprogramował pan przelew na konto offshore, a tamten bank zatarł po panu wszelki ślad.

W rzeczywistości było to dużo bardziej wyszukane.

Kiedy zostawiam zakładników i siadam przed laptopem, mam tylko piętnaście minut, a moje umiejętności informatyczne są ledwie na poziomie podstawowym.

Umiem posłużyć się arkuszem kalkulacyjnym i edytorem tekstu. Poza tym... Ale umiem też podłączyć pendrive'a i wysłać maila. Romain powiedział, że to wystarczy. Siedział prawie trzydzieści godzin, żeby wszystko dopracować. Z chwilą aktywacji klucza program, który zainstalował, sam wykonuje całą pracę. Potem Romain potrzebuje czterech minut, żeby z komputera u siebie w domu wprowadzić trojana do intranetu Exxyalu, do którego dostarczyłem mu dostęp i który pozwoli mu złożyć ponowną wizytę w godzinach pracy, uzyskać dostęp do rachunków, zrobić przelew do jednego z rajów podatkowych i zatrzeć wszelkie ślady.

Ale Fontana ma rację przynajmniej co do jednego: rezultat jest ten sam.

- O tyle lepiej zostało to rozegrane, że działał pan absolutnie bezkarnie. Jeśli się kradnie pieniądze z sekretnych funduszy koncernu naftowego, z których opłacane są wszelkiego rodzaju łapówki i tajne prowizje... ma się więcej niż gwarancję, że nikt panu nie wytoczy procesu.

Nie reagować.

Nie wszystko zrozumiał, ale najważniejsze wie.

Szczegóły są nieważne.

Fontana siedzi nieruchomo. Mijają sekundy.

- W gruncie rzeczy wbrew pozorom niczego pan nie przemyślał. Pana postępek był zwykłym odruchem gniewu. Rzucił się pan z kasą do ucieczki, przebiegł czterdzieści metrów i na tym skończył. I oto siedzimy naprzeciw siebie, panie Delambre. Co za fatalna kalkulacja... Szczerze mówiąc, dla mnie sprawa jest zagadkowa. To znaczy... mam pewną hipotezę. Myślę, że nie wziął pan tych pieniędzy z zamiarem wykorzystania ich samemu. Odłożył je pan dla swojej rodziny, nie dla siebie. Po takim wzięciu zakładników nie może pan mieć żadnych złudzeń: w najlepszym razie wyjdzie pan stąd za piętnaście lat. Jeśli wcześniej nie dostanie pan raka.

Na moment zapada ciężka cisza.

- ...lub jeśli nie każę pana zlikwidować. Ponieważ mój klient jest bardzo, ale to bardzo rozgniewany, panie Delambre.

W rzeczy samej, wyobrażam sobie reakcje. Rada nadzorcza Exxyal-Europe z pewnością nie zna wszystkich szczegółów, ale głównych akcjonariuszy nie można było utrzymywać w niewiedzy. Można lubić swojego prezesa, niemniej dziura w kasie w wysokości trzynastu milionów euro siłą rzeczy sprawia, że sympatia do niego trochę jednak maleje. Nikt rzecz jasna nie wyrzuci dyrektora generalnego wielkiej firmy z powodu utraty trzynastu milionów, bo to byłoby śmieszne, lecz mimo wszystko porządku należy przestrzegać. Z jednej strony kapitał, z drugiej - bezrobocie. Dorfmann musiał udzielić gwarancji swoim akcjonariuszom. Obiecał, że odzyska pieniądze z sekretne funduszu i je zwróci.

Wystarczy jedno spojrzenie Fontany na moją rękę, a natychmiast zaczyna mnie straszliwie boleć. Czuję suchość w gardle.

- Ile pan chce?

Głos odmawia mi posłuszeństwa. Muszę powtórzyć pytanie.

- Ile pan chce?

Fontana jest zdziwiony.

- Oczywiście wszystko, panie Delambre. Wszystko co do grosza.

OK. Teraz już świetnie rozumiem, dlaczego Exxyal nie podał mu prawdziwej kwoty.

Jeśli zwrócę sumę, o jakiej mowa, dziesięć milionów, trzy mi zostaną.

Taka jest oferta Exxyalu.

To, co po przecinku, się nie liczy. Nie bądźmy tacy drobiazgowi.

Oddajesz nam czarną skrzynkę, zachowujesz trzy miliony euro i życie i wszystko wraca do normy.

Zapominamy o sprawie, po to są strata i zysk. Po odjęciu doli Romaina zostają mi dwa miliony. Żegnajcie wielkie nadzieje. Próbuję przemówić sobie do rozsądku: wyjście z tego całym i zdrowym to już byłoby dużo. Dwa miliony z nawiązką pozwoliłyby spłacić Mathilde, Lucie, odwieść Nicole od zamiaru sprzedaży mieszkania.

Wydaje mi się jednak, że zasługuję na więcej. Już tyle razy roztrząsałem tę kalkulację. To, co odebrałem Exxyal-Europe, stanowi niecałą trzyletnią pensję szefa wielkiej firmy. Zgoda, to również tysiąc lat pensji minimalnej, ale w końcu, do cholery, nie ja ustalam stawki!

Dobynam swój ostatni nabój.

- A plik z odbiorcami - co mam z nim zrobić?

Nie podniosłem głosu. Fontana w niemym pytaniu unosi brwi. Nieznacznie kuli ramiona jak ktoś spodziewający się, że zaraz dostanie cegłą w głowę.

Nie ruszam się. Czekam.

- Zechce mi pan to wyjaśnić, panie Delambre.

- Co do pieniędzy, słyszałem pana propozycję. Chciałbym natomiast wiedzieć, co mam zrobić z listą kontaktów pańskiego klienta. Listą osób, dla których były przeznaczone te fundusze. Z załączonymi kontami, na których oczekują oni przelania należytej zapłaty za przysługi oddane pańskiemu klientowi. Kogo tam nie ma... francuscy zastępcy ministrów, zagraniczni ministrowie, emirowie, biznesmeni... Chcę wiedzieć, co mam z tą listą zrobić, ponieważ nic pan o niej nie wspomina.

Fontana jest wkurzony. Ale nie tylko na mnie. Jego klient nie mówi mu wszystkiego i to go bardzo denerwuje. Zaciska szczęki.

- Potrzebny mi będzie namacalny dowód dla moich klientów. Kopia pańskiego dokumentu.

- Dostarczę panu pierwszą stronę. Wszystko jest umieszczone w sieci. Proszę powiedzieć, na jaki adres e-mailowy mam panu to przesłać.

Znów zasiałem w nim wątpliwość. Fontana jest człowiekiem bardzo rozważnym. Przeprowadzi śledztwo. Jeśli mówię prawdę, jego klient będzie musiał postępować ze mną bardzo ostrożnie. Na razie zyskałem na czasie.

- Dobrze - mówi w końcu. - Myślę, że powinienem omówić sprawę z naszym klientem.

- Uważam, że to świetny pomysł... Omówcie sprawę.

Robię ruch swoim ostatnim pionkiem. Uśmiecham się szeroko, bardzo pewny siebie:

- Będzie mnie pan na bieżąco informował?

Fontana nie zdążył się poruszyć, a ja już wstałem.

Idę korytarzem.

Nogi mam jak z waty.

Za dwa dni, najpóźniej za trzy, Fontana zorientuje się, że blefowałem.

Że nie mam żadnej listy.

Wścieknie się.

Jeśli moja nowa strategia w ciągu dwóch dni nie zadziała, Bebeta i Śruba zagarną fortunę: wynagrodzenie za wypatroszenie moich trzewi na betonowej nawierzchni spacerniaka.

39

Pierwszego dnia - nic.

Z niepokojem obserwuję Śrubę. Nie istnieję dla niego. Nie dostał żadnego polecenia w związku ze mną. Dzisiaj jeszcze żyję.

Nie tracić ufności.

To powinno się udać. To musi się udać.

Drugiego dnia - nic.

Bebeta dźwiga ciężary w siłowni. Na mój widok odkłada sztangę, żeby unieść dłoń, bo nie może mnie przywitać skinieniem głowy, robiąc jednocześnie co innego.

Po nim od razu wszystko widać. Nie dostał żadnego polecenia w związku ze mną.

Dzień mija bardzo powoli, Jérôme chciałby porozmawiać, ale rozumie, że chwila jest nieodpowiednia.

Tylko raz opuszczam celę. U jednego znajomego gościa próbuję wytargować brzytwę. Chcę mieć czym się bronić, nawet jeśli nie jestem pewny, czy umiałbym z niej na razie zrobić użytek. Nie mam na wymianę nic, co by go interesowało. Jak niepyszny wracam do celi.

Przestaję jeść. Nie jestem głodny.

Na okrągło o tym myślę. To może się udać. Byle do jutra.

Trzeci dzień. Ostatni.

Nigdzie nie widzę Śruby ani Bebety.

Nie jest to dobry znak.

Ogólnie wiem, gdzie można ich znaleźć. Nie mam wielkiej ochoty się na nich natknąć, ale to, że zniknęli mi z pola widzenia, jeszcze bardziej potęguje mój niepokój. Robię szeroki obchód miejsc, w których zwykle się kręcą. Przemykam się pod ścianami. Szukam sierżanta Morisseta,

ale przypomina mi się, że od kilku dni jest nieobecny. Jeden z jego kumpli jest umierający. Sierżant siedzi u jego wezłowa.

Wracam do celi i już się z niej nie ruszam.

Jeśli będą mnie szukali, muszą tu przyjść.

Od wczesnych godzin świtu zaczynam się pocić.

Nadchodzi południe.

Żadnej wiadomości.

Jutro będę już martwy.

Dlaczego się nie udało?

A potem jest trzynasta.

Telewizyjna jedynka.

Moja twarz na otwarciu dziennika. To zdjęcie paszportowe z jakichś przedpotopowych czasów, nie wiem, skąd je wytrzasnęli.

Natychmiast dwóch, trzech, czterech więźniów wpada obejrzeć dziennik w naszej celi. Klepią się po udach. Inni ich uciszają, chcą usłyszeć komentarze. Mała bomba.

Dziennikarz oświadcza, że dziś rano „Le Parisien” zamieścił rozkładówkę o mnie i o mojej historii oraz montaż pierwszych stron rękopisu, który wysłałem do redakcji. Wybrali najlepsze kawałki. Zapowiadam, że wkrótce wyjdzie książka opowiadająca o mojej historii.

Wzruszające świadectwo ofiary kryzysu. Pouczające.

Przypomnienie faktów. Delambre. To ja. Jeden ze współwięźniów klepie mnie z podziwem po plecach.

Delambre: bezrobotny senior szukający pracy. Jego życiorys, jego historia, szczęśliwe lata, bezrobocie pod koniec kariery zawodowej, poczucie niesprawiedliwości, lata starań, gehenna, upokorzenie wobec własnych dzieci, nieustannie rozwiewane nadzieje na znalezienie pracy, coraz większe kłopoty finansowe, depresja. Wzięcie zakładników aktem desperacji.

Morał: grozi mu trzydzieści lat więzienia.

Francja się wzrusza. Wstrząsające świadectwo.

Archiwalne obrazy. Kilka miesięcy wcześniej: obleżenie Exxyal-Europe, na parkingu pełno gliniarzy, koguty policyjne, zakładnicy cali i zdrowi okryci kocami termicznymi, ten pojmany, związany i wynoszony biegiem facet to ja. W celi więźniowie wrzeszczą z radości. Inni znów ich uciszają.

Zaproszony analityk. Socjolog, który mówi o stresie kadry kierowniczej. O przemocy społecznej. System zniechęca, odbiera motywację i popycha do skrajnych czynów. Odczucie najsłabszych, z którym tylko najsilniejsi dają sobie radę. Seniorzy coraz bardziej zagrożeni wykluczeniem. „Dziesięć milionów starszych ludzi w 2012 roku to dziesięć milionów wykluczonych?” – pyta.

Moja kariera zawodowa staje się wzorem, moje bezrobocie dramatem, mój dramat – zjawiskiem społecznym.

Dobra robota.

Wydymałem cię, Fontana.

Jeden z więźniów, niesamowicie dumny, że kumpluje się z gwiazdą małego ekranu, z emocji całuje mnie w szyję.

Wywiady uliczne. Komentarze ludzi: Ahmed, dwadzieścia cztery lata, magazynier. Rozumie, całym sercem jest za mną, czytał artykuł w „Le Parisien”. Przeczyta książkę. U niego w pracy tylko o tym się mówi. Bezrobotny w więzieniu z powodu bezrobocia. „Niedopuszczalne. Mało jeszcze samobójstw?”

Françoise, czterdzieści pięć lat, sekretarka, obawia się, że ona też któregoś dnia straci pracę, boi się tego, nie wie, do czego mogłaby się posunąć, rozumie. „Zwłaszcza, jeśli ma się dzieci...”. Czytała artykuł w „Le Parisien”. U niej w pracy tylko o tym się mówi. Podaruje książkę swojemu mężowi.

Jean-Christian, siedemdziesiąt jeden lat, emeryt. To zawracanie głowy, ci, którzy naprawdę chcą znaleźć pracę, znajdują ją. Nieważne jaką, ale pracują. „Choćby magazyniera”. Wokół mnie rozlegają się gwizdy. Jeśli kiedyś

spotkam tego Jeana-Christiana, wepchnę mu w tyłek odcinek mojej pensji w hurtowni farmaceutycznej. Kretyn. Nieważne.

Zerkam jednym okiem na Jérôme'a. Śmieje się. Zrozumiał.

Telewizja, gazety, opinia, która kończy zapowiedź publikacji książki: „Wstrząsające świadectwo, które niechybnie da do myślenia politykom”. Nie miałem dotąd wydawcy, ale od pięciu minut już wiem, że nie będę miał z tym żadnego problemu.

Od tej pory jestem najślawniejszym bezrobotnym w całej Francji.

Modelowym.

Nietykalnym.

Przeciągam się. Głęboko oddycham.

Śruba i Bebeta będą musieli gdzie indziej poszukać sobie zajęcia.

Wstaję, idę zażądać widzenia z dyrektorem.

Poczynając od tego momentu, jeśli cokolwiek mi się przytrafi, dyrekcja więzienia będzie miała kłopoty. Trzeba mi zapewnić ochronę.

Od tej pory, niczym spekulantowi giełdowemu, przysługuje mi kwatery dla VIP-ów.

40

Zwykle Lucie od razu wyjmuje opasłe akta i dziesiątki kartek wypełnionych jej pięknym prostym pismem. Ale tym razem siedzi bez ruchu ze wzrokiem wbitym w blat stołu. Aż się gotuje z wściekłości. Gdybym nie był jej ojcem, z miejsca by mnie spoliczkowała.

- Gdybyś był klientem, tato, powiedziałabym ci, że jesteś cholernym idiotą.

- Jestem twoim ojcem i właśnie mi to mówisz.

Jest bardzo blada. Czekam. Ale ona też czeka. Zaczynam.

- Posłuchaj, muszę ci wszystko wyjaśnić...

O to jej tylko chodziło. Punkt wyjścia, słowo, i z impetem startuje, wylewa całą swoją wściekłość, rzekę.

Cytuję.

To zdrada. Zrobiłaś najobrzydliwszą rzecz, jaką tylko można sobie wyobrazić. Nie chciałam podjąć się twojej obrony. Uległam godnemu pogardy szantażowi emocjonalnemu. Od tej chwili dzień i noc pracuję nad tym, żeby się jak najlepiej przygotować do procesu, a ty za moimi plecami pisziesz swoje idiotyczne pamiętniki i publikujesz je w gazetach. Jest oczywiste, że masz gdzieś mój zawód, masz gdzieś moją pracę. Masz gdzieś moją osobę. Bo potrzebowałaś czasu, żeby to wszystko napisać! Całe dni, ba, tygodnie, dni i tygodnie, kiedy regularnie mnie widywałeś, kiedy rozmawiałeś ze mną. I słowem o tym nie wspomniałeś. Chciałeś, żebym o niczym nie wiedziała. Czyli dokładnie tak, jakby ci zależało na tym, żeby mnie ośmieszyć. Ale nawet już nie o to chodzi. Zrobiłaś to za moimi plecami, ponieważ dla ciebie kompletnie się nie

liczę. Jestem tylko jednym z trybów. Saint-Rose nie chce dłużej pracować nad twoją sprawą. Zostawia mnie. Mówi: „Pani klient jest jeszcze bardziej niebezpieczny niż przysięgli, to wolny elektron, nie poradzi sobie pani, lepiej się wycofać”. Sędzia mnie pyta, czy nadając rozgłos medialny tej sprawie, liczę na wywarcie nacisku na niego lub na ławę przysięgłych. Mówi: „Pani mecenas, dała pani słowo, że przygotowanie rozprawy będzie przebiegać w spokojnej atmosferze, i zerwała pani naszą umowę. Teraz już wiem, czego mogę się po pani spodziewać”. Zdyskredytowałaś mnie. A mama... ona też oczywiście o niczym nie miała pojęcia. Ale szybko się dowiedziała: dziś od siódmej rano obozuje pod jej domem stado dziennikarzy, którzy wrzeszczą za każdym razem, kiedy rozsunie zasłonę. I nie może liczyć na to, że się zmęczą. Telefon na okrągło dzwoni. I będzie tak musiała żyć przez najbliższe miesiące. Gratulacje, tato, jesteś mistrzem upraszczania nam wszystkim życia. Ale myślę, że jesteś zadowolony, masz to, na czym ci zależało: bestseller. Marzyło ci się zostać gwiazdą? No to brawo, bo ci się udało. Dzięki dochodom z praw autorskich będzie stać cię na adwokata, którego będziesz mógł olewać, ile dusza zapragnie. Bo ja mam już dość twoich wygłupów.

Koniec cytatu.

I koniec rozmowy.

Lucie łapie torebkę, trzaska z furią drzwiami, które natychmiast otwierają się z powrotem i nie odwracając się za siebie, znika.

To i lepiej.

Po takim potoku słów wszystko bym jej wyjaśnił, co w niczym by nie pomogło.

Bo co właściwie miałbym jej wyjaśnić? Czy mogę jej powiedzieć: „Czeka mnie proces, w wyniku którego mogę spędzić resztę życia w więzieniu, oraz ogromna suma pieniędzy na ukrytym rachunku; tymczasem mam coraz mniejsze szanse przekazać je moim córkom, gdyż ludzie,

którzy chcą je odzyskać, są o wiele gorsi i potężniejsi, niż myślałem”.

Powiedzieć jej, że tak naprawdę nigdy takiego obrotu spraw nie brałem pod uwagę?

Cholera, nie jestem gangsterem, próbuję tylko przeżyć!

Jak Lucie będzie mnie bronić, kiedy dowie się, że oszalałem i próbowałem zwać z forszą koncernu naftowego? Co więcej, że wybrałem raj podatkowy, ale nie mogę jej powiedzieć gdzie - w Saint Lucia na Karaibach - bo mnie zabije!

Jeśli uda mi się zachować choć małą cząstkę tych pieniędzy, przekażę je córkom w dniu ogłoszenia wyroku.

To mój jedyny cel. Nie uniknę ciężkiej kary. Zdechnę tu. Ale przynajmniej one będą miały trochę pieniędzy, o ile uda mi się je zachować. Zrobią z nimi, co będą chciały, ale wtedy ja już będę martwy.

Martwy za życia, ale raczej martwy.

Nie widziałem Nicole już blisko miesiąc. Przez te historie z prasą, z reportażami w telewizji pewnie ma mnóstwo kłopotów na głowie. Ale myślę, że przede wszystkim jest na mnie rozzalona.

Pojedyncza cela. Ochrona. Telewizja tylko wtedy, kiedy zechcę. Włączam Euronews: „...każdy z dwudziestu pięciu zarządców funduszy spekulacyjnych inkasował po czterysta sześćdziesiąt cztery miliony dolarów rocznie...”. Przerzucam na LC1: „Pomoc państwa umożliwiłaby przedsiębiorstwom zwolnienie w tym roku blisko sześćdziesięciu pięciu tysięcy zatrudnionych”. Wyłączam. Po raz pierwszy od dawna mogę trochę odpocząć. Mam wrażenie, że spędziłem tu długie lata, a to dopiero kilka miesięcy.

Niecałe sześć.

Jedna sześćdziesiąta tego, co mi grozi.

Dziennikarze są cwani. Wczoraj w bibliotece spotykam jednego ze współwięźniów, a ten dyskretnie podaje mi liścik: propozycja finansowa w zamian za wywiad na

wyłączność. Następnego dnia spotykam go znowu i wypytyuję. Nic nie wie, dostał tylko sto euro za przekazanie mi tego papierka, który z kolei sam dostał od innego faceta wiedzącego tyle co on sam. Już samo dostarczenie tego listu do moich rąk musiało kosztować z tysiąc euro. Co oznacza, że jestem dobrym interesem dla mediów. W prasie pojawiły się kolejne fragmenty mojej historii. Ale puchar zwycięstwa zdobędzie ten, kto uzyska wywiad. Odpowiedziałem: niech mi zaproponują cenę. Tak naprawdę niezależnie od ceny i tak go udzielę, ale nie chcę już nic robić, dopóki nie zobaczę się z Lucie.

Zadzwoiłem do niej, zostawiłem wiadomość. Przepraszam ją. Mówię, że wszystko jej wyjaśnię. Proszę, żeby się ze mną zobaczyła. Mówię: nie zostawiaj mnie. To nie to, co myślisz. Mówię, że ją kocham. I to jest absolutna prawda.

Czekając na jej przyście, dopracowuję jakieś w miarę wiarygodne wyjaśnienie. Tak bardzo chciałbym jej powiedzieć, że walczę dla niej, dla nich, że nie walczę już o siebie. Miłość jest tylko odmianą szantażu.

W „Le Monde” mój przypadek jest przedmiotem analizy w rubryce *Horyzonty*. Odpowiedzi udziela minister pracy. „Marianne” daje tytuł *Desperaci czasów kryzysu*. Za wywiad na wyłączność wynegocjowałem piętnaście tysięcy euro gotówką płatne z góry na ręce Nicole. Przesłali mi pytania, starannie przygotowuję odpowiedzi. Wspólnie ustaliliśmy, że wywiad ukaze się w ciągu najbliższego tygodnia. To mi pozwoli ugruntować moją świeżą sławę. Skoro już zdecydowałem się na tę drogę, muszę iść za ciosem. Być cały czas obecny, żeby o mnie pisali. Dla ludzi wciąż jeszcze jestem tylko jedną z sensacji dnia. Muszę stać się kimś rzeczywistym, człowiekiem z krwi i kości, mającym twarz, nazwisko, żonę, dzieci oraz zwykłą historię, która mogłaby się przytrafić każdemu czytelnikowi. Muszę zaistnieć powszechnie.

Na jutro zostaje mi wyznaczona rozmównica.

Fontana.

Ze spokojnym sercem idę labiryntem korytarzy. Skoro umieszczono mnie poza zasięgiem innych więźniów, to znaczy że wybrałem dobrą strategię. A skoro jest dobra dla administracji, musi też być dobra dla Exxyalu.

Ale to nie Fontana.

To Mathilde.

Już na sam jej widok uchodzi ze mnie powietrze. Nie śmiem nawet usiąść naprzeciwko niej. Mathilde uśmiecha się do mnie. Odwracam głowę, by uniknąć jej spojrzenia. Musiałem się fizycznie mocno zmienić, bo od razu zaczyna płakać. Obejmuje mnie i mocno przytula. Za nami strażnik stuka kluczem. Mathilde odrywa się ode mnie. Siadamy. Moja córka wciąż wygląda ślicznie. Przepęlnia mnie wielką czułością, bo choć tak wiele jej zabrałem, postawiłem ją w obliczu nierozwiązalnych dylematów, przyszła tu. Dla mnie. To mnie ogromnie wzrusza. Tłumaczy, że nie mogła odwiedzić mnie wcześniej, i już zamierza zaplątać się w jakąś niepotrzebną opowieść, ale gestem odpowiadam, że nie musi, że rozumiem. Jest mi za to wdzięczna.

Świat stanął na głowie.

- Więcej dowiaduję się o tobie z gazet niż przez telefon - ryzykuje żart.

A potem:

- Masz ucałowania od mamy.

I dodaje:

- Od Gregory'ego też.

Mathilde jest osobą, która mówi zawsze to, co należy powiedzieć. Co niekiedy bywa irytujące. Ale teraz dobrze mi robi.

Nie mogli kupić mieszkania. Mówi, że to bez znaczenia. Oprócz tego, co mi pożyczyła, a ja zaprzepaściłem, stracili też znaczną część zaliczki, nie mogąc w wyznaczonym dniu sfinalizować zakupu.

- Będziemy musieli znów zacząć oszczędzać. Nieważne...

Znowu próbuje się uśmiechnąć, tym razem bez powodzenia.

Wraz z pójściem jej ojca na dno przepadła też część jej życia, ale Mathilde, ucząc angielskiego, siłą rzeczy musiała nabrać brytyjskich nawyków: w czasie burzy zachowuje zimną krew. Prawie od razu przestała płakać. Stawia czoło sytuacji. Prawdopodobnie jej dewizą jest: „Grunt to zachować godność”. Od ślubu nie nosi już mojego nazwiska. Należy do tych kobiet, które upaja myśl, że przyjmą nazwisko męża. To ją jednak chroni; jej koledzy prawdopodobnie nie wiedzą, że ów nieszczęśnik, o którym piszą w gazetach, to jej ojciec. Ale jestem pewny, że nawet gdyby wiedzieli, Mathilde dzielnie stawiałaby im czoło; przyjąłaby odpowiedzialność za czyny, które w głębi duszy potępia, mówiąc sobie, że „na tym polega rodzina”. Kocham ją, jaka jest, zachowała się wobec mnie nadzwyczajnie: znokautowałem jej męża, pożyczyła mi wszystko, czego, na własną zgubę, zażądałem – czego chcesz więcej?

- Zdaniem Lucie mogą ci przysługiwać okoliczności łagodzące – mówi.

- Kiedy to powiedziała?

- Wczoraj wieczorem.

Odetchnąłem. Lucie nie zrezygnowała. Koniecznie muszę się z nią skontaktować.

- Aż tak się postarzałem?

- Nie, ale skąd!

To mówi samo za siebie.

Mathilde opowiada o matce. Jest smutna. Bardzo poruszona. Znowu przyjdzie. Niedługo, dodaje.

Pół godziny minęło. Wstajemy, całujemy się. Przed samym wyjściem oznajmia:

- Mieszkanie jest chyba sprzedane. Mama o wszystkim ci powie, jak przyjdzie.

Wyobrażam sobie nasze mieszkanie, wszędzie karteczki z ceną, dziesiątki zblazowanych kupców, którzy chodzą w milczeniu, tu i tam sięgną zniechęceni po jakiś przedmiot...

Ten obraz mnie do reszty dobija.

41

Nie musiałem długo czekać na następną wizytę Fontany.

Fontana nigdy nie zakłada tego samego garnituru. Zupełnie tak jak ja w czasach mojej chwały, kiedy miałem pracę. Aczkolwiek jego garnitur jest w najbrzydszym z możliwych, najbardziej wulgarnym odcieniu granatu. Zapewne kosztował grosze, ale przede wszystkim z daleka zalatuje bezguściem. Fontana jest z tych facetów, którzy noszą w kieszonce poszetkę. Tak sobie wyobraża elegancję nowoczesnego mężczyzny. Lubi ubrania luźne, miękkie, chce się w nich czuć swobodnie. W jego pracy musi się przydawać wygodne ubranie. Wyobrażam sobie, jak przymierza je z taką miną, jakby chciał sprzedawcy przyłożyć pięścią w twarz, żeby się upewnić, czy rękawy go nie krępują, albo przykopać mu w jaja, żeby sprawdzić, czy spodnie nie przeszkodzą mu w ruchach właściwych dla jego zajęcia. Fontana jest człowiekiem pragmatycznym. I tego się właśnie w nim boję. Przyglądam się jego garniturovi, żeby się czymś zająć, bo kiedy spojrzę na niego, zimny wzrok, jakim mnie obserwuje, budzi we mnie lęk.

Nie wolno mi tracić głowy. Wygrałem pierwszą rundę z minimalną przewagą, ale teraz przechodzimy do drugiej i muszę wiedzieć, jakim dysponuje atutem. Bo byłbym zaskoczony, gdyby zjawił się z pustymi rękami. To nie w jego stylu. Muszę umieć zareagować. Skupiam się. Milczę. Fontana nie uśmiecha się.

- Znowu dobra zagrywka, panie Delambre.

Co należy rozumieć: Delambre, jesteś kretynem, ale nic nie tracisz, czekając. Zmiażdżę ci drugą rękę.

Ryzykuję:

- Cieszę się, że się panu spodobało.

Mój głos zdradza lęk. Odruchowo cofam się na krzesło, byle jak najdalej od niego.

- Bardzo się spodobało mojemu klientowi. Mnie też. Właściwie wszystkim się spodobało.

Milczę. Próbuję się uśmiechnąć.

- Przyznaję, że ma pan sposoby - ciągnie. - Nie miał pan oczywiście żadnej listy. Potrzebowałem dwóch dni, żeby zapytać o nią klienta. A przez informatyka, który to sprawdzał, straciliśmy kolejne dwanaście godzin. W tym czasie zdążył pan zainteresować swoim przypadkiem prasę. I pozbawić mnie możliwości interwencji. Na razie.

Udaję, że zamierzam wstać.

- Niech pan nie odchodzi, panie Delambre, mam dla pana to.

Nie podniósł głosu. Nawet przez sekundę nie pomyślał, że naprawdę wyjdę. Twardy z niego zawodnik. Odwracam się. I wydaję okrzyk.

O kurwa!

Fontana położył na stole duże czarno-białe zdjęcie.

To Nicole.

Uginają się pode mną nogi. Opadam na krzesło.

Zdjęcie zostało zrobione w hallu naszego domu. Nicole stoi tyłem do windy. Mężczyzna w czarnej kominiarce trzyma ją przed sobą, twarzą do obiektywu. Zgiętym ramieniem opasuje jej gardło. Trochę tak, jak trzymał mnie Bebeta. Nicole próbuje wyrwać się z uścisku, ale nie ma dość siły. Szarpie się, ale na próżno. Ma osłupiałą twarz, wytrzeszczone oczy. W tym celu zostało zrobione to zdjęcie. Żeby zobaczyć na własne oczy Nicole w śmiertelnym niebezpieczeństwie, żeby zobaczyć jej przerażone spojrzenie. Usta ma rozchylone, dusi się, próbuje złapać powietrze. Musi stać na palcach, bo trzymający ją mężczyzna, znacznie od niej wyższy, ciągnie ją w górę. To dziwne, ale nie wypuściła torebki, wciąż trzyma ją w ręku. Nicole naprzeciwko mnie. Pełne ujęcie.

Mężczyzną jest Fontana. Ma kominiarkę, ale wiem, że to on. W kieszonce widać poszetkę. Krzyczę:

- Gdzie ona jest?

- Ciii...

Fontana mruży oczy, jakby takie podnoszenie głosu uważał za niestosowne.

- Czarująca kobieta. Ma pan dobry gust, Delambre.

Nie jestem już dla niego panem Delambre'em tylko po prostu Delambre'em. Przechodzimy na wyższe obroty. Przytrzymuję się stołu nieświadom bólu w palcach.

Zabiję tego człowieka, przyrzekam sobie.

- Gdzie ona jest?

- W domu. Już miałem powiedzieć: bez obaw. Ale nie, o nią powinien pan się bać. Jak dotąd tylko najadła się strachu. I pan też. Ale następnym razem połamię jej wszystkie palce. Młotkiem. I zrobię to osobiście.

Podkreśla to „osobiście”, jakby chodziło o specjalny młotek i szczególny sposób łamania palców. W jego głosie słyhać wielką stanowczość. Po czym od razu, nim zdążę cokolwiek odpowiedzieć, gniewnie kładzie na stole drugie zdjęcie. Ta sama stylistyka. Czarno-białe. Duży format.

- A tej połamię obie ręce i obie nogi.

Krew odpływa mi od serca, żołądek podchodzi do gardła. Mathilde. Niedaleko liceum, chyba znam tę ulicę. Za jej plecami przechodzą młodzi ludzie. Siedzi na ławce. Plastikowym widelcem je sałatkę z przezroczystej tacki, którą wyjęła z opakowania. Nie uśmiecha się, ale przerwała jedzenie, gdyż w tym momencie z uwagą, z ciekawością słucha, co mówi do niej siedzący obok mężczyzna.

Znów Fontana. Rozmawiają. Pogawędka w parku. Scena jest spokojna, wręcz banalna, ale sfotografowano ją po to, żebym wyobrazil sobie ciąg dalszy. Wstają, idą kilka kroków w kierunku liceum, podjeżdża samochód, Mathilde zostaje wepchnięta do środka.

Fontana nie uśmiecha się. Wydaje się lekko zatroskany, jakby nie dawało mu spokoju jakieś pytanie. Przedobrze.

- A pana adwokat... Pana córka... Potrzebuje do pracy obu rąk i nóg czy może ją wykonywać na fotelu inwalidzkim?

Robi mi się niedobrze. Łapy precz od Nicole i naszych córek. Niech umrę, jeśli trzeba, niech mi Śruba połamie wszystkie kości, ale nie pozwolę, żeby spadł im bodaj włos z głowy.

Ratuje mnie w tym momencie to, że nie jestem w stanie nic z siebie wykrztusić. Słowa grzęzną mi gdzieś głęboko w gardle. Próbuję ręcznie odblokować swój mózg, którego wszystkie tryby się zatarły, ale nie udaje mi się uruchomić nawet jednej myśli. Moją świadomość bez reszty wchłonęły twarze moich córek.

Spoglądam w bok, szukam jakichś nowych punktów odniesienia, odkaszluję. Nic nie powiedziałem. Pewnie mam oczy wytrzeszczone jak narkoman bladym świtem. Pewnie wyglądam jak człowiek, który się wykrwawił. Ale jeszcze nic nie powiedziałem.

- Połamie kości wszystkim trzem. Razem.

Wyłączyłem mój wewnętrzny odbiór słuchowy. Słyszę słowa, ale ich sens nie przenika przez pierwszą warstwę. Muszę oddalić od siebie te makabryczne obrazy, w przeciwnym razie porzygam się, umrę, będę całkowicie bezbronny.

Fontana blefuje. Muszę sobie wmówić, że blefuje. Upewniam się. Patrzę na niego.

Nie blefuje!

- Połamie im wszystkie kończyny, Delambre. Będą żywe. Świadome. Zapewniam, że to, co pan tutaj przeżył, to pikuś w porównaniu z tym, co je czeka.

Powinien wymienić ich imiona. Powinien powiedzieć: „Mathilde zrobię to...”, powinien powiedzieć: „Lucie zrobię tamto...”. Powinien spersonifikować te groźby. „Twoją żonę, Nicole, związę...” Powinien nadać im realny kształt. Mówi o tym niewłaściwie. Zbyt anonimowo. „Wszystkie trzy” brzmi

śmiesznie, tak jakby w moich oczach były zwykłymi przedmiotami.

Takie rzeczy sobie mówię, żeby wytrzymać, bo nie wolno mi zareagować. Powinien zostawić fotografie na stole, żebym mógł wyobrazić sobie ciąg dalszy. Powinien szczegółowo opisać, co im robi. Skrupulatnie. W taki sposób, dzięki takim refleksjom, stawiam opór. Myślę o jego technice perswazji. Mógłby się bardziej postarać. O takich rzeczach myślę, żeby cały czas trzymać usta na kłódkę. Usuwam obraz Nicole, wyrzucam z pamięci nawet jej imię. „Moja żona”. W myślach powtarzam „moja żona” dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści razy, aż wreszcie to słowo staje się tylko ciągiem sylab wyzbytych wszelkiego znaczenia. Mijają niekończące się sekundy, wykonuję intelektualne ćwiczenia. Dzięki temu wciąż milczę. Zyskuję na czasie. Chce mi się płakać, wymiotować, moje córki... Opieram się. „Moje córki moje córki moje córki moje córki moje córki...”. Wreszcie i te słowa przestają cokolwiek znaczyć. Wpatruję się Fontanie prosto w oczy. Być może po moich policzkach niepostrzeżenie spływają łzy tak jak Nicole, kiedy po raz pierwszy tu przyszła. „Nicole Nicole Nicole Nicole Nicole Nicole”. I to słowo z kolei traci znaczenie. Odebrać słowom znaczenie, żeby uciec od obrazów. Wytrzymać spojrzenie Fontany. Co mi przypominają jego oczy? Zastanawiam się. Krater? Wpatruję się w jego źrenice i z kolei Fontanę pozbawiam znaczenia. Nie wolno mi myśleć, kim jest. Żeby móc jak najdłużej zachować milczenie. Nie, to nie krater. Mam! Jego źrenice i tęczęwka przypominają te zmienne formy, które widać... kiedy...

Fontana pierwszy wymięka.

- Co pan na to, panie Delambre?

- Wolałbym to być ja.

Rzuciłem to bez namysłu. Bo tak naprawdę myślę. Udało mi się, nie powróciłem w pełni do rzeczywistości. W duchu wciąż powtarzam: „Nicole moja żona moje córki Nicole moja żona moje córki Nicole moja żona moje córki Nicole”

moja żona moje córki Nicole moja żona moje córki". To nawet dość skuteczne.

- Możliwe - odpowiada Fontana - ale nie o pana chodzi, tylko o nie.

Opróżnić głowę ze wszystkiego. Oszłomić się słowami. Nie myśleć o niczym konkretnym. Utrzymać się na poziomie idei. Konceptualizować. Co mówi teoria zarządzania?

Znaleźć jakieś wyjście. Nic.

Co jeszcze? Obejść przeszkodę. Nic.

- Będą bardzo cierpiały.

Co jeszcze? Przedstawić alternatywę. Nic.

Twarz Nicole wyłania się z powrotem na powierzchnię. Jej śliczny uśmiech. Przegonić! „Nicole Nicole Nicole Nicole Nicole Nicole Nicole Nicole Nicole”. Działa.

Jest jeszcze inny sposób, o jakim mówi teoria zarządzania, ale jaki? Mam: przeskoczyć przeszkodę. Nic.

I w końcu zostaje to: przekadrować. Znalazłem sposób. Ile warty? Nie mam czasu się zastanawiać, rzucam:

- To wszystko?

Fontana lekko marszczy brwi. Nieźle. Zyskać na czasie. Przekadrować. To może być to.

Fontana pochyła głowę z powątpiewaniem.

- Powtarzam, to wszystko? Skończył pan swój skecz?

Wielkie oczy. Zaciśnięte szczęki. Zimna furia.

- Jaja pan sobie ze mnie robi, Fontana?

Może się udać. Fontana sztywnieje. Zwiększam dawkę:

- Pan mnie naprawdę ma za idiotę.

Fontana uśmiecha się. Przejrzał mnie. Ale myślę, że nie do końca jest pewien. Gromadzę w sobie słowa, energię, wkładam w to całą duszę. I przechylam wiadro.

- Nawet gdyby pan to zrobił... Wyobraża sobie pan „najsławniejszego bezrobotnego całej Francji”, który pokazuje prasie fotografie swojej pogruchotanej żony i córek? I oskarża wielki koncern naftowy o porwanie, uwięzienie, znęcanie się i tortury...

Nie wiem, jak na to wpadłem.

Przekadrować. Przemieszczać. Niech żyje zarządzanie. Rzeczywiście dyscyplina wariatów. Skuteczna.

Fontana udaje pełnego podziwu:

- Jest pan gotów podjąć to ryzyko!

Widzę, że waha się, czy pokazać mi jeszcze raz zdjęcia. Czuję, że jestem na dobrej drodze. W wiadrze zostało jeszcze kilka kropli. Potrząsam nim nad jego głową.

- A pański klient gotów jest podjąć to ryzyko?

Rozważa wszystkie za i przeciw. I mówi:

- Niech mnie pan nie zmusza, żebym usunął ciało pańskiej żony tylko dlatego, żeby pan nie miał takiego zdjęcia.

Znów przekadrować. Przy nim ta technika działa.

- Niech mi pan nie zawraca głowy podobnymi bzdurami, Fontana. Myśli pan, że co? Że gra pan w *Wujkach zabijakach*? Jest wściekły.

Znów przekadrować, to skuteczna metoda.

- Rozmawia pan ze mną i tylko ze mną. I dobrze pan o tym wie. Więc albo się pan ze mną dogada, albo wróci z pustymi rękami do swojego klienta. Ale niech mi pan nie zawraca głowy tymi pogrózkami. Pracuje pan dla klienta, który nie może sobie pozwolić na takie kłopoty. Więc co pan wybiera? Mnie czy nic?

Sukces jest jak naszyjnik. Wystarczy zdjąć zapięcie i wszystko się rozsypuje. I tak samo jest z porażką, o czym sam najlepiej wiem. Żeby pójść pod prąd, trzeba mieć nadludzką siłę. Lub być gotowym umrzeć. Ja spełniam oba warunki.

Mam pomysł, warty, ile warty, ale jedyny. Intuicja. Fontana uważa, że ją mam. Może to i prawda.

Zyskałem przewagę. Przejść do ataku.

- Jestem gotów oddać pieniądze. Wszystkie.

Powiedziałem to, nawet nie wiedząc, że tak myślę. Ale słowo się rzekło. I zrozumiałem, że tak właśnie myślę. Chcę spokoju. Nie pieniędzy.

- Chcę stąd wyjść. Wolny.

Otóż to. Tak właśnie myślę. Chcę wrócić do domu.

Fontana nie wierzy własnym uszom. Idę dalej za ciosem:

- Jestem gotów poczekać. Kilka miesięcy, ale nie więcej.
Jeśli wyjdę stąd w rozsądnym terminie, zwrócę wszystkie pieniądze. Co do centa.

Zatyka go.

- W rozsądnym terminie...

Jest szczery, kiedy pyta mnie:

- A jak pan zamierza stąd wyjść?

Być może mój pomysł nie jest wcale zły.

Daję sobie cztery sekundy na zastanowienie.

Jedna, Nicole.

Dwie, Lucie.

Trzy, Mathilde.

Cztery, ja.

Zresztą innego pomysłu nie mam.

Znów startuję:

- Żebym stąd wyszedł, pański klient będzie musiał zadać sobie mnóstwo trudu. To może się udać. Proszę mu powiedzieć, że tylko pod tym warunkiem zwrócę mu forszę. W gotówce.

42

Jestem uwięziony w klatce własnych kłamstw. Tyle ich nagromadziłem. Powiedzenie teraz prawdy Nicole jest ponad moje siły. Odebrano nam wiarę w nasze życie, nasze bezpieczeństwo, naszą przyszłość. Chciałem to wszystko odzyskać. Jak jej to wytłumaczyć?

Nazajutrz po wizycie Fontany piszę do niej długi list. Podaję go przez Lucie, żeby szybciej doszedł. To niezbyt zgodne z regulaminem, ale sprawa jest życiowej wagi. Lucie się zgadza.

Proszę w nim Nicole, żeby mi wybaczyła wszystko, przez co musiała przejść. Rozumiem jej strach. Wybacz, piszę, kocham cię, wszystko, co robię, robię tylko w tym celu, żeby was chronić, pewnie dokonam tu żywota, tutaj umrę, ale chcę, żebyście wy żyły, byłem zmuszony zrobić pewne rzeczy, ale przysięgam, że nic złego cię już nie spotka, nigdy, przysięgam, zaufaj mi, i wybacz wszystko złe, co cię z mojego powodu spotkało, kocham cię, bardzo cię kocham... i tak dalej. Przede wszystkim chcę ją uspokoić. Pisząc ten list, przez cały czas mam przed oczami zdjęcie zrobione przez Fontanę, oszalałe ze strachu oczy Nicole, i czuję w sobie żądzę mordy. Jeśli dopadnę Fontanę, będzie żałował, że nie jestem tylko Śrubą lub Bebetą. Ale wpierw muszę uspokoić Nicole, to się więcej nie powtórzy, przysięgam, niedługo znów będziemy razem. Piszę „niedługo”, nie precyzuję kiedy. Jeśli dla Nicole „niedługo” oznacza dziesięć lub dwanaście lat, nie dorzucę kolejnego kłamstwa do listy.

Wieczorami w celi płaczę. Czasem przez całą noc. Jeśli Nicole cokolwiek się stanie... To nie do pomyślenia. Albo

Mathilde...

Nie wiem, co Fontana przez tę kominiarkę powiedział Nicole. Prawdopodobnie, że ma milczeć, jeśli chce, żeby jej mąż w więzieniu pozostał żywy. Nicole oczywiście zorientowała się, że cała scena była tylko po to, żeby ją sfotografować. I później mi pokazać.

Wiem, że nie wniosła skargi. Lucie by mi o tym wspomniała. Nicole nic nie powiedziała, zachowała to dla siebie. Nie napisała, bo wszystkie listy przechodzą przez sędziego. Według Mathilde zamierza mnie odwiedzić. Myślę jednak, że nie przyjdzie.

Upływają dni i tygodnie, a ja od tamtej pory nie mam od niej żadnych wieści.

Pewnie wciąż zastanawia się, w co najlepszego się wpakowałem. Co nas czeka.

Ją. Mnie.

Nas.

Czy Nicole ulżyłoby, gdyby dowiedziała się, że nie żyję?

Czy, żeby mieć nareszcie spokój, nie marzy jej się czasami, żeby mnie już nie było? Żeby raz na zawsze skończyła się ta historia, która nas oboje zabija?

Ostatniej nocy, do reszty roztrzęsiony, wstałem i podszedłem do drzwi. Najpierw kontuzjowaną dłońią z całej siły uderzyłem w nie raz. Ból był przeszywający, rany natychmiast z powrotem się otworzyły. Ale nie przestałem, bo chciałem się ukarać, chciałem położyć temu kres, byłem tak rozpaczliwie samotny. Bolało mnie, ale jeszcze za mało. Waliłem lewą ręką, prawą, lewą, prawą, coraz mocniej. Bardzo mocno, potem jeszcze mocniej, wydawało mi się, że uderzam kikutami, pocilem się i łomotałem w stalowe drzwi. Straciłem przytomność na stojąco jak znokautowany bokser. I tak nieprzytomny nadal waliłem, dopóki nogi się pode mną nie ugięły. A wtedy osunąłem się na ziemię, a krwi było tyle, że ściekała po bandażach. Bębnienie pięściami w stal powoduje dużo szkód, ale mało hałasu.

Opatrywanie obrażeń następnego dnia było bardzo bolesne. Niektóre palce znów popękały, teraz zabandażowane mam już obie dłonie. Robią mi prześwietlenia. Czeka mnie nowa operacja.

Mija pięć tygodni.

Żadnych wiadomości od niej.

Nawet wtrącenia do lochu, zamknięcia w izolatce, uwięzienia w kazamatach tak boleśnie bym nie odczuł.

Mam inny punkt odniesienia niż czas, niż posiłki, niż hałasy, niż przemienność dni i nocy.

Moim jedynym punktem odniesienia jest Nicole.

Mój świat jest ograniczony do mojej miłości.

Bez Nicole nie wiem już, na czym stoję.

43

- I nie maczałeś w tym palców?

Wiadomość jest tak niesamowita, że Nicole zdecydowała się mnie odwiedzić.

Widzę zmiany w niej z bliska. Groza. Ta sprawa ją kompletnie zrujnowała, w kilka miesięcy postarzała się o dziesięć lat. Bardzo brak mi mojej Nicole, tej, która mi ufała. Chciałbym, żeby ta, którą mi zwracają, zniknęła, żeby wróciła moja dawna Nicole, moja żona, moja miłość.

- Dostałaś mój list?

Nicole kiwa głową, że tak.

- Nic złego cię już więcej nie spotka, zobaczysz.

Nie odpowiada. I robi rzecz straszną: próbuje się uśmiechnąć. Chcąc powiedzieć: „Jestem z tobą”, chcąc powiedzieć: „Nie żądaj ode mnie słów, nie mogę, jestem tu, jestem z tobą, to wszystko, co mogę zrobić”. Żadnych pytań. Żadnych wyrzutów. Zrezygnowała z prób zrozumienia. Zaatakował ją jakiś facet. Nie chce wiedzieć kto. Dusił ją. Nie chce wiedzieć dlaczego. Czy znów zaatakuje? Nie chce tego wiedzieć. Przyrzekłem jej, że to incydent, który się więcej nie powtórzy. Udaje, że mi wierzy. Dla niej najtrudniejsze jest nie to, że ją okłamuję, lecz że odtąd już nigdy nie będzie mogła mi wierzyć. Ale, do cholery, co ja na to poradzę?

Sytuację między nami zmienia to, co się właśnie wydarzyło. Ponieważ zmienił się kontekst. Miałbym ochotę jej powiedzieć:

- Widzisz? Udało mi się! Dlaczego już we mnie nie wierzysz?

Nicole jest wyczerpana, ma za sobą setki bezsennych godzin, mimo wszystko, tak samo jak we mnie, znów ożyła w niej nadzieja. Przeklęta nadzieja.

- Kolega powiedział mi o tym programie. Wróciłam wcześniej do domu, żeby go nagrać, a wieczorem wpadła Lucie i razem go obejrzałyśmy.

Nicole jest zakłopotana, lecz jej siłą jest to, że absolutnie nie potrafi kłamać (ale gdybym ja był taki jak ona, już bym nie żył).

- Lucie zastanawia się jednak, czy nie maczałeś w tym palców - mówi.

Robię oburzoną minę.

Nicole unosi rękę, co mnie od razu stopuje. Przy Lucie mogę oszukiwać. Przy Nicole nie warto o tym nawet myśleć. Na moment zamyka oczy, a potem mówi to, co zaplanowała mi powiedzieć:

- Nie wiem, co knujesz, Alain. I możesz być pewny, że nie chcę wiedzieć. Ale nie mieszaj w to naszych córek! Ze mną jest inaczej, jestem z tobą. Skoro musisz to zrobić... Ale nie nasze córki!

Kiedy broni swoich córek, staje się inną Nicole. Nawet miłość do mnie by jej nie powstrzymała. To ją powinienem wystawić przeciwko Fontanie, kiedy zagroził, że połamię im wszystkie kości. „Nie mieszaj w to naszych córek...” - kiedy obie już siedzą w tym po uszy. Pierwsza straciła większość swojego skromnego majątku, druga dostała polecenie wyciągnięcia ojca z ciężkich tarapatów.

- Wszystko ci wytłumaczę...

Kręci głową, że nie. To wystarczy, żeby mi zamknąć usta.

- Jeśli nam to pomoże, w porządku, ale nie chcę o niczym wiedzieć.

Opuszcza głowę, powstrzymując łzy.

- Tylko nie nasze córki, Alain - powtarza, sięgając po chusteczkę do nosa.

A przecież byłaby wspaniała okazja. Nicole o tym wie. Żeby zmienić temat, mówi:

- Myślisz, że to coś zmieni?
- Dostałaś pieniądze? Za wywiad?
- Tak, już mnie pytałeś.

Wydawcy proponują mi czterdzieści, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt tysięcy zaliczki i wysoki procent od sprzedaży, a pieniądze każą przelać na konto Nicole. Ponieważ będę musiał zwrócić całe pieniądze zabrane Exxyalowi, to pewnie wszystko, co im zostanie.

- Podzieliłam je między Lucie i Mathilde - potwierdza Nicole. - Ucieszyły się.

Wybrałem wydawcę najbardziej obrotnego, najbardziej demagogicznego, posiadającego największą siłę przebicia. Książka nosi tytuł *Chciałem tylko pracować...* i opatrzona jest podtytułem: *Bezrobotny senior za kratkami*. Wyjdzie dokładnie na miesiąc przed procesem. Lucie krzywiła się na tytuł, ale uparłem się. Na okładce: order pracy, na którym wizerunek Marianny został zastąpiony moją antropometryczną podobizną. Narobi mnóstwo szumu. Attaché prasowa sama sobie nie poradzi, musiała wziąć stażystkę. Oczywiście darmową. Nie ma co tracić pieniędzy. Zamiast mnie w telewizji, w audycjach radiowych wystąpi Lucie, która będzie też udzielała odpowiedzi prasie. Pierwsze wydanie: sto pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy. Wydawca liczy, że proces zdynamizuje sprzedaż.

- Próbuję was chronić...

- Wiem, napisałeś mi. Chcesz nas chronić, ale wciąż wszystko komplikujesz. Wolałabym, żebyś nic nie robił i żebyśmy nadal byli razem.. Ale ty nie chciałeś tak żyć, a teraz już na to za późno. Zostałam zupełnie sama, rozumiesz?

Przerywa. Jesteśmy jak naczynia połączone. Kiedy jedno sobie poluzuje, niszczy drugie.

- Mam w nosie pieniądze - ciągnie Nicole. - Nie potrzebuję ich. Chciałabym tylko, żebyś był ze mną. Nic innego nie chcę.

Nie jest to zbyt motywujące. Ale ogólną wymowę rozumiem: gotowa jest podjąć nasze nędzne życie w punkcie, w którym się urwało.

Albo nawet gorzej.

- Niczego nie potrzebujesz, ale nasze mieszkanie sprzedałaś!

Nicole nieznacznie potrząsa głową, że jak zwykle niczego nie pojmuję. Irytujące.

- Więc uważasz, że to coś zmieni? - pyta, zmieniając temat.

- Co?

- Program.

Wzruszam ramionami, ale w środku jestem rozdygotany z emocji.

- W zasadzie powinno.

Wielki stół.

Wszystkie media obecne. Zewsząd trzask aparatów.

Całą ścianę za stołem pokrywa baner z logo koncernu i ogromnym czerwonym napisem EXXYAL-EUROPE.

- Trzeba przyznać, że ten twój prezes wygląda imponująco - mówi Nicole z bladym uśmiechem.

Alexandre Dorfmann w akcji. Kiedy ostatnim razem go widziałem, siedział na ziemi, a ja przyciskałem mu lufę naładowanej beretty do czoła, mówiąc: „Więc jak, figurancie, ilu ich zwalniasz w Sarqueville?“, czy coś w tym stylu. Mam wrażenie, że nawet się nie pocił. To bydlak z zakrzepłą krwią w żyłach. Dzisiaj też się nie trzęsie. Ale kiedy wchodzi do sali, można by pomyśleć, że wciąż czuje dotyk mojej beretty na czole. Nie widać tego, ale trzymam naszego Aleksandra Wielkiego za jaja. Wkracza na scenę jak gwiazda cyrkowa, zdecydowany, elastyczny krok, powściągliwy uśmiech, pogodna twarz. Za nim pudle. Numer pewnie zaczął się już za kulisami.

- Wszyscy byli? - pyta Nicole.

- Nie, jednego brakowało.

Od razu zauważam, że Jean-Marc Guéneau, nasz amator czerwonej bielizny, spóźnia się. Kto wie, może zasiedział się w sex-shopie. Coś mi jednak mówi, że nie przyjdzie, że nie weźmie udziału w uroczystości. Mam nadzieję, że nie szykuje mi jakiejś niemiłej niespodzianki.

Wejście gwiazd zostało ucięte w montażu, najważniejsze jednak zdążyłem zobaczyć: jako pierwszy za Dorfmannem kroczy Paul Cousin. Jest tak wyprostowany, że zdaje się przewyższać pozostałych o głowę. W chwilę potem wszyscy już siedzą rzędem. Ostatnia Wieczerza. Dorfmann w roli Chrystusa zamierza pożywić swoim słowem cały świat: z dwunastu obłudników zostało tylko czterech. Nic dziwnego, kryzys. Po prawicy Wielkiego Rzeźnika: Paul Cousin i Évelyne Camberlin, po lewicy: Maxime Lussay i Virginie Tràn.

Dorfmann wkłada okulary, potem je zdejmuje. Chmara dziennikarzy i reporterów, zapada cisza, ostatnie trzaski fleszy.

- Cała Francja jest wzruszona, jak najśluszej, nieszczęśliwym losem bezrobotnego, który poszukując pracy, dopuścił się... aktu przemocy.

Zdania te napisano wcześniej, ale recytacja wyuczonego tekstu nie jest w stylu Dorfmannia. Początek zabrzmiał pompatycznie. Dorfmann zdejmuje okulary. Bardziej ufa swojemu geniuszowi niż pamięci. Zwraca twarz ku obecnym, patrzy prosto w oko kamery.

- Imię naszej grupy zostało skojarzone z tą przykrą sprawą, ponieważ ów bezrobotny, pan Alain Delambre, w przystępie szалу na wiele godzin uwięził w charakterze zakładników licznych menedżerów naszej firmy oraz mnie.

Jego twarz na moment tężeje. Na wspomnienie tamtej chwili. Świetnie odegrane, brawo. Niewyraźny cień, który przesuwają się przez moment po obliczu Dorfmannia, wyraźnie mówi: przeżyliśmy horror, ale nie chcemy robić z siebie widowiska, zachowujemy cierpienie dla siebie, na tym polega nasza klasa. A apostołowie u jego boku dzielą z

nim ów niezwykle dyskretny przejaw silnego wzruszenia. Jeden opuszcza głowę powalony wspomnieniem niewyobrażalnego koszmaru, jaki przeżył, inny przełyka ślinę, dręczony niezatartymi śladami, jakie pozostawiły w jego sercu te godziny grozy i makabry. Brawa również dla nich. Skądinąd obecni tego nie przeoczą, spontanicznie trzaskają flesze ciekawskich pragnących uchwycić cudowną mikrosekundę tak widowiskowego cierpienia. Sam miałbym ochotę odwrócić się do kolegów w celi i kazać im klaskać. Jestem sam. VIP.

- Strasznie obłudni, prawda? - mówi Nicole.

- Można tak powiedzieć.

Dorfmann kontynuuje:

- Niezależnie od powodów, jakie kierowały tym ubiegającym się o pracę człowiekiem, żadna sytuacja, powtarzam, żadna sytuacja, nie może usprawiedliwiać uciekania się do przemocy fizycznej.

- Jak z twoimi rękami? - pyta Nicole.

- Sześć palców jest zoperowanych. Cztery tu, dwa tu. Czyli większość, w porządku. Pozostałe zrastają się gorzej, lekarz daje do zrozumienia, że mogą pozostać trochę sztywne.

Nicole uśmiecha się do mnie. Uśmiechem kobiety, którą kocham. Dla mnie to jedyny powód, by walczyć i cierpieć. Dla tej kobiety gotów jestem umrzeć.

Cholera, przecież ja już umieram!

A zresztą, może i nie:

- Ale - ciągnie Dorfmann - nie możemy pozostać nieczuli na ból tych, którzy cierpią. My, szefowie firm, tocymy codzienną walkę o wygraną wojny ekonomicznej, która umożliwi im powrót do pracy. Lecz rozumiemy ich niecierpliwość. Powiem więcej: podzielamy ją.

Szkoda, że nie mogłem obejrzeć tego programu w jakimś bistro w Sarqueville. Musiało to przypominać mecz z mistrzostw świata. Scenę deklaracji Dorfmana będą puszczać na okrągło.

- Okrutna przygoda pana Delambre'a może być przykładem dramatu osób poszukujących pracy. I nasza odpowiedź również powinna być przykładna. Dlatego też na moją prośbę grupa Exxyal-Europe postanowiła odstąpić od wszelkich roszczeń.

Intensywne wzruszenie, ostrzał ze strony fotografów.

- Moi współpracownicy (królewski gest w prawo, potem w lewo, czemu towarzyszy równoczesne spuszczenie powiek) spontanicznie postanowili do mnie dołączyć, za co im dziękuję. Każdy z nich złożył skargę we własnym imieniu; wszystkie zostaną wycofane. Pan Delambre odpowie przed sądem za popełnione czyny, lecz strony cywilne wycofują się, ustępując miejsca sprawiedliwości.

Siedzący z obu stron Boga dyrektorzy nie uśmiechają się. Są świadomi swojej historycznej roli. Oto Dorfmann nakreślił nowy obraz historii kapitalizmu: *Szef okazujący współczucie zrozpaczonemu bezrobotnemu.*

Dopiero teraz uświadamiam sobie, jak wielką wagę przywiązuje Alexandre Dorfmann do swoich dziesięciu milionów. Sprawa musiała narobić sporo szumu w Exxyalu, ponieważ Dorfmann kładzie na to warstwę farby, i to w nie byle jakim odcieniu. Pięknej dziewiczej bieli, bieli chrystusowej. Bieli niewinności.

- Ani Exxyal, ani jego kadry kierownicze nie zamierzają naturalnie wpływać na sąd, który powinien wymierzyć sprawiedliwość z całą bezstronnością. Nasz miłosierny gest jest wszelako apelem o łagodność. Apelem o wyrozumiałość.

Wrzawa na sali. Wiedzieliśmy, że naszych bossów stać na szlachetne gesty, wystarczy spojrzeć na ich uposażenia, ale taka wielkoduszność siłą rzeczy wzrusza do łez.

- Zdaniem Lucie wycofanie się stron cywilnych może znacznie wpłynąć na wysokość wyroku - mówi Nicole.

Mnie też to Lucie powiedziała. Osobiście uważam, że to bynajmniej nie wystarczy, ale nic nie mówię. Zobaczymy. Proces rozpocznie się za cztery, pięć miesięcy. Podobno

rekordowo szybko. W końcu nie co dzień najślynniejszy bezrobotny Francji staje przed sądem przysięgłych.

Dorfmann podnosi głos:

- Niemniej...

Upływa chwila, nim powraca cisza. Dorfmann, dobitnie akcentując sylaby, upomina swoimi boskimi słowami:

- Niemniej... inicjatywa ta nie powinna stworzyć precedensu.

Za trudne zdanie jak dla telewizyjnej jedyńki.

Uprościć. Wrócić do preferowanego przez media języka.

- Nasz gest jest wyjątkiem. Niechaj wszyscy, których skusiłby przykład pana Delambre'a (eksplozja radości w kawiarniach w Sarqueville!), wiedzą, że nasza grupa zawsze twardo i bez wyjątków potępiać będzie przemoc oraz bezwzględnie ścigać sędownie każdego, kto dopuściłby się przemocy wobec mienia i osób należących do naszej grupy.

- Nikt tego nie zauważył - mówi Nicole. - Dziwne, prawda?

Nie wiem, o co jej chodzi.

- Dorfmann mówi o „mieniu i osobach należących do naszej grupy” - wyjaśnia Nicole. - To przecież straszne.

Nadal nie rozumiem.

- Mienie, w porządku, ale ludzie, Alain! Przecież nie „należą” do swojej firmy.

Bez namysłu rzuciłem:

- Mnie to nie zaszokowało. W końcu wszystko, co zrobiłem, zrobiłem po to, żeby znowu „należać” do jakiejś firmy, prawda?

Nicole, przygnębiona, milknie.

Jest ze mną. We wszystkim. I zostanie do samego końca.

Ale nasze światy rozchodzą się w różne strony.

- Proszę - mówi Nicole.

Wyjmuje z torebki zdjęcia.

- Za dwa tygodnie się przeprowadzam. Gregory jest dla mnie bardzo miły. Przyjdzie z kolegami pomóc mi w

przeprowadzce.

Słucham jednym uchem, ponieważ skoncentrowałem się na fotografiach. Ujęcia, światło – Nicole zadała sobie wiele trudu, by uwydatnić atrakcyjność miejsca, ale wszystko na próżno. Wygląda ponuro. Mówi o przeprowadzce, o przemyślanych sąsiadach, o dwóch dniach wolnego, ale ja patrzę na zdjęcia i jestem załamany. Powiedziała, które piętro, ale umknęła mi ta informacja. Chyba dwunaste, bo na wielu fotografiach w oddali widać Paryż. W handlu nieruchomościami, gdy podkreśla się piękny widok z okna, rzadko kiedy jest to dobry znak.

– Możemy stołować się w kuchni... – mówi Nicole.

Możemy tam też wymiotować. Parkiet w drobny wzór musi pamiętać lata siedemdziesiąte. Surowe prostokątne pudełka, wystarczy popatrzeć na zdjęcia i od razu słyszeć głosy rozbrzmiewające w pustych pokojach, a wieczorem sąsiadów kłócących się za ścianą. Salon. Korytarz. Sypialnia. Druga sypialnia. Wszystko, czego nienawidzę. Ile może kosztować takie gówno? I na to zamieniła nasze mieszkanie, prawie już spłacone?

– Prawie spłacone nie znaczy spłacone. Nie wiem, czy wiesz, ale mamy kłopoty finansowe!

Czuję, że lepiej jej nie irytować. Nicole doszła do granicy desperacji bliskiej wybuchu. Otwiera usta, a ja zamykam oczy, oczekując pocisku; postanawia uderzyć podstępnie. Wskazując scenerię wokół nas, rzuca:

– Ty też zdecydowałeś się zmienić mieszkanie!

Cios poniżej pasa. Rzucam zdjęcia na stół. Nicole zbiera je, wkłada z powrotem do torebki. Potem na mnie patrzy.

– Mam w nosie mieszkanie. Z tobą wszędzie byłoby mi dobrze. Chciałam tylko jednego: być z tobą. Ale bez ciebie, co to za różnica, czy tu, czy gdzie indziej... Przynajmniej nie mamy długów.

Tak właśnie wyobrażałem sobie miejsce, w którym musi mieszkać żona więźnia.

Zbyt wiele by mówić. Więc milczę. Oszczędzam się.
Zachowuję siły na czas procesu.

Żeby móc zamieszkać z nią w tym gównie najszybciej,
jak się da.

Jak wiadomo, są dni, kiedy wszystko się udaje, i inne, kiedy nie udaje się nic. Dobrze byłoby, gdyby dzień, w którym człowiek staje przed sądem przysięgłych, był tym, w którym wszystko się udaje znakomicie. Takie dni potrzebne mi będą dwa, bo tyle ma trwać proces.

Lucie jest jak w gorączce. Nie mówi już o mecenasie Sainte-Rose, który po moim ostatnim wyczynie się poddał. To dziwne, ale o ile obecność owego fantoma u boku Lucie mnie irytowała (zwłaszcza kiedy dowiedziałem się, jak dużo sobie liczy), o tyle widząc ją zdaną w podejmowaniu wszystkich decyzji wyłącznie na siebie, zaczynam lekko panikować. Jej słowa sprzed szesnastu miesięcy o konieczności powierzenia obrony fachowcowi teraz nabierają głębokiego sensu. Lucie mnie rozczula, jej niepokój jest wzruszający. Prasa wielokrotnie podkreślała, że moim obrońcą będzie własna córka. Publikowano jej zdjęcia opatrzone łzawymi komentarzami. Wiem, że tego nienawidzi. Niesłusznie.

W miarę zbliżania się procesu stawałem się coraz bardziej niespokojny, ale kiedy wytłumaczyła mi przyjętą linię obrony, z powrotem nabrałem pewności, że mój wybór był słuszny. Ogólnie w grę wchodzi dwie strategie: polityczna i psychologiczna. Lucie jest przekonana, że prokurator wybierze pierwszą. Ona jest za drugą.

Są liczne zielone światła.

Konferencja prasowa Alexandre'a Dorfmana wzbudziła jednomyślny podziw. Wspaniałomyślność gestu została doceniona tym bardziej, że ani Dorfmann, ani nikt z jego dyrektorów nie zgodzili się już potem na żaden wywiad. Tak

skrajna powściągliwość zdaje się potwierdzać, o ile byłoby to jeszcze potrzebne, całkowitą bezinteresowność gestu, który wynika z najczystszej humanitaryzmu. Niektóre gazety pozwoliły sobie na niestosowny sceptycyzm, sugerując, że kryje się za nim jakaś ukryta i podejrzana racja. Na szczęście jednak większość tytułów wtórowała telewizji: w tym napiętym okresie, znaczone licznymi konfliktami, w atmosferze niemal nieustannej konfrontacji pracodawców z pracownikami, altruistyczna postawa Exxyalu i jego kadry menedżerskiej stawia w nowym świetle stosunki społeczne. Po dwóch stuleciach zniechęcającej i zabójczej walki klas, oto pochodnia komunii duchowej oświetla przymierze między pracodawcami i pracownikami, tak bardzo oczekiwaną historyczną chwilę pojednania.

Jakkolwiek równocześnie Exxyal kazał mi potwierdzić, że na pewno zwrócę mu całość pieniędzy.

Drugi pozytywny sygnał w przededniu procesu to wolta hurtowni farmaceutycznej. Z początku Lucie myślała, że mój status bohatera społecznego postawił ich w trudnej moralnie sytuacji, że bali się przegranej przed sądem, ale niedawno dowiedzieliśmy się, co było prawdziwą przyczyną tak nagłego zwrotu: ich główny świadek Romain bez uprzedzenia rzucił pracę i nie odbiera nawet naglających listów od swojego dawnego pracodawcy. Lucie zasięgnęła języka. Romain wrócił w swoje rodzinne strony i znowu zajął się rolnictwem. Lśniące traktory, zakrojone na szeroką skalę prace nawadniające - młody człowiek podobno realizuje śmiało inwestycje.

Mimo tych pozytywnych wskaźników Lucie trochę się jednak niepokoi.

Ława przysięgłych, twierdzi, bywa nieprzewidywalna.

W przeddzień rozpoczęcia procesu stacje radiowe i telewizyjne przypominają czyny, o które jestem oskarżony, i ponownie pokazują archiwalne zdjęcia. Tak długo nalegam, że w końcu Lucie zdradza swoje przewidywania: w

najlepszym przypadku spodziewa się ośmiu lat, z czego cztery w zawieszeniu.

Wpadam w popłoch. To oznacza cztery lata spędzone w więzieniu.

Gdybym nie siedział, ugięłyby się pode mną nogi. Jeszcze trzydzieści miesięcy tutaj! Nawet jeśli zdołam się utrzymać w kwaterze dla VIP-ów, jestem już tak wykończony, że...

- ...umrę!

Lucie kładzie dłoń na mojej ręce.

- Nie umrzesz, tato. Cierpliwie poczekasz. Zapewniam cię, że to i tak będzie cud, jeśli dostaniemy tyle.

Chce mi się płakać.

Spędziłem trzy bezsenne noce. Trzydzieści miesięcy w tym miejscu! Prawie trzy lata... Wyjdę stąd jako stary, bardzo stary człowiek.

A wszystkie pieniądze będą już wtedy w Exxyalu.

Będę stary i biedny. To mnie kompletnie załamuje. Czuję się rozpaczliwie samotny.

Na salę sądową wchodzę więc przygarbiony, z woskową twarzą. Jestem człowiekiem śmiertelnie znużonym. Nie jest to z mojej strony zamierzone, ale wywiera raczej korzystne wrażenie.

Przysięgli to osoby losowo wybrane spośród ludzi, których spotykałem na co dzień w metrze w czasach, kiedy jeździłem do pracy. Młodzi, starzy, mężczyźni, kobiety. Lecz teraz, jako przysięgli, wydają mi się znacznie bardziej niepokojący. Co z tego, że obiecali „nie słuchać głosu nienawiści ani nieżyczliwości, strachu ani emocji; podejmować decyzje w zgodzie z własnym sumieniem i głębokim przekonaniem, z bezstronnością i zdecydowaniem, jakie przystoją człowiekowi prawemu i wolnemu...” - czuję się niepewnie. To ludzie tacy sami jak ja, jestem pewny, że swoje myślą.

Od razu zauważam, że są wszyscy.

Najpierw rodzina: Nicole, wyglądająca przepięknie, która nie odrywa ode mnie wzroku i dyskretnymi znakami

dodaje mi otuchy. Mathilde, sama, ponieważ jej mąż nie mógł się zwolnić z pracy.

Nieco dalej Charles. Musiał pożyczyć garnitur od jakiegoś zasobniejszego, ale i okazalszej postury sąsiada, bo prawie w nim tonie. Tak jakby pod jego ubranie wdarł się wiatr. Wiedząc, że na sali sądowej nie będzie mógł pociągać, pokrzepił się prawdopodobnie na zapas. Widziałem, jak wchodzi krokiem skupionym i niepewnym, ale unosząc ramię w geście indiańskiego powitania, raptem stracił równowagę i musiał przytrzymać się oparcia ławki, na którą ciężko opadł. Jest człowiekiem bardzo ekspresyjnym, całym sobą przeżywa sytuację, jest bez reszty zaangażowany. Podczas rozprawy przy każdym kolejnym wystąpieniu jego twarz wyraża mnóstwo komentarzy. Prawdziwy oscylograf wydarzenia. Często odwraca się w moją stronę, jakby był mechanikiem naprawiającym mi samochód, który upewnia mnie spojrzeniem, że, jak dotąd, jest dobrze.

Po rodzinie najbliższej, rodzina dalsza. Fontana, poważny i godny, który ze spokojem poleruje paznokcie i nawet na mnie nie spojrzy. Jest też dwójka jego kolegów, młoda kobieta o zimnym spojrzeniu, której imię pojawia się w dokumentach procesu, Yasmine, oraz Arab, który prowadził przesłuchanie, Kader. Oboje znajdują się na liście świadków prokuratury. Ale przyszli tu przede wszystkim dla mnie. Tylko dla mnie. Co powinno mi schlebiać.

A poza tym dziennikarze, radio, telewizja. I przedstawiciel mojego wydawcy, który pewnie wciąż ociera usta, tak bardzo ślini się na myśl o ogromnych nakładach i zyskach, jakie przyniesie nam proces.

I Lucie, której w todzie nie widziałem od wieków. Wielu jej młodych kolegów na sali zastanawia się, podobnie jak ja, ile kilogramów schudła w minionym roku.

Pod koniec pierwszego dnia nie rozumiem, dlaczego Lucie przewiduje osiem lat. Jeśli posłuchać dziennikarza, który relacjonuje proces w telewizji, cały świat jest po mojej

stronie i wyrok powinien być łagodny. Z wyjątkiem, rzecz jasna, oskarżyciela. Wredny typ. Napastliwy. Nie przepuści żadnej okazji zademonstrowania mi swojej wrogości.

Widać to wyraźnie już podczas zeznania biegłego psychiatry, który podkreśla, że w chwili popełnienia czynu mój stan psychiczny cechowało chwilowe zakłócenie powodujące „utrata rozeznania i kontroli nad swoimi czynami”. Prokurator przyciska go. Podpierając się artykułem 122 paragraf 1 kodeksu karnego, koniecznie pragnie podkreślić, że nie można uznać mnie za osobę psychicznie niepoczytalną. Słucham tych sporów jednym uchem. Lucie obstaje przy swoim. Poświęciła wiele czasu owemu aspektowi sprawy i jest to według niej kluczowa część procesu. Dyskusja między nią i prokuratorem staje się coraz gorętsza i przewodniczący przywołuje ich do porządku. Wieczorem dziennikarz konkluduje powściągliwie: „czy przysięgli uznają pana Delambre’a za człowieka odpowiedzialnego za swoje czyny, jak domaga się zapalczywie oskarżyciel publiczny? Czy też, jak podkreśla jego obrońcy, za człowieka, którego rozeznanie było silnie zakłócone z powodu depresji? Dowiemy się tego jutro, po zakończeniu rozprawy”.

Prokurator z lubością nurza się w detalach. Opisuje strach uwięzionych, jakby sam był jednym z nich. W jego ustach wzięcie zakładników to istny fort Alamo. Powołuje na świadka dowódcę oddziału RAID, który mnie aresztował. Lucie prawie nie interweniuje. Liczy na zeznania świadków.

Każdemu wedle jego zasług.

Do akcji wkracza Alexandre Dorfmann.

Od czasu jego głośnej konferencji prasowej wszyscy niecierpliwie czekają, co zezna.

Zerkam na Fontanę, który w modlitewnym skupieniu patrzy na swojego mocodawcę.

Kilka dni wcześniej powiedziałem mu:

- Uprzedzam, chcę mieć usługę wartą tych dziesięciu milionów! Nie ma mowy, żeby pański klient poprzestał na

minimum, rozumiemy się? Z trzema milionami wyjdę na nędzarza. Przy pięciu, na dzielnego gościa. Przy dziesięciu – jestem święty. Tak dokładnie to widzę i niech pan przekaże moje słowa swojemu ordynariuszowi. Tym razem nie ma już odstawiania wielkiego bossa, trzeba ciężko pracować. Za dziesięć milionów i piękny gest z mojej strony, który pozwoli mu uspokoić jego radę nadzorczą, w interesie Wielkiego Sternika jest porządnie się przyłożyć”.

Dorfmann zachowuje się ze zdumiewającą naturalnością.

Nawet w najśmielszych marzeniach Lucie nie spodziewałaby się takiego zeznania.

Tak, oczywiście, wzięcie zakładników było „ciężką próbą”, ale on w gruncie rzeczy widział przed sobą raczej „zagubionego człowieka niż zbrodniarza”. Na jego twarzy maluje się głęboki namysł. Szuka we wspomnieniach. Nie, nie czuł się w sensie dosłownym zagrożony. „Tak naprawdę nie bardzo wiedział, o co mu chodzi”. Pytanie. „Nie, odpowiada Dorfmann, nie było przemocy fizycznej”. Prokurator naciska. W duchu dopinguję: no dalej, Ekscelencjo, jeszcze jeden chwalebny gest. Dorfmann szuka w głowie: „Kiedy strzelił, wszyscy widzieliśmy, że strzelał w okna, a nie do konkretnej osoby. Nie celował. Przypominało to raczej... przygnębianie. Ten człowiek sprawiał wrażenie przybitego, wykończonego”.

Prokurator przypuszcza atak. Przypomina wcześniejsze zeznania Dorfmann, najpierw to złożone kilka minut po uwolnieniu zakładników przez RAID, „bardzo surowe dla Delambre’a”, a potem jego wypowiedź podczas konferencji prasowej „zdumiewającą, wręcz podejrzaną”, kiedy to zdaje się Delambre’a ze wszystkiego rozgrzeszać...

- Trudno za panem nadążyć, panie Dorfmann.

Trzeba by znacznie więcej, żeby Alexandre’a Dorfmann wyprowadzić z równowagi.

By oddalić krytykę, wygłasza „exposé w trzech punktach”, podkreślając najważniejsze momenty to palcem wymierzonym w prokuratora, to spojrzeniem ku ławie

przysięgłych, to znów ruchem otwartej dłoni w moją stronę. Spektakl absolutnie bezbłędny. Owoc trzydziestu lat zasiadania w radzie nadzorczej. Skutkiem czego nikt nie zrozumiał, o co mu chodzi, ale wszyscy przyznają mu rację. Wszystko znów staje się jasne. Wszystko znów staje się cudownie logiczne. Wszyscy łączą się duchowo w obliczu tej oczywistości, jaką nam objawił Dorfmann. Wielki Boss w akcji jest piękny jak biskup w katedrze.

Lucie spogląda na mnie uszczęśliwiona.

Przykazałem Fontanie:

- Chcę, żeby wszyscy stanęli na wysokości zadania! To praca zespołowa, i za dziesięć milionów chcę mieć team umiejący współpracować, rozumiano? Dorfmann robi wyłom i za nim rusza zwarta formacja. Żadnych potknięć. Niech im pan powie, żeby przypomnieli sobie rady menedżerskie, jakich udzielają swoim podwładnym, to im pomoże”.

I pomaga.

Podchodzi Évelyne Camberlin. Dama. Uosobienie godności.

- Owszem, bałam się, to prawda, ale bardzo szybko nabrałam przekonania, że nic nam się nie stanie. Z jego strony bardziej obawiałam się jakiejś niezręczności, nieprzemyślanego gestu.

Kiedy prokurator zabiera głos, wśród zebranych daje się słyszeć głuchy szmer. Jakby na scenę wszedł Judasz w średniowiecznym misterium. Prosi, żeby Évelyne Camberlin opisała swoje „przerażenie”.

- Bałam się, ale nie byłam przerażona.

- Ach, tak! Ktoś celuje do pani z broni, a pani nie jest przerażona? Ma pani wyjątkowo zimną krew - drwiącym tonem dodaje prokurator.

Évelyne Camberlin mierzy go spojrzeniem. Potem z łaskawym uśmiechem oświadcza:

- Broń nie robi na mnie większego wrażenia. Całe dzieciństwo spędziłam w koszarach, mój ojciec był

pułkownikiem.

Publiczność się raduje. Spoglądam na przysięgłych. Kilka uśmiechów. Ale jeszcze nie prawdziwa zabawa.

Prokurator zmienia taktykę.

- Wycofała pani skargę... dobrowolnie i bez żadnego przymusu, prawda? - pyta podchwytliwie.

Trwające kilka sekund milczenie Évelyne Camberlin jest ciężkie jak ołów.

- W gruncie rzeczy daje pan do zrozumienia, że uczyniłam to pod naciskiem mojego pracodawcy. Z jakiego powodu miałabym to zrobić?

W istocie rzeczy wszyscy zadają sobie to pytanie. Właśnie w podobnych momentach widać, czy menedżer wywiązał się należycie z zadania. Mam nadzieję, że tak jest w tym przypadku.

Nim prokurator zdążył się odezwać, matrona Camberlin dodaje:

- Sugeruje pan być może, że firma, dla której pracuję, zyska na wizerunku, okazując wspaniałomyślność.

Zwolniona! Ja za takie słowa z miejsca wywaliłbym ją z pracy. Gdzie nauczyła się zabierać publicznie głos? Jestem wściekły. Jeśli nie naprawi tej gafy, zażądam od Dorfmann, żeby trafiła na pierwszy wózek ze skazańcami w Sarqueville. Chyba to poczuła, bo szybko się poprawia:

- Myśli pan, że tym szlachetnym postępkim Exxyl pragnie odświeżyć swój wizerunek w mediach?

Już lepiej. Ale chcę, żeby dała przysięgłym jeszcze więcej do myślenia.

- W takim razie czemu mnie nie zapytać, czy dostałam premię ekstra za złożenie zeznań? Albo czy nie zagrożono mi zwolnieniem? Uważa pan te pytania za zbyt kłopotliwe?

Lekkie poruszenie na sali. Przewodniczący prosi o ciszę, przysięgli są zdezorientowani, a ja zastanawiam się: czyżby moja strategia właśnie brała w łeb?

- W takim razie - pyta w końcu prokurator - skoro czuje pani taką łączność duchową z panem Delambre'em, czemu

złożyła pani skargę nazajutrz po porwaniu?

- Na żądanie policji. Policja mi to doradziła, a mnie takie postępowanie w tym momencie wydało się logiczne.

Tak już lepiej. Dorfmann wydał jasne instrukcje. Czuje się, że wszyscy ci ludzie grają także o własną przyszłość. Sprawia mi to przyjemność, czuję się mniej osamotniony.

Maxime Lussay podpisuje się pod słowami swojej koleżanki. Jest mniej błyskotliwy, bardziej toporny. Używa słów prostych, lecz, mam nadzieję, skutecznych. Odpowiada tylko „tak”, „nie”. Niepozorny. Świetny.

Za to Virginie Tràn wywołuje sensację. Ma na sobie jasnożółtą sukienkę, szal na ramionach. Jest wymalowana jak na własny ślub i podchodzi do barierki krokiem modelki na wybiegu. Widzę, jak bardzo stara się przypodobać swojemu prezesowi. Spisuje się poprawnie, aż nazbyt poprawnie, jak osoba, która ma coś na sumieniu. Moim zdaniem nadal sypia z konkurencją. Na jej miejscu uważałbym.

Była kategoryczna.

- Pan Delambre nie miał żadnych żądań. Nie bardzo wierzę, żeby zaplanował swój czyn. Czegóż by przecież zażądał, prawda?

Głośny protest prokuratora. Oskarżyciel i przewodniczący sądu przywołują ją do porządku.

- Prosimy panią nie o komentarze na temat motywacji pana Delambre'a, lecz tylko o fakty.

A wtedy panna Tràn pokazuje, co potrafi: w obliczu takiego ognia zaporowego spuszcza oczy, zarumieniona ze wstydu niczym mała dziewczynka przyłapana na dobieraniu się do konfitur. Na taki obrazek zmiękłby nawet Judasz.

I wreszcie Jego Wysokość Paul Cousin. Jedyny, który podchodząc do barierki, długo patrzy mi w oczy. Jest jeszcze wyższy, niż zapamiętałam. Publiczność go pokocha.

Powiedziałem Fontanie:

- Ten wasz wielki głupek jest kluczem do wszystkiego. To przez niego tu jestem, więc niech mu pan powie, żeby się

postarał, bo jak nie, z powrotem wyląduje w pośredniaku i będzie tam tkwił do emerytury.

Uroczysty i surowy, świadomy swojej wielkości. Spokój i stanowczość. Wzór.

Na każde pytanie przewodniczącego, na każde pytanie prokuratora Paul Cousin zwraca się lekko w moją stronę – wielki rygorysta obserwuje tego, który pobłądził. Po czym udziela oszczędnych odpowiedzi. On i ja słabo się znamy, ale mam wrażenie, że jesteśmy starymi przyjaciółmi.

Tak, odpowiada przewodniczącemu, objął obecnie stanowisko w Normandii. Tak (bolesny grymas), szeroki plan restrukturyzacji, trudna misja. Humanitarnie trudna. Mam nadzieję, że nie będzie nadużywał tego słowa, bo w jego ustach brzmi jednak trochę dziwnie. Tak, Sarqueville przeżywa kłopoty gospodarcze. Rozumie, jak trudne są czasy. Kiedy mowa o jego postawie podczas wzięcia zakładników, przewodniczący przypomina fakty, jego opór, stawienie czoła, odważną ucieczkę...

- Pan Delambre, chcąc pana zatrzymać, próbował do pana strzelać!

W sali rozlega się szmer podziwu. Cousin zbywa to zniecierpliwionym machnięciem ręki.

- Pan Delambre strzelał nie do mnie, dla mnie tylko to się liczy. Możliwe, że próbował, ale nie mogę tego zeznać, nie odwracałem się, żeby sprawdzić, co robi.

Wszyscy poczytują owe słowa za skromność z jego strony.

- Wszyscy to widzieli oprócz pana!

- Więc proszę zwrócić się z tym pytaniem do wszystkich, nie do mnie.

Szum na sali. Przewodniczący przywołuje Cousina do porządku.

- Słuchając waszych zeznań, zdumiewająco jednomyślnych, można by odnieść wrażenie, że wzięcie zakładników było małym wypadem na zieloną trawkę. Ale

skoro pan Delambre nie był w żaden sposób niebezpieczny, dlaczego zwlekał pan tak długo z interwencją?

Paul Cousin odwraca się i mierzy go spojrzeniem.

- We wszystkim, panie przewodniczący, jest czas na obserwację, czas na zrozumienie i czas na działanie.

Królewski, Cousin jest królewski.

Publiczność zamarła z wrażenia. Czapki z głów.

Fontanie powiedziałem:

- A pański Jean-Marc Guéneau ma się dobrze postarać! Inaczej poślę go w damskich desusach do sądu!

To już nie ten sam człowiek.

Pamiętałem go jako dziarskiego, pewnego siebie; wygląda jak upiór. Podaje swoje personalia, swój status: nie mający stałego zatrudnienia.

To oficjalne określenie bezrobotnego. Wyrzucili go z Exxyalu. Dwa miesiące później. To prawda, przeżył traumatyczne doświadczenie, ale trudno ufać facetowi, który pod garniturem odpowiedzialnego finansisty nosi damską bieliznę! - uznali zapewne jego przełożeni. Mimo utraty pracy Guéneau stawiał się w sądzie i zeznał dokładnie to, co trzeba. Dlatego że świat jest mały i nawet jeśli Exxyal przestał być jego pracodawcą, to nadal pozostaje kluczowym elementem jego starań, jeśli chce znaleźć posadę w tej branży.

Przyglądam mu się uważnie.

Czternaście miesięcy bezrobocia. I, na moje oko, to jeszcze nie koniec jego tarapatów.

Guéneau to ja po półtorarocznym bezrobociu. Zachowuje się tak, jakby jeszcze wierzył w siebie, jeszcze nie stracił nadziei. Wyobrażam sobie, jak za sześć miesięcy obniży swoje aspiracje o czterdzieści procent, za dziewięć będzie starał się o zatrudnienie tymczasowe, za dwa lata przyjmie najmniejszą posadę, żeby móc spłacić połowę swoich weksli. Za pięć lat da sobie skopać tyłek pierwszemu lepszemu tureckiemu majstrowi, który raczy na niego spojrzeć. Mam wrażenie, że rękaw jego garnituru puści,

zanim Guéneau zdąży skończyć zeznania, i cała sala będzie miała ubaw.

Powiedziałem też Fontanie: „A temu dupkowi Lacoste’owi wyda pan bardzo dokładne instrukcje. Jeśli nie będzie mógł zrozumieć, upoważniam pana do połamania mu wszystkich palców. Z własnego doświadczenia wiem, jak bardzo ułatwia to zrozumienie”.

Fontana pozwolił sobie na coś, co tylko jego własna matka nazwałaby uśmiechem.

Zeznanie Lacoste’a było bardzo ludzkie. Jego firma jest w stanie likwidacji; nie, nie ma to nic wspólnego ze sprawą, którą się tu zajmujemy, nie, to kwestia złej koniunktury gospodarczej. Właśnie jej ofiarą padł pan Delambre. Oraz wielu innych. Lacoste jest w porządku. Spodziewam się, że Rivetówna należycie mu wynagrodziła stratę.

Lucie coraz częściej na mnie spogląda.

Tylko patrzeć, jak armia nieprzyjaciela skurczy się do osoby prokuratora. Lucie przygotowała się do wojny, tymczasem przeciwnicy zdają się skwapliwie dążyć do zawieszenia broni. Wypytuje świadków oględnie, bez nacisku. Zorientowała się już, że droga jest właściwa, ale nie należy przyspieszać faktów.

Wczoraj Nicole powiedziała jej, że jest zdziwiona:

- To naprawdę zdumiewające. Twój ojciec odpowiada przed sądem przysięgłych za wzięcie zakładników, ale nikogo zdaje się nie dziwić, że firma mogła zupełnie bezkarnie zrobić to samo, żeby przetestować swój personel. A przecież gdyby nie zorganizowali tej symulacji, nie byłoby też wzięcia zakładników, prawda?

- Wiem, mamó - odpowiedziała Lucie - ale co robić, nawet pracownikom nie wydaje się to czymś nienormalnym.

Przemyślała oczywiście ów argument. Zamierzała nawet przycisnąć świadków, ażeby to wykorzystać, żeby podkreślić okrucieństwo ze strony firmy i obciążyć ją odpowiedzialnością za mój czyn. Ale, po pierwsze, nie jest to proces Exxyalu, tylko mój, a po drugie, nie jest to już

konieczne. Lucie znów na mnie patrzy, szczerze zaintrygowana obrotem sprawy. Dyskretnym gestem pokazuję, że sam jestem zaskoczony. Staram się, by wypadło to przekonująco, ale Lucie już się odwróciła i słucha kolejnych świadków z coraz większym niedowierzaniem.

- Zaś pan, Fontana, zrobi to, co potrafi pan najlepiej: odstawi pan żołnierzyka. Dam głowę, że płacą panu za wynik, prawda?

Fontana nawet nie mrugnął, co znaczy, że mam rację: jest na procencie. Im więcej odzyska Exxyal, tym więcej będzie dla niego.

- Wiem, że chętnie by mnie pan rozdeptał jak psie gównno, ale dla niego będzie pan posłuszny. Troskliwie zadba o mój interes. Pomogę panu. Niech pan sobie powie, że za każdą sylabę poza partyturą zabieram milion z tego, co Dorfmann spodziewa się odzyskać. Wytłumaczy mu to pan, kiedy stwierdzi niedobory i zażąda rozliczenia się.

Nie trzeba być jasnowidzem, by domyślić się, że w tym momencie, gdyby nie moja przewaga, bez najmniejszych skrupułów wsadziłby mnie w betonowe buty i posłał do kanału Saint-Martin z butlą tlenową na sześć godzin życia. Co będzie potem, kiedy sprawa się skończy i znów będę biedny? Mam nadzieję, że nie jest mściwy i nie uzna tego za sprawę osobistą.

W każdym razie wykonuje polecenie.

Potwierdza ogólne przekonanie o braku zagrożenia. Lucie każe mu wymienić dokonania zawodowe, by podkreślić ciężar gatunkowy jego opinii. On, który poznał wojny, żołnierzy albo i jeszcze gorsze rzeczy, może zapewnić Wysoki Sąd, że Delambre Alain to jagnię. Postrzał w nogę? Skaleczenie. Nie składa skargi? Po co.

Trochę przesadziłem. Trzeba było poprzestać na zeznaniach. Taka jednomyślność staje się krępująca.

Wczesnym popołudniem strony wygłaszają mowy.

Lucie jest nadzwyczajna. Dobitnym, przekonującym głosem przytacza argumenty, odwołuje się oględnie do zeznań, by ława nie poczuła się bezużyteczna, zwraca się do przysięgłych, raz do mężczyzn, raz do kobiet. Robi to, w czym jest najlepsza, i robi to znakomicie: tłumaczy, że podobna przygoda mogłaby spotkać każdego. Podkreśla trudne warunki życia swojego klienta, powolną utratę szacunku dla samego siebie, upokorzenie, a potem ten gest gwałtowny i niezrozumiały i następnie zagubienie, niemożność wybrnięcia z sytuacji, w której utknął. Jej klient jest człowiekiem samotnym.

A teraz trzeba odbezpieczyć granat, jakim jest moja książka.

Owszem, pan Delambre napisał książkę, mówi Lucie. Nie po to, jak twierdzą niektórzy, by zasmakować sławy, ale ponieważ potrzebował wsparcia, czuł potrzebę podzielenia się swoim doświadczeniem z innymi. I tak się właśnie stało. Tysiące, dziesiątki tysięcy innych, jemu podobnych, odnalazło się w tej porażce, utożsaмиło się z jego niedolą, jego upokorzeniem. I wybaczyli mu jego postępek. Który zresztą nie spowodował żadnych skutków.

Okoliczności łagodzące, o uwzględnienie których ubiega się dla swojego klienta, to po prostu okoliczności, z jakimi zmagają się wszyscy w czasach kryzysu.

Naprawdę nieźle.

Gdyby nie obawa przed wrednym prokuratorem, który słucha jej, kręcąc głową to ze zgorszeniem, to z przesadnie wyrażonym powątpiewaniem, powiedziałbym, że jej przewidywania mogą się sprawdzić. Żaden sąd przysięgłych nigdy mnie nie uniewinni. Przyszedłem na test rekrutacyjny z naładowanym pistoletem, a to czysta premedytacja. Nigdy nie uda się zbić przewidywanej kary z trzydziestu lat na osiem czy dziesięć. Ale Lucie wykorzystuje wszystkie dostępne środki. I jeśli jakiś zdoła obniżyć wyrok, to będzie jej zasługa, zasługa mojej córki. Nicole wpatruje się w nią z podziwem. Mathilde patrzy na nią ufnie i z zazdrością.

Lucie miała rację, oskarżyciel robi z tego proces pokazowy.

Jego wywód zamyka się w trzech prostych argumentach.

Raz: Alain Delambre na trzy dni przed przyjściem do Exxyal-Europe szukał, znalazł i kupił pistolet oraz załadował go ostrą amunicją. W sposób oczywisty kierował się zamiarem agresywnym, a być może również zbrodniczym.

Dwa: Alain Delambre upowszechnił w mediach swoją sprawę, licząc, że zaważy to na przebiegu procesu; miał zamiar wpłynąć na przysięgłych, zrobić na nich wrażenie, onieśmielić ich. Porywacz zamienił się w szantażystę.

Trzy: Alain Delambre stwarza niebezpieczny precedens. Jeśli dziś nie zostanie przykładowo ukarany, jutro każdy bezrobotny poczuje się upoważniony, by przejść do aktów przemocy. Czy w okresie, w którym zwalniani robotnicy uciekają się coraz częściej do gwałtu, podpaień, gróźb, grabieży, wymuszeń i aktów bezprawnego uwięzienia, przysięgli mogą uznać wzięcie zakładników za zgodny z prawem sposób negocjacji?

Jego zdaniem odpowiedź jest już zawarta w samym pytaniu.

Przydałby się przykład. Bez wahania mówi:

- Jesteście dzisiaj ostatnią zaporą przed nową falą przemocy. Miejcie świadomość swojej powinności. Uznanie, że strzelanie z ostrej amunicji zasługuje na okoliczności łagodzące, oznacza przedłożenie wojny domowej nad dialog społeczny.

Spodziewano się, że mowa oskarżycielska będzie ostra. Piętnaście lat.

Prokurator żąda trzydziestu. Najwyższej kary.

Kiedy siada, publiczność jest oniemiała.

Ja pierwszy.

Lucie zmieniła się na twarzy. Nicole wstrzymała oddech.

Charles wygląda, jakby po raz pierwszy w życiu wytrzeźwiał.

Nawet Fontana opuścił głowę. Zważywszy, ile czasu spędzę za kratkami, nieszybko zobaczy swoją forszę.

Zgodnie ze zwyczajem przewodniczący oddaje głos Lucie. Do niej należy ostatnie słowo. Ale głos grzęźnie Lucie w gardle. To zapewne skutek tych długich miesięcy pracy i bezsennych nocy. Próbuje coś powiedzieć. Na próżno. Odkasłuje. Wypowiada kilka niedosłyszalnych słów.

Przewodniczący niepokoi się.

- Nie usłyszeliśmy, pani mecenas.

W sali panuje atmosfera ciężka jak przed burzą.

Lucie odwraca się do mnie. Ma łzy w oczach. Patrzę na nią i mówię:

- To koniec.

Mobilizuje się, odwraca do przysięgłych. Ale to naprawdę ponad jej siły. Nie może wykrztusić słowa. Cała sala wstrzymuje oddech.

Ale mam rację. To koniec.

Błada jak śmierć Lucie unosi dłoń w stronę przewodniczącego na znak, że nie ma nic do dodania.

Nie może nic dodać.

Przysięgli udają się na tajną naradę.

Do późnego wieczora, ku ogólnemu zaskoczeniu, wciąż jeszcze nie uzgodnili stanowiska. Jutro dalszy ciąg narady.

W furgonetce, która mnie odwozi do aresztu, rozważam mimo woli różne hipotezy. Chcąc nie chcąc, wszystko widzę w czarnych barwach. Jeśli nie dochodzą do porozumienia, to znaczy, że są sprzeczni. Proces przebiegł w miarę pomyślnie, ale zdaje się, że przysięgli obracają się przeciwko mnie. Jeśli oskarżyciel wypadł przekonująco, to niektórzy pewnie postanawiają bronić sprawiedliwości i marzy im się przykładowa kara.

Tej nocy areszt przypomina mi korytarz śmierci. Mam czas dwadzieścia razy umrzeć. Defiluje przede mną moje życie.

Przez całą noc nie śpię. Trzydzieści lat, to nie do pomyślenia. Dwadzieścia lat, to niemożliwe. Nawet dziesięć

lat – też bym nie mógł.

Koszmarna noc. Myślałem, że kompletnie padnę, tymczasem nie, na nowo ożył we mnie gniew. Równie wściekły jak za najlepszych dni, przepelnia mnie żądza mordu, to wszystko jest takie niesprawiedliwe.

Następnego dnia zjawiam się na sali sądowej blady jak trup, ale zdecydowany.

Uważnie obserwuję policjanta towarzyszącego mi w drodze do sądu. Sobowtór tego, który pilnuje mojego boks na sali. Przyglądam się, jak zapięty jest futerał jego broni. Z tego, co widzę, jest to duży zatrzask, kłapa prawdopodobnie sama się unosi i można bez przeszkód dobrać broń. Sięgnąłem w pamięci do informacji, jakich udzielił mi swego czasu Kaminski: Sig Sauer, SP 2022, nie ma manualnego bezpiecznika, tylko dźwignię blokującą i zwalniającą zamek.

Myślę, że będę mógł to wykorzystać.

Muszę działać bardzo szybko.

Wchodząc do boks, widzę, jak to można zrobić: z całej siły go pchnę i zaskoczony zaklinuję ramieniem. Użyję niekontuzjowanej dłoni.

Lucie też nie spała. Tak samo jak Nicole. I jak Mathilde.

Charles jest skonsternowany. Jego twarz przypomina piękną, poważną maskę. Patrząc na mnie, przechyliła głowę, jakby się rozczuł nad moim losem. Mam wielką ochotę powiedzieć mu „żegnaj”.

W głębi sali Fontana; jasne spojrzenie i miękki krok. Sfinks.

Lucie od razu pochyła się do mnie i mówi:

– Przepraszam, tato. Za wczoraj... Głos mi odmówił posłuszeństwa... Bardzo mi przykro.

Wciąż jeszcze słyszę jej przygnębiony głos. Ściskam i całuję jej dłoń. Wyczuwa we mnie wielkie napięcie, mówi coś miłego, czego nie słucham.

Policjant, który pilnuje mojego boks, jest wyższy i potężniejszy niż ten z wczoraj. Kwadratowa twarz. Nie

pójdzie mi łatwo. Ale jest możliwe.

Siadam w boksie nieco odchylony do tyłu. Potrzebuję dobrego odbicia dla nóg.

W pięć sekund zdążę odebrać mu broń.

45

Wracają przysięgli. Jest jedenasta rano.

Uroczysta cisza. Przewodniczący zabiera głos. Padają słowa. Pytania. Jeden z przysięgłych wstaje i odpowiada.

Nie. Tak. Nie.

Premedytacja. Tak.

Okoliczności łagodzące. Tak.

Wyrok. Alain Delambre zostaje skazany na pięć lat więzienia, z czego osiemnaście miesięcy bezwzględnego.

Szok.

Spędziłem osiemnaście miesięcy w więzieniu śledczym.

Uwzględniając zmniejszenie kary, jestem już wolny.

Obezwładnia mnie wzruszenie.

Sala klaszcze. Przewodniczący prosi o ciszę, ale zamyka posiedzenie.

Lucie z okrzykiem pada mi w ramiona.

Obstępują nas fotografowie.

Zaczynam płakać. Podbiegają Nicole i Mathilde, we czwórkę tworzymy krąg splecionych ramion. Ściskamy się. Dławi nas szloch.

Ocieram łzy. Chciałbym ucałować cały świat.

W głębi sali też panuje niezłe zamieszanie. Ludzie krzyczą, ale nie rozróżniam słów.

Kilka metrów dalej stoi Charles, unosząc lewą dłoń w nieśmiałym geście porozumienia.

Nieco dalej Fontana, w towarzystwie dwójki swoich towarzyszy, po raz pierwszy szczerze się do mnie uśmiecha. Ma wargi drapieznika. Unosi w górę kciuk.

Z niekłamanym podziwem.

Tylko mój wydawca ma trochę kwaśną minę: porządny wieloletni wyrok bardzo by zwiększył sprzedaż.

Policjanci ciągną mnie do tyłu. Nie rozumiem dlaczego, wszystko jest takie nieoczekiwane.

- To drobiazg, tato, zwykła formalność.

Muszę wrócić do aresztu, żeby dostać wypis z więzienia. I odebrać swoje rzeczy.

Lucie znów obejmuje mnie i ściska. Mathilde wyciąga do mnie obie dłonie. Nicole przytuliła się do moich pleców, oplata mnie ramionami w pasie, opiera policzek na moim ramieniu.

Policjanci znów mnie odciągają. Bez gwałtu. Ale trzeba przestrzegać regulaminu. Trzeba opróżnić salę.

Mówimy sobie z córkami różne niemądre rzeczy, mówimy sobie „kocham cię”. Ujmuję twarz Lucie w obie dłonie. Szukam odpowiednich słów. Lucie daje mi głośnego całusa. Mówi: „Tatusiu”.

To już ostatnie słowo.

Musimy wypuścić się z ramion, rozpleść palce. Jeszcze tylko Nicole wciąż mnie przytula.

- Proszę pani - przynagła policjant.

- Już po wszystkim - stwierdza Nicole, całując mnie z pasją w usta.

Odrywa się ode mnie, płacząc. A jednocześnie się śmieje.

Tak bardzo chciałbym odejść z nią już teraz. Zaraz. Jak najszybciej. Nicole, moje córki, życie, wszystko.

Mathilde mówi: „Do zobaczenia wieczorem”. Lucie daje znak, że oczywiście też przyjdzie. Dziś wieczór, wszyscy razem.

Trzeba się rozstać. Machamy do siebie. Obiecujemy sobie różne rzeczy.

W głębi sali Fontana uśmiecha się do mnie z nieznacznym skinieniem głowy.

Jego przekaz jest wyraźny: „Do rychłego”.

46

W samochodzie odwożącym mnie do więzienia przytomnieję. Nowina zdążyła już obiec cały zakład. Słyszę łomot blaszanych pojemników uderzających o kraty. Gratulacje. Kilka okrzyków. Powrót tutaj, kiedy wiadomo już, że się jest człowiekiem wolnym, mógłby być prawie przyjemny.

Porucznik Morisset jest na służbie. Przychodzi się ze mną zobaczyć i złożyć mi gratulacje. Życzymy sobie wzajem powodzenia.

- I niech pan nie zapomni, poruczniku: najważniejsze to umieć postawić problem we wstępie, nie potem!

Uśmiecha się. Ściskamy sobie dłonie.

Po raz ostatni wchodzę do mojej celi. Po raz ostatni oddam mocz w sanitariacie. Wszystko jest po raz ostatni.

Szesnaście miesięcy ciupy.

Co mi z tego zostanie?

Próbuję sobie wyobrazić moje jutro. Moje córki. Znów zaczynam płakać, ale to są dobre łzy. Niepokoją mnie moje palce.

Lewego palca wskazującego i środkowego w prawej ręce nie mogę już zginać jak kiedyś.

Kancelaria więzienna. Moje ubranie normalnego człowieka. Z tego dnia, kiedy wziąłem zakładników. Trochę nieświeże. Wypis z więzienia. Składałem różne podpisy, wręczają mi jakieś papiery, które, nie patrząc, wpycham do kieszeni. Brama otwiera się i zamyka. Wszystko trwa długo i powoli. Trochę czekamy. Siedzę na ławce.

Licząc na moich połamanych palcach, stwierdzam nagle, że robię podsumowanie. I powoli ogarnia mnie gorączka.

W ciągu tego roku przybyło mi dziesięć lat.

Zrujnowałem Mathilde.

Wycisnąłem ostatni grosz z Lucie.

Wykończyłem Nicole.

Straciłem zięcia.

Sprzedalem mieszkanie.

Dochody z książki poszły na pokrycie kosztów procesu.

Do emerytury jeszcze bardzo daleko.

Ląduję w ponurym trzypokojowym mieszkaniu.

Bezrobocie.

Powrót do punktu wyjścia.

Straciłem przez tę historię wszystko.

Sytuacja nie do wybrnięcia.

Ostatniej nocy o niczym tak nie marzyłem jak o tym, żeby być wolny. Teraz, kiedy już jestem, stwierdzam, że to mi nie wystarcza.

Teraz muszę zwrócić pieniądze, oddać szajce tych oszustów nędzne grosze, które zarobiłem.

A więc wszystko straciłem? Nie mogę pogodzić się z tą myślą.

Jedno tylko pytanie.

Ostatnie.

Czy dałoby się jakoś zachować te pieniądze, tak czy nie?

Próbuję coś wymyślić. Ale na próżno roztrząsam rozmaite możliwości, widzę tylko jedno rozwiązanie.

Sarqueville.

Zobaczyć się z Paulem Cousinem.

47

Kolejne drzwi z posępnym szczękiem otwierają się, zamykają. We właściwej kolejności, jednak czuję lęk. Wyszedłem żywy i, nie licząc kilku palców, prawie cały. Nie chcę popełnić ani jednego błędu więcej.

Kiedy przekraczam bramę więzienną, nadal nie wiem, czy odważę się na ten ostatni numer.

Znów zadecydują za mnie okoliczności. Jak zawsze.

Ulica ma tu kształt idealnego trójkąta.

Stoję plecami do więzienia z pustymi rękami, w swoim ostatnim garniturze.

Na lewo, po drugiej stronie ulicy, stoi Charles. Poczciwy Charles, który w obliczu trudności utrzymania się w pozycji stojącej i nieruchomej, oparł się o kamienny mur. Na mój widok od razu unosi lewą dłoń w geście zwycięstwa. Musiał tu przyjechać autobusem. To prawdziwy cud.

A na prawo, na przeciwległym chodniku, David Fontana, który ujrawszy mnie, wysiada z wielkiej terenówki i rusza mi na spotkanie. Tryskając energią, dynamicznym krokiem.

I nikogo innego.

Tylko nas trzech.

Obracam głowę w lewo, w prawo, szukam Nicole. Dziewczęta przyjdą wieczorem na kolację, ale Nicole? Gdzie jest Nicole?

Widok Fontany zmierzającego w moją stronę tak stanowczym krokiem wywołuje we mnie odruch ucieczki. Instynktownie robię krok w tył.

Ale również Charles już się ruszył. Fontana odwraca się i mierzy w niego palcem wskazującym. Onieśmielony Charles nieruchomieje na środku jezdni.

Fontana staje metr przede mną. Bije od niego absolutnie negatywna energia. Wiem już, że kiedy udaje, że się uśmiecha, jest jeszcze gorzej – dyszy okrucieństwem.

Udaje, że się uśmiecha.

– Mój klient wywiązał się ze swojej części umowy. Teraz pańska kolej.

Sięga do kieszeni.

– To są klucze. Klucze do pańskiego mieszkania.

Natychmiast zapala mi się światło ostrzegawcze.

– Gdzie jest moja żona?

– Ponieważ jeszcze go pan nie zna – dodaje, nie odpowiadając na moje pytanie – tutaj zanotowałem panu adres. I kod dostępu.

Wyciąga kartkę, którą od niego odbieram. Jego jasne oczy wpatrują się we mnie bez zmrużenia.

– Ma pan godzinę, Delambre. Godzinę na dokonanie przelewu na konto mojego klienta.

Wskazuje kartkę.

– Tu są dane mojego klienta.

– Ale...

– Zapewniam, że pana żona chciałaby jak najszybciej do pana dołączyć.

Chcę się czegoś przytrzymać, ale za plecami mam pustkę.

– Gdzie ona jest?

– Bez obaw, w bezpiecznym miejscu. To znaczy... bezpiecznym przez trzy godziny. Potem niczego nie gwarantuję.

Nie zostawia mi czasu na odpowiedź. Już wyjmuje komórkę. Odpływa cała krew z serca. Fontana słucha i bez słowa mi ją podaje. Mówię:

– Nicole?

Wymawiam jej imię, jakbym właśnie stanął na progu naszego domu i nigdzie nie mógł jej dostrzec.

– Alain...

Wymawia moje imię, jakby miała zaraz utonąć i starała się zachować zimną krew.

Na jej głos przechodzą mnie ciarki po krzyżu.

Fontana wyrywa mi telefon z ręki.

- Godzina - mówi.

- To niemożliwe.

Już zamierzał odejść, kiedy rzuciłem to spontanicznie. Zdecydowanym głosem. Fontana mierzy mnie spojrzeniem. Biorę głęboki wdech. Podstawowa zasada: mówić powoli, płynnymi zdaniami.

Teoria zarządzania nakazuje: wierzyć w swoje umiejętności.

- Pieniądze są ulokowane na różnych kontach, wyłącznie za granicą. Przy tych wszystkich strefach czasowych, różnych porach otwarcia giełd na świecie...

Pouczam się: wierz w to, co mówisz! Jesteś międzynarodowym specjalistą od finansów, a on jest zwykłym dupkiem. Ty wiesz. On nie wie nic.

- ...czasie niezbędnym do sprawdzenia stanu rachunku, sprzedaży akcji, dokonania przelewów, sprawdzenia haseł... Nie ma mowy. Na to trzeba minimum dwóch godzin. Powiedziałbym nawet trzech.

Czegoś takiego Fontana się nie spodziewał. Zastanawia się. Szuka jakiegoś cienia niepewności w moim spojrzeniu, kropli potu na moim czole, nietypowego rozszerzenia źrenic. Wreszcie patrzy na zegarek.

- To daje osiemnastą trzydzieści.

- Jaką mam gwarancję...?

Gwałtownie się odwraca. Wściekły.

- Żadnej.

Nie dostrzegł mojego popłochu. Ja natomiast właśnie wychwyciłem moment istotnego przechyłu: dla niego już nie jestem tylko zadaniem do wykonania, stałem się obiektem prywatnej nienawiści. Mimo całej jego fachowości kilka razy zapędziłem go w kozi róg. Traktuje teraz sprawę honorowo.

W kilka sekund jezdnia opustoszała. Charles, któremu udało się dowędrować do latarni, podejmuje wreszcie samodzielną przeprawę chodnikiem.

Kładę dłoń na jego ramieniu.

Już tylko Charles mi został.

Całujemy się. To śmieszne, ale pachnie wiśniówką. Już dobre dziesięć lat nie czułem tego zapachu.

- Coś mi się zdaje, że jesteś w tarapatach - mówi Charles.

- Chodzi o moją żonę, Nicole...

Sam nie wiem, co tu jeszcze robię. Powinienem już pędzić do najbliższego komputera, wejść do sieci, zgarnąć łopata kasę, napełnić kubek i wysypać do studni Exxyalu. Zamiast tego stoję w miejscu. W ręku trzymam klucze do naszego nowego mieszkania. Jest do nich przyczepiona mała plastikowa plakietka, taka jak przy pękach kluczy w agencji nieruchomości. Spoglądam na adres. Dobry Boże, przecież to niedaleko avenue de Flandre. Same bloki i wieżowce. Już ze zdjęć można było się domyślić. To sprawia, że podejmuje decyzję.

- Twoja żona nie przyszła? - pyta Charles.

Myśląc o tych pieniądzach, dwadzieścia, sto, tysiąc razy wyobrażałem sobie wytworny apartament, jaki zafundujemy sobie z Nicole, i piękne mieszkania dla naszych córek.

- Nie przejmuj się, na pewno czeka w domu...

Już widzę w nim nasze koszarne meble kuchenne. W salonie dywany spłowiały jak jej sweter. Cholera. Po tym, co przeszliśmy, wszystkiego jednak nie oddam. Rouen to dwie godziny jazdy. Da się zrobić. Mam trzy godziny. Nie zrobią jej nic złego. Nie mogą. Nie tkną jej. Ale najpierw muszę do niej zadzwonić.

- Masz komórkę?

Charles nie za bardzo nadąża.

- Twoja komórka.

Dociera do niego. Zaczyna szukać telefonu, zajmie mu to chyba ze dwa lata.

- Pomogę ci.

Wkładam dłoń do kieszeni, w stronę której zmierzała jego ręka. Wybieram numer Nicole. Przypomina mi się jej aparat, stary grat, z którym za żadne skarby nie chciała się rozstać. Lucie i Mathilde od lat z niej kpiły. W pomarańczowej obudowie, horror, prawie pierwsza generacja, waży z tonę, ledwie się mieści w dłoni. Drugiego takiego nie ma na całym świecie. Mówi zawsze: zostawcie w spokoju moją starą komórkę, jest moja i świetnie działa. Ale kiedy padnie - czy stać ją będzie na kupno nowej?

Głos kobiety. To musi być Yasmine, młoda Arabka z akcji z zakładnikami.

- Dzwonisz do żony? - pyta Charles.

- Chcę rozmawiać z żoną! - wrzeszczę.

Dziewczyna waży za i przeciw. Mówi: „Chwileczkę”.

Wreszcie Nicole.

- Nie skrzywdzili cię?

Tak brzmi moje pierwsze pytanie. Bo mnie już skrzywdzili, i to bardzo. Czuję mrowienie we wszystkich palcach. Nawet w tych już niesprawnych.

- Nie - mówi Nicole.

Ledwie poznaję jej głos. Zupełnie bezdźwięczny. Jej strach jest wręcz namacalny.

- Nie chcę, żeby cię skrzywdzili, Nicole. Nie bój się. Nie powinnaś się bać.

- Mówią, że chcą pieniędzy... Jakich pieniędzy, Alain?

Płacze.

- Zabrałeś im pieniądze?

To zbyt skomplikowane, żeby jej teraz wyjaśniać.

- Dam im wszystko, czego chcą, Nicole, przyrzekam ci. A ty mi przyrzeknij, że cię nie tkną!

Nicole nie może mówić. Płacze. Mówi coś, czego nie rozumiem. Próbuję utrzymać kontakt.

- Wiesz, gdzie jesteś, Nicole? Powiedz mi, czy wiesz, gdzie jesteś?

- Nie...

Mówi to jak mała dziewczynka.

- Skrzywdzili cię, Nicole?

- Nie...

Tylko raz słyszałem ją tak płaczącą. To było przed sześciu laty, kiedy umarł jej ojciec. Osunęła się wtedy na podłogę w kuchni i płakała, wyrzucała z siebie bezładne słowa, straszliwą rozpacz, i ten sam głos, wysoki, przypominający krzyk.

- Wystarczy - mówi Arabka.

Odbiera telefon Nicole. Przerywa połączenie. Stoję jak wmurowany w chodnik. Ta cisza ma w sobie brutalną nieodwracalność.

- To była twoja żona? - pyta Charles, jak zawsze o dwie długości do tyłu. - Jesteś w tarapatach, co?

Charles to miły gość. Nie zajmuję się nim, nie odpowiadam mu na pytania, a on wciąż cierpliwie ze mną stoi. Zamarynowany w swoim wiśniowym zapachu. Zatroškany o mnie.

- Potrzebuję samochodu, Charles. Teraz, natychmiast.

Charles aż zagwizdał. Faktycznie, nie będzie to proste. Mówię:

- Słuchaj, zbyt długo byłoby ci wyjaśniać...

Powstrzymuje mnie. Gestem prostym, niemal precyzyjnym. Nie sądziłem, że go jeszcze na coś takiego stać.

- Mną się nie przejmuj!

Krótką chwilą ciszy. A potem:

- Dobra - mówi.

Wyciąga z kieszni kilka zmiętych banknotów i zaczyna je wygładzać z zamiarem policzenia.

- Taksówki są tam - mówi, ruchem głowy wskazując jakiś punkt za sobą.

Co do mnie, to nie muszę liczyć, wiem, ile mi przed chwilą wręczyli w kancelarii więziennej. Mówię:

- Mam dwadzieścia euro.

- A ja... - liczy Charles, zataczając się.

Trwa to mnóstwo czasu.

- Też dwadzieścia! - woła nagle. - Tyle samo!

Potrzebuje dobrej minuty, by uwierzyć w tak niesamowite odkrycie.

- Na cały bak nie wystarczy, ale powinno się udać.

48

Taksówka szybko dojechała. Jestem ogromnie podekscytowany, adrenalina w moich żyłach nie krąży, a galopuje. W dziesięć minut założyłem lewar pod renault 25 Charles'a, usunąłem klocki i z powrotem postawiłem go na kołach. Charles kiwa się w przód i w tył, jak zwykle trochę nie nadążając. Dla niego wszystko dzieje się straszliwie szybko. Tak szybko, że o piętnastej czterdzieści pięć, po zatankowaniu na stacji obok Leclerca na końcu jego ulicy, mijamy już Porte Maillot i pięć minut później wyskakujemy na autostradę. Nie ma korków. Mam wrażenie, że układ kierowniczy w samochodzie jest trochę obluźowany. A to, że mam tylko połowę sprawnych palców, nie ułatwia sprawy. Porównuję czas na zegarku i na tablicy rozdzielczej.

- Och, jest w porządku - mówi Charles, spoglądając na swój babiloński czasomierz - nie przyspieszy nawet o minutę na kwartał.

Szybki rachunek. To mi daje nieco ponad dwie godziny. Dzwonię do informacji, proszę o połączenie z rafinerią Exxyalu w Sarqueville. „Łączę”, mówi chłopak. Proszę do telefonu Paula Cousina. Rozmawiam najpierw z jedną dziewczyną, potem drugą. Powtarzam, że chcę rozmawiać z Paulem Cousinem.

Nie ma go.

Gwałtownie hamuję.

Charles ściska swoją butelkę wiśniówki między udami, odwraca się najszybciej, jak potrafi, i patrzy przez tylną szybę, czy nie najeżdża na nas jakaś ciężarówka.

- Jak to, nie ma go?

- Jeszcze go nie ma.

- Ale dziś pracuje?

Dziewczyna sprawdza w swoim kalendarzu.

- Tak, ale będzie dość zajęty.

Rozłączam się. Dla mnie będzie. Zebranie nie zebranie, spotkanie nie spotkanie, ale będzie. Odpędzam od siebie obraz Nicole, głos Nicole, nie wiem, gdzie ją trzymają, ale do osiemnastej trzydzieści nic jej nie zrobią. Do tej pory załatwię sprawę.

Pieprzyć cię, Fontana.

Zaciskam zęby. Gdybym mógł, zacisnąłbym również palce na kierownicy, aż popękałyby mi stawy, już i bez tego w strzępach.

Charles wpatruje się w autostradę. Chowa z powrotem swoją butelkę wiśniówki pod siedzenie. Ogromne chromowane rury odgrywające rolę zderzaków sięgają do wysokości jednej trzeciej przedniej szyby, zasłaniając część drogi. Nie wiem, co na to powiedzą gliny, jeśli nas zatrzymają. Nawet prawa jazdy nie mam przy sobie.

Teoretycznie lokum Charles'a to volvo 6 turbo, sześciocyndrowe o pojemności 2458 centymetrów sześciennych. Teoretycznie. W rzeczywistości wyciąga góra sto dziesięć kilometrów na godzinę i trzęsie się jak lądujący boeing. Równie głośno hałasując. Ledwie się słyszymy. Zjeżdżam na lewy pas.

- Śmiało! - zachęca Charles. - Nie boi się szybkości.

Nie chcę być niemły i nie powiem mu, że więcej z wozu nie wycisnę. Byłby rozczarowany. Jedziemy kołysani hałasem silnika. W samochodzie cuchnie wiśniówką.

Po godzinie stukam palcem w tarczę. Wskaźnik poziomu benzyny opada tak szybko, że aż trudno uwierzyć.

- A tak! - mówi Charles. - Trochę ciągnie.

Trochę! Pożera dwanaście litrów na sto. Szybki rachunek. Może wystarczyć, ale na styk. Staram się za wszelką cenę wypędzić Nicole z moich myśli. Mam pewność, że im dalej od Paryża, tym bardziej się do niej zbliżam. Tym bliższy jestem uratowania jej.

Do kurwy nędzy, uda mi się.

Ściskam kierownicę, bo naprawdę niebezpiecznie znosi.

- Boli? - pyta Charles, wskazując na moje bandażę.

- Nie, to akurat nie...

Charles w milczeniu przytakuje. Tak jakby rozumiał, co chcę przez to powiedzieć. A do mnie dociera, że od momentu, kiedy uniósł rękę na przywitanie, widząc mnie wychodzącego z aresztu, zdążyłem mu zabrać komórkę, dwadzieścia euro, samochód i wciągnąłem go w tę awanturę bez słowa wyjaśnienia. A on o nic nie zapytał. Odwracam się do niego. Wygląda przez okno. Widok jego twarzy chwyta mnie za serce.

Charles jest piękny. Trudno to nazwać inaczej.

Jest wielkoduszny.

- Muszę ci wyjaśnić...

Nie odrywając wzroku od krajobrazu za oknem, unosi lewą dłoń, jakby chciał powiedzieć: rób, jak chcesz, kiedy chcesz, jeśli chcesz. Nie przejmuj się.

Jest bardzo wielkoduszny.

Więc mu opowiadam.

A wtedy znów wszystko do mnie wraca. Nicole. Te ostatnie lata, ostatnie miesiące. Znów przypominam sobie ową niemądrą nadzieję, że w moim wieku mogę znaleźć pracę, twarz Nicole, i to, jak stoi w drzwiach mojego gabinetu, trzymając w prawej ręce list, i mówi: „Ależ kochanie, to nadzwyczajne!”. Charles kiwa głową, skupiony, zapatrzony na uciekającą autostradę. Testy, rozmowa z Lacoste'em, moje szaleńcze przygotowania.

- O kurde, no naprawdę... - mówi z podziwem Charles.

Mój upór. Gniew Nicole, pieniądze Mathilde, znokautowanie jej męża. Wzięcie zakładników, opowiadam mu wszystko.

- O kurde, no naprawdę... - potwierdza Charles.

Zanim zdąży przetrwać informacje, przejeżdżamy następne trzydzieści kilometrów.

- Ten twój Fontana - pyta - to ten napakowany gość o stalowych oczach?

Zauważył go na procesie. Na nim też zrobił wrażenie.

- Facet zawsze jest w pogotowiu! Byli z nim jacyś ludzie. Prawdziwy twardziel. Mówisz, że jak się nazywa?

- Fontana.

Charles przez długą chwilę medytuje nad tym nazwiskiem. Mruczy pod nosem „Fontana...”, jakby przeżuwał sylaby.

Wskaźnik poziomu paliwa coraz szybciej opada. To niewiarygodne. Zupełnie jakby w baku była dziura.

- Pali co najmniej dwanaście litrów na sto.

Charles nie bardzo w to wierzy.

- Powiedziałaabym, że piętnaście - oświadcza w końcu.

Możliwe nawet, że to przy Renault 25 oznacza dwadzieścia pięć litrów. Temat konsumpcji tu się nie kończy. Charles wyciąga do mnie butelkę, ale zaraz się mityguje.

- Nie, przecież prowadzisz.

Na próżno wszystkie moje wysiłki, żeby skoncentrować się na czym innym - wspomnienie Nicole i jej płaczu przez telefon nie daje mi spokoju. Jestem pewny, że jej nie skrzywdzili. Pewnie czekali na nią na parterze budynku. Poziom adrenaliny znów we mnie gwałtownie skacze. Wyobrażam sobie Nicole na krześle, sznury. Nie, to bzdura, jeszcze przez kilka godzin zachowa swobodę ruchów. Po co miałiby ją związywać. Nie. Tylko jej pilnują. Gdzie, w jakim miejscu? Nicole. Robi mi się słabo. Koncentruję się na prowadzeniu. Paul Cousin. Sarqueville. Wszystkie myśli powinienem skupić na tym. Jeśli tu wygram, po prostu wygram. Nicole wróci. Do mnie.

Okłamałem ich: na przelanie pieniędzy wystarczy pół godziny. O tej porze mogłyby już leżeć z powrotem na koncie Exxyalu.

Nicole byłaby wolna.

Jednak teraz oddalam się od niej z taką szybkością, na jaką pozwala samochód.

Czyżbym naprawdę oszalał?

- Nie trzeba płakać, staruszkule... - mówi Charles.

Nawet nie zauważyłem, że płaczę. Ocieram rękawem policzki. Ten garnitur. Nicole...

Sto jedenaście kilometrów. Na wysokości Criquebeuf wskaźnik paliwa zaczyna gasnąć jak świeca.

- On nie pali piętnastu litrów, Charles. Moim zdaniem pali znacznie więcej.

- Możliwe.

Pochyliła się nad wskaźnikiem.

- No nie, faktycznie! Trzeba się będzie zastanowić...

Tablica zapowiada stację benzynową za sześć kilometrów.

Jest siedemnasta.

Zostało nam cztery euro i kupa złomu.

Kilka minut później renault zaczyna się krztusić. Charles się krzywi. Zaraz znowu zacznę płakać. Jak wariat walę w kierownicę.

- Coś wymyślimy - zapewnia mnie Charles.

Akurat. Samochód wykonuje coraz gwałtowniejsze podskoki, zjeżdżam na prawy pas, zdejmuję nogę z pedału, chcąc zyskać jeszcze ostatnie sekundy, silnik gaśnie, z rozpędu dotaczam się do zjazdu na stację. Możemy zatankować benzyny za cztery euro. Samochód nie zatrzymuje się; on się rozpada, zdycha. Milczymy przygnębieni. Patrzą, która godzina. Nie mam już pomysłu, co dalej. Nawet gdybym się rozmyślił i chciał natychmiast przelać pieniądze, gdzie i jak miałbym to zrobić?

Co więcej, nie wiem, gdzie jesteśmy. Mina Charles'a wskazuje, że on też nie wie.

- Nie! Tam! - woła nagle, pokazując autostradę za nami.

- Widziałem: Rouen, dwadzieścia pięć kilometrów!

Czyli sześćdziesiąt do Sarqueville. W samochodzie ani kropli paliwa.

Nicole.

Zastanowić się.

Nijak nie mogę zebrać myśli. Wszystkie blokuje obraz Nicole i jej głos przez telefon. Nawet nie zauważyłem, kiedy Charles otworzył drzwi i wysiadł. Wędruje teraz chwiejnym krokiem w kierunku stacji benzynowej. Zastanowić się. Autostop. Tylko to zostaje. Wsiadam i biegnę za Charles'em, który zdążył już podjąć pertraktacje z jakimś ogromnym czerwoniczym blondynem w brudnym kaszkiecie. Podchodzę do nich. Charles pokazuje na mnie i mówi:

- To ten mój kumpel.

Facet na mnie patrzy. Patrzy na Charles'a. Musimy obaj wyglądać dość nieszczególnie.

- Jadę za Rouen - oświadczam wreszcie.

- Sarqueville - mówię.

- Przejedzam obok.

Charles zaciera ręce.

- Możesz zabrać mojego kumpla?

I właśnie wtedy uświadamiam sobie jego siłę, siłę mojego Charles'a. Nikt mu się nie oprze. Jego szczerość rozbraja. Przepenia go życzliwość.

- Nie ma sprawy - mówi gość.

- No to komu w drogę... - mówi Charles, znów zacierając ręce.

Facet przestępuje już z nogi na nogę. Ściskam dłoń Charles'a. Dostrzega moje zakłopotanie.

- Nie przejmuj się.

Szukam po kieszeniach. Cztery euro. Wręczam mu je.

- A ty?

Nie czekając na odpowiedź, oddaje mi trzy.

- Braterski podział - żartuje.

Kierowca mówi:

- No, chłopaki, przykro mi, ale...

Całuję Charles'a. Ten zdejmuje swój ogromny czasomierz z jaskrawozielonym paskiem i mi go wręcza.

Zakładam zegarek i ściskam Charles'a za ramię. Odwraca głowę i daje mi znak, że kierowca czeka.

W bocznym lusterku widzę, jak unosi dłoń w indiańskim geście i znika.

To ciężarówka z naczepą. Facet przewozi papier. Ciężki ładunek. Będziemy się wlec po autostradzie. Czyżbym właśnie popełniał samobójstwo?

Nicole.

Przez całą drogę facet respektuje moje milczenie. A ja nieustannie mam przed oczami obraz Nicole. Niekiedy myślę sobie, że już nie żyje, ja zaś ją wspominam. Z całej siły bronię się przed tym uczuciem. Próbuję skupić uwagę na czym innym. Wiadomości. „W tym roku spodziewano się sześciuset trzydziestu dziewięciu tysięcy bezrobotnych. Minister pracy przyznaje, że ilość ich będzie nieco większa”. Co za uczciwość z jego strony.

I kiedy wysiadam z ciężarówki pod tablicą z napisem *Sarqueville 8 km*, jest siedemnasta trzydzieści. Została mi godzina.

Muszę zadzwonić. Wchodzę do budki telefonicznej przy zjeździe z autostrady. W środku śmierdzi papierosami. Wrzucam dwie monety.

Odbiera Fontana.

- Chcę rozmawiać z żoną.

- Zrobił pan, co trzeba?

Słyszę go, jakby stał obok. Mój umysł pracuje z prędkością stu tysięcy obrotów na minutę.

- Jestem w trakcie. Chcę rozmawiać z żoną!

W tym momencie spoglądam na wykaz numerów kierunkowych wszystkich krajów oraz instrukcję obsługi aparatu i od razu uświadamiam sobie swój błąd.

- Skąd pan dzwoni? - pyta Fontana.

Podwajam wydajność umysłu: dwieście tysięcy obrotów na minutę.

- Z internetu, czemu pan pyta?

Milczenie, a potem:

- Przekazuję jej słuchawkę.

- Alain, gdzie jesteś?

Zalękniony głos Nicole oddaje całą jej rozpacz. Natychmiast zaczyna płakać.

- Nie płacz, Nicole, niedługo po ciebie przyjadę.

- Kiedy?...

Gdybym mógł na to odpowiedzieć!

- Bardzo szybko, obiecuję.

Ale dla niej to już za wiele, nie powinienem był dzwonić. Zaczyna krzyczeć:

- Ale gdzie ty jesteś, Alain! Do cholery, gdzie jesteś?

GDZIE JESTEŚ?

Ostatnie słowa toną pośród szlochu, załamuje się, słysząc tylko jej płacz.

- Przyjadę, najdroższa, niedługo przyjadę.

Mówię to, znajdując się o całe lata świetlne od niej.

Z powrotem głos Fontany.

- Mój klient wciąż nic nie otrzymał. Co pan konkretnie robi?

Gorąco i zimno. Ekran zaczyna migotać. Wrzucam kolejną monetę. Wskaźnik opłaconego czasu opada równie szybko jak wskaźnik paliwa w renault. Jakże wszystko podrożało. Jestem wykończony.

- Już mówiłem: potrzebuję trzech godzin.

Rozłączam się. Numer musiał się wyświetlić i sprawdzi, skąd dzwoniłem. Za niecałe pięć minut będzie wiedział, że jestem niedaleko Rouen. Czy coś skojarzy? Oczywiście, że tak. Czy zrozumie, co to naprawdę znaczy? Nie sądzę.

Siedemnasta trzydzieści.

Biegnę do rogatek na autostradzie. Podchodzę z prawej strony do pierwszego samochodu. Kobieta. Pochyliam się i pukam w szybę. Przestraszona odwraca się do dziewczyny w okienku, odbiera resztę i pędem odjeżdża.

- Czego pan chce? - pyta dziewczyna z budki.

Jakieś dwadzieścia pięć lat. Gruba.

- Zabrakło mi benzyny.

I pokazuję ręką autostradę. Dziewczyna mówi: „Ach”.

Dwa następne samochody nie chcą mnie zabrać. W moich uszach wciąż rozbrzmiewa: „Gdzie jesteś?”. Czuję, że dziewczyna zaczyna się denerwować, widząc, że wciąż stoję i zatrzymuję samochody.

Furgonetka. Poczciwa psia facjata. Szukam w myślach. Seter. Czterdzieści lat. Nachyla się, otwiera mi drzwi. Spoglądam na zegarek.

Gdzie jesteś?

- Spiesz się?

- Raczej tak.

- Zawsze tak jest. Tyle że jak człowiek się spieszy...

Nie słucham dalszego ciągu. Mówię: Sarqueville. Rafineria. Osiem kilometrów.

Wjeżdżamy do miasta.

- Podrzucę pana - proponuje seter.

W mieście jest pusto, nie ma ludzi na ulicach, sklepy pozamykane i wszędzie transparenty. „Nie likwidacji zakładów!”, „Sarqueville przetrwa!”, „Sarqueville tak! Sarkoville nie!”

Widzę, że Paul Cousin przystąpił do działania. Już odwalił kawał roboty.

- Teraz miasto jest puste. Na jutro przygotowują manifest.

To mój dzień. Gdzie może być Cousin? Przypominam sobie wahanie dziewczyny w telefonie.

- Kiedy?

- Manifest? W dzienniku mówili, że o szesnastej - odpowiada facet, wysadzając mnie przed bramą. - Chcą, by pokazali ich protestujących przed rafinerią w wieczornym dzienniku na France 3.

Mówię: „Dziękuję”.

Rafineria to monstrum składające się z rur, przewodów, instalacji napowietrznych, ogromnych zaworów i rurociągów najróżniejszej średnicy. Niebotyczne kominy wznoszą się w niebo. Na zbiornikach migoczą czerwone i zielone światła. Widok zapierający dech w piersiach. Obiekt

wygląda jak uśpiony. Wstrzymanie produkcji. Na wietrze ospale łopoczą transparenty. Te same slogany co w mieście, ale tutaj, na tle ogromu zakładu, wyglądają groteskowo. Nad wszystkim górują rurociągi. Pompatyczne hasła zapowiadają walkę, która z góry wygląda na przegraną.

Paul Cousin wykonał dobrą robotę: tłum poparska, pojęczy, powścieka się i popiekli, ale wszystko rozejdzie się po kościach. W samej rafinerii ani jedna opona nie zapłonie, nie widać barykad z palet, samochodów blokujących bramy, strajkowych pikiet grillujących kiełbaski przy koksownikach. Ani jednej ulotki walającej się na ziemi.

Waham się pół sekundy i zdecydowanych krokiem przechodzę przez barierkę. Nie udało się.

- Proszę pana!

Odwracam się. Strażnik.

Alain? Gdzie ty jesteś?

To prawda, co ja tutaj robię? Zbliżam się do budki, wchodzę po dwóch schodkach. Strażnik spogląda na mój garnitur nie pierwszej świeżości.

- Przepraszam. Mam spotkanie z panem Cousinem.

- Pana nazwisko...? - pyta, podnosząc słuchawkę.

- Alain Delambre.

Kiedy Cousin usłyszy moje nazwisko, zawaha się, ale mnie przyjmie. Spoglądam na zegarek Charles'a. Strażnik patrzy na swój. Z tym odjechanym zegarkiem i w sfatygowanym garniturze nie wyglądam na faceta mającego spotkanie z dyrektorem. Czas pędzi z szaloną szybkością. Z nonszalancką miną robię kilka kroków przed budką.

- Jego sekretarka mówi, że nie ma pana na liście umówionych osób. Przykro mi.

Widząc gest, z jakim strażnik, patrząc na mnie, rozkłada ręce, wiem już, że mam do czynienia z osobnikiem upartym. Z tych, którzy wierzą w swoją misję. Tacy są najgorsi. Wszczywanie z nim dyskusji może źle się skończyć.

W takiej sytuacji należałoby zrobić zdziwioną minę, wyciągnąć telefon i zadzwonić do biura rafinerii, żeby

wyjaśnić sytuację. Strażnik nie spuszcza ze mnie oka. Przypuszczam, że uważa mnie za kloszarda. Byłby szczęśliwy, gdybym próbował sforsować barierkę. Odwracam się, odchodzę kilka kroków, udaję, że wydaję z kieszeni komórkę. Unoszę w górę głowę jak ktoś, kto w czasie rozmowy zastanawia się, i z zaaferowaną miną stopniowo się oddalam. Do zakładów prowadzi tylko jedna asfaltowa droga w kształcie litery S. Ruch na autostradzie w oddali coraz bardziej gęstnieje, ale tutaj nie ma nikogo. Przez cały czas udaję, że z ożywieniem rozmawiam, dochodzę do miejsca, skąd strażnik nie może mnie zobaczyć. Gdyby przejeżdżały tu samochody, mógłbym się jakoś przemknąć, ale z tej strony rafinerii, gdzie się teraz znajduję, ruch jest zerowy. Siedemnasta czterdzieści pięć. Nieco ponad trzy kwadranse. Tak czy inaczej już za późno. Nawet gdybym chciał się wycofać, już bym nie mógł.

Alain?

Gdzieś tam jest Nicole i zabójcy. Płacze. Skrzywdzą ją. Czy jej też połamią palce?

Paul Cousin nieosiągalny.

Nie mam nawet centa, nie mam telefonu.

Nie mam samochodu.

Jestem sam. Zrywa się wiatr. Zaraz zacznie padać.

Nie mam najmniejszego pojęcia, co robić.

Alain?

Gdzie jesteś?

49

Wrócić do Sarqueville, włączyć się po ulicach – cóż by to dało? To tak, jakbym liczył, że akurat wtedy Paul Cousin będzie w mieście, odwiedzając cmentarz przed bitwą. Przepęduję z nogi na nogę.

Wzdłuż całej długości rafinerii biegnie autostrada. Ruch na niej coraz bardziej gęstnieje. W przewidywaniu jutrzejszej manifestacji w okolicach zaczynają się kręcić samochody żandarmerii. I wozy CRS³. Wszystkie kierują się do miasta. Przy rafinerii panuje cisza i spokój. Tuż po osiemnastej zaczyna padać deszcz.

W kilka minut robi się ulewa.

Znajduję się na ziemi niczyjej.

Muszę koniecznie skontaktować się z Nicole.

Nie. Z Fontaną.

Muszę znaleźć jakiś powód, żeby mi przedłużyli termin.

Nie znajduję żadnego.

Deszcz leje coraz mocniej, unoszę kołnierz marynarki, zawracam w stronę rafinerii, próbując coś wymyślić, zgłębiając techniczny arsenał teorii zarządzania.

Stawiać hipotezy. A gdyby... a gdyby... ale to nie działa.

Lista możliwości. Próbuję liczyć, żadna mi nie przychodzi do głowy.

W gruncie rzeczy umysł odmawia mi posłuszeństwa. Znow stoję przed budką strażnika. Wyglądam jak bezrobotny opuszczający więzienie. Jean Valjean.

Strażnik przygląda mi się przez zalane deszczem szyby. Nie rusza się. Staję na palcach, stukam w szybę. Nie reaguje. Po prostu stoi. Nie do wiary... Znow stukam.

Wreszcie podejmuje decyzję. Otwiera drzwi. Bez słowa. Dopiero teraz widzę, że jest mniej więcej w moim wieku. Mniej więcej mojego wzrostu. Ma wąsy, ale oprócz tego wyglądamy prawie tak samo. Prawie. Moja marynarka jest doszczętnie przemoczona, deszcz siąpi mi za kołnierz. Spływa mi po twarzy, muszę mrużyć oczy, żeby widzieć strażnika, który nadal stoi bez ruchu w otwartych drzwiach i na mnie patrzy.

- Proszę posłuchać...

Deszcz, mój ociekający wodą garnitur, brak krawata, moja postawa, moja zabandażowana dłoń zaciśnięta na kołnierzu marynarki, moje upokorzenie, wszystko we mnie wskazuje na rozbitka. Pochyliła głowę, nie wiem, co znaczy ten ruch.

To strażnik. Koło sześćdziesiątki. Jesteśmy rówieśnikami.

Alain?

Zostało mi pół godziny. Nie wiem, co mógłbym jeszcze zrobić, żeby uratować sytuację. Wiem tylko tyle, że droga prowadzi przez niego. Jest jedyną żywą istotą stojącą między mną i życiem.

Ostatnią.

Gdzie jesteś?

- Proszę posłuchać... - powtarzam. - Muszę zatelefonować. W bardzo pilnej sprawie.

Już wiem. Wysiadła bateria. Moja komórka się rozładowała. W hałasie deszczu, który łomocze o jego budkę, nie usłyszał mnie. Podchodzę bliżej. Wysuwa lekko głowę na zewnątrz, nachylając się w moją stronę. Poczawszy na szyi kilka kropli wody, podskakuje, gwałtownie się cofa i ze złością kładzie dłoń na karku. Znow na mnie patrzy.

- Spieprzaj pan! I to natychmiast!

Tak powiedział.

I zamyka z hukiem drzwi. Wkurzyło go, że deszcz zamoczył mu kołnierzyk koszuli. To mu zepsuło humor.

A więc żadnej pomocy, żadnego telefonu, żadnego gestu. Nicole może cierpieć, ja mogę zdechnąć, rafineria może zwalniać ludzi, miasto może opustoszeć, świat mogą diabli wziąć. On zamknął drzwi. Pewnie jest jednym z tych, których ominęły zwolnienia.

To już koniec. Za kilka minut Fontana podejdzie do Nicole, wlepi w nią swoje stalowe spojrzenie. Wszystko było błędem. Jestem dwieście kilometrów od niej. Będzie straszliwie cierpiała.

Strażnik stoi wpatrzony w dal jak kapitan statku towarowego. I z całą pewnością wiem jedno: ten człowiek reprezentuje wszystko, czym się brzydę, czego nienawidzę.

Jedyne, co sensownego mogę zrobić teraz, to go zabić.

Wypuszczam kołnierz marynarki, wbiegam po dwóch schodkach, otwieram drzwi, facet cofa się o krok, rzucam się na niego.

Jest wrogiem, jeśli go zabiję, będziemy uratowani.

Mojej pięści lądującej na jego twarzy towarzyszy obraz Nicole siedzącej, związanej, z ustami zaklejonymi szerokim skoczem. Ktoś trzyma ją za rękę, zaraz połamie jej wszystkie palce, strażnik upada, uderza tyłem głowy w konsolę, jego fotel toczy się w stronę drzwi, Fontana, patrząc Nicole prosto w oczy, mówi: „Powinna pani wiedzieć, że nie może liczyć na swojego męża” i jednym ruchem łamie jej wszystkie palce, Nicole wrzeszczy. Z moich ust wyrywa się zwierzęcy, pradawny krzyk, kiedy strażnikowi udaje się przyłożyć mi kolaniem w podbrzusze. Krzyczymy oboje, Nicole i ja. Oboje jesteśmy złani potem. Oboje skręcamy się z bólu. Oboje razem umrzemy, wiem to od samego początku. Od początku. Umrzemy. Robię trzy kroki w tył, strażnik podnosi się, Nicole mdleje, *Alain, gdzie jesteś?*, ale Fontana klepie ją po policzku, mówiąc: „Niech się pani ocknie, została nam druga ręka”, strażnik uderza mnie, nie wiem czym, ale odrzuca mnie aż pod drzwi, pociągam swoim ciężarem fotel na kółkach, który

przewraca się i wyrzuca mnie na zewnątrz, tracę równowagę, spadam po schodkach, ląduję plecami na zalanym deszczem betonie, ból jest tak straszny, że Nicole nie może nawet patrzeć na swoje ręce, uderzam głową, Nicole cierpi tak, że nie może już nawet krzyczeć, z jej gardła nie dobywa się żaden dźwięk, oczy ma wytrzeszczone, nieprzytomne z bólu, *Alain?* głową walę w beton raz, zamykam oczy, drugi raz, wszystko nieruchomieje, obejmuję rękami głowę, nie czuję już nic, jestem tylko ciałem, wyzionąłem już ducha, od samego początku byłem nieżywy, przesuwam dłońią po oczach, próbuję zrozumieć, w jakiej pozycji się znajduję, chcę obrócić się na bok, ale nie mogę, mogę tu umrzeć, w gardle czuję spaliny, z trudem otwieram oczy, widzę wylot chromowanej rury wydechowej, grube opony samochodu, srebrzystą felgę, potem idealnie wypastowane buty, obok stoi jakiś mężczyzna, przecieram powieki, unoszę wzrok, nade mną stoi jakaś postać na szeroko rozstawionych nogach, naprawdę bardzo, bardzo wysoka.

Chuda.

Potrzebuję dwóch sekund, żeby go rozpoznać.

Paul Cousin.

50

Deszcz leje jak z cebra, spływa po przedniej szybie, wszystko tonie w mleczonej nieokreśloności. Światło jest ołowiane, ponure. Myślę o manifestantach po drugiej stronie autostrady, którzy przygotowują się na jutrzejszy dzień i pewnie obserwują niebo. Zachmurzone, zda się, na co najmniej jedno pokolenie. Paul Cousin może być spokojny; nawet żywiły są po jego stronie. Jak w dzień Sądu Bożego.

Święty Cousin siedzi za kierownicą. Nie zwraca uwagi na wycieraczki, lecz patrzy surowym okiem kwakra na mój garnitur, z którego woda ścieka na wykładzinę jego samochodu. Trzęsę się na całym ciele. Dlatego że nie jestem z Nicole. Nicole jest z Fontaną. A ja, zgubiony, jestem tutaj. Krwawi mi tył głowy, mam trudności z oddychaniem, musiały mi popękać żebra. Zdjąłem marynarkę i zwiniętym w kłębek rękawem tamuję krew. Cousin patrzy na to z nieskrywanym niesmakiem.

Uspokoił strażnika.

Jesteśmy na parkingu rafinerii. Wytworna limuzyna. Cousin położył obie ręce na kierownicy. To pozycja osoby, która postanawia zachować cierpliwość, ale wyraźnie daje do zrozumienia, że lepiej tej cierpliwości nie nadużywać. Pytam:

- Nie mógłby pan tego wyłączyć?

W tej klimatyzacji kostnieję z zimna. Jestem złodowaciały. Takie polarne zimno jest bardzo w stylu Cousina. Już go widzę, jak naciera sobie śniegiem klatkę piersiową. Ma w sobie coś z wielebnego Dimmesdale'a.

Luksusowa deska rozdzielcza, luksusowy samochód.

- Wóz służbowy?

Cousin nawet nie drgnie. Oczywiście, że wóz służbowy. Po raz drugi widzę go z tak bliska: ma głowę wprost zdumiewającej wielkości. Aż strach bierze. Postanawiam sobie nie wdawać się od razu w awanturę. Dwadzieścia minut. Jakiś święty od spraw przegranych przed chwilą cudem mnie uratował; nie mogę zachować się znów tak jak przy strażniku i spieprzyć swojego ostatniego podejścia. Mobilizuję się. Koncentruję na przerażeniu Nicole.

Nie mogę spieprzyć tych ostatnich minut.

Cousin się niecierpliwi.

- Mam jeszcze co innego do roboty! - rzuca wreszcie szorstkim tonem.

Gdyby tak faktycznie było, nie siedzielibyśmy tu teraz w jego samochodzie, w ulewnym deszczu, w dniu, kiedy cały region mobilizuje się przeciwko planowi socjalnemu, który on ma wdrożyć z pomocą sił porządkowych. To nielogiczne.

Milczę, bo wiem, że Cousin jest niespokojny. Miałbym wielką ochotę działać szybko, jak najszybciej, ale w ten sposób wszystko bym spałał.

Ostatnim razem Cousin widział mnie wczoraj, na ławie oskarżonych. Z polecenia swojego prezesa zeznawał na moją korzyść. I oto dwadzieścia cztery godziny później spotyka mnie bijącego się ze strażnikiem w strajkującej rafinerii Exxyalu, wyglądającego na mocno poturbowanego. To nie wróży nic dobrego. Skoro się tu znalazłem, to po to, żeby żądać. I to świętego Pawła dziwi. Od chwili, gdy ujrzałem go wchodzącego na salę sądową, wiem, że jest na mnie bardzo zły. Bo zrozumiał, że dał się wrobić. Tyle że nie wie do jakiego stopnia i to go intryguje. Korci go, żeby się dowiedzieć. Bo w rzeczywistości to on powinien żądać. Oddał mi przysługę. Aktywnie uczestniczył w moim uwolnieniu; ewidentnie muszę być protegowanym jego prezesa, który tyle dla mnie zrobił. Ale Cousin nie wie, czego żądać. Dla niego spotkanie mnie tutaj, w tak

opłakanym stanie, kłóci się ze wszystkim. W końcu moja cierpliwość popłaciła. Ruszył głową.

- Podczas wzięcia zakładników - pyta - celowo pozwolił mi pan uciec, prawda?

- Powiedzmy, że nie miałem nic przeciwko temu.

- Mógł pan do mnie strzelić.

- Nie byłoby to w moim interesie.

- Ponieważ zależało panu, żeby ktoś uciekł i zawiadomił policję. Nieważne kto. Ja czy kto inny.

- Tak, ale wolałem, żeby to był pan.

Sprawdzam rękaw marynarki, rana jeszcze krwawi, znów przykładam go do głowy i mocno przyciskam. Cousina denerwuje, że tak się z sobą cackam. Przez to zmuszony jest czekać. Staram się nie spieszyć, to bardzo trudne, bo mój wzrok nieustannie wędruje ku zegarowi na desce rozdzielczej. Nicole. Minuty płyną. Z niedbałą miną mówię:

- Ucieszyłem się, że wyszedł pan na bohatera dnia w oczach swojego prezesa. Tego właśnie pan potrzebował, żeby wrócić do firmy, dla której od wielu lat tyrał pan za darmo. Sprawilo mi przyjemność, że pan pierwszy ruszył do działania. Był pan moim ulubieńcem. Moim faworytem. Taki rodzaj solidarności bezrobotnych.

Cousin przetrawia to w swojej przepastnej czaszce.

- Ile pan zabrał Exxyalowi?

- A pan skąd o tym wie?

- Ejże!

Cousin jest obrażony.

- Alexandre Dorfmann zwołuje konferencję prasową, by obwieścić wszem wobec, że Exxyal odstępuje od wszelkich roszczeń, każe swoim dyrektorom zeznawać na pańską korzyść na procesie... Nietrudno się domyślić, że trzyma go pan w szachu. Więc pytam: czym?

To przełomowa chwila. Zostało mi piętnaście minut. Zamykam oczy. Patrzę na Nicole. W niej cała moja odwaga. Ze spokojem pytam:

- Jaką minę robi Dorfmann, kiedy się dowie, że działaliśmy w zмовie?

- W jakiej zмовie? Nie było żadnej zмовy!

Cousin jest wstrząśnięty. Krzyczy.

- Owszem, nie było. Ale o tym wiemy tylko ja i pan. Jeśli mu powiem, że działaliśmy w zмовie, żeby go wystawić, komu uwierzy? Panu czy mnie?

Skupia się. Przedstawiam swoją hipotezę:

- Moim zdaniem pozwoli panu dokończyć dzieła w Sarqueville, bo to brudna robota. Babranie się w błocie. Generalnie prezesi za tym nie przepadają. Ale potem, kiedy już wszystkich pan wyrzuci, on wyrzuci pana. A wtedy nie będzie już żadnego bezrobotnego śmiałka dochodzącego swoich praw, żeby pana uratować.

Powoli ogarnia go gniew.

- A ta zмова miałaby dotyczyć... czego?

Sięgam po ciężką amunicję.

- Zwiąłem z kasą. Zamierzam mu powiedzieć, że pan wziął połowę.

Mógłby być wstrząśnięty, ale nie jest. Ani trochę. Paul Cousin myśli. To menedżer. Analizuje sytuację, wysuwa hipotezy, określa cele. Moim zdaniem zaoszczędziłby na czasie, mówiąc sobie wprost, że został wydymany. Próbuję mu pomóc:

- Został pan wydymany, mój biedny Cousin.

Pomagam mu, bo grunt pali mi się pod nogami. Mam nadzieję, że Fontana nie podetknął Nicole zegarka pod nos. Jest do tego jak najbardziej zdolny. Jest zdolny odliczać minuty, sekundy. Znow walę z ciężkiej artylerii.

- Daję panu trzy minuty.

- To byłoby dziwne.

Zastanawia się. Zostało osiem minut. Nicole.

- Ile pan zabrał?

- O tym sza...

Spróbował. Było do przewidzenia.

- Czego pan chce? - pyta.

Znakomite zastosowanie zasad realizmu.

- Brzydkiej afery Exxyalu. Bardzo brzydkiej afery. Chcę w locie ustrzelić Dorfmana. Da mi pan, co pan zechce. Jakaś siedmiocyfrowa łapówka, nieczysta dostawa, umowa z krajem terrorystycznym, korupcyjne praktyki, cokolwiek.

- A niby skąd miałbym takie rzeczy wiedzieć?

- Bo siedzi pan w tym od dwudziestu lat. Z czego piętnaście spędził pan na samym szczycie. Bo to jak najbardziej w pana stylu zajmować się takimi brudami. W przeciwnym razie nie byłoby pana w Sarqueville. Nie żądam pełnej dokumentacji, wystarczą mi dwie sensowne strony. Nic więcej. Ma pan dwie minuty.

Wszystko albo nic.

- Jaką będę miał gwarancję, że sprawa nie wyjdzie na jaw?

- Informacje muszą pochodzić z firmowego serwera, to wszystko. Włamałem się do systemu Exxyalu. Do wszystkiego, co tam jest, mogę mieć dostęp. Nie żądam dokumentu ultratajnego, nie musi być nawet poufny. Chcę tylko informacji kluczowej, resztą sam się zajmę.

- Rozumiem.

Spryciarz z niego. I to nawet większy, niż myślałem, bo dodaje:

- Trzy miliony.

Prawdziwy pragmatyk. W ciągu kilku sekund zdążył przeprowadzić analizę przypadku, porównać korzyści i zrozumieć, że nie ponosi żadnego ryzyka. Trzy miliony euro. Nie wiem, jak wykoncypował tę sumę. Wie, że zwiąłem z kasą. Zrobił kalkulację. Jaki to, jego zdaniem, oznacza procent? Zastanowię się nad tym innym razem. Trzeba zamknąć sprawę.

- Dwa.

- Trzy.

- Dwa i pół.

- Trzy.

- Dobrze, trzy miliony trzydzieści.

Cousin jest zaskoczony, a ponieważ zachowuję kamienną twarz, mówi:

- Zgoda.
- Nazwisko!
- Pascal Lombard.

Cholera. Były minister spraw wewnętrznych. Bardzo dobrze pamiętam faceta. Mistrz politycznych machlojek. Spory talent, mętna przeszłość, niezachwiany cynizm, kilka głośnych porażek, których tajników wymiar sprawiedliwości nigdy nie zdołał odkryć, od piętnastu lat zagrożony, ale nadal głośno peroruje w Zgromadzeniu Narodowym, pokazując obelżywe gesty pod adresem moralności publicznej. Wciąż ponownie wybierany. Wzór. Dwóch czy trzech synów w biznesie i w polityce.

- Co?

- Naruszenie tajemnicy zawodowej. 1998. Podczas fuzji z Union Path Corp. Klasyczny numer: gdy tylko dowiedział się od Dorfmana o planowanej fuzji, nabył przez swoich synów gros akcji i trzy miesiące później, kiedy fuzję ogłoszono, wszystko sprzedał.

- Z zyskiem...?

- Dziewięćdziesięciu sześciu milionów franków.

Sięgam po słuchawkę telefonu w samochodzie. Wybieram numer Nicole. Od razu po pierwszym sygnale odbiera Fontana.

- Niech mi pan da żonę.

- Mam nadzieję, że ma pan dla mnie dobre wiadomości.

- Mam. Są znakomite!

- Słucham.

- Pascal Lombard. Union Path. 1998. Dziewięćdziesiąt sześć milionów.

Cisza na linii. Daję mu czas, żeby zajarzył. Nie trzeba pracować w DST⁴, żeby się zorientować, że to cuchnąca sprawa. Wiadomo - nazwisko Pascala Lombarda to klucz do

raju aferzystów. Zresztą milczenie Fontany jest wymowne. Mimo to próbuje:

- Nie pogrywaj pan ze mną, Delambre.

Mam wrażenie, że słyszę za nim jakiś ruch. Nie mogę się powstrzymać, krzyczę:

- Niech mi pan da żonę!

Mój głos wypełnił cały samochód. Paul Cousin patrzy na mnie jak na kompletnego czubka.

- Przykro mi, Delambre, mój klient nadal niczego nie otrzymał. Termin upłynął.

Fontana nie lubi przegrywać. A na razie sytuacja wygląda źle dla mnie, ale i dla niego. I na to trzeba postawić. Podjął zobowiązanie wobec swojego klienta, a tu sprawa upada. Potwierdzam:

- Zadzwoń pan do klienta. Porozmawia pan osobiście z Dorfmannem i powie mu ode mnie tylko to: „Pascal Lombard. Union Path. 1998”.

Łapię oddech, odczekuję kilka sekund i naciągam cyngiel:

- Wystarczy, że mu pan to powie, i skończą się pana problemy, Fontana. Ponieważ to go natychmiast uspokoi.

Składam się do strzału:

- Ale jeśli pan do niego nie zadzwoni, będzie na pana bardzo, ale to bardzo zły.

I strzelam:

- A teraz niech pan pomyśli o potędze Dorfmannia: moje problemy będą absolutnie niczym w porównaniu z pańskimi.

Cisza.

Dobry znak. Oddycham. Zrobi to. Dobra robota.

- Gdzie mam do pana zadzwonić?

- To ja zadzwonię, ale najpierw niech pan odda słuchawkę mojej żonie.

Fontana waha się. Nie lubi, żeby nim kierować.

- Powtarzam: chcę rozmawiać z żoną.

- Halo!

Głos Nicole. To już nie strach. To coś więcej; całkowite, śmiertelne wyczerpanie.

- Alain? Gdzie jesteś?

- Jestem tu, moje serce, jestem z tobą. Już po wszystkim.

Głos trochę mi się łamie, próbuję dodać jej odwagi, otuchy.

- Dlaczego mnie trzymają? - pyta Nicole.

- Zaraz cię wypuszczą, obiecuję ci. Nie skrzywdzili cię?

- Kiedy mnie wypuszczą?

Jej głos jest spowolniony przez strach, rozedrgany. Skrajnie napięty.

- Skrzywdzili cię?

Nadal nie odpowiada. Pełna lęku i zniechęcenia, zadaje mi pytania. Jej myśli nieustannie krążą wokół jednego:

- Czego chcą? Gdzie jesteś...?

Nie mam czasu odpowiedzieć, słuchawka wraca do rąk Fontany.

- Niech pan zadzwoni za dziesięć minut - mówi.

I rozłącza się. Nagły skurcz żołądka powoduje, że łapią mnie mdłości. A Paul Cousin przebiera palcami po kierownicy.

- Mam mnóstwo pracy, panie Delambre. Proponuję, żebyśmy sfinalizowali naszą umowę, co pan na to?

Otóż to, finalizujemy. Proponuje szybkie ustalenie praktycznych aspektów naszej transakcji. Z równą fachowością, z jaką służy swojemu bossowi, teraz go sprzedaje.

Wielki profesjonalista.

Ja zaś po tych kilku słowach Nicole byłem kompletnie roztrzęsiony.

- Ale najpierw jedno - mówi Cousin.

- Mianowicie?

Jestem trochę rozkojarzony.

- Dlaczego... trzydzieści tysięcy?

- Opłata za przelew trzech milionów.

Uderzam dłonią w tablicę rozdzielczą.

- Plus ten wóz. Zabieram go.

51

- Żałuję, ale nie otrzymałem żadnego polecenia w tej kwestii.

- Pieprz się, Fontana! - ryczę.

Grzejąc autostradą do Paryża z szybkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, z całej siły walę otwartą dłonią w kierownicę. Samochód nawet nie drgnie. Przy okazji trąbię na faceta, który wlecze się z przodu z szybkością stu sześćdziesięciu kilometrów.

- Sytuacja się zmieniła, głupku!

W tym momencie nawet gdybym chciał, nie byłbym w stanie przypomnieć sobie tej grozy, jaką jeszcze niedawno wzbudzał we mnie Fontana. Wiem, że wygram, całym sobą to czuję, ale najbardziej ze wszystkiego chcę jednego - Nicole.

- Teraz rozkazy wydaję ja, pojmujesz, kretynie?

Kretyn nic nie mówi. Na same hasła „Pascal Lombard” i „Union Path” Alexandre Dorfmann w niecałe czterdzieści sekund rozkazał mu zawiesić wszelkie działania, dopóki się ze mną sam nie spotka. Oczekuje mnie za dwie godziny w swoim biurze. Jestem pewny, że gdybym nawet zafundował sobie luksus czterdziestominutowego spóźnienia, przesunąłby spotkania służbowe i czekał. Włączyłem telefon w samochodzie i slalomując z szybkością prawie dwustu kilometrów, żeby wyprzedzić wszystko przed sobą, wrzeszczę dalej:

- Mogę ci nawet powiedzieć, pitbullu, jak się to wszystko skończy. Za godzinę uwolnisz moją żonę i wrócisz do budy. A jeśli choć jeden włos spadnie jej z głowy, to zapewniam

cię, że twoje wyczyny w Sudanie będą bajką dla dzieci w porównaniu z tym, co cię czeka...

Brakuje mi słów.

- A teraz zanotujesz moje polecenia i wykonasz je. Chcę natychmiast mieć trzy zdjęcia swojej żony. Jedno twarzy, drugie rąk, a trzecie pełnej postaci. Jej całej. Zrobisz je swoją komórką, na zdjęciach ma być dzisiejsza data i godzina. Przyślesz mi to na...

Szukam numeru. Muszę wejść w ustawienia telefonu. Zdejmuję jedną rękę z kierownicy, nachylam się do aparatu, naciskam jeden klawisz, drugi, jak to świństwo działa... Nagle wewnątrz wozu wypełnia ryk potężnego klaksonu. Natychmiast podrywam głowę; samochód niebezpiecznie odbił w prawo i całą szybkością sunie na holenderską półciężarówkę, która ogłuszająco trąbi swoim czterotonowym klaksonem, ledwie mam czas zorientować się w sytuacji, gwałtownie skręcam w jedną stronę, żeby uciec od ciężarówki, w drugą, żeby ominąć inny samochód, na który najeżdżam z prędkością światła. Nawet mi do głowy nie przyszło, żeby zahamować. Licznik pokazuje sto osiemdziesiąt trzy kilometry na godzinę.

Krzyczę do Fontany:

- Daję ci pięć minut! I nie każ mi drugi raz dzwonić, bo przyrzekam, że wszystko, co wydrę twojemu bossowi, zainwestuję w to, żeby ci wyrwać jaja!

I kontynuuję swój slalom na czterech kółkach. Muszę się uspokoić. Namierzenie przez radar to nie problem, ale dać się złapać glinom nie jest dobrą strategią. Zjeżdżam na lewy pas. Zmniejszam szybkość do rozsądnych stu pięćdziesięciu kilometrów. Co dziesięć sekund zerkam na ekran telefonu. Chcę jak najszybciej zobaczyć zdjęcia Nicole. Nie bardzo sobie wyobrażam, żeby Fontana tylko dla mojej satysfakcji się pospieszył. Muszę poczekać kilka minut.

Dla odprężenia rozglądam się po wnętrzu wozu Cousina. Luksus. Wszystko z najwyższej półki. Autentyczne cudo

francuskiej technologii, bezgraniczny cynizm ze strony destruktorów zakładów przemysłowych. Stukam w klawisze GPS, szukam jakiejś stacji. Jest France Info: „...John Arnold, trzydziestotrzyletni makler, zarobił w zeszłym roku od dwóch do dwóch i pół miliarda dolarów. Następni to...”. Gaszę.

Ziemia wciąż kręci się w tym samym kierunku i z tą samą szybkością.

Sprawdzam w ustawieniach, że włączona jest funkcja połączenia oczekującego, i wybieram numer Charles'a. Jeden sygnał, drugi, trzeci, czwarty...

- Halo!

Pocziwy Charles. Jego głos wprawdzie nie tchnie rzeźkością, ale ton pozostał ten sam, rozwlekły i życzliwy.

- Witaj, Charles!

- Ach to ty o kurde no naprawdę nie spodziewałem się skąd dzwonisz?

Wszystko jednym ciągiem. Jest zadowolony. To ogromna przyjemność, że wykosztowałem się na telefon dla niego, nagroda za jego starania.

- Jestem na autostradzie do Paryża.

Informacja, zanim ją przyswoi, musi przebić się przez opary wiśniówki. Nie czekam na następne pytanie, wyjaśniam: Cousin, Fontana, Dorfmann.

- O kurde no naprawdę - powtarza Charles.

Jest porażony moim wyczynem. Wciąż czekam na telefon od Fontany, czas wydaje się dłużyć w nieskończoność. Pytam Charles'a, gdzie jest.

- Jak ty, na autostradzie.

Dobry Boże, Charles za kierownicą!

- Niesamowity fart - ciągnie. - Dzwonię do kumpla i zgadnij jego szwagier mieszka w takiej jednej dziurze dwanaście kilometrów od stacji gdzie się rozkraczyliśmy nalał mi do pełna przyznasz że to fart co?

- Charles... ty prowadzisz?

- No, staram się.

Zatkało mnie.

- Jestem ostrożny - uspokaja mnie Charles. - Trzymam się prawego pasa i nie nie przekraczam sześćdziesięciu.

Najpewniejszy sposób, żeby dać sobie wjechać w kufer i żeby człowieka wyczały gliny.

- Ale... jak daleko jesteś?

- Tego to ci naprawdę nie powiem bo napisy na tablicach są małymi literami.

Wyobrażam sobie. I dokładnie w tym momencie, kiedy mu odpowiadam, dostrzegam daleko z przodu na prawym pasie jego szkarłatny samochód z ogromnymi chromowanymi zderzakami, a za nim pióropusz białego dymu. Nieco zwalniam i na jego wysokości klaksonuję. Charles sprawia wrażenie malutkiego, skulonego na siedzeniu, jakby ledwie sięgał głową do kierownicy.

Potrzebuje długich sekund, żeby zajarzyć, co się dzieje. W końcu, rozpoznawszy mnie, krzyczy:

- To ty! O kurde!

Nie posiada się z radości. Unosi dłoń w geście indiańskiego pozdrowienia. Jest szczęśliwy.

- Jadę dalej, Charles, czekają na mnie.

- Mną się nie przejmuj - odpowiada.

Tyle miałbym mu do powiedzenia. Wiele mu zawdzięczam. Bardzo wiele mu zawdzięczam. Jeśli wszystko dobrze się skończy, odmienię jego życie, zafunduję mu dom z piwnicą pełną wiśniówki. Tyle chciałbym mu powiedzieć.

Znów przyciskam gaz. I odpływam. W kilka sekund biały pióropusz i czerwony samochód maleją do dwóch niewyraźnych punktów w lusterku wstecznym.

- Teraz już wszystko powinno się udać, Charles.

- O tak - mówi - musowo.

„Musowo” - Charles jest ostatnim człowiekiem na ziemi, który używa jeszcze podobnych określeń.

- Spotykam się na chwilę z Dorfmannem, żeby go złapać za jaja i przygwoździć, odbieram Nicole i po wszystkim.

Charles jest oszołomiony. I szczęśliwy.

- Ogromnie się cieszę, przyjacielu. Zaslugujesz na to!

Te słowa z ust Charles'a kompletnie mnie rozkładają. Żeby tak szczerze radować się sukcesem bliźniego - mnie nigdy nie byłoby stać na taką abnegację.

- Ekstra załatwiłeś tamtego idiotę, jak mu tam, Montana?

- Fontana.

- No właśnie! - krzyczy Charles.

I znów się raduje, tak niesamowicie wydaje mu się to ucieszne.

Nie ulega wątpliwości, że mi się udało. Samo spotkanie z Dorfmannem jest już zarządzeniem odwrotu, zakamuflowaną propozycją zawieszenia broni. Uwolnię Nicole i wrócę do domu. Wszystko jej zdołam wyjaśnić. Zainkasujemy nagrodę, która nam słusznie przysługuje. Sprawiedliwą rekompensatę za wszystkie nasze niedole. Nasze nędzne życie nareszcie się skończy. Chciałbym, żeby Charles z nami wtedy był. Nicole będzie go uwielbiała.

- Och nie - mówi Charles - po tym wszystkim musisz zostać sam ze swoją lubą nie potrzebujesz nikogo do trzymania świecy!

Nalegam.

- Chcę, żebyś ty też był. To dla mnie ważne.

- Pewny jesteś?

Grzebię w kieszeni, rozwijam kartkę i podaję mu adres, który dostałem od Fontany.

- Zaczekaj - mówi Charles.

I potem:

- Eee... możesz powtórzyć?

Podaję jeszcze raz adres, na co Charles woła:

- No nie przyznaj ale heca mieszkałem w tej dzielnicy kiedy byłem mały no może nie mały powiedzmy młody.

To ułatwi sprawę.

- Ale chwilka muszę jednak zanotować numer ulicy bo nie mam pewności czy spamiętam.

Wyobrażam sobie, jak kiwając się w prawo, potem w lewo, w końcu trafia ręką do schowka.

- Nie!

Jeśli w tym stanie, w jakim jest, nie skupi się bez reszty na prowadzeniu, będzie katastrofa.

- Opuść to, Charles, wyślę ci SMS-a.

- Jak chcesz.

- Więc tak zrobimy, koło dwudziestej trzydzieści, okej? Teraz już muszę cię zostawić, umowa stoi, co?

Pierwsze zdjęcie to jej ręce, na punkcie których kompletnie się zafiksowałem. Pewnie dlatego, że moje wciąż jeszcze bardzo bolą i prowadząc po raz pierwszy od miesiący, zaczynam rozumieć, że już nigdy nie odzyskają dawnej sprawności, niektóre palce pozostaną sztywne aż do śmierci, a nawet później. Poznaje jej obrączkę. To bardzo nieprzyjemne uczucie, widok tych dwóch otwartych dłoni, wyciągniętych jakby w oczekiwaniu na uderzenie młotka. Drugie zdjęcie pokazuje właściwy dzień i właściwą godzinę, ale niewłaściwą Nicole. Tę znaną mi od zawsze, moją Nicole zastąpiła pięćdziesięcioletnia kobieta o szpakowatych włosach, ściągniętych rysach, która stoi naprzeciwko obiektywu z mieszanymi uczuciami lęku i rezygnacji. Bolesnie doświadczona przez los. W kilka godzin zamieniła się niemal w staruszkę. Na ten widok serce mi się ściska. Twarz Nicole przypomina pokazywane w telewizji zdjęcia zakładników z Libanu, z Boliwii, z Czadu, o pustym, wypranym z emocji spojrzeniu. Na trzecim zdjęciu na jej lewym policzku widać rozcięcie, a wokół niego fioletowy siniak. Cios pięścią. Lub pałąką.

Szarpała się z kimś?

Próbowała uciec?

Przygryzam wargi aż do krwi. Do oczu napływają mi łzy.

Z krzykiem walę o kierownicę. Bo to przeze mnie Nicole tak teraz wygląda.

Nie mogę sobie pozwolić na wyrzuty sumienia. Nie mogę się teraz rozklejać. Muszę się wziąć w garść. Zachować

koncentrację na ostatniej prostej. Pociągam nosem, wycieram oczy. Powinno być odwrotnie, jej widok na ekranie telefonu powinien dodać mi siły. Będę walczył do końca. Na szczęście wiem, że dzięki temu, co jej przyniosę, pogodzi się ze wszystkim, zagoją się wszystkie rany, wymazane zostaną wszystkie stygmaty. Jadę po nią bogatszy o życie pogodzone z przyszłością. Jadę z rozwiązaniem wszystkich naszych problemów bez wyjątku.

Teraz chcę tylko, żeby czas jak najszybciej upłynął, żeby znów była wolna, żeby wróciła, żebym ja wrócił, żebym mógł wziąć ją w ramiona.

Muszę do niej zadzwonić. Ale od razu po pierwszym sygnale Fontana rzuca „nie”, zdecydowane i definitywne. Już zamierzam go skłąć, ale mnie ubiega.

- Nic więcej pan nie może zrobić, dopóki nie otrzymam instrukcji od klienta.

I kończy rozmowę. Nić łącząca mnie z Nicole została zerwana. Teraz wszystko jest w moich rękach. Uwolnić ją, uratować. Jak najszybciej.

Znów przyciskam pedał gazu.

Dzielnica Défense.

Unoszę oczy w górę. Na szczycie połyskującego szklanego wieżowca kręci się złoto-czerwony szyld z logo i nazwą Exxyal-Europe. Wygląda, jakby po zmroku miał przeistoczyć się w bóstwo, w szeroką wiązkę świetlną niosącą jasność światu.

Samochód Paula Cousina ma urządzenie do zdalnego otwierania bramy parkingu. Minęła już dziewiętnasta trzydzieści, ale na drugim poziomie przeznaczonym dla kadry zarządzającej większość miejsc jest jeszcze zajęta. Kiedy podjeżdżam, stanowisko numer 198 automatycznie się oświetla, aluminiowy słupek zapada się w ziemię. Parkuję samochód i zdecydowanym krokiem ruszam do wind. Moje ruchy obserwują kamery. Są wszędzie, nie pozwalają się skupić. Bez cienia wahania naciskam guzik najwyższego piętra sięgającego nieba budynku. Od zarania dziejów tam właśnie urzędują bogowie.

Winda wystylizowana, postmodernistyczna, luksusowa, rozproszone światło, wykładzina. W swoim zmiętym, staromodnym garniturze wyglądam na menela. W miarę mijania kolejnych pięter mój niepokój rośnie.

W taki sposób przegrywa się bitwy.

Teoria zarządzania mówi: uruchomić w sobie wyimaginowany układ sterowniczy i zawsze na pierwszym miejscu stawiać to, co realne i wymierne.

Nabieram powietrza w płuca, lecz to nie pomaga. Za chwilę przyjmie mnie Alexandre Dorfmann, wielki francuski przedsiębiorca, filar europejskiego przemysłu. Stanięcie przed taką potęgą robi wrażenie. Dokonuję przeglądu

swoich argumentów. Nie daje mi spokoju jedno pytanie: dlaczego chciał się ze mną spotkać?

Nie ma w tym żadnego interesu.

Wystarczyłoby mu anonimowo wydać instrukcje. Zaproponowanie mi spotkania to z jego strony szalona nieostrożność. Jestem pewny, że nie zna szczegółów, nic nie wie o porwaniu Nicole, opłaca Fontanę wystarczająco sownie, by mieć prawo nie wiedzieć o niczym, a tym samym być zabezpieczonym od strony prawnej.

Skąd więc u niego potrzeba osobistego wstąpienia w szranki?

Musi tu być coś, o czym nie pomyślałem. Jakaś znaczona karta, którą przeoczyłem. Zaczynam mieć przeświadczenie, że zniszczy mnie jednym ciosem. Załatwi na amen. Z takim człowiekiem łatwa wygrana jest absolutnie niemożliwa. Jeszcze nikomu to się nie udało. Wstępuję na szafot. Tak wygląda mój stan ducha, kiedy otwierają się drzwi windy. Jestem już w połowie pokonany. Mam wrażenie, że oczy zasłania mi woal z wizerunkiem wyczerpanej twarzy Nicole. Wysiadając na ostatnim piętrze, ja sam jestem wykończony.

Na tym szczeblu sekretarkami są mężczyźni. Młodzi i po najlepszych szkołach. Nazywa się ich doradcami, współpracownikami. Ten wita mnie z uśmiechem absolwenta ENA⁵, bardzo profesjonalnym. Trzydzieści lat, z rodzaju tych, którzy co roku chodzą z kolegami na *Noc reklamożerców*. Jest poinformowany. Prezes za chwilę mnie przyjmie.

Przedpokój wyściełany, wysłany, wyciszony. Nie siadam. Znam pierwszą zasadę czekania: trzymać długo na wolnym ogniu. Głęboko oddycham, ale serce wali mi z szybkością bliską stu dwudziestu uderzeń na minutę. Nie, nie znam zasad czekania, bo ich nie ma: pół minuty później drzwi się otwierają.

Zostaję zaproszony do środka.

Młody doradca usuwa się na bok.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuca mi się w oczy, jest nieopisane piękno rozjarzonego światłami za ogromnymi oknami miasta. Bóg ma piękny widok na świat. To pewnie dlatego tak mu zależy na posadzie. Alexandre Dorfmann z ociąganiem wstaje zza biurka, wyraźnie zaaferowany dokumentem, którego lekturę przerwało mu moje wejście. Królewskim gestem zdejmuje okulary. Twarz mu się zmienia, posyła mi skąpy uśmiech.

- Ach, pan Delambre!

Już sam jego głos jest narzędziem dominacji. Bezbłędnie ustawiony, po najdrobniejszą intonację. Dorfmann podchodzi, ściska gorąco moją dłoń, i drugą trzymając mnie za łokieć, prowadzi do miejsca pełniącego funkcję salonu z biblioteką, która woła z daleka: „Jestem nie tylko wielkim bossem, ale i humanistą”. Siadam.

Dorfmann zajmuje miejsce obok mnie. Bez ceregieli.

Trudno opisać, co w tym momencie czuję.

Ten człowiek ma niesamowitą charyzmę.

Są tacy ludzie. Elektryzujący. Emanujący prądy.

Dorfmann uosabia potęgę, tak jak Fontana uosabia zagrożenie. Dorfmann to personifikacja psychicznej dominacji.

Gdybym był zwierzęciem, zacząłbym warczeć.

Próbuję przypomnieć go sobie w dniu wzięcia zakładników, siedzącego na podłodze, milczącego. Ale i on, i ja nie jesteśmy już tymi samymi ludźmi. Wróciliśmy do normalnych okoliczności. Hierarchia społeczna została przywrócona. Nie jestem pewny, ale myślę, że powodu, dla którego znaleźliśmy się dziś twarzą w twarz, należy szukać właśnie tu: w tym, że zmusiłem go do życia.

- Czy gra pan w golfa, panie Delambre?

- Eee... nie.

To prawda, że w więzieniu człowiek szybko się starzeje, ale czyżbym wyglądał już na faceta, który grywa w golfa?

- Szkoda. Znalazłem metaforę, która znakomicie podsumowuje sytuację.

Macha ręką, jakby odpędzał muchę.

- Nie szkodzi.

Z przepraszącą miną rozkłada dłonie, z góry się usprawiedliwiając:

- Mam bardzo mało czasu, panie Delambre...

I szeroko się do mnie uśmiecha. Zewnętrzny obserwator dałby głowę, że przejawia wobec mnie głęboką empatię, czuje jakieś wewnętrzne pokrewieństwo, że jestem jego serdecznym przyjacielem, z którym chętnie by porozmawiał, gdyby tylko pozwoliły okoliczności.

- Ja też się spieszę.

Kiwa głową i milknie. I w głębokiej ciszy długo mi się przygląda, bez cienia zakłopotania obserwuje mnie, bada, studiuje. Chwila trwa niewiarygodnie długo. W końcu zatapia swoje niewzruszone spojrzenie w moich oczach. A we mnie wszystko tężeje. W tym momencie ożywa we mnie kondensacja wszystkich lęków zawodowych nagromadzonych w ciągu życia. W materii zastraszania Dorfmann jest ekspertem; musiał terroryzować, znęcać się, zastraszać, tyranizować i doprowadzać do skoku przez okno nieprzebraną liczbę współpracowników, sekretarek i doradców. Cała jego osoba jest komentarzem prostej i jasnej prawdy: żyje, bo zabił innych.

- No dobrze... - mówi w końcu.

I nareszcie rozumiem, dlaczego znalazłem się tutaj, przed jego obliczem.

Mojej obecności właściwie nic nie usprawiedliwia, praktycznie wszystko przemawia przeciw niej. Ale on chciał się upewnić. W tej sprawie od początku walczyło ze sobą dwóch ludzi, którzy nigdy właściwie się nie spotkali, nie licząc tych kilku minut, kiedy mierzyłem z beretty w jego skroń. Nie przywykł załatwiać spraw w taki sposób.

W każdej rozgrywce zawodowców następuje moment prawdy.

Dorfmann nie mógł pozwolić mi odejść, nie zaspokoiwszy swojej potrzeby: musiał zobaczyć mnie na własne oczy,

sprawdzić, czy jego potęga doznała uszczerbku czy nie.

A przy okazji sprawdzić też, na ile jestem dla niego niebezpieczny. Oszacować potencjalne ryzyko.

- Mogliśmy to załatwić przez telefon - mówi.

Ocenić szkodliwość moich zamiarów wobec niego.

- Ale chciałem panu osobiście pogratulować.

Rozstrzygnąć, czy zmuszę go do otwartej wojny, do której gotów jest stanąć, bo potrafi stawić czoło wszystkiemu i walczyć bez najmniejszych skrupułów.

- Rozegrał pan sprawę po mistrzowsku.

Jak również czy może zawierzyć mojemu słowu. Innymi słowy: czy jesteśmy łądakami godnymi zaufania.

Nawet nie drgnę. Wytrzymuję jego spojrzenie. Dorfmann ufa wyłącznie jednemu: własnej intuicji. To zresztą może być klucz do jego sukcesu: owa pewność, że nigdy się jeszcze nie pomylił co do osoby.

- Powinniśmy byli pana zatrudnić - mówi wreszcie, zda się, sam do siebie.

I śmieje się w własnego pomysłu, jakby mnie tu nie było.

Po czym wraca do rzeczywistości. Można by pomyśleć, że z żalem budzi się ze snu na jawie. Otrząsa się i, uśmiechem podkreślając, że przechodzi do spraw błahych, pyta:

- A zatem, panie Delambre, co pan zamierza zrobić z tymi pieniędzmi? Zainwestować je? Założyć własną firmę? Rozpocząć nową karierę?

Ostatnie upewnienie się co do słuszności sądu, który właśnie o mnie wydał. Tak jakby podawał mi niewidzialny czek na trzysta milionów euro i trzymał go w palcach, zmuszając mnie, żebym go coraz mocniej ciągnął. Na razie ani krzty nie popuszcza.

- Potrzebny mi spokój i wypoczynek. Marzę o zasłużonej emeryturze.

W sposób wyraźny proponuję zbrojny pokój.

- Jakże pana rozumiem! - potwierdza Dorfmann, jakby on też marzył tylko o spokoju.

Skutkiem czego, utwierdziwszy się w swojej ocenie, wypuszcza z palców niewidzialny czek.

A ja doznaję wstrząsu, uświadamiając sobie, że w gruncie rzeczy suma ta nie ma żadnego znaczenia. Po prostu trafi do bilansu strat i zysków.

Na poziomie Alexandre'a Dorfmana nie dla takich pieniędzy się żyje.

Nie dla takich pieniędzy się walczy.

Mógłbym nawet pomyśleć, że odchodzę z kasą.

Dorfmann z uśmiechem wstaje. Ściska mi dłoń.

Jestem żebrakiem.

Odchodzę z miedziakami.

Samochód jest niezwykle komfortowy, ale zrobiło się już naprawdę późno. Dwudziesta zero pięć. Pustoszeją ostatnie biura, pracownicy wsiadają do swoich samochodów – oprócz dyrektorów, których czekają jeszcze co najmniej dwie, trzy godziny pracy. Dopóki nie mam definitywnie zielonego światła, zabraniam sobie myślenia, że to wreszcie koniec, że wygrałem, że ostatecznie zgarnąłem pulę. Nie odrywam oka od telefonu w samochodzie. Nic się nie dzieje. Absolutnie nic. Tłumaczę sobie, że na razie nie ma się co bać. Znowu obliczam, rozszerzam margines bezpieczeństwa, zaokrąglam, wszystko zależy od tego, jak szybko Dorfmann wyda instrukcje. Sprawdzam godzinę na desce rozdzielczej: dwudziesta dziesięć.

Żeby się czymś zająć, wysyłam do Charles'a SMS-a z potwierdzeniem adresu. Rzut oka na telefon. Wciąż nic. Korci mnie, żeby jeszcze spojrzeć na zdjęcia Nicole, ale opieram się pokusie. Budzą we mnie strach, a strach teraz, kiedy już koniec wszystkiego, jest niepotrzebny i bezcelowy. Od najwspanialszej chwili mojego życia dzieli mnie tylko kilka minut. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, będzie to wielki dzień zadośćuczynienia.

Dwudziesta dwanaście.

Nie wytrzymuję. Wybieram numer komórki Nicole. Jeden sygnał, dwa, a po trzecim słyszę „halo?” i jej głos.

- Nicole? Gdzie jesteś? - krzyczę.

Upływa kilka sekund, zanim mi odpowiada, nie wiem dlaczego. Tak jakby nie poznała mojego głosu. Może przestraszyła się mojego krzyku.

- W taksówce - mówi wreszcie. - A ty?

- Jesteś sama w taksówce?

Dlaczego tak zwleka z odpowiedzią?

- Tak... wypuścili mnie.

- Na pewno?

Co za idiotyczne pytanie.

- Powiedzieli, że mogę wrócić do domu.

Bogu dzięki. Odetchnąłem. To już koniec.

Wygrałem. Jestem zwycięzcą.

Ogarnia mnie niepohamowana radość.

Znow mogę oddychać, mam ochotę krzyczeć, płakać.

Wygrałem.

Koniec z Delambre'em z biura pośrednictwa pracy. Oto Delambre podlegający podatkowi solidarnościowemu, którego nie zapłaci. Najchętniej bym się rozpląkał. Zresztą płaczę, z całych sił ściskając kierownicę.

I zaczynam w nią walić dłońią.

Wygrałem, wygrałem, wygrałem.

- Alain? - mówi Nicole.

Wrzeszczę z radości.

Ja pieprzę, udało mi się ich załatwić, wszystkich. Nie posiadam się z radości.

Teraz mogę wydawać pięćdziesiąt tysięcy euro miesiąc w miesiąc do końca życia. Kupię trzy mieszkania. Po jednym dla każdej z moich córek. To niesamowite.

- Alain... - powtarza Nicole.

- Wygraliśmy, ukochana! Gdzie jesteś, powiedz mi, gdzie jesteś?

I wtedy do mnie dociera, że Nicole płacze. Bardzo cicho. Nie od razu to zauważyłem, ale teraz, nastawiwszy ucha, słyszę jej chlipanie, które rozdziera mi serce. To normalne, odreagowanie strachu. Muszę ją pocieszyć.

- To już koniec, ukochana, przysięgam, że to koniec. Nie masz się już czego bać. Nic złego cię już nie spotka. Wszystko ci wyjaśnię...

- Alain... - mówi znowu Nicole, niezdolna wykrztusić nic więcej.

Na okrągło powtarza moje imię. Jest tyle rzeczy, które powinienem jej wytłumaczyć. Ale to wymaga czasu. Przede wszystkim muszę ją uspokoić.

I wtedy Nicole pyta:

- A ty, Alain... Gdzie byłeś?

Nie pyta, gdzie jestem teraz ani jak się czuję, ale gdzie byłem, kiedy mnie potrzebowała. Rozumiem ją, ale nie zna całego kontekstu sprawy. Będę musiał jej wytłumaczyć, że nigdy się od niej nie oddaliłem, że wtedy, kiedy ona się bała, ja walczyłem dla nas dwojga o ostateczne zwycięstwo nad naszym głównianym życiem. Nie przestając z nią rozmawiać, włączam silnik, opuszczam parking i wjeżdżam na drogę szybkiego ruchu do Paryża.

- Teraz jestem na Défense.

Nicole zatkało.

- Ale... co ty robisz na Défense?

- Nic, pędzę do domu, wytłumaczę ci. Nie masz się już czego bać. I tylko to się liczy, prawda?

- Boję się, Alain...

Trudno nam się porozumieć. Będzie musiała otrząsnąć się z tych przeżyć. Wspólnie wszystko przepracujemy. Wjeżdżam na obwodnicę.

- Nie ma żadnego powodu do strachu, najdroższa. (Powtarzam się, ale trudno). Za chwilę się zobaczymy. (Jechać, żeby jak najszybciej wziąć ją w ramiona). Wiesz, co zrobimy? (Dodać jej odwagi). Rozpocznijmy zupełnie nowe życie! Mam ci do zakomunikowania wspaniałe nowiny. Wspaniałe! Nie wyobrażasz sobie...

Ale na razie wszystko to jest bezcelowe, bo Nicole płacze. Nie da rady nic zrobić, dopóki jest w takim stanie.

- Będę...

Chciałem powiedzieć „w domu”, ale trudno mi nazwać domem miejsce, w którym się zaraz spotkamy. Jest to fizycznie niemożliwe, próbuję znaleźć jakieś inne słowo. Nicole na okrągło powtarza: „Alain, Alain...”, to mi sprawia ogromną przykrość. I mnie denerwuje.

- Za pół godziny będę na miejscu, zgoda?

- Dobrze - mówi Nicole, głośno pociągając nosem. - Zgoda.

Cisza na linii. Pierwsza się rozłączyła.

Pięć minut później dojeżdżam do Porte de Clignancourt. Znów dzwonię. Jeden sygnał, dwa, trzy, wszystkie. Włącza się poczta głosowa. Jeszcze raz wybieram numer. Porte de la Villette. Poczta głosowa. Mam złe przecucia. Nawet w duchu nie śmiem wymówić nazwiska Fontany, ale i bez tego jest przy mnie, wokół mnie, wszędzie. Nerwowo uderzam w kierownicę. Wygrałem i teraz nie zamierzam się bać. Ponownie wystukuję numer Nicole, która w końcu odbiera.

- Dlaczego nie odbierałaś? Gdzie byłaś?

- Co?

Zagubiony, mechaniczny głos. Powtarzam pytanie.

- W windzie - odpowiada wreszcie Nicole.

- Jesteś... jesteś na miejscu? Wróciłaś, zamknęłaś drzwi?

- Tak.

Słyszę jej głębokie westchnienie.

- Tak, zamknęłam drzwi.

W myślach już widzę, jak swoim zwyczajem czubkiem pantofla zsuwa buty z nóg. Jej westchnienie wyraża autentyczną ulgę. Również dla mnie.

- Za kwadrans jestem, ukochana, zgoda?

- Zgoda - mówi Nicole.

Tym razem ja kończę połączenie. Programuję adres na GPS-ie. Zjeżdżam z obwodnicy. Jakimś cudem w kilka minut docieram do avenue de Flandre. Ale to nie koniec kłopotów, ulice są szczelnie zastawione parkującymi samochodami. Skręcam, krążę, szukam wolnego miejsca. Może jest w pobliżu jakiś publiczny parking? Spoglądam w górę na bloki. Ohyda. Uśmiecham się. Mieszkanie, które kupiła Nicole, podaruję Caritasowi. Skręcam w prawo, w lewo, wracam po własnych śladach, patrzę na samochody stojące przy chodnikach, jadę dalej, znów wracam, zataczanie tych koncentrycznych kręgów zaczyna mnie już poważnie

wkurzać. Posuwając się w ślimaczym tempie, przyglądam się sznurom samochodów parkujących wzdłuż prawego chodnika, potem lewego.

Nagle zamiera mi serce, żołądek podchodzi do gardła.

Nie, to niemożliwe. Przywidziało mi się.

Przełykam ślinę.

Ale coś mi podpowiada, że to możliwe.

Właściwy odruch: zamiast się zatrzymać, pojechałem dalej. Muszę się upewnić. Trzęsą mi się ręce, bo tym razem, jeśli wzrok mnie nie pomylił, oznacza to katastrofę, skok z wysokości bez zabezpieczenia. Znów skręcam w prawo, jeszcze raz w prawo i jeszcze raz w prawo, powoli wjeżdżam na tę samą ulicę, trzymam głowę prosto, mrużę oczy z miną człowieka skupionego na prowadzeniu lub zatopionego w myślach, ale wyraźnie widzę kobietę, która siedzi za kierownicą czarnego wozu terenowego: to Yasmine. W uchu ma słuchawkę.

Na sto procent to ona.

Czeka.

Nie. Czatuje.

Ponieważ jeśli młoda Arabka siedzi w samochodzie zaparkowanym trzydzieści metrów od domu Nicole, to znaczy, że jest tu też Fontana.

Czatuja na mnie. Czatuja na nas. Na Nicole i na mnie.

Dorfmann wydał instrukcje. Fontana się do nich zastosował, a tym samym misja się skończyła.

Wniosek nasuwa się sam: obecnie, kiedy wygasła już umowa z jego poprzednim mocodawcą, Fontana działa na własną rękę. Trzyście milionów to silna motywacja. Wystarczy, żeby resztę życia spędzić bez problemów.

Dochodzi jeszcze osobista nienawiść, jaką do mnie pała. Ciągłe stawiałem go w pozycji pokonanego; wybiła godzina zapłaty. Fontana będzie mnie szukał w domu. Teraz nie ma już szefów; sam sobie jest szefem. Nic go nie powstrzyma. Jest zdolny do wszystkiego.

Wystawia Nicole na przynętę, ale to o mnie mu chodzi. Chce mnie uderzeniami młotka zmusić do wyplucia danych bankowych. Chce mi kazać zapłacić. W każdym tego słowa znaczeniu.

Będzie próbował dorwać nas oboje. Krzykiem Nicole wymusić na mnie, żebym mu oddał wszystko, wszystko, wszystko.

A potem ją zabije.

I mnie też; bez wątpienia szykuje mi specjalny koniec. Fontana chce wyrównać ze mną osobiste porachunki.

Nie mam pojęcia, co robić, krążę po ulicach, robię wszystko, byle nie przejechać znów w pobliżu samochodu, w którym na mnie czatują. Fontana na pewno tak się ustawił, żeby mnie dopaść od razu, gdy się zjawię. Nie wpadłem w jego ręce, bo nie przewidział, że przyjadę samochodem. Pewnie czekają w taksówce albo stoją pod domem, sam nie wiem.

Jeśli Fontana nas dorwie... Wyobrażam sobie Nicole siedzącą bez ruchu, skrępowaną. Nie wiem, co robić, nie mam czym się bronić. Nie znam okolicy. Rozwijam kartkę z adresem. Nicole jest na ósmym piętrze.

Czy jest tu jakiś parking?

Nie zdradzić swojej obecności.

Ale co robić?

W głowie mam kompletny mętlik.

Widzę tylko jedno wyjście. Najgorsze, ale jedyne; przedrzeć się siłą i uciekać. To żadne rozwiązanie, lecz nie wiem, co innego mógłbym zrobić, świadomość pułapki mnie obezwładnia.

Sięgam po telefon, ale tak się trzęsę, że wypuszczam słuchawkę. Podnoszę ją, przytrzymuję przy piersi, przed bramą widzę jakieś wolne miejsce, zatrzymuję się na nim na chwilę, nie wyłączając silnika. Wybieram numer Nicole. I kiedy odpowiada, natychmiast rzucam:

- Nicole, musimy wyjechać.

- Co? Dlaczego?

Jest zdezorientowana.

- Słuchaj, nie mogę ci teraz wytłumaczyć. Musimy natychmiast wyjechać. Powiem ci, co masz zrobić...

- Ale dlaczego? Co się dzieje? Alain! Nic mi nie tłumaczysz, dłużej tak nie mogę...

Zauważyła moją panikę, dociera do niej, że sprawa jest poważna, przeczuwa niebezpieczeństwo i nagle jej głos załamuje się i zamienia w szloch. Powraca do niej horror ostatnich godzin. Powtarza w kółko: „Nie, nie”. Jest jak sparaliżowana. Potrzebuje dopingu. Rzucam:

- Oni tu są.

Nie muszę nawet mówić kto. Nicole znów widzi przed sobą twarz Fontany, Yasmine; na nowo dopada ją przerażenie.

- Obiecałeś, że to już koniec.

Płacze.

- Mam dość tych twoich historii, Alain, dłużej już nie mogę.

Nie mam wyboru. Muszę ją jeszcze bardziej przestraszyć, żeby się wreszcie ruszyła.

- Jeśli zostaniesz, przyjdą po ciebie. Musimy uciekać. Natychmiast. Jestem na dole.

- Gdzie jesteś? - krzyczy. - Dlaczego nie przychodzisz?

- Bo właśnie na to czekają! To mnie chcą dopaść!

- Ale kto, do cholery, jacy „oni”?

Krzyczy. Ze strachu.

- Zabiorę cię, Nicole. Posłuchaj uważnie. Zejdiesz, skręcisz w prawo, w rue Kloeckner. Pójdiesz prawym chodnikiem. Musisz zrobić tylko to, Nicole, tylko to, ja się zajmę resztą.

- Nie, Alain, przykro mi. Nie chcę. Dzwonię po policję. Nie mogę już. Dłużej tego nie wytrzymam.

- NIC NIE RÓB! SŁYSZYSZ? NIE RÓB NIC OPRÓCZ TEGO, CO CI MÓWIĘ!

Cisza. Trzeba ją przycisnąć. Ciągnę:

- Ja też nie chcę zdechnąć, Nicole! Więc zrób, co mówię, i nic więcej! Zejdź na dół i skręć w prawo. Natychmiast, do cholery!

Rozłączam się. Tak okropnie się o nas boję. W głębi duszy wiem, że moja strategia jest beznajdziejna. Ale daremnie główkuję, nic innego nie jestem w stanie wymyślić. Nic. Odczekuję trzy minuty, cztery, ile czasu zajmie jej podjęcie decyzji, zejście? Ruszam. Nikt nie spodziewa się mnie w takim samochodzie. Nawet Nicole.

Działać szybko.

Przedrzeć się siłą.

Powoli dojeżdżam do rue Kloeckner, z daleka na prawym chodniku sylwetka Nicole, idzie sztywnym krokiem, jadę równolegle z nią, słyszy odgłos silnika za plecami, z lewej strony ale nie odwraca głowy, w każdej sekundzie spodziewa się najgorszego, idzie sztywno, krokiem skazańca, czekam na odpowiedni moment, nic z przodu, nic za mną, przyspieszam, trzy kroki przed nią hamuję, wyskakuję z wozu, wbiegam na chodnik, łapię Nicole za ramię, tłumi krzyk, rozpoznawszy mnie, i zanim zdąży zareagować, już otwieram drzwi pasażera, wpycham ją do środka, obiegam samochód, wskakuję z powrotem za kierownicę, wszystko trwało nie więcej jak siedem, osiem sekund, nadal nic z przodu, nic z tyłu, powoli ruszam, Nicole na mnie patrzy, ten samochód, ja, wszystko wydaje jej się takie niesamowite, nie wiem, czy teraz, w tym samochodzie cichym i sunącym gładko jak fala i ze mną za kierownicą, mniej się już boi, ale zamyka oczy, powoli skręcam w pierwszą ulicę w prawo, nadal nic przede mną, nic z tyłu, ja też na moment zamykam oczy, a kiedy je otwieram, trzydzieści metrów z przodu widzę kocią sylwetkę Fontany, biegnie chodnikiem i znika, bez namysłu przyspieszam, mijam ulicę, w którą wbiegł i z której wyłania się paszcza czarnej terenówki wielkiej jak autobus, odruchowo blokuję drzwi, Nicole podskakuje, orientuje się, że dzieje się coś niezwykłego, dociskam pedał gazu,

samochód zrywa się, Nicole krzyczy, kiedy przyspieszenie wciska ją w fotel, wóz Fontany podąża za nami, skręcam w lewo, jadąc już z dużą szybkością, potraćam tył jakiegoś zaparkowanego auta, szarpnięcie, znów krzyk Nicole, która łapie pas bezpieczeństwa i z suchym trzaskiem go zapina. Ruch na ulicach w tej dzielnicy nie jest duży, koncentruje się na dwóch głównych bulwarach, jednym biegnącym ku centrum Paryża, drugim na przedmieścia. Na następnym skrzyżowaniu, które mijam, nie zdejmując nogi z gazu, gwałtownie hamuje, żeby mnie przepuścić, czerwone renault 25 z ogromnymi zderzakami. To Charles.

Zapomniałem o Charles'u.

Ledwie zdążywszy unieść rękę, widzi, jak pędem przejeżdżamy, a w sekundę później czarny wóz terenowy, który nas ściga. Wiem, że Charles nie od razu, ale w końcu zrozumie, nie czas się nad tym teraz zastanawiać, dojeżdżam do bulwaru, kolumna samochodów stojących w korku, jeśli się zatrzymam, Fontana nas dorwie, zacznie strzelać przez okna, siłą otworzy drzwi, nie zdołam mu przeszkodzić, tylko o to mu chodzi, żebym się zatrzymał i żeby zdążył nas dopaść, z resztą sobie poradzi, gotów od razu strzelić w głowę Nicole, żeby mnie sparaliżować, obezwładnić i wciągnąć do wozu terenowego, który prowadzi Yasmine...

Dojeżdżamy do ostatniego z uwieczonych w korku samochodów, nie wiem, co robić, Nicole wyciąga obie ręce do deski rozdzielczej, widząc błyskawicznie zbliżający się sznur samochodów, gwałtownie odbijam kierownicą w lewo, przyspieszam i grzeję pod prąd lewym pasem, na klaksonie i zapalonych światłach. Fontana wykonuje niewyobrażalny numer: włącza syrenę policyjną, wyciąga rękę i stawia na dachu koguta, idzie na całego, to pokazuje, jak jest zdeterminowany, dla wszystkich jesteście teraz ściganymi, nikt palcem nie kiwnie, żeby nam ułatwić przejazd. Całe miasto jest przeciwko nam. Nie wiem, jak to możliwe, musieliśmy pojechać równolegle, ale oto znowu mijam

samochód Charles'a, odbicie kierownicą w prawo, żeby uniknąć zderzenia, w lewo, żeby naprostować samochód, Nicole skuliła się w fotelu, podwinęła nogi, opuściła głowę, obie ręce skrzyżowała na karku, jakby się bała, że dach się zawali, ale na dźwięk syreny policyjnej odwraca się i pełna nadziei patrzy przez tylną szybę. Kiedy do niej dociera, w jaką pułapkę przeze mnie wpadliśmy, z powrotem się kuli i zaczyna cicho pojękiwać.

Po drodze oczy Charles'a, który patrzy na mnie ze zdumieniem.

A potem na samochód, który nas ściga.

Już się nie zastanawiam, jestem jednym kłębkim odruchów, szczęśliwych lub nie, samobójczych lub nie, odbijam gwałtownie w lewo, wjeżdżam w jakąś ulicę, skręcam w prawo, w lewo, sam już nie wiem, w jakim kierunku jadę, gdy tylko pojawia się przeszkoda, od razu skręcam, jedna ulica, druga, trzecia, potrącam samochody, wymijam przechodniów, rowery, lewym bokiem uderzam w autobus ruszający z przystanku, Fontana, bliżej lub dalej, ale wciąż siedzi nam na ogonie, nie wiem już, dokąd jechać, i oto nagle wylądowaliśmy na jakiejś jednokierunkowej ulicy, prostej i nieskończonej długiej, która biegnie równoległe do obwodnicy.

Z obu stron zastawionej parkującymi samochodami.

Długiej i prostej jak duże I.

Jeden kierunek. Jeden pas ruchu.

Jej końca prawie nie widać.

Dociskam gaz do dechy, w lusterku wstecznym widzę samochód Fontany. Przez te połamane palce prowadzę nie dość dobrze, nie dość szybko. Fontana wyciąga rękę i zdejmuję z dachu koguta, syrena policyjna milknie, pięćdziesiąt metrów za nami terenówka utrzymuje stałą szybkość, bo stąd już nie ma ucieczki.

Nie daję rady jechać prosto, wciąż mną zarzuca, ocieram się o samochody raz z mojej strony, raz od strony Nicole.

Jakieś sto metrów z przodu widać czerwone światła w miejscu, gdzie ulica dochodzi do szerokiego bulwaru, po którym sunie gęsty strumień samochodów... Innymi słowy – mur. Świadom rozpaczliwości sytuacji, jeszcze bardziej przyspieszam.

Ale to już koniec.

Nawet Nicole to rozumie.

Bulwar, ku któremu pędzimy, jest jak droga szybkiego ruchu. Zatrzymać się przed nim z Fontaną na ogonie to jakby wysiąść z samochodu na torze Formuły 1. Przebijać się siłą to jakby przecinać drogę pociągowi TGV...

Na widok przeszkody, która nieodwracalnie odetnie nam drogę, Nicole prostuje się w fotelu.

Tylna szyba rozpryskuje się. Fontana już zaczyna strzelać. Zyska na czasie, kiedy przejdzie do abordażu. Wnętrze wozu zdaje się rozpadać, wraz z odłamkami szyby do środka wpada wiatr. Nicole znów się kuli.

Ostatni obraz.

Tak oto skończy się nasza historia.

Tutaj, za kilka chwil.

Za kilkaset metrów.

Na tej idealnie prostej drodze, po której pędzimy z szybkością prawie stu dwudziestu kilometrów na godzinę, ścigani przez czarnego metalicznego potwora świecącego zapalonymi reflektorami.

Ten obraz prześladowuje mnie jeszcze dziś. W wiele miesięcy potem.

Nigdy się nie zatrze.

Przez długie lata będzie do mnie powracał, będzie mi się śnił, będę roztrząsał jego tajemniczy i tragiczny sens.

Nicole uniosła głowę zahipnotyzowana zbliżającą się błyskawicznie ścianą pojazdów tarasujących nam drogę.

I oboje zafascynowani obserwujemy nagłe pojawienie się przed nami czerwonego pojazdu z ogromnymi lśniącymi zderzakami, ciągnącego za sobą wielki pióropusz białego dymu. Wyjeżdża z bulwaru, sunie pod prąd w naszą stronę.

Z odległości trzystu metrów nasze samochody pędzą ku sobie na złamanie karku.

Zaczynam trochę zwalniać, nie wiem, co robić.

Bo oto zbliża się śmierć.

Charles przyspiesza. Kiedy jego samochód jest trzysta metrów od nas, za kratownicą przednich zderzaków dostrzegam jego twarz.

To ostatnia wiadomość od niego.

Włącza kierunkowskaz.

Lewy.

Tak jakby mógł gdziekolwiek skręcić. A wtedy uświadamiam sobie, że wiadomość nie pokazuje kierunku, w którym zamierza skręcić Charles. Pokazuje stronę, w którą ja mam zjechać. Wiadomość mówi: skręć w prawo.

Przyspieszam, obserwując zachłannie niekończący się sznur samochodów zaparkowanych po prawej. Samochód Charles'a jest już sto metrów przede mną, jego sylwetka rośnie, zaczyna wypełniać ekran. Pędzimy ku sobie coraz szybciej, jakby wciągało nas oko cyklonu.

I oto nagle droga ucieczki.

Ślepa uliczka.

Natychmiast ją dostrzegam. Odbiega na prawo, kilkadziesiąt metrów dalej. Wrzeszczę do Nicole. Łapie swój pas bezpieczeństwa i wyciąga nogi przed siebie, przytrzymując się deski rozdzielczej. Hamuję i gwałtownie skręcam, wozem zarzuca, tyłem maski zahacza o jakąś przeszkodę, której nie widzę, gwałtownie szarpie, ale wjeżdża w uliczkę, uderza z rozpędu w jakąś furgonetkę, poduszki powietrzne wbijają nas w fotele. Samochód staje.

Teraz, kiedy zjechaliśmy na bok, na drodze prostej jak duże I pozostały tylko samochody: Charles'a i Fontany.

Które pędzą prosto na siebie jak meteoryty.

Kiedy Fontana zobaczy przed sobą czerwony wóz Charles'a, będzie próbował zahamować. Oczywiście za późno.

Oba samochody wbijają się w siebie ze skumulowaną szybkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Ten ostatni gest Charles'a powraca do mnie zawsze w zwolnionym tempie.

Widzę go bardzo wyraźnie, w chwili gdy nas mija. Siedzi nisko za kierownicą, odwrócił do mnie głowę. Uśmiecha się.

Pocziwy uśmiech Charles'a. Braterski i wielkoduszny. Taki jak zawsze. „Mną się nie przejmuj”.

Patrzy mi prosto w oczy. Przejeżdżając, unosi rękę.

W swoim geście indiańskiego pozdrowienia.

W sekundę potem słycać straszliwy huk.

Oba samochody zderzają się czołowo, na pełnym gazie. I zwalają się jeden na drugi, splątane z sobą, stopione, sprasowane.

Ciała, których nie zmiażdżyło doszczętnie w zderzeniu, pocięły na kawałki odłamki metalu.

Momentalnie wybucha pożar.

Skończyło się.

Jem kolację u Mathilde. Stoję przed jej drzwiami z bukietem kwiatów, w pięknym garniturze z surowego jedwabiu w delikatne prążki. I z ogromnym zegarkiem nurka z jaskrawozieloną bransoletą, z którym nigdy się nie rozstaję, czego nikt oczywiście nie może zrozumieć. Dzwonię. Drzwi otwiera zawsze Gregory; zawsze Mathilde radośnie woła z kuchni: „Już jesteś, tato?”. Zięć niezmiennie ściska mi dłoń z siłą, w której wyczuwam zawsze wyzwanie, propozycję męskiej walki. Nigdy nie podejmuję z nim walki. Te czasy już minęły.

Kiedy wchodzę do salonu, pojawia się Mathilde. Za każdym razem, odgarniając kosmyk włosów, mówi to samo:

- O Boże, muszę wyglądać okropnie. Nalej sobie whisky, tato, zaraz wracam.

Po czym znika w łazience na dobre pół godziny, a my w tym czasie wymieniamy z Gregorym różne banalne uwagi, o których z doświadczenia wiemy, że są nieszkodliwe, niegroźne.

Od kiedy zamieszkali w centrum Paryża w tym wielkim pięciopokojowym apartamencie, który im podarowałem, Gregory nabrał wielkiej pewności siebie. Patrząc, jak serwuje aperitif, jak się nadyma, można by pomyśleć, że zawdzięcza obecną sytuację własnym niebywałym zasługom, wybitnym przymiotom swego umysłu. W rzeczywistości obaj jesteście jak bokserzy: swój sukces zawdzięczamy ilości zainkasowanych ciosów. Nigdy niczego nie komentuję. Milczę. Uśmiecham się. Przytakuje, czekam, aż wreszcie zjawi się, zawsze w nowej sukience, moja córka i po wejściu obróci się, pytając: „Podobam ci się?”, jakbym był jej mężem.

Staram się prawić jej różne komplementy. Mając na uwadze nasze przyszłe wspólne wieczory, powinienem sporządzić listę przymiotników, bo przy tak częstych spotkaniach – jedno na miesiąc, zawsze w drugi czwartek – szybko wyczerpią się moje skromne zasoby leksykologiczne.

Zawsze mnie wtedy zaskakuje. Mówię: „Zachwycające”, ale brzmi to staromodnie, albo: „Ekstra!”, tego typu rzeczy.

Odzywki w stylu Charles’a, myślę sobie.

Za oknami widać wieże Notre-Dame. Sączę whisky, którą Mathilde kupuje tylko dla mnie. Mam u córki własną butelkę. Z czego nie należy jednak wnioskować, że się rozpiłem. Odwrotnie, bardzo staram się utrzymać w formie. Nicole jest bardzo wyczulona na taką dbałość o siebie, na samodyscyplinę. Zapisalem się na siłownię niedaleko niej. To daleko, sam nie wiem, dlaczego wybrałem akurat tę, a nie inną.

Jemy kolację. Mathilde jest dość sprytna, by jak najszybciej przekazać mi wiadomości od Lucie, wie, jak na nie czekam. Od zakończenia tamtej sprawy to moja jedyna droga kontaktu z nią.

Ostateczne zerwanie z Lucie nastąpiło w mieszkaniu na avenue de Flandre. Nie spodziewałem się żadnych gości, dzwonek do drzwi, otwieram, widzę Lucie, mówię:

- Ach, to ty.

Lucie mówi:

- Byłam niedaleko, więc wpadłam.

I wchodzi. Nietrudno się domyślić, że to kłamstwo. Nie była niedaleko, specjalnie przyjechała. Wystarczy spojrzeć na jej minę... Zresztą od razu przechodzi do rzeczy. Na tym polega jej siła. Nie cacka się z innymi, nie próbuje zachować pozorów.

- Teraz chciałabym ci zadać kilka pytań - oświadcza prosto z mostu.

Nie mówi, że usiądzie, że pójdziemy na kolację, nic z tych rzeczy, mówi „teraz”, i brzmi to przygnębiająco, bardzo przygnębiająco, wiem, jak ogromnie będzie to trudne.

- Ale myślę, że zacznę od podstawowego pytania: tato, czy ty mnie naprawdę miałeś za idiotkę?

Zły początek.

Sprawa skończyła się zaledwie dwa tygodnie wcześniej.

Poprzedniego dnia wypisałem dla wszystkich czeki. Czeki na bardzo pokaźne sumy. Mathilde uznała swój za to, czym był: za niesamowity prezent od świętego Mikołaja w środku lata. Za wygraną na loterii.

Tak naprawdę czeki są fałszywe. Chodziło mi tylko o symbolikę gestu. Wyjaśniam im, że te miliony euro są ulokowane w rajach podatkowych i uruchomienie takich sum wymaga zabezpieczenia się przed fiskusem, pewnych drobnych kombinacji, nic poważnego, to tylko kwestia czasu, ja się wszystkim zajmę.

Nicole ostrożnie odłożyła swój czek na bok. Od wielu dni już o wszystkim wie. Bezzwłocznie jej wszystko wytłumaczyłem. Z Nicole jest inaczej, nie jest taka jak córki. Odłożyła swój czek ruchem osoby odkładającej serwetkę po skończonym posiłku. Nic nie mówi. Nie ma sensu się powtarzać. Po prostu nie chce zepsuć córkom przyjemności.

Lucie popatrzyła na swój prezent i od razu było widać, że wzbudził w niej głębokie zastanowienie. Bąknęła

„dziękuję”, wysłuchiwała moich entuzjastycznych wyjaśnień w skupieniu, ale zamyślona. Jakby w duchu wygłaszała równoległą przemowę.

Tego wieczoru mówię swoim córkom: cokolwiek się zdarzy, wasza przyszłość jest zabezpieczona. Za to, co wam teraz daję, możecie kupić sobie jedno, drugie, trzecie mieszkanie, robić wszystko, co wam się podoba: to prezent od waszego ojca.

Spłacam wszystkich.

Podzieliłem pieniądze na trzy części.

Spłacam wszystkich po stokroć.

Uważam, że mój gest zasługuje na choć trochę szacunku.

I tak jest, ale tylko częściowo. Mathilde jest uszczęśliwiona, Gregory zadaje niezliczone pytania co, jak i dlaczego. Opowiadam, uważając, żeby przemilczeć najistotniejsze, wyraźnie czuję, że wszystko przebiega nie tak, jak przewidywałem, jak sobie wymarzyłem.

Następnego dnia zjawia się Lucie. Pyta: „Miałeś mnie za idiotkę?”, i ciągnie dalej, ponieważ taka już jest Lucie, zadaje pytania i sama na nie odpowiada. Ponieważ nie przestała zastanawiać się od pierwszej chwili, kiedy ujrzała swój zawrotny czek, od kiedy zrozumiała:

- Haniebnie mną manipulowałeś.

Mówi to bez gniewu. Spokojnym tonem. Właśnie ten jej ton mnie przeraża.

- Cały czas ukrywałeś przede mną prawdę, bo uznałeś, że w swojej naiwności będę cię lepiej broniła, mając cię za absolutnie niewinnego.

I tu ma rację. Tysiąc razy mogłem przyznać jej się do tego, co naprawdę zrobiłem, ale uważałem, że ucierpiałyby na tym skuteczność jej działań. Ale mam też coś na swoje usprawiedliwienie. Gdybym tak postąpił, miałyby teraz ojca odsiadującego wieloletni wyrok.

Nigdy, ale to nigdy, do ostatniej sekundy nie miałem pewności, czy uda mi się zachować te pieniądze.

Czy byłoby rozsądne im o tym mówić? Obudzić w nich nadzieję na życie nareszcie wolne od trosk, a potem, gdybym nie dopiął swego, nagle je owej nadziei pozbawić?

To właśnie próbuję jej powiedzieć, ale Lucie nie pozwala sobie przerwać, dalej nawija:

- Chciałeś, żebym wypadła autentycznie. Wyreżyserowałeś naszą relację, zrobiłeś wszystko, żeby prasa postrzegala nas jako biednego ojca, ofiarę bezrobocia, którego broni prostolinijna i szlachetna córka. I dostałeś to, na czym ci zależało, kiedy nie byłam w stanie wykrztusić przed przysięgłymi końca zdania. Być może właśnie ta ostatnia sekunda zdecydowała o twoim uwolnieniu następnego dnia. Aby uzyskać dramatyczny efekt ostatniej sekundy, całymi miesiącami mnie okłamywałeś, kazałeś mi wierzyć dokładnie w to samo co innym. Chciałeś, żebym ja cię broniła, bo potrzebowałeś naiwnej wyrobnicy, nieporadnej frajerki. Chciałeś wzbudzić w przysięgłych współczucie. Dlatego musiałam być postrzegana jako frajerka. Tylko ja jedna tak idealnie nadawałam się do roli kretyнки. Uważałeś, że najskuteczniejszą obronę zapewni ci niedołęga. To, co zrobiłeś, jest ohydne.

Jak zwykle przesadza.

Ale taki już ma temperament, taka już jest, wszystko musi zawsze wyolbrzymiać.

Mieszka przyczyny ze skutkami. Powiniennem jej wytłumaczyć, że nie było w tym strategii. Nigdy nie myślałem, że musi wypaść na kretynkę, żeby okazać się skuteczna. Była wspaniałym adwokatem. Nie mógłbym mieć lepszego. Tyle że w pewnym momencie, za późno, by jej wyjawić prawdę, uświadomiłem sobie, że nawet jej nieporadność może być atutem. I to wszystko.

Postrzegamy sprawę zupełnie inaczej.

Powiniennem jej to wszystko powiedzieć, ale Lucie nie pozostawia mi czasu. Powiedziała to, co miała powiedzieć.

Kłótnia by mnie uspokoiła. Zaakceptowałbym obelgi, ale to...

Patrzy na mnie.

I wychodzi.

Jestem załamany. Przez długą chwilę stoję pośrodku pokoju jak skamieniały. Lucie nie domknęła drzwi. Wychodzę na podest, słyszę ciche stuknięcie, kiedy winda zatrzymuje się na parterze. Nieprzytomny ze zmęczenia, głęboko przygnębiony, wracam do mieszkania.

Na wycieraczkę leży jakaś zmięta kartka. Podnoszę ją, rozprostowuję; to czek Lucie.

Przez cały czas o tym myślę i kroi mi się serce.

Gregory ciągle mówi, siedzimy przy stole, opowiada o jakimś wydarzeniu w pracy, którego jest jak zwykle bohaterem. Mathilde wpatruje się w niego urzeczona. W swojego wielkiego człowieka. To mnie dobija, przytakuję, mówię „coś takiego!” albo „dobra riposta!”, nie słucham.

Od roku Lucie ani razu do mnie nie zadzwoniła.

Pozostają mi comiesięczne rozmowy z Gregorym.

Uważam, że życie obeszło się ze mną dziwnie okrutnie.

Więc wyłączam się, myślę o Charles'u.

O Nicole.

Przypominam sobie nas oboje rok wcześniej. Boże, jakie to było smutne.

Po śmierci Charles'a, już po wszystkim, zostaliśmy przez dwa dni w tym ponurym mieszkaniu na avenue de Flandre. W nocy leżeliśmy obok siebie na plecach, jak dwa nagrobne posągi, trzymając się po prostu za ręce.

A trzeciego dnia Nicole oznajmiła mi, że odchodzi. Powiedziała, że mnie kocha. Lecz po prostu nie może, już nie może ze mną być, sprężyna pękła.

Wtedy nastąpił definitywny koniec mojej samolubnej odysei. Dopiero wtedy to do mnie dotarło.

- Chcę żyć, Alain, a przy tobie nie dam rady - powiedziała.

Lucie i ona znalazły identyczną motywację, żeby mnie opuścić. Lucie, odchodząc, zostawiła pod moimi drzwiami zmięty czek, Nicole uśmiechnęła się do mnie w sposób, który niezmiennie mnie porusza. Powiedziałem:

- Ależ Nicole, to już koniec sprawy, jesteśmy bogaci! Już nic złego nie może nas spotkać. Nic nie przeszkodzi nam zrealizować wszystkich twoich marzeń!

Z jakże wielkim przekonaniem to powiedziałem!

Nicole musnęła tylko dłonią mój policzek, kiwając głową, jakby myślała: „Biedny człowiek”.

Zresztą powiedziała:

- Moja ty biedna miłości...

I wyszła. Spokojnie.

Pod tym względem Lucie wydała mi się bardzo podobna do swojej matki.

Nie wiem dlaczego, ale może właśnie z tego powodu, mimo że teraz byłoby mnie stać na megaluksusowe lokum, zostałem na avenue de Flandre.

Urządziłem mieszkanie, nie siląc się na żadne nowe pomysły, meblami z Ikei.

I w gruncie rzeczy jest mi tu całkiem dobrze.

Nicole, nigdy nie zrozumieję dlaczego, zamieszkała w Ivry. Nie sposób jej przekonać, żeby, tak jak Mathilde, kupiła sobie piękny apartament. Równie niemożliwe jest podejmowanie z nią jakichkolwiek dyskusji. Nie i już. Nawet tego mieszkania w Ivry nie pozwoliła sobie kupić. Sama płaci czynsz. Z własnej pensji.

Od czasu do czasu idziemy we dwoje na kolację. Za pierwszym razem zabrałem ją do pewnej słynnej paryskiej restauracji, miałem ambicję ją oczarować, wystroiłem się w swój pierwszy garnitur szyty na miarę, ale natychmiast zrozumiałem, jak bardzo jej się to nie spodobało. Jadła w milczeniu, prawie nie rozmawialiśmy, wróciła do siebie metrem, nie chciała wziąć taksówki.

Niezbyt często się widzimy. Proponowałem jej różne wyjścia, do opery, do teatru, weekendy, tego typu rzeczy,

mówiłem sobie, że muszę ją odzyskać, że to wymaga czasu i wielkiego wyczucia, że możemy się stopniowo znów zbliżyć, że w końcu zrozumie, do jakiego stopnia życie mogłoby być ciągłą bajką. Stało się inaczej. Zgodziła się na jedno, dwa wyjścia, a potem już nie chciała. Początkowo co rusz do niej dzwoniłem, a potem któregoś dnia powiedziała mi, że dzwonię za często.

- Kocham cię, Alain. Jestem zawsze szczęśliwa, słysząc, że u ciebie wszystko dobrze. Ale ta informacja mi wystarcza. Więcej nie jest mi potrzebne.

Z początku czas bez niej straszliwie mi się dłużył.

Czułem się jak idiota w tym prawie pustym mieszkaniu i w swoich garniturach na miarę.

Stałem się człowiekiem smutnym.

Nie ponurym, ale nie mam w sobie tej radości życia, na jaką liczyłem, bo bez Nicole nic właściwie nie ma sensu.

Bez niej nic nie ma sensu.

Któregoś dnia przypomniało mi się coś, co powiedział Charles (on i te jego sentencje...): „Jeśli chcesz zabić człowieka, zacznij od dania mu wszystkiego, o czym marzy. Najczęściej to wystarczy”.

Bardzo brakuje mi Charles'a.

Wszystkie pieniądze, jakie mi zostały, umieściłem na kontach na nazwiska córek. Niewiele mnie ta forsa obchodzi. Wiem, że tam jest. Że ją zarobiłem. I ta świadomość mi wystarcza.

Pierwsze miesiące takiej samotności bardzo mi się dłużyły.

A kilka tygodni temu znowu zacząłem pracować. Za darmo.

Jestem „seniorem doradcą” w małym stowarzyszeniu pomagającym młodym przedsiębiorcom.

Analizuję rozwój ich firm, pomagam realizować strategię, takie rzeczy.

W gruncie rzeczy jest to silniejsze ode mnie; nie mogę się powstrzymać, żeby nie pracować.

Vézénobres, sierpień 2009

[1] RAID (Recherche Assistance Intervention Dissuasion) - jednostka antyterrorystyczna francuskiej policji.

[2] DGSE (Direction Générale de la Sécurité Extérieure) - francuska agencja wywiadu wojskowego.

[3] CRS (Compagnies Républicaines de Sécurité) - oddziały prewencyjne francuskiej policji.

[4] DST (Direction de la Surveillance du Territoire) - francuska agencja wywiadowcza.

[5] ENA (École Nationale d'Administration) - wyższa uczelnia, w której kształcą się elity polityczne Francji.

MUZA SA
00-590 Warszawa
ul. Marszałkowska 8
tel. 22 6211775
e-mail: info@muza.com.pl
Dział zamówień: 22 6286360
Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl
Konwersja do formatu EPUB: [MAGRAF s.c.](#) , Bydgoszcz

Spis treści

PRZED

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

PODCZAS

25

26

27

28

29

30

31

32
PO
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49
50
51
52
53